

STEVEN
SAYLOR

SIEDEM CUDÓW



KRYMINALNE POWIEŚCI Z CZASÓW RZYMSKICH



REBIS

STEVEN SAYLOR

S I E D E M
C U D Ó W
(SEVEN WONDERS)

Przełożył: Janusz Szczepański



Dom Wydawniczy REBIS

2012

Spis treści

Karta tytułowa

Motto

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

Przy sprzyjającym wietrze Apoloniusz ze swym uczniem Damisem przybyli na Rodos. Kiedy zbliżali się do Kolosa, młodzieniec zakrzyknął: „Mistrzu, czyż może istnieć cokolwiek większego nad to?”. Na co Apoloniusz odrzekł: „Owszem. Człowiek zdrowego a niewinnego ducha, który umiłował mądrość”.

Filostratos, Żywot Apoloniusza z Tyany, 5,21

RZYMSKIE PRELUDIUM: TRUP, KTÓREGO NIE BYŁO

I cóż teraz zamierzasz zrobić ze swym życiem, Antypatrze, skoro już umarłeś?

Mój ojciec zaśmiał się ze swego żartu. Doskonale znał plany starego Antypatra, ale nigdy nie przepuścił okazji do błysnięcia paradoksem czy kalamburem. Zagadki były jego namiętnością, a z ich rozwiązywania uczynił sobie zawód. Nazwał się Poszukiwaczem, jako że ludzie płacili mu, by szukał prawdy, do której sami nie umieli dotrzeć.

Jak można się było spodziewać, zagadnięty odpowiedział wymyślonym naprędce wierszem. Tak jest, przecucie was nie myliło: człowiek, o którym tu mówię, to naprawdę Antypater z Sydonu – jeden z największych poetów świata, słynący nie tylko z eleganckiej formy swoich utworów, ale też z magicznego wręcz talentu do tworzenia ich na poczekaniu, jak gdyby czerpał inspirację gdzieś wprost z eteru. Wyrecytował go, rzecz jasna, po grecku:

*Zmarłem w dzień urodzin,
muszę zniknąć z Rzymu.
Dziś twój syn ma święto –
czyż nie czas i jemu?*

Pytanie było retoryczne, ponieważ już od wielu dni ja i on planowaliśmy wyjazd z Rzymu właśnie na tę datę.

– To jednak nie w porządku, mój chłopcze, że mój pogrzeb przyćmi twoje urodziny dodał z dobrotliwym uśmiechem.

Z trudem powstrzymałem impuls, by go poprawić. Antypater nie przestał nazywać mnie chłopcem, a ja przecież już od roku byłem mężczyzną – przywdziałem togę w siedemnaste urodziny. Zamiast się zachnąć, odwzajemniłem uśmiech i odrzekłem:

– Ależ mistrzu, czyż można lepiej je uczcić, niż wyruszając na wyprawę, o której większość ludzi może tylko marzyć?

– Dobrze powiedziane! – Antypater uściśnął mi ramię. – Mało kto z młodzieży miewa szansę ujżenia na własne oczy najwspanialszych budowli wzniesionych przez człowieka, i to w towarzystwie największego z poetów.

Skromnością to on nigdy nie grzeszył za życia, a teraz, gdy umarł, tym mniej miał do tego powodów.

– Nie każdy ma też okazję zobaczyć własny nagrobek – wtrącił mój papa, wskazując dłonią gotową stelę.

Gawędziliśmy tak we trójkę w ogrodzie willi mojego ojca na Eskwilinie. Marcowy dzień był ciepły, a niebo bezchmurne. Przed nami, dopiero co dostarczona z pracowni rzeźbiarza, pyszniła się wykuta w marmurze łamigłówa – płyta nagrobna przeznaczona dla człowieka, który wciąż był wśród żywych. Niewielka, ledwie na stopę długa prostokątna tabliczka była wytwornie zdobiona i jaskrawo pomalowana. Później zwieńczy grobowiec, lecz teraz stała na skrzyni, w której ją przyniesiono.

– Mało komu jest też dane osobiście go zaprojektować. – Antypater pokiwał głową w zamyśleniu. – Jak sądzisz, Poszukiwaczu, nie wyda się aby zbyt niepoważny? Nie chciałbym, żeby ta stela nasunęła komuś myśl

o mistyfikacji. Jeśli ktokolwiek zacznie podejrzewać, że sfinnowałem własną śmierć...

– Nie zamartwiaj się, stary druhu. Wszystko idzie zgodnie z planem. Pięć dni temu umieściłem cię w wykazie zmarłych w świątyni Libitiny. Dzięki ciekawskim matronom z socjety, które kilka razy dziennie posyłają tam niewolnika, by na bieżąco sprawdzał nowe wpisy, smutna wieść o twoim odejściu rozeszła się po Rzymie lotem błyskawicy. Wszyscy sądzili co prawda, że pieczę nad ciałem i pochówkiem będzie sprawował twój przyjaciel Kwintus Lutacjusz Katulus. Nie dowierzano, gdy okazało się, że na wykonawcę twojej woli wybrałeś tak skromnego obywatela jak ja i że zwłoki będą wystawione w moim domu. Tak się jednak stało. Wezwałem balsamistów, by cię umyli i namaścili wonnościami, kupiłem kwiaty, gałązki cyprysowe, kadzidło oraz bardzo eleganckie mary... w końcu zapewniłeś na to środki w testamencie... a następnie wystawiłem twoje ciało w westybulu. Doprawdy, przyciągnąłeś spory tłumek! Wszyscy chyba poeci i połowa polityków przyszli cię pożegnać.

– Mój zgon pozwolił ci zaznajomić się ze śmietanką towarzyską Rzymu, Poszukiwaczu. – Antypater błysnął zębami w szelmowskim uśmiechu. – Oni się nieustannie między sobą wadzą, mordują i ciągną po sądach. Możesz zbić niezłą fortunę... Tylu potencjalnych klientów!

– Drzwi się prawie nie zamykały – przytaknął mój ojciec. – Nie pojawił się tylko Katulus. Może twój mecenas się dąsa, że nie jego ustanowiłeś egzekutorem testamentu?

– Raczej celowo zwleka i przyjdzie dopiero dzisiaj, w dniu pogrzebu, aby zrobić tym większe wrażenie. Katulus może i ma duszę poety, ale nie brak mu też instynktu polityka...

Antypater urwał, gdyż w tej chwili rozległo się pukanie do frontowych drzwi. – Oho, kolejny gość. To ja znikam.

Artysta pospieszył do ukrytych drzwi prowadzących do wąskiej izby przylegającej do westybulu, skąd mógł obserwować wszystkie wydarzenia przez szparę w murze. Po chwili w ogrodzie pojawił się odźwierny – jedyny niewolnik, jakiego posiadał wówczas mój ojciec.

– Masz gościa, panie – wysapał. Nieustający strumień odwiedzających przyprawiał starego Damona o zawrót głowy. Odchrząknął i skupił się, by przypadkiem nie pomylić nazwiska. – Lintus Kwitacjusz Katulus, były konsul Republiki, przybywa oddać cześć zmarłemu.

– Masz na myśli Kwintusa Lutacjusza Katulusa, jak mniemam – ojciec wyrozumiale poprawił starego sługę. – Pójdź, synu, powitamy konsula.

Przybysz mógł mieć około sześćdziesięciu lat. Podobnie jak my przywdział na tę okazję czarną togę, ale z haftowanym purpurowym pasem na brzegu, przynależnym senatorom. Dziesięć lat temu był konsulem i dowódcą legionów; to pod jego wodzą rozgromiono Cymbrów w bitwie pod Wercellami. Katulus był ponadto człowiekiem kulturalnym i wykształconym; mówiło się, że ma wrażliwą duszę. Stał teraz przy marach sztywno wyprostowany, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

Ojciec przedstawił siebie i mnie, lecz zdawało się, że senator ledwie go słyszał.

– To dla mnie zaszczyt gościć tak szlachetną osobę, konsulu, choć okoliczności są godne pożałowania. Czy przybyłeś sam?

– Oczywiście, że nie. – Katulus uniósł brew. – Moja świta czeka przed domem, ponieważ chciałem spędzić chwilę w samotności z moim starym przyjacielem... w cztery oczy, można powiedzieć. Ale, niestety, jego oblicze jest zakryte. – Konsul wskazał na woskową maskę skrywającą głowę nieboszczyka. – Czy to prawda, że upadek zniekształcił mu rysy?

– Obawiam się, że tak – odparł papa. – Balsamiści dwoili się i troili, by zmarły godnie się prezentował, lecz upadek był tak niefortunny, że

postanowiłem zakryć rany. Zazwyczaj maskę robi się z wykonanego pośmiertnie odlewu twarzy, lecz w tym wypadku musiałem zatrudnić rzeźbiarza, by oddał podobieństwo. Rzecz jasna, potem się ją poniesie w kondukcje, lecz do tego czasu będzie zakrywać jego fizjognomię. Rzekłbym, że artysta się postarał, nieprawdaż? Według mnie podobieństwo do Antypatra jest uderzające... Wygląda, jakby spał.

Jeśli mimo to życzysz sobie rzucić okiem na...

– Jestem żołnierzem, Poszukiwaczu. Widziałem najgorsze rzeczy, jakie można zrobić z ludzkim ciałem. Pokaż mi. – Konsul pokiwał ponuro głową.

Ojciec podszedł do mar i uniósł maskę.

Stateczny Katulus wydał z siebie nagle dziewczęcy pisk, szybko stłumiony pięścią przytkniętą do ust. Było to tak groteskowe, że omal nie wybuchnąłem śmiechem. Zza ściany dobiegł odgłos przypominający szelest osypującego się tynku; wyobraziłem sobie Antypatra targanego spazmami tłumionej wesołości. Katulus również spojrział w tamtą stronę. Papa zrobił zawstydzoną minę, jakby przepaszając za buszujące w murach szczury.

– Nie rozumiem, jak zwykły upadek mógł się skończyć tak potworną deformacją? – Konsul, lekko pozieleniał, nie odejmował pięści od twarzy.

– Cóż, spadł z wysoka. – Ojciec wzruszył ramionami. – Z ostatniego piętra kamienicy w Suburze. Uderzył o bruk głową. Jak wspominałem, balsamiści zrobili, co mogli...

– Tak, rozumiem. Nałóż mu maskę, proszę.

– Naturalnie, konsulu.

Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, kim naprawdę był człowiek spoczywający na marach. Ojciec nie raczył podzielić się ze mną tą informacją; nigdy nie wtajemniczał mnie w szczegóły swojej pracy, uznając większość z nich za zbędne obciążenie dla mojego umysłu.

Gdy ukończyłem siedemnaście lat, łudziłem się, że papa w końcu dopuści mnie do tajników swego zawodu, ale się rozczarowałem: przez ostatni rok zrobił się jeszcze bardziej skryty niż dotychczas. Domyślałem się wprawdzie, że skoro Antypater z pomocą mego ojca posunął się do sfingowania własnej śmierci, coś złowieszczonego musiało zawisnąć nad Rzymem, lecz resztę przede mną ukrywali.

Trup wpasował się w swoją rolę doskonale, gdyż wyglądało na to, że żaden z gości nie wątpi w jego tożsamość. Widoczne zresztą były tylko długie, siwe włosy i broda oraz pomarszczone ręce skrzyżowane na piersi; resztę zakrywała maska i jedna z ulubionych szat Antypatra. Człowiek ten w rzeczy samej zginął w nieszczęśliwym wypadku, miażdżąc czaszkę o bruk Subury, jak wspomniał mój ojciec. Zachodziłem w głowę, kim mógł być:

niewolnikiem, po śmierci dyskretnie odkupionym od właściciela? Ulicznym rzeźmieszkiem, za którym nikt nie tęsknił? A może to zwykły mieszkaniec tej owianej złą sławą dzielnicy, bez rodziny i przyjaciół? Nie miało to zresztą najmniejszego znaczenia; ważne, że zginął w okolicznościach doskonale odpowiadających planom Antypatra. Można powiedzieć, że papa wyświadczył nieszczęśnikowi przysługę: oto odejdzie ze świata w splendorze dalece przekraczającym możliwości ludzi jego pokroju, opłakiwany przez najznamienitsze osobistości Rzymu.

– Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności... – odezwał się Katulus. – Umrzeć akurat w dniu urodzin! Jedyna okazja w roku, kiedy biedak pozwalał sobie na zalanie się do nieprzytomności. Nazywał to „doroczną gorączką urodzinową”... jak gdyby taka dolegliwość rzeczywiście istniała!... i stronił od towarzystwa, tłumacząc się chorobą. Rozumiem, że wypadek był skutkiem alkoholowego zamroczenia?

– Owszem, wygląda na to, że stary nieźle sobie pofolgował. Trupa wciąż czuć winem, jeśli pochylisz się nad ciałem...

– Wierzę ci na słowo – przerwał prędko Katulus. Wciąż nie wyglądał najlepiej. – To prawda, że był tam u prostytutki?

– Bardzo prawdopodobne. Ustaliliśmy, że pokój, z którego wypadł, jest miejscem tego typu schadzek.

– W jego wieku! – Katulus kręcił głową z niedowierzaniem, jednak kąciaki ust uniosły mu się w nieznacznym uśmiechu. – Ale nie ma podejrzeń, że ktoś maczał w tym palce?

– Nie znalazłem żadnych poszlak – odparł ojciec.

– A to w końcu twoja profesja, nieprawdaż? Mężczyzna czy kobieta?

– Przepraszam, nie rozumiem...

– Pytam, czy Antypater złożył wizytę córce... czy może synowi Koryntu? Nikt jak dotąd nie zadał tego pytania; zorientowałem się, że zaskoczyło ojca, który musiał naprędce wymyślić odpowiedź. Przypomniałem sobie, że Katulus znany jest z upodobania do młodzieńców; ponoć układał nawet dla swych kochanków pochlebne wiersze po grecku – rzecz raczej odważna jak na rzymskiego patrycjusza ze starszego pokolenia.

– Ktokolwiek mu towarzyszył, najwyraźniej ulotnił się po tragedii, nie zostawiając żadnych śladów. – Tato potrafił łąć bez mrugnięcia okiem; mogłem tylko żałować, że nie przekazał mi tego talentu. – Zdaje się, że wcześniej tego wieczoru bywalec tawerny na parterze widział Antypatra w asyście nadobnego młodziana.

Za ścianą dał się słyszeć silniejszy szelest i szurnięcie. Poeta trzął się pewnie ze śmiechu – a może kopnął w mur z oburzenia? – Ach, tak! – Katulus pokiwał głową ze zrozumieniem. – W kwestii uczuć Antypater był

zawsze bardzo skryty... Podejrzewałem nawet, iż staruszek ma to już z głowy, wyzwolony z niewoli Erosa jak Sofokles u kresu życia.

Zawsze jednak sądziłem, że potrafi docenić męską urodę. Jak inaczej mógłby ułożyć to cudowne epitafium dla Anakreonta?

Konsul przymknął powieki i z ręką na sercu wydeklamował:

Tu leży Anakreont – bard, lirnik, poeta. Słuchajcie, jak opiewa płomień namiętności, Której żar rozpałił w nim tancerz Batyllus: Odpowiedzi czeka z drzeniem niepewności... Katulus westchnął i otarł wykwitłą w kąciku oka łzę. Dotąd jakby mnie nie zauważał, lecz teraz utkwił we mnie wzrok.

– A więc ten chłopiec to twój syn i imiennik, Poszukiwaczu? Gordianus młodszy?

– Owszem, ale chłopcem już nie jest, jak widać po todze. Dziś obchodzi osiemnaste urodziny.

– Doprawdy? – Konsul uniósł pytająco brew i zwrócił się do mnie. – Radzę ci więc świętować je inaczej niż Antypater, aczkolwiek pod każdym innym względem warto, byś go naśladował. Byłeś, zdaje się, jego uczniem?

– Tak. Miałem zaszczyt nazywać go mistrzem – odparłem.

– Zaprawdę powinieneś traktować to jako wyróżnienie. Ostrożnie dobierał sobie uczniów. Widać dostrzegł w tobie coś wyjątkowego, młody człowieku.

Wzruszyłem ramionami. Krępowało mnie baczne spojrzenie Katulusa, tym bardziej że właściwie nie miałem prawa podawać się za ucznia wielkiego Antypatra z Sydonu. Ojciec nie mógłby sobie pozwolić na zatrudnienie tak wybitnego poety jako nauczyciela; nasze stosunki uczeń-mistrz zrodziły się spontanicznie i nigdy nie nabrały charakteru oficjalnego. Po prostu przy okazji licznych wizyt u papy wielki człowiek zawsze znajdował chwilę, by wbić mi do głowy kilka wersów greckiej poezji, imiona paru wodzów Aleksandra Wielkiego czy jakiś inny okruch wiedzy.

Ojciec, owszem, nauczył mnie użytecznych rzeczy: jak posługiwać się wytrychem, niepostrzeżenie śledzić człowieka, a nawet mnóstwa oznak wskazujących, kiedy kobieta kłamie – ale cokolwiek wiem dzisiaj o literaturze, historii i matematyce, zawdzięczam tym nieformalnym wykładom starego Antypatra, podobnie jak niezłą znajomość greki.

– Może chciałbyś, konsulu, obejrzeć stelę nagrobną? – zaproponował ojciec.

– Jest już gotowa? – zdziwił się nasz gość.

– Dostarczono ją jakąś godzinę temu. Antypater bardzo szczylił się greckim pochodzeniem, zdecydowałem się więc postąpić według tamtejszych zwyczajów. Zgodnie z nakazem dawnych praw Solona z Aten żadna rzeźba nie powinna być tak ozdobna, by trzech ludzi nie dało rady jej wykonać w trzy dni. Farba na marmurze ledwie wyschła. Proszę za mną, konsulu.

Papa zaprowadził nas do zalanego słońcem ogrodu. Od strony muru, za którym krył się Antypater, dobiegł mnie przytłumiony szmer. Od tej pory, zmuszony do pozostania w kryjówce, nie mógł już śledzić biegu wydarzeń.

– Pomnik jest utrzymany w stylu bardzo obecnie popularnym wśród wykształconych Greków. Niewielka tabliczka zwieńczy płaski grobowiec, w którym złożone będą prochy.

Pokrywające ją znaki układają się w rebus. Jako całość mają sens, lecz tylko dla tych, którzy potrafią je rozszyfrować.

– Ach, prawda, wszak on sam stworzył kilka wierszy o tego typu nagrobkach. Dobry pomysł, Poszukiwaczu, to bardzo do niego pasuje – skwitował Katulus. – Przekonajmy się zatem, czy ja sobie poradzę z tą szaradą!

Ozdobny, z boków zamknięty półkolumnami fronton ojciec kupił gotowy jako tło i ramę dla wykonanej na zamówienie płaskorzeźby

upamiętniającej poetę. Konsul jął się wpatrywać w figury, marszcząc srodze brwi.

– Kogut! – zdumiał się. – Dlaczego kogut? Jest, bez wątpienia, pięknie oddany. Zajadłe ślepie, dziób rozwarty do piania, a rozpostarte skrzydła pokryte żywą czerwienią.

Przyjrzyjmy się, co dzierży w szponach. W jednym berło... symbol władzy!... a w drugim gałązkę palmową. Trofeum zawodnika? – Nasz gość pomrukiwał w zadumie. – A cóż to za przedmiot na samej krawędzi podstawy? Wygląda, jakby miał zaraz zlecieć na ziemię. Czyż to nie czterostronna kość do gry, jakich używano dawniej? Nie znam się na grach, ale nawet ja wiem, że ten wynik oznacza porażkę. Grecy nazywają go bodajże rzutem chionijskim, od wyspy Chios. – Katulus cofnął się o krok. Prawą dłonią pocierał w zamyśleniu brodę, lewa podtrzymywała prawy łokieć. – Mamy więc berło, mimo że Antypater z królów się nie wywodził... i gałązkę palmową, choć nigdy nie przejawiał zainteresowania atletyką, nawet za młodu. I dlaczego kogut? A co ma symbolizować przegrywający rzut? – Medytował jeszcze chwilę, aż wreszcie jego twarz rozjaśnił uśmiech. – Palma to symbol zwycięstwa, ale i miasta Tyr. Choć nasz przyjaciel czuł się rodowitym Sydończykiem, tak naprawdę na świat przyszedł w pobliskim Tyrze. Mało komu o tym mówił, a ty, jak widzę, zaliczałeś się do tych wybrańców, Poszukiwaczu. Postąpiłeś bardzo sprytnie, włączając to do łamigłówek, bo dzięki temu jest zrozumiała tylko dla jego najbliższych przyjaciół.

Papa wzruszył skromnie ramionami – albo raczej nieskromnie, jako że tym gestem uzurpował sobie zasługę za rebus zaprojektowany przez Antypatra.

– Piejący kogut może oznaczać człowieka, który dał się słyszeć w szerokim świecie, jak on swoimi wierszami – kontynuował konsul. –

Berło przysługuje mu jako pierwszemu wśród poetów. Tylko co może znaczyć kość zastygła w chionijskim rzucie... – Po chwili zastanowienia klasnął w dłonie i wykrzyknął: – Na Herkulesa! To dopiero najsmakowitszy niuans! Udało ci się uwiecznić nie tylko jego tyryjskie pochodzenie, ale i sposób, w jaki zginął. Wszak Chios znana jest też z wybornego wina! Opiwszy się nim, nasz przyjaciel runął w przepaść... zaiste rzut chionijski w grze życia. Poszukiwaczu, wyryłeś w kamieniu fantastyczny kalambur! Nazwać go zmyślnym to za mało, on jest po prostu genialny! Ojcu udało się przywołać na policzki rumieniec. Spuścił oczy, niby zawstydzony takim komplementem.

– Winien ci jestem przeprosiny, Gordianusie. – Katulus wyprostował się i wygładził fałdy togi. – Gdy powiedziano mi, że wypełnienie ostatniej woli mego drogiego przyjaciela oddano... cóż, w ręce osoby spoza naszych kręgów... pomyślałem, że Antypater przed śmiercią postradał zmysły. Teraz jednak widzę, jak musieliście być sobie bliscy, jakimi względami otaczał twój syna, a przede wszystkim doceniam twoją niezwykłą finezję, którą w pełni mógł docenić tylko człowiek jego kalibru. Nie zawiodłeś jego zaufania. Ja sam lepiej bym się nie sprawił.

To rzekłszy, były konsul jak kobieta zalał się rzewnymi łzami.

– Antypatrze, to szaleństwo! – Ojciec żywoło potrząsnął głową. – Nie możesz zmieniać planów w ostatniej chwili. Przecież nie pokażesz się na własnym pogrzebie! Uspokoiwszy się, konsul wrócił do oczekującej go przed domem świty. Na ulicy zbierał się już orszak pogrzebowy. Rozgrzewający się grajkowie co rusz wydobywali z piszczałek jazgotliwe tony i grzechotali tamburynami. Płaczki jęczały przeciągle a donośnie, przygotowując gardła do długiego zawodzenia. Lada moment mieli nadejść tragarze, by ponieść mary w dół ulicy i rozpocząć kondukt.

Antypater przeglądał się w lustrze, pocierając świeżo ogolone policzki. Odkąd go znałem, zawsze paradował z długą, białą brodą, jednak przed ucieczką z Rzymu dał się ogolić Damonowi. Nie było to co prawda przebranie z prawdziwego zdarzenia, lecz poeta wyglądał teraz zupełnie inaczej, a na pewno dużo młodziej.

Było postanowione, że wymkniemy się z domu, gdy pochód zniknie za rogiem. Był to najlepszy moment, ponieważ każdy, kto mógłby rozpoznać Antypatra, uczestniczył w jego pogrzebie. Mieliśmy prześliznąć się przez miasto ku nabrzeżom nad Tybrem i wsiąść na łódź zmierzającą w dół rzeki, do Ostii. Przez cały dzień wyruszało ich wiele, a i nocami rzeka nie bywała pusta, więc nie mieliśmy trudności ze znalezieniem przewoźnika. Teraz jednak, gdy powinniśmy kończyć ostatnie przygotowania do wyjazdu, Antypater zarządził zmianę planu.

Owszem, zaproponował, wyruszymy do Ostii, a z niej do Efezu – tak jak postanowiliśmy lecz dopiero po ceremonii. Stary chciał widzieć na własne oczy kremację i usłyszeć mowy pożegnalne. Miał też pomysł, jak tego dokonać.

– Gdy zjawi się główny mim, odprawisz go z kwitkiem, Gordianusie – tłumaczył.

Powiesz, że już nie jest ci potrzebny. A jego miejsce zajmę ja!

Zadaniem takiego wynajętego aktora było maszerować przed katafalkiem w masce pośmiertnej zmarłego. Niektórzy czynili z tego prawdziwą sztukę, naśladowując jego sposób chodzenia, gesty i odgrywając improwizowane scenki, przypominające zebrany o specyficznych cechach nieboszczyka.

– Ależ... zgodnie z twoją ostatnią wolą zatrudniłem najdroższego mima w mieście!

Papa załamał ręce. – Kosztował więcej niż cała reszta ceremonii.

– Nieważne – uciął Antypater. – Któż zagra mnie lepiej niż ja sam? Tak się składa, że jestem stosownie ubrany, ponieważ chciałeś, bym dziś przywdział czerń. Jeśli więc ktoś zawiesi na mnie wzrok, nie będę wyglądał jak z innej parady. Młody Gordianus też ma czarną togę, może więc brać udział w pogrzebie. – Antypater zdjął z drążka woskową maskę i przyłożył ją do twarzy.

– Obłąd! – powtórzył ojciec, ale natychmiast umilkł, gdyż z westybulu wyłonił się konsul Katulus.

– Poszukiwaczu, pora zaczynać – oznajmił tonem nawykłym do wydawania rozkazów.

– Nadeszli już tragarze. Pozwoliłem sobie wprowadzić ich do sieni. Proszę, proszę, i mim się też zjawił! – Wbił wzrok w chowającego się za maską Antypatra. – Jak się tu przemknąłeś, że tego nie zauważyłem?

Poeta teatralnie wzruszył ramionami i zamaszystym gestem wyprostował ramię.

– To ma przypominać Antypatra? – Katulus zmarszczył brwi. – No, przynajmniej maska dość wiernie go oddaje, myślę więc, że całość ujdzie. Zaczynajmy już, Gordianusie. Ojciec westchnął z rezygnacją i podążył za naszym szacownym gościem do westybulu, gdzie wokół katafalku zebrali się już tragarze. Miejsce pośmiertnej maski na twarzy denata zastąpiła gałązka cyprysu. Ujrzałem nagle stojącego w drzwiach rudzielca o cofniętej szczęce i cały struchlałem; był to mistrz pantomimista. Wyglądało na to, że dopiero co przybył. Szarpnąłem ojca za togę i wskazałem mu gościa; tatko podbiegł doń i zgarnął go z powrotem na ulicę. Na szczęście Katulus niczego nie zauważył.

Tragarze dźwignęli mary. Antypater wyprzedził ich w kilku susach, gdy przekraczali próg domu. Na ich widok najęte płaczki podniosły lament.

Spojrzałem w perspektywę ulicy i oniemiałem na widok ogromnego tłumu przybyłych, by pożegnać poetę. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że moje zaskoczenie jest pewnie nie na miejscu – w końcu chowamy jednego z najślawniejszych poetów. Grajkowie rozpoczęli pieśń żałobną. Procesja ruszyła z wolna krętymi uliczkami w górę Eskwilinu, przez miejską bramę aż do rozległej nekropolii, rzymskiego miasta umarłych.

Mary spoczęły na przygotowanym stosie drewna. Wygłoszono wiele laudacji, pośród nich pamiętną mowę Katulusa. Długo recytowano wiersze Antypatra. W końcu stos zaczęły lizać płomienie. Gdy się dopalił, popioły zebrano do urny, którą umieszczono w niewielkim kamiennym grobowcu. Na jego szczycie spoczęła marmurowa stela przedstawiająca przegrywającego w kości koguta uzbrojonego w berło i gałązkę palmową.

Ceremonię przez cały czas obserwował – sam będąc na oczach wszystkich – główny mim, zadziwiająco udatnie odgrywający rolę Antypatra, jego charakterystyczne gesty i krok.

Jak mówi stare etruskie porzekadło, każdy człowiek uczestniczy w swoim pogrzebie; mój mistrz był jednak pierwszym, który po wszystkim wrócił spokojnie do domu.

– Słyszałeś, co o mnie powiedział Katulus? Nazwał mnie największym poetą swego pokolenia! – Starzec wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Niestety, pomylił się, cytując moje epitafium dla Homera. Powiedział: herold bohaterów, piewca bogów, ulubieniec muz, chociaż w oryginale powinno być: światło muz. Muszę jednak przyznać, że schlebiło mi porównanie mojej skromnej twórczości do dzieł Homera...

– Ledwie co słyszałem – przerwał mu ojciec. – Przez cały czas czekałem, aż ktoś cię rozpozna i twoje machinacje wyjdą na jaw. Byłbym skończony! Nie nazywano by mnie już Poszukiwaczem, lecz Oszukiwaczem.

– Dajże spokój, nikt niczego nie podejrzewał. Rozegraliśmy to popisowo! Ale w sumie to mało przyjemne patrzeć, jak cię pożerają płomienie, a potem grabarze zmiatają cię na szufelkę jako kupkę popiołu i wsypują do urny... – Antypater pociągnął solidny łyk wina. Zapadła noc, a my – znów bezpieczni w naszym domu – syciliśmy się przygotowaną naprędce kolacją złożoną ze znalezionych w spiżarni resztek. Zapasów pozostało niewiele: tatko spodziewał się, że o tej porze będzie już nas miał z głowy.

– Mówiąc szczerze, przyjacielu, cała ta sytuacja obudziła we mnie wątpliwości odezwał się znowu po chwili wahania. – Nie jestem już taki pewien, czy mogę powierzyć ci mego syna na tak długą podróż. Po tym dzisiejszym numerze kto wie, co jeszcze może ci strzelić do głowy?

– Jeśli niebezpieczeństw się boisz, to czy sądzisz, że chłopiec będzie bezpieczniejszy przy tobie? Przecież chodziło między innymi Oto, by wydostać go z Rzymu, podczas gdy...

– Nie jestem już chłopcem! – poczułem się w obowiązku zaprotestować. Dopiero znacznie później miałem pożałować tej porywczności i tego, że nie wysłuchałem, co Antypater miał do powiedzenia. Jakież byłem wtedy jeszcze młody i głupi, nieświadomy rozgrywających się wokół mnie wydarzeń! Zerknąłem na ojca, czekając na jego reakcję. Był moją opoką, murem chroniącym od wstrząsów i wichrów wojny. Niby w świetle prawa osiągnąłem już dojrzałość, lecz tak naprawdę byłem wciąż tym, kim nazwał mnie mój nauczyciel: chłopcem zaledwie. Dlaczego Antypater musiał opuścić Rzym, i to tak dramatycznie zacierając po sobie ślady? Mgliście zdawałem sobie sprawę, że ostatnio wykształceni Grecy byli w mieście ledwie tolerowani. Niektórzy spośród patrycjuszy, jak Katulus, po staremu fascynowali się wszystkim, co helleńskie – sztuką, literaturą, nawet filozofią – większość jednak okazywała wobec tej kultury nieskrywaną

podejrzliwość. W Grekach widziano jedynie podbity lud, a w ich barbarzyńskich zwyczajach zagrożenie dla moralności rzymskiej młodzieży. Samo panowanie Rzymu nad Helladą było niekwestionowane, a wszelki opór zdławiono tam na długo przed moim przyjściem na świat. Greckie poleis spotulniały, kiedy wódz Lucjusz Mummiusz dla przykładu zrównał z ziemią Korynt. Niektórzy jednak porównywali osiadłych w Rzymie greckich artystów i nauczycieli do chytrych wojowników, którzy podstępem zdobyli Troję; ich drewnianym koniem jest według tych poglądów powolne podkopywanie świętych rzymskich tradycji. Antypater miał wprowadzić wśród Rzymian żarliwych zwolenników, lecz i wielu zaciekłych wrogów, których wpływy zaczynały właśnie przeważać.

Zanosilo się też na inne zmiany. Z dawna tłące się niezadowolenie italskich poddanych Rzymu – podporządkowanych ludów, którym przysługiwała tylko część należnych nam przywilejów – zaczynało buchać żywym płomieniem. Gdyby przerodziło się w zbrojny bunt, Italią wstrząsnęłaby wojna domowa na skalę, jakiej nie widziano tu od pokoleń.

Na wschodzie też wrzało: ambicje Rzymu zderzyły się w Azji Mniejszej z dążeniami niejakiego Mitrydatesa, króla Pontu, który sam pragnął panować nad tamtejszą mozaiką przebogatych miast, prowincji i drobnych państw jak śliwki dojrzałych do zerwania. Wszystkie te ważne sprawy były mi zupełnie obce. Przeczynałem tylko niejasno, że jakieś niebezpieczeństwo zawisło nad moim ojcem i Antypatrem, a przez to również nade mną. Nie martwiłem się tym jednak zbyt i teraz też poczułem jedynie obawę, że moja wspaniała wyprawa ze starym poetą stanęła pod znakiem zapytania.

– Nie jestem chłopcem – powtórzyłem – tylko mężczyzną. Do mnie powinna należeć decyzja, czy pojedę z Antypatrem. – Nie zatrzymam cię – westchnął ojciec. – Tylko bardzo mi się nie podoba jego dzisiejszy

prawdziwie szczeniacki wybryk. Mam nadzieję, że nic podobnego się w przyszłości nie zdarzy w jakichś okolicznościach, w których przyszłoby wam zapłacić za to głową!

– Za bardzo się zamartwiasz, Poszukiwaczu. – Poeta machnął lekceważąco ręką. – W wielu miastach będziemy wśród przyjaciół, a gdy nas nogi zawiodą do obcych krain, szybko zawrzemy nowe znajomości.

Ojciec wzruszył tylko ramionami z rezygnacją.

– Wybrałeś już sobie imię na czas podróży?

– Owszem. Przyszło mi do głowy w przebłysku olśnienia, gdy patrzyłem, jak płonę na stosie. Pozwólcie, że się przedstawię... – Stary odchrząknął, ukłonił się dwornie i zamiótł ramieniem z głośnym strzyknięciem w barku. – Jestem Zotikos z Zeugmy, skromny nauczyciel i towarzysz podróży młodego rzymskiego obywatela, Gordianusa. Ojciec parsknął śmiechem. Przeszukałem zakamarki umysłu, w których kryła się moja wyrywkowa znajomość greki, i również zrozumiałem żart.

– Zotikos to po grecku „pełen życia” – powiedziałem.

– Czy może być lepsze imię dla człowieka oficjalnie martwego? – uśmiechnął się Antypater.

– Tak naprawdę rozbawiła mnie ta Zeugma – wyjaśnił papa. – Bogacz może pochodzić z Aleksandrii, mędrzec z Aten, ale z Zeugmy? Nikt! Wybór zatem doskonały.

– Niewykluczone, że nawet zahaczmy o tę miejscinę w drodze do Babilonu. To zależy, jaką drogę obierzemy. Być może nadarzy się też okazja wpaść do niedalekiego Issos. – To rzekłszy, poeta przybrał pozę aktora i wyrecytował:

Hen na przylądku Issos, w cylicyjskiej dziczy, Bieleją kości Persów, których nikt nie zliczy.

Sprawił to Aleksander, imperium budowniczy. -Lecz czy nie jesteś zbyt sławny, Antypatrze, by podróżować incognito? – Tato wciąż miał marsa na czole. – Widziałeś, ilu ludzi przyszło na twój pogrzeb. Imię twoje znane jest każdemu, kto choćby liznął greki.

– Otóż to – podchwycił pełen życia nieboszczyk. – Sławne jest moje imię oraz, mam przynajmniej taką nadzieję, kilka moich co lepszych poematów. Ale ilu z nich wszystkich wie, jak wyglądam i jak brzmi mój głos? Słyszysz się o Antypatrze, czyta się Antypatra, ale czy go kto kiedykolwiek widział na oczy? Kiedy wieść o mej śmierci rozniesie się po świecie, komu przyjdzie do głowy wypatrywać mnie w jakimś obcym mieście daleko od Rzymu? Na moją gładko ogoloną twarz nikt nie rzuci drugi raz okiem, nawet znajomy. Nikt nie skojarzy nieodżałowanego Antypatra z Sydonu ze skromnym nauczycielem, Zotikosem z Zeugmy. Poecie sprawiało, zdaje się, wielką przyjemność wymawianie bzyjących inicjałów nowego imienia. Z czasem zrozumiałem kolejną przyczynę tego wyboru. Żadne imię nie mogłoby być bardziej greckie – lub też mniej rzymskie – ponieważ litera „Z” od dwóch stuleci nie funkcjonowała w alfabecie łacińskim, wyrzucona zeń przez Appiusza Klaudiusza Cekusa, który uznał odpowiadający jej dźwięk za okropny i twierdził, że przy jej wymawianiu trzeba szczyrzyć zęby jak kościotrup. Tę ciekawostkę przekazał mi, rzecz jasna, mistrz Antypater. Tej nocy, w porze, kiedy wszyscy szacowni obywatele mogący rozpoznać poetę zapewne smacznie spali, przekradliśmy się przez miasto – młody Rzymianin w stroju podróżnym, jego ojciec, białowłosy towarzysz i leciwy niewolnik ciągnący wózek z naszym bagażem. Stary dobry Damon! Kiedy już wyjedziemy, będzie mógł trochę odpocząć... W porcie tatko dzielnie się spisał jako pater familias, to znaczy starał się nie okazać żadnych emocji, choć oto przyszło mu żegnać bliskiego przyjaciela udającego się w podróż, z której

(zważywszy na jego wiek) mógł już nie wrócić, a jednocześnie rozstawał się z jedynym synem – po raz pierwszy w życiu i nie wiadomo na jak długo.

Co ja czułem, gdy objąłem ojca i spojrzałem mu w oczy? Myślę, że byłem zbyt podekscytowany perspektywą przygody i samodzielności, by w pełni zrozumieć powagę tej chwili. Miałem przecież tylko osiemnaście lat i naprawdę niewiele wiedziałem o świecie.

– Masz jej oczy – wyszeptał.

Miał na myśli moją matkę, która zmarła tak dawno, że ledwie ją pamiętałem. Prawie nigdy o niej nie wspominał; zaskoczony zarumieniłem się i spuściłem wzrok. Damon również mnie przytulił. Oniemiałem, gdy zaniósł się płaczem. Złożyłem to na karb przemęczenia. Nie rozumiałem, że niewolnik – istota krążąca zawsze gdzieś w tle mojego świata – może odczuwać przywiązanie i ból rozłąki równie intensywnie jak wolny człowiek.

Jak się okazało, byliśmy jedynymi pasażerami małego stateczku. Sunęliśmy w dół Tybru w świetle gwiazd. Siedziałem wciśnięty między bagaże, zbyt przejęty, by zasnąć.

Antypater też nie wydawał się senny, postanowiłem więc zapytać go o coś, co od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju.

– Mistrzu, Tyber zanieś nas przez noc do Ostii, prawda?

– Naturalnie.

– Tam znajdziemy statek, który zawiezie nas do naszego pierwszego celu, Efezu na wybrzeżu Azji, tak?

– Taki jest plan.

– Wybrałeś to miasto, bo tam mieszka twój zaufany przyjaciel, u którego znajdziemy schronienie... ale też z powodu tamtejszej świątyni Artemidy, jednego z siedmiu cudów świata, prawda?

– Zgadza się.

– I podczas tej podróży zobaczymy wszystkie siedem?

– Tak jest!

Mimo mroku dostrzegłem, że uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Nie daje mi spokoju, mistrzu, coś, co powiedziałeś memu ojcu, a ja przypadkiem usłyszałem. Ludzie często mówią, rzekłeś, że chcieliby przed śmiercią ujrzeć siedem cudów świata, i dodałeś: teraz, gdy jestem martwy, mam w końcu czas, by spełnić to marzenie. -I co cię w tym tak niepokoi?

– Mistrzu, czy nie od ciebie pochodzą te słowa? – odchrząknąłem i wyrecytowałem: » ‘ Widziałem Babilonu mury przepotężne I ogrody tamtejsze, kwieciem niebosiężne. W olimpijskiej świątyni byłem się pokłonić Dumie tego miasta, Zeusowi z kłów słoni. I u stóp Mauzoleum nie wierzyłem oczom, W jakim mąż Artemizji tam splendorze spoczął.

Podziwiałem Kolosa, co chmur sięga czołem, I nieodgadnionych ogrom piramid chłonałem.

Lecz żaden z cudów siedmiu nie zrówna się chwałą Z efeską Artemidy świątynią wspaniałą. Zamilkłem na chwilę. Skrzący się w gwiazdnej poświacie nurt niósł nas wzdłuż tybrzańskich brzegów, rozbrzmiewających żabim kumkaniem. Zebrałem się na odwagę i rzuciłem:

– Przyznajesz więc w wierszu palmę pierwszeństwa świątyni Artemidy, ale skoro nie widziałeś na własne oczy wszystkich siedmiu cudów, skąd...

– Po pierwsze, na imię mi Zotikos i nie ja ten wiersz stworzyłem, tylko ów słynny Antypater – przerwał mój nauczyciel przyciszonym głosem; mimo ciemności widziałem, że się nachmurzył. – Po drugie, twój akcent jest skandaliczny. Współczuję wielkiemu poecie, że ktokolwiek może tak kaleczyć jego dzieło! Zarznięte całą melodię tego wiersza. Będziemy musieli wbić ci do głowy niuanse greckiej wymowy, zanim wylądujemy w Efezie, bo inaczej wyśmieją cię tam, ilekroć otworzysz usta.

- Mistrzu... Zotikosie... wybacz mi, proszę. Zastanawiałem się tylko...
- Po trzecie, młody Rzymianin nigdy nie prosi greckiego nauczyciela o wybaczenie, a przynajmniej nie w przytomności obcych. A po czwarte i ostatnie, czyżbyś nie słyszał o licentia poetica – Antypater westchnął ciężko. – Swego czasu był ze mnie niezły obieżyświat i miałem okazję ujrzeć większość cudów świata, a przynajmniej tych z jego greckiej części.
- Lecz jeśli nigdy nie byłeś w Babilonie czy Egipcie...
- A więc teraz nadrobię te zaległości, a ty będziesz mi towarzyszył. Zobaczymy wszystkie siedem cudów i sam ocenisz, któremu należy się miano najwspanialszego. Przytaknąłem ochoczo.
- A jeśli piramidy spodobają mi się bardziej niż świątynia Artemidy?
- Wtedy napiszesz własny wiersz, młody człowieku, jeśli tylko starczy ci na to greki! Więcej tej nocy nie rozmawialiśmy. Przysłuchiwałem się jeszcze przez jakiś czas niez mordowanym żabim chórom, ale musiałem zapaść w sen i gdy się ocknąłem, było już jasno. W nozdrza uderzyła mnie woń morskiej soli. Przybyliśmy do Ostii.

Statków szykujących się do wyjścia w morze stało w porcie sporo. Idąc wzdłuż nabrzeża, szukaliśmy takiego, który by mógł nas zabrać do Efezu. Antypater – niby w moim imieniu – targował się o cenę. Jeszcze przed południem weszliśmy na korab wiozący do Azji Mniejszej ładunek wysokogatunkowego rybnego sosu garum.

Podczas odbijania stanęliśmy na rufie i patrzyliśmy na oddalający się port. Z nabrzeża machały do żeglarzy zbite w grupkę kobiety – zapewne nie tylko żony, ale i nierządnic.

Antypater odetchnął głęboko morskim powietrzem, rozpostarł ramiona i głośno wydeklamował jeden ze swych utworów.

Już na morze czas wyruszać wam, żeglarze! Już Posejdon z Boreaszem fal nie wzdyma, Ptaki ścielą gniazda, prządkom płas się marzy – Rwij

kotwice więc, staw żagle i kurs trzymaj! Tako Priap, bóg portu, dziś wam każe. Ledwo umilkł i opuścił ręce, kiedy u jego boku wyrósł nagle grecki kapitan naszej łajby.

– Antypater z Sydonu, prawda? – zapytał.

Poeta drgnął przestraszony, ale zorientował się, że pytanie dotyczy autorstwa wiersza, nie jego osoby.

– Zgadza się – odparł.

– Wielka tragedia. Nie dalej jak wczoraj doszły mnie wieści o jego śmierci.

– Tak, to straszna strata. Uważam jednak, że to, co w nim było najlepsze, wciąż żyje.

– Tak, w jego wierszach... – Kapitan się uśmiechnął. – Ten zawsze był mi, jako żeglarzowi, bliski. Jest bardzo sugestywny: z jednej strony spokój morza, przytulność gniazd, z drugiej panny podrywające się do tańca i zew przestworu każący marynarzom ruszać w rejs... Tylko że Priap jest bogiem jurności, nie portu. Być może chodzi o to, że wiosną i życie się budzi z zimowego odrętwienia, i sezon żeglarski zaczyna... choć pewnie autor miał również na myśli wiosenną ochotę żeglarzy, gdy opuszczają swe zimowe kochanki, by szukać szczęścia w obcych portach.

Antypater aż oniemiał, tak go urzekła przenikliwość wilka morskiego. Szybko jednak odzyskał rezon i przybrał minę zwykłego uznania.

– Widzę, kapitanie, że prawdziwy z ciebie znawca.

– Gdzież tam znawca... Ot, Grek, a którego z nas nie rozpala piękno naszej mowy?

Mężczyzna poklepał go po plecach. – Będziesz musiał jeszcze niejeden wiersz sobie przypomnieć, staruszkule, abyśmy nie pomarli z nudów w trakcie podróży. Znasz jeszcze coś z Antypatra?

– Ośmielę się twierdzić, że mógłbym przytoczyć cały jego dorobek –
stwierdził z uśmiechem mój kompan Zotikos.



COŚ WSPÓLNEGO Z DIANA (Świątynia Artemidy w Efezie)

Nareszcie Efez! – wykrzyknął Antypater. Stał na samym dziobie wpatrzony błyszczącymi oczyma w panoramę portu. – Najbardziej kosmopolityczne ze wszystkich miast Hellenów, duma Azji, klejnot Wschodu!

Gdy tylko statek wpłynął na wody rzeki Kaystros, mój mistrz energicznie przepchnął się przez zebrany na pokładzie tłumek, a ja trzymałem się tuż za nim. Gdy pokonaliśmy niewielki meander, ukazał nam się Efez: niewyraźna masa budynków przytulona do zbocza niskiej góry. Z wolna dostrzegaliśmy coraz więcej detali, aż w końcu miasto wyrosło przed nami w całej okazałości.

Długie, wysunięte na zatokę molo obsiadła chmara statków i wydawało się, że nasz nie zdoła się nigdzie wcisnąć, tym bardziej że nie my jedni przy płynęliśmy o tej porze; przed nami na wodzie kwitły barwne plamy żagli i proporców innych jednostek. Według rzymskiego kalendarza mieliśmy właśnie kwiecień, jednak w Efezie trwał święty miesiąc Artemizjon, wypełniony niekończącymi się ceremoniami ku czci patronki miasta, Artemidy.

Antypater twierdził, że przyciągają one dziesiątki tysięcy podróżnych z całego greckiego świata – i wyglądało na to, że nie przesadził nawet odrobinę.

Małą łódeczką podpłynął do nas zarządca portu i oznajmił, że istotnie nie ma dla nas miejsca przy kei; przyszło nam rzucić kotwicę i czekać na

prom, który zabrałby pasażerów na brzeg. Przewoźnikom trzeba było, rzecz jasna, zapłacić; Antypater zżymał się na myśl o dodatkowych kosztach, ja jednak cieszyłem się skrycie, mogąc jeszcze przez chwilę podziwiać panoramę.

Nad gwarnym wybrzeżem górowały słynne pięciomilowe mury Efezu. U nasady długiego nabrzeża przybyszów witała zdobna brama wciśnięta między dwie baszty, teraz gościnnie rozwarta dla każdego... kto nie pożałuje monety; jak mi wyjaśnił nauczyciel, w świętym miesiącu należy się liczyć z opłatą za wstęp na teren miasta. Ponad murami widać było dachy świątyń i wyższych kamienic. Dalej, na stokach wzgórza Pion, wprost roilo się od zbitych w jedną tkanę domów. Niektóre, strojne jak pałace, otoczone były terasowymi ogrodami.

Od razu rzuciła mi się w oczy budowla górująca nad innymi – wbudowany w zbocze amfiteatr. Półkoliste rzędy siedzeń z widokiem na zatokę zapełniały tłumy widzów. Po dobiegających z oddali gromkich wybuchach śmiechu domyśliłem się, że wystawiano właśnie komedię. Wieńczący najwyższą kondygnację szereg posągów bóstw i herosów zdawał się wpatrywać kamiennym wzrokiem ponad sceną wprost we mnie.

– Widzę słynny teatr... – odezwałem się, osłaniając oczy przed rannym słońcem wysuwającym się właśnie zza wzgórza -...lecz nigdzie nie ma świątyni Artemidy.

– Gordianusie! Czyżby moje lekcje geografii poszły na marne? – parsknął Antypater.

Masz pamięć jak sito.

– Już sobie przypomniałem – odparłem z uśmiechem. – Świątynię postawiono na moczarach niecałą milę za miastem. Musi być gdzieś... tam – wskazałem obszar za urwistym północnym zboczem wzgórza.

– Bardzo dobrze. – Starzec uniósł krzaczastą brew. – A dlaczego budowniczy wybrali to miejsce?

– Uznali, że bagniste podłoże uchroni tak wielką konstrukcję przed trzęsieniem ziemi.

– Zgadza się. Aby umocnić grunt, jeszcze zanim wkopano kamień węgielny, wyłożyli go ponadto grubym pokładem pokruszonego węgla drzewnego. Co później? – Na to położono wiele warstw runa zdartego z owiec poświęconych bogini.

– No, okazuje się, że coś ci tam zostało w głowie – uznał mój nauczyciel. Prom pojawił się przy naszej burcie dopiero w samo południe. I tym razem Antypater bez skrępowania przepchnął się przed innymi, pociągając mnie za sobą, dzięki czemu znaleźliśmy się na brzegu jako jedni z pierwszych. Na przystani od razu otoczyła nas grupka wyrostków. Stary wybrał dwóch z wyglądu uczciwych i rzucił każdemu monetę, a oni rażno chwycili nasze bagaże i ruszyli za nami.

Podjęliśmy wędrówkę po zawrotnie długim pomoście, który sam przypominał małe miasteczko, ze statkami ustawionymi wzdłuż niego niczym domy przy głównej ulicy.

Wszędzie tłoczyli się ludzie, gdzieś w tle słyszałem nawet płacz niemowląt. Na niektórych masztach zauważyłem suszące się pranie. Wielu gości nie znalazło widać kwatery na lądzie i postanowiło nocować na wodzie.

– Gdzie się zatrzymamy? – spytałem.

– Przed laty mieszkałem tu jakiś czas i miałem ucznia imieniem Eutropiusz – odrzekł Antypater. – Nie widziałem go od dawna, ale pisujemy do siebie. Teraz oczywiście jest dorosły, zdążył owdowieć i samotnie wychowuje dziecko. Po ojcu odziedziczył dom na wzgórzu,

niedaleko amfiteatru. O ile mi wiadomo, nieźle mu się powodzi, będziemy się więc pławić w zbytku.

Tymczasem dotarliśmy do końca mola i znaleźliśmy się przed otwartą bramą, gdzie ludzie pragnący wejść do miasta tłoczyli się w długich kolejkach. Nie byłem pewien, w której z nich powinniśmy stanąć, dopóki jeden ze strażników nie wykrzyknął po łacinie:

– Obywatele rzymscy, ustawiać się w tym ogonku! Rzymianie i ich świty, tutaj! Z tłumu rzucano nam nieprzychylnie spojrzenia, gdy dołączaliśmy do najkrótszej i najszybciej przesuwanej się kolejki. Ani się obejrzałem, a już staliśmy przed człowiekiem w nedorzecznie wysokim kapeluszu przypominającym wypchaną przepiórkę, jakiego nie nałożyłby nikt poza zatwardziałym biurokrata. Gdy wręczałem mu wyrobione przez ojca dokumenty, mężczyzna zerknął na mój żelazny pierścień poświadczający rzymskie obywatelstwo.

– Gordianus, obywatel Rzymu – odczytał na głos łaciński tekst – urodzony za konsulatu Gajusza Mariusza i Lucjusza Waleriusza Flakkusa... ile masz więc lat, osiemnaście?

średniego wzrostu, ciemne włosy, znaków szczególnych brak, mówi po łacinie i trochę po grecku... zapewne z potwornym akcentem. – Urzędnik zmierzył mnie wzrokiem przepełnionym źle skrywaną pogardą.

– Chłopiec mniej kaleczy grekę niż ty łacinę – wtrącił Antypater.

– A tyś co za jeden?

– Jako były nauczyciel towarzyszę temu młodzieńcowi w podróży, a nazywam się Zotikos z Zeugmy. Inaczej dobierałbyś słowa, gdyby mój kompan był starszy, miał na sobie togę i zastęp niewolników za plecami. Gordianus jest wszakże pełnoprawnym obywatelem Rzymu i będziesz go traktował z należyтым szacunkiem albo złożę na ciebie skargę u zarządcy prowincji.

Oficjel omiółł poetę przeciągłym spojrzeniem, skrzywił się i oddał mi papiery.

Wkroczyliśmy do miasta.

– Ale mu pokazałeś, mistrzu, gdzie jego miejsce! – ucieszyłem się.

– Owszem, obawiam się jednak, że czeka cię tu więcej takich sytuacji.

– Co masz na myśli?

– Tu w Azji silne są anty rzymskie nastroje, jak zresztą we wszystkich krajach, gdzie mówi się po grecku. Nigdzie jednak nie są równie mocne jak tu, w Efezie.

– Dlaczego?

– Rzymski namiestnik, który rezyduje w Pergamonie, gnębi tutejszy lud okrutnymi podatkami. Ponadto żyje tu wielu Rzymian... dziś to wielotysięczna społeczność. Korzystają z przywilejów niedostępnych autochtonom: zajmują najlepsze ławy w teatrze, podczas świąt przydzielają sobie nawzajem miejsca honorowe, jak pijawki ssą zyski z handlu zamorskiego, ba! próbują nawet sięgać po skarby zdeponowane w świątyni Artemidy, która pełni zarazem rolę największego banku na tych ziemiach i dla Efezu jest podstawą bytu. Przez czterdzieści lat swoich rządów Rzymianie zdążyli dobrze dać się miejscowym we znaki i wzbudzić nienawiść. Jeżeli nawet drobny urzędnik pozwala sobie na taką impertynencję wobec ciebie, to strach pomyśleć, na co mogą poważyć się inni. Chyba najlepiej będzie, jak zaczniemy rozmawiać z sobą tylko po grecku, Gordianusie, nawet na osobności. Ktoś może nas posłyszeć i nabrać podejrzeń – wyjaśnił Antypater.

Gdzieś w połowie przemowy przerzucił się z łaciny na grekę i przez chwilę nie mogłem się połapać w jego wywodzie.

– To może być... trudne – wydukałem, odszukawszy w pamięci odpowiednie słowa w mowie Hellenów.

– Nawet gdy mówisz po grecku, wyłazi z ciebie Rzymianin – westchnął starzec.

– Przecież temu człowiekowi przy bramie powiedziałeś, że mam dobry akcent!

– No cóż... może po prostu powinieneś odzywać się tylko w ostateczności. Pozwoliliśmy się nieść nurtowi ludzkiej rzeki i wkrótce znaleźliśmy się w pobliżu targowiska pełnego pielgrzymów i podróżnych. Stragany przyciągały wzrok obfitością wszelakiego jadła, jak również wielkim wyborem najróżniejszych amuletów. Można było tu nabyć miniaturowe modele świątyni Artemidy i wizerunki samej bogini – od najtańszych, prymitywnie ulepionych z gliny czy wystruganych z drewna, aż po prawdziwe cudenka, w tym niektóre – jak zapewniali sprzedawcy – z litego złota.

Jedna ze statuetek zwróciła moją uwagę. Przyjrzałem jej się dokładnie: była to Artemida, jaką czczono w Efezie, zupełnie inna niż rzymska. Nasza – którą my zwiemy Dianą – jest łowczynią i dziewicą; nosi krótką, praktyczną tunikę odpowiednią do polowania i dzierży łuk. Bogini, na którą patrzyłem – wizerunek prawdopodobnie o wiele starszy – stała sztywno wyprostowana, z przyciśniętymi do tułowia rękami zgiętymi w łokciach i z otwartymi dłońmi. Jej głowę wieńczyła płaska korona zakończona nimbem, po którym szybowały uskrzydłone byki. Sporo takich samych zwierzków, w towarzystwie innych czworonogów, ozdobiło też jej suknię. Pod naszymi nożami z żółędzi widniał najdziwniejszy atrybut Artemidy Efeskiej: wiele dyniowatych, wystających z piersi wypustek. W pierwszej chwili wziąłem je za piersi właśnie, lecz Antypater wyprowadził mnie z błędu: były to jądra byków. Podczas festynu wiele tych zwierząt zostanie złożonych w ofierze.

Chwyciłem figurkę, by lepiej się jej przyjrzeć. Była cięższa, niż się spodziewałem; odlano ją w całości ze złota.

– Nie dotykaj, jeśli nie chcesz kupić! – rzucił stojący za straganem chudzielec z długą brodą i wyrwał mi posążek z dłoni.

– Przepraszam... – zająknąłem się, ponieważ przypomniał mi się, że miałem nie mówić po łacinie.

Kramarz spojrzał na mnie wilkiem.

– Myślisz, że ta figurka naprawdę była ze szczerego złota? – zapytałem poetę, gdy oddaliliśmy się o parę kroków.

– Owszem. Na pewno nie mógłbyś sobie na nią pozwolić.

– Ludzie kupują takie rzeczy na pamiątkę?

– Nie na pamiątkę, lecz w ofierze. Pielgrzymi kupują takie posążki, na jakie ich stać, a następnie ofiarowują je świątyni.

– W takim razie kapłani muszą tam mieć tysiące takich podobizn.

– Nie kapłani, tylko megabyzoi. Tak się ich tu nazywa – tłumaczył Antypater. – To prawda, podczas świąt napływa do nich wiele ofiar.

– Co się z nimi potem dzieje?

– Wzbogacają świątynny skarbiec, naturalnie.

Rozejrzałem się wokół. Gwarne targowisko, tętniące gorączkową krzątaniną, zdawało się ciągnąć bez końca.

– Handlarze i świątynia muszą na tym nieźle wychodzić – stwierdziłem.

– Nie zapominaj, co dostają w zamian pielgrzymi – uśmiechnął się mój mentor. – Mogą uczestniczyć w jednej z ważniejszych uroczystości religijnych na świecie, ponadto bogini obdarza ich swymi łaskami i strzeże podczas powrotu do domu. Jednak ofiary podróżnych to tylko kropla w morzu zysków, jakie zgarnia świątynia. Bogacze z wielu stron prowincji, a nawet koronowane głowy z dalekich krajów, wszyscy oni gotowi są wiele zapłacić, by móc przechowywać swój majątek w jej komorze... oczywiście

za sową opłatą. Ten ogromny skarb pozwala z kolei kapłanom uprawiać lichwę i zarabiać na odsetkach. Własnością Artemidy Efeskiej są też liczne winnice, kamieniołomy, pastwiska, żupy solne, łowiska i stada świętych jeleni. To jedna z najmożniejszych świątyń na świecie. Każdy rzymski namiestnik przez całą kadencję łamie sobie głowę, jak by położyć łapę chociaż na części tego bogactwa.

Kupiliśmy trochę koziego sera i powoli przedzieraliśmy się dalej przez tłum. Ścisk zelżał, gdy skręciliśmy w pnącą się zboczem aleję, przy której mniej więcej w połowie drogi na szczyt Pion znajdowała się willa Eutropiusza.

– Jest większa, niż pamiętałem – mruknął starzec, podnosząc wzrok na nieskazitelnie utrzymaną fasadę. – Dałbym głowę, że od mojej ostatniej wizyty przybyło jej nowe piętro. Odźwierny odprawił naszych tragarzy i powierzył bagaże domowej służbie.

Wprowadzono nas do ogrodu, gdzie gospodarz najwyraźniej właśnie budził się z drzemki.

Wyglądał na jakieś czterdzieści lat; był to mężczyzna postawny, o włosach w kolorze pszenicy delikatnie przyprószonych siwizną, odziany w pięknie skrojoną szatę z farbowanej na szafranowo jedwabnej surówki. Na nasz widok poderwał się z sofy i z rozpostartymi ramionami podbiegł do Antypatra.

– Mistrzu! – wykrzyknął. – Nie postarzałeś się ani trochę.

– Nonsens! – Poeta przecesał siwą grzywę i uśmiechnął się, ponieważ komplement najwyraźniej sprawił mu przyjemność, po czym przedstawił mnie gospodarzowi. Powietrzem wstrząsnął stłumiony ryk – dopiero po chwili zorientowałem się, że to salwa śmiechu z tysięcy gardeł.

– To z amfiteatru – wyjaśnił Eutropiusz.

– Dlaczego ciebie tam nie ma? – zapytał Antypater.

– Ha! Sztuki mnie nudzą. Aktorzy wydurniają się i opowiadają ciężkie dowcipy.

Pokazałeś mi piękno poezji, mistrzu, lecz obawiam się, że nie udało ci się wpoić mi miłości do komedii. – Nawet Artemidzie podobają się te przedstawienia.

– Tak ludzie mówią... Dodają też, że aktorzy są nie mniej drewniani niż jej figurki zażartował gospodarz.

Odpowiedział mu rehot starca, ja jednak nie zrozumiałem dowcipu. Nagle Antypater aż się zachłysnął.

– A cóż to za zjawisko? – wykrzyknął.

– Antea! – Eutropiusz podskoczył ku nadchodzącej dziewczynie i objął ją czule. Pierwsze rzuciły mi się w oczy jej włosy, złociste jak u jej ojca; wyglądała na kilka lat młodszą ode mnie. Miała na sobie purpurową tunikę do kolan, przepasaną srebrnym łańcuchem pod dopiero zarysującymi się piersiami. Szata odsłaniała zaskakująco ciemne ramiona – młoda Rzymianka z tej samej sfery nigdy nie skalałaby się taką opalenizną ani też nie ukazała ramion obcemu. Stroju dopełniały naszyjnik z połączonych żołądzi oraz płowa skórzana pelerynka. Przez ramię przewiesiła kołczan pełen miniaturowych strzał w jaskrawych kolorach. W jednej dłoni dzierżyła filigranowy łuk, bez wątpienia przydatny tylko na paradzie, w drugiej zaś krótki oszczep.

– Czy oto ukazała mi się sama Artemis? – wyszeptał rozmarzony Antypater. I mnie udzielił się jego zachwyty. Obca mi była egzotyczna bogini z Efezu, lecz tu miałem przed sobą znajomy obraz naszej Diany, dziewiczej patronki myśliwych.

– W zeszłym miesiącu Antea skończyła czternaście lat – Eutropiusz z dumą przedstawił córkę. – W tym roku po raz pierwszy weźmie udział w procesji.

– Ręcę, że żaden z widzów nawet nie spojrzy na nikogo innego – mój mistrz nie przestawał prawić młódce komplementów, na co ta spuściła wzrok i oblała się rumieńcem. Nie miał jednak racji. Choć uroda Antei rzeczywiście przykuwała wzrok, ale zapomniałem o niej od razu, spojrzawszy na towarzyszącą jej niewolnicę. Ocenilem, że jest moją rówieśnicą. Miała kruczoczarne włosy, ciemne oczy i długi, prosty nos, a ubrana była w granatową tunikę z rękawami do łokci, lekko ściągniętą w talii rzemieniem. Z figury i zachowania była bardziej kobieca od swej pani. Uśmiechała się, jakby nasze oczarowanie jej młodą panią jej także sprawiało przyjemność. Gdy spostrzegła, że się jej przyglądam, uniosła zagadkowo brwi. Poczulem, że policzki zaczynają mi płonąć, i odwróciłem wzrok.

– To ci dopiero, przy tej małej spłoniesz się jak dziewczynka! – szepnął mi do ucha Antypater, błędnie interpretując moją reakcję.

Nad naszymi głowami rozległ się kolejny grzmot śmiechu, a po nim burza oklasków.

– Wygląda na to, że przedstawienie dobiegło końca – stwierdził Eutropiusz. – Mistrzu, jeśli chcecie się odświeżyć i przebrać przed pochodem, lepiej się pospieszcie.

– Pochód? Przecież się ściemnia – powiedziałem, zerknąwszy na blaknące już niebo.

– I o to chodzi – wyjaśnił Antypater. – Procesja ku czci Artemidy odbywa się po zachodzie.

– W Rzymie świętuje się za dnia – burknąłem po łacinie.

– Ale nie jesteś już w Rzymie, więc mów po grecku!

– Służący pokaże wam pokoje – rzekł gospodarz, zanim jednak zdążył klasnąć w dłonie, niewolnica postąpiła krok do przodu.

– Ja to zrobię, panie – powiedziała.

Stała na wprost mnie i patrzyła mi w oczy. Zdałem sobie sprawę – co z pewnością nie dodało mi kurażu – że aby odpowiedzieć spojrzeniem, muszę nieco zadrzeć głowę, dziewczyna była bowiem wyższa ode mnie.

– W porządku, Amestris – zgodził się Eutropiusz ze zdawkowym machnięciem ręką. Podążyliśmy za służką krótkim korytarzem wiodącym ku schodom. Trudno mi było nie zauważyć rytmicznego rozkołysu jej bioder, gdy wspinała się przede mną po stopniach. Amestris najpierw wskazała izbę Antypatrowi, a potem zaprowadziła mnie do sąsiedniej. Pomieszczenie było niewielkie, lecz bogato urządzone, a z balkoniku rozciągał się widok na zatokę. Na stole czekała już miednica z wodą i gąbka.

– Czy życzysz sobie, bym asystowała ci w kąpieli? – spytała, stojąc w drzwiach. Straciłem rezon i przez dłuższą chwilę gapilem się na nią osłupiały.

– Nie – wykrztusiłem w końcu w moim ojczystym języku. Z wrażenia zapomniałem całej greki.

Dziewczyna skłoniła się zgrabnie, przy czym jej pełne piersi zafalowały zmysłowo.

– Amestris... to chyba perskie imię, prawda?

Pośpiesznie palnąłem pierwsze zdanie, jakie mi przyszło do głowy, żeby nie wyjść na absolutnego półgłówka. Odpowiedziała tylko skinieniem głowy i odeszła. Przysięgłbym, że usłyszałem jej stłumiony chichot.

Ogarnąwszy się nieco, przywdzialiśmy nasze najlepsze tuniki i zeszliśmy do ogrodu.

Eutropiusz czekał tam w towarzystwie mężczyzny w jego wieku i, sądząc po ubiorze, równie zamożnego. Do Antei również dołączyła koleżanka, podobnie przebrana rudowłosa dziewczyna, mniej jednak urodziwa.

– Oto mój drogi przyjaciel i współnik, Mnason – Eutropiusz przedstawił gościa – a to jego córka, Chloe. Ona również pójdzie w procesji po raz pierwszy. Obydwaj jesteście wdowcami, niestety, często więc zdarza się, że razem z naszymi córkami bierzemy udział w uroczystościach – dodał już ciszej, nachylając się ku Antypatrowi.

Całą szóstką wyruszyliśmy w drogę. Szła z nami również Amestris. Miała za zadanie pilnować, by prezencja Antei i Chloe była bez zarzutu. Staralem się w ogóle na nią nie patrzeć, chłonąc widoki i zapachy obcego miasta.

Po krótkim spacerze znaleźliśmy się u stóp wielkiego amfiteatru. Kłębił się tu spory tłum, a z bram budowli wciąż wychodzili ostatni widzowie. Ogólna atmosfera była pogodna i wesoła, jeśli zaś komu nie stało humoru, mógł poprawić go sobie winem oferowanym przez ulicznych sprzedawców. Zapobiegliwi przynieśli nawet własne puchary; można jednak też było nabyć je na miejscu. Do wyboru były naczynia z miedzi, ze srebra lub nawet ze złota wysadzanego klejnotami. Jak talizmany z rynku, one również po procesji miały być ofiarowane Artemidzie.

Zmierzchało. Setki lampionów zalały plac pomarańczowym światłem. Ciżba nagle ucichła, a przed głównym wyjściem utworzył się szpaler jak dla ważnego dygnitarza.

Spodziewałem się, że za chwilę ujrzę kogoś takiego – być może rzymskiego namiestnika? – tymczasem z ciemnej czeluści wyłonił się posąg Artemidy niesiony przez grupkę kapłanów w jaskrawożółtych szatach i wysokich czapach czy turbanach.

– To właśnie megabyzoi, a rzeźba to Artemida Efeska, pierwowzór wszystkich tych podobizn, które oglądaliśmy na targu – wyszeptał mi do ucha Antypater.

Statua była wykonana nie z brązu ni kamienia, lecz z drewna (w paru niepomalowanych miejscach widać było, że chyba hebanowego). Skryta pod welonem twarz i dłonie były pozłacane, a resztę postaci otulała bogato haftowana szata z szerokimi rękawami.

Z naprzeciwka nadjeżdżał przystrojony girlandami i sznurami koralu wóz ciągnięty przez byki, również strojne we wstążki i wieńce. Kapłani ostrożnie ustawili na' nim posąg. Nagle dotarł do mnie sens żartu Eutropiusza o drewnianej bogini oglądającej drewnianą grę. Artemidę specjalnie przywieziono ze świątyni, by mogła podziwiać przedstawienie ku swej czci.

Wóz ruszył, a za nim uformowała się procesja. Pojawili się grajkowie z fletami, rogami, lirami i tamburynami. Eutropiusz i Mnason ucałowali córki, które zaraz pobiegły dołączyć do zbierającej się za muzykantami grupki podobnie przebranych dziewcząt. Ich rolą w przedstawieniu był dziwny taniec: na przemian podskakiwały i kucąły, rozglądały się, naśladując zachowanie ptaków. Potem role się odwróciły i dziewczynki uniosły wysoko maleńkie łuki, nałożyły na cięciwy malutkie strzałki i wystrzeliły je w powietrze. Zebrane wokół kobiety śmiały się i próbowały złapać niegroźne pociski.

– To symbol brzemienności – wyjaśnił mi Antypater. – Jeśli kobiecie uda się złapać taką strzałkę, może liczyć na szybkie poczęcie i bezproblemowe rozwiązanie.

– Jakim cudem bogini dziewica jest też patronką płodności? – spytałem.

– Tak było od zawsze. – Starzec westchnął boleśnie nad ignorancją Rzymianina.

Ponieważ Artemida sama nie zachodzi w ciążę, może zawsze wspierać brzemiennie kobiety. Tancerki zarzuciły łuki na ramiona i dobiły zza pasów miniaturowe oszczepy. Zaczął się nowy pląs: dziewczęta utworzyły krąg

i uderzały włóczyniami o ziemię to wewnątrz niego, to na zewnątrz. Nawet w towarzystwie tylu pięknych panien Antea zdecydowanie się wyróżniała. Słyszałem ludzi komentujących jej urodę; niektórzy powtarzali nawet komplement Antypatra, jakoby młoda dama była uosobieniem samej bogini. Wóz z rzeźbą zniknął za rogiem, a za nim podążyli grajkowie i tancerki. Następnie maszerował zastęp żwawych chłopców w jaskrawych ubraniach; jak mi wytłumaczono, byli to atleci, którzy w następnych dniach mieli wziąć udział w licznych zawodach. Dalej karnie dreptało ofiarne bydło, owce i kozy, pędzone przez przedstawicieli stowarzyszeń kupieckich z dumą niosących ich sztandary i emblematy. Antypater opowiadał, jak każda z tych szacownych organizacji zapisała się w historii miasta, jednak słuchałem go tylko jednym uchem. Rozpraszała mnie obecność Amestris, idącej za nami nieco z tyłu. Co jakiś czas nasze spojrzenia krzyżowały się, zawsze jednak to ja pierwszy odwracałem wzrok. Procesję zamykała liczna grupa żółto przyodzianych megabyzoi. Niektórzy nieśli przeróżne dewocjonaalia, w tym rytualne noże i toporki do składania ofiar, inni dymili kadzidłem. Smugi wonności unosiły się nad tłumem Efezjan i pielgrzymów drepczących za kapłanami. Przypomniała mi się zasłyszana gdzieś informacja, wspiąłem się więc na palce, by się lepiej przyjrzeć świątobliwym mężom, po czym spytałem:

– Czy megabyzoi są eunuchami?

Moje pytanie wzbudziło śmiech Eutropiusza i jego przyjaciela. -Kiedyś rzeczywiście taka była tradycja – wyjaśnił mój mistrz z pobłażliwym uśmiechem. – Twoja wiedza w tej materii jest już przestarzała. Bogini wciąż wymaga jednak, by jej sługi obojga płci żyły we wstrzemięźliwości. Megabyzos składa więc przysięgę czystości i żyje w celibacie przez okres swego kapłaństwa, lecz jego męskość pozostaje nienaruszona.

– Wydaje się to praktyczne – stwierdziłem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wziąwszy pod uwagę wielkie bogactwo świątyni, to dobrze, że kapłani nie biorą sobie żon, inaczej mogliby przedkładać dobro potomstwa nad swą świętą służbę.

– Gordianus jest nad wiek mądry – stwierdził z uznaniem Eutropiusz. – Który ojciec nie zrobi wszystkiego dla swego dziecka? Życie w czystości powinno napełniać megabyzoi skromnością, sądzę jednak, że stają się od tego jedynie bardziej posepni. I nic nie powstrzymuje ich od mieszania się do polityki.

Mnason uniósł brew, zerknął na mnie i gestem nakazał przyjacielowi siedzieć cicho.

Czyżby dlatego, że byłem Rzymianinem?

– Jak ci to wytłumaczyć, młodzieńcze? – Antypater zignorował ich i podjął wątek. – Pomyśl o rzymskiej bogini Weście. W najlepszym interesie Rzymu leży, by westalki były dziewicami. Podobnie jest z Artemidą z Efezu. Czystość jest wymagana od wszystkich jej sług, nie tylko kapłanów i hierodul, świątynnych niewolnic. Również dziewczęta tańczące w dzisiejszej procesji muszą być dziewicami. Żadna wolna kobieta, która obcowała z mężczyzną, nie może nawet przekroczyć progu świątyni pod groźbą śmierci. Korowód poniósł nas szeroką, wybrukowaną aleją zwaną Świętą Drogą, oświetloną teraz rzędami pochodni. Gdy przeszliśmy pod północną bramą i opuściliśmy miasto, żagwie rozstawiono już w większych odstępach. Na ciemniejszych odcinkach szlaku mogłem dostrzec rozpościerające się nad nami szkliste niebo upstrzone miriadami gwiazd. Święta Droga prowadziła w dół. W dolinie przed nami, na końcu wijącej się linii świateł, majaczył monumentalny zarys świątyni Artemidy. U jej stóp czekała już wyposażona w pochodnie czereda pielgrzymów, gotowa powitać nadchodzącą powoli procesję. Budowla przypominała

prostokątny las zawisłych, zda się, w powietrzu świetlistych kolumn. Już stąd, choć dzieliła nas od niej cała mila, widziałem, że jest isticie gigantyczna. Wiedziałem oczywiście od Antypatra, że to największy obiekt kultu wzniesiony przez Greków, czterokrotnie większy nawet od słynnego Partenonu na ateńskim Akropolu. Z każdym naszym krokiem świątynia rosła w oczach. Jej nieziemskie piękno odebrało mi mowę; wodziłem wzrokiem po marmurowych stopniach prowadzących na szeroki ganek, z którego wyrastał podwójny rząd smukłych kolumn wysokich na co najmniej sześćdziesiąt stóp. W konstrukcji dominował biały marmur, ale liczne szczegóły architektoniczne pyszniły się czerwoną, błękitną i żółtą barwą. Gdzieniegdzie błyszcząły też złocenia.

Nawet na moje niewyszkolone oko kolumnada emanowała niespotykaną elegancją.

Podstawy wabiły oczy bogactwem ornamentów, a głowice rozdwajały się na zgrabne spirale.

– To tu narodził się porządek architektoniczny zwany jońskim. – Poeta podążył za mym spojrzeniem i skorzystał z okazji, by wbić mi do głowy kolejne okruchy wiedzy.

Projektanci z rozmysłem nadali kolumnom atrybuty kobiecości. Dlatego też kapitele zakończone są tymi zwojami: mają one przywodzić na myśl loki na głowie niewiasty. Z kolei wyżłobione na całej długości płytkie zagłębienia naśladują fałdy damskiej sukni, a proporcje wysokości i obwodu, jak również delikatne zwężanie się ku górze przydają całości niewieściego wdzięku.

Mój wzrok biegł w górę strzelistych filarów, aż natrafił na zawieszony wysoko w górze fronton. Tam uderzyła mnie obecność szczegółu, którego nie widuje się w rzymskich świątyniach – wąskie okno wprawione

w zdobną ramę. Uznałem, że ma ono za dnia wpuszczać do środka światło, lecz wnet przekonałem się, iż służyło ono do znacznie ważniejszych celów.

U celu grupa megabyzoi rozdzieliła się: część otoczyła stojący na wprost świątyni, okolony niskim murkiem ołtarz. Tam przygotowali ceremonialne noże i topory, a także liny do krępowania zwierzyny. Inni rozpalili ogień, na których będzie piekło się mięso. Kilku kapłanów z nabożną czcią zdjęło posąg Artemidy z wozu i zaniósł go po długich schodach do świątyni. Jeszcze inni odprzęgli strojne w wieńce byki ciągnące wóz i podprowadzili je do ołtarza. Stada zwierząt ofiarnych zagnano już do przygotowanych zagród, gdzie miały czekać na spotkanie z nożem, a następnie nasycić nieposkromiony apetyt tłumu wiernych. Pierwszy z byków stapał ostrożnie po rampie prowadzącej na ołtarz. Tam przewrócono go na bok i ciasno skrępowano sznurem. Megabyzoi zaintonowali śpiewne modły i ruszyli między ludzi z misami tłącego się kadzidła. Jeden z kapłanów, zapewne naczelny, jeśli sędzić po najzdobniejszej szacie i szczególnie wysokim nakryciu głowy, wkroczył na platformę, z której każdy dobrze go widział, i rozpostarł ramiona.

– To Teotymos – oznajmił Eutropiusz szeptem. – Pierwszy megabyzos. Powiedział to nienaturalnie ostrym głosem, podobnie jak Mnason przypatrując się mężczyźnie spode łba.

Grajkowie przerwali muzykę, dziewczęta przestały tańczyć. Na placu zapadła cisza.

– Ludu Efezu! – zawołał gromko Teotymos. – I wy, zacni goście, wszyscy zgromadzeni tu ku czci bogini! Zaraz złożymy ofiary. Jeśli miłe są ci nasze modły, wielka Artemido, obrończyni dziewic, pierwsza łowczyni, patronko kniei, dobrodziejko Efezu od jego zarania, błagamy cię, zstąp i wejrzyj na nasze prośby!

Oczy wszystkich przeniosły się z kapłana na wysokie okno w niemym wyczekiwaniu.

I oto w górze zamigotało światło, po czym w otworze zjawiała się bogini; rozpostartymi dłońmi zdawała się dobrotliwie obejmować zgromadzony tłum. Nie od razu zorientowałem się, że widziadło jest tak naprawdę tym samym posągim, który wieziono z miasta w procesji.

Jeśli drewniana Artemis sama się tam nie wdrapała, megabyzoi musieli jakoś ją tam wciągnąć w tym krótkim czasie. Welon był już zdjęty i poślaczana twarz odbijała tysiące ognia. Przy akompaniamencie entuzjastycznych wykrzykiwań wiernych Teotymos przeszedł do ołtarza i poderżnął gardło dorodnemu bykowi. Zwierzę wierzgało i kopało przez chwilę, po czym zwiotczało. Starzec zdecydowanym ruchem odciął mu jądra i uniósł je w górę. Tłum wiwatował bez końca.

– Dla Artemidy! – ryknął kapłan, a inni podchwycili okrzyk. – Dla Artemidy! Eutropiusz zauważył, jak wstrząśnięty byłem przebiegiem ceremonii. Widziałem już ofiary ze zwierząt, lecz pierwszy raz spotkałem się z pośmiertną kastracją.

– Te święte jądra są przeznaczone dla bogini, ale reszta będzie dla nas – wyjaśnił. – Nie mam nic przeciwko mięsku z pachwiny, szczególnie jeśli jest dobrze przypieczone. Artemida przyglądała się niewzruszenie, jak jeden po drugim buhaje dają gardła.

Zaczął się ćwiartowanie i pieczenie mięsa. Wierni tymczasem stopniowo podzielili się na grupki czekające na swój przydział wołowiny według zasad rangi i starszeństwa ustalonych przez megabyzoi. Kapłani czujnie pilnowali porządku, szczególnie baczny okiem śledząc tych, którzy zdążyli zdrowo sobie podochościć winem. Chmury dymu otulały zgromadzenie, a smakowity aromat pieczystego mieszał się ze słodkawymi woniami kadzidła.

– Jeśli nie jesteście głodni, mistrzu, teraz jest dobry moment, by twój młody Rzymianin zwiedził świątynię – podsunął Eutropiusz. – Antea i Chloe mają przed sobą jeszcze wiele tańców.

Antypater zgodził się, że to dobry pomysł, ruszyliśmy więc za naszym gospodarzem i Mnasonem po lśniących stopniach z marmuru. Towarzyszyła nam też Amestris. Czy to znaczy, że jest dziewicą? – przemknęło mi przez myśl. Potem przypomniałem sobie słowa nauczyciela: progu świątyni nie może przekroczyć żadna wolna kobieta, jeśli zaznała już mężczyzny. Jeżeli ten zakaz nie obejmuje niewolnic...

Potrząsnąłem głową i zająłem myśli czymś innym. Co mnie może obchodzić erotyczne doświadczenie tej dziewczyny?

Weszliśmy między potężne kolumny i znaleźliśmy się w największym pomieszczeniu, jakie w życiu widziałem. Pełno tu było lampi rzeźb, lecz w tak ogromnej przestrzeni nie sprawiało to wrażenia przesyty. Posadzkę wyłożono lśniącym marmurem w oszałamiającej gamie barw i deseni. Uniosłem wzrok. Nad nami rozpościerał się strop z masywnych belek cedrowych, na przemian pomalowanych na czerwono, niebiesko i żółto, ze złotymi obramowaniami i ozdobami. Ściany zdobiły przepiękne malowidła ilustrujące chyba każdą historię związaną z Artemidą, a nie brakło też podobizn innych bogów i herosów. Antypater wskazał mi najświetniejszy obraz: nadludzkiego rozmiarów portret Aleksandra Wielkiego pędzla Apellesa. Dzięki zmyślnemu doborowi kolorów i sztuczce z perspektywą dzierzące piorun ramię króla zdawało się wystawać ze ściany wprost nad nasze głowy. Robiło to niesamowite wrażenie.

Świątynia miała też doskonałą akustykę. Muzyka zyskiwała tu nowy wymiar i rezonowała w niepojęty sposób. Muzykanci stali w grupie przy ścianie, a pośrodku sali zespół dziewic wykonywał kolejny taniec podziwiany przez otaczający je tłum.

– Teraz odgrywają historię Akteona – wyszeptał Eutropiusz i powiódł nas bliżej. Jedna z dziewcząt włożyła czapkę frygijską i owinęła się peleryną, wcielając się w postać młodego myśliwego. Po rudej czuprynie rozpoznałem w niej Chloe. Inne tancerki przywdziały psie skóry – były ogarami Akteona. Pozostałym, uzbrojonym w ulistnione gałązki, przypadła w udziale rola drzew. Spragniony młodzieniec pragnął się dostać do skrytej za zaroślami sadzawki. Odpychał gałęzie, a dziewczęta usuwały się w zgrabnych piruetach. W końcu naszym oczom ukazała się sama bogini, kąpiąca się w wyimaginowanym jezioru.

Stojący za mną Antypater zakaszłał, jakby mu zbrakło tchu. Ja ledwo stłumiłem okrzyk i szybko zerknąłem na Eutropiusza; cały pękał z dumy. Rolę zaskoczonej bogini grała bowiem Antea, a jej nagość bynajmniej nie była udawana. Drobne, mlecznobiałe piersi i blade sutki lśniły w łagodnym świetle nadnaturalnym pięknem.

Melodia zabrzmiała mocniej w przenikliwym crescendo. Myśliwy i bogini oniemieli.

Artemida sięgnęła po tunikę, by się zakryć, Akteon odwrócił wzrok, lecz było już za późno.

Antea wyrzuciła szatę w powietrze; zwiewna materia opadła powoli i przykryła jej nagość jakby zaczarowana. Dziewczyna zawirowała w piruecie, gniewnie wymachując rękami. Nagle znieruchomiała i zastygła w oskarżycielskiej pozie z palcem wymierzonym w Akteona, który cofnął się, przerażony.

Chloe miotała się między drzewami. Las zacieśniał się wokół niej, aż w końcu zniknęła nam z oczu. Muzyka urwała się nagle, by po chwili znów rozbrzmieć w nowym, złowieszczym tonie. Tancerki drzewa rozstały się, odsłaniając przemienionego Akteona – Chloe miała teraz na sobie płową

skórę jelenia, a jej twarz i włosy skrywała maska z głowy młodego samca z małym porożem.

Drzewa rozpierzchły się, a ich miejsce zajęły ogary. Przy kakofonii piszczałek i grzechotek rzuciły się na zrozpaczonego jelenia, który jeszcze przed chwilą był ich panem.

Otoczyły go zajadłym kręgiem tak ściśle, że widać było tylko rogatą maskę tancerki.

Szalona muzyka zwolniła tempo. Ogary porzuciły ofiarę, po której została tylko tocząca się po ziemi jelenia głowa i krwawy ślad z czerwonych wstążek. Akteon zniknął, jakby naprawdę pożarły go rozjuszony zwierzaki. Zrozumiałem sztuczkę: w kulminacyjnym momencie niewidoczna dla widzów Chloe musiała zrzucić poprzednie przebranie, nałożyć psią skórę i wmieszać się między sforę. Wrażenie było rzeczywiście niesamowite.

Antea stała nieopodal z marsowym obliczem. Bogini straszliwie ukarała śmiertelnika, który ośmielił się – choć niechcący – zobaczyć jej nagość.

Nagle jedna z tancerek wydała okrzyk zgrozy. Cały zespół rozbiegł się wśród pisków i szlochów. Zaskoczeni muzykanci grali jeszcze chwilę, zanim nastąpiła cisza. Pośrodku świątyni leżało nieruchome ciało dziewczyny. Po rudych włosach rozpoznałem Chloe.

Mnason poskoczył ku córce, a za nim Eutropiusz. Ruszyłem za nimi, lecz Antypater chwycił mnie za ramię.

– Nie mieszaj się do tego, Gordianusie. Biedne dziewczę pewnie zemdlało z nadmiaru wrażeń... – rzekł bez przekonania. Równie dobrze jak ja widział, że Chloe leży nienaturalnie wygięta, z głową odrzuconą do tyłu.

Mnason padł na kolana i chwycił wiotkie ciało, po czym uniósł głowę i wydał jęk bólu.

– Nie żyje! – zawołał ktoś. – Chloe nie żyje!

Świątynia zaszumiała nagłym, stłumionym gwarem, przetykanym okrzykami zdumienia i przerażenia.

– Co takiego? Jak to, nie żyje?

– Niemożliwe!

– Spójrzcie tylko, jak łąka jej ojciec!

– Co się stało? Czy ktoś coś widział?

– Patrzcie, ktoś doniósł megabyzoi, Teotymos już tu zmierza.

Pierwszy kapłan energicznym krokiem sunął przez tłum. Minął mnie może o dwa kroki; owiała mnie woń pieczonego mięsa, a na jego żółtej szacie dostrzegłem bryzgi krwi.

– Co tu się dzieje? – zagrzmał.

Srogi głos poniósł się echem po świątyni; motłoch ucichł i odsunął się. Nawet Mnason się cofnął. Megabyzos klęknął przy ciele.

W gwarze i zamieszaniu nikt nie pamiętał o jeleniej masce. Wciąż leżała tam, gdzie upadła. Podniosłem ją. Co mnie tknęło? Antypater mówił potem, że prowadziła mnie ręka samej Artemidy. Myślę jednak, że przyczyniła się do tego lekcja udzielona mi przez ojca: gdy coś przykuwa uwagę wszystkich wokół, rozejrzyj się tam, gdzie nikt nie patrzy. Możesz dostrzec coś, co umknie wszystkim.

Maska była przepiękna, kunsztownie wymodelowana z jeleniej skóry i prawdziwego poroża. Dwa lśniące zielone klejnoty zastępowały ślepie, a połyskliwy czarny nos wyrzeźbiono z obsydianu. Nosiła jednak ślady intensywnego użytkowania, najwyraźniej korzystało z niej już niejedno pokolenie młodych tancerek. Obejrzałem ją dokładnie, także od wewnątrz, i zauważyłem coś bardzo intrygującego...

– Odłóż to! – ryknął megabyzos.

Natychmiast upuściłem maskę.

Teotymos zapomniał o Chloe, poderwał się i ruszył wprost ku mnie. Ciarki przeszły mi po plecach. Nie bez powodu mężczyźni tacy jak on osiągają szczyty w wybranej karierze. Pierwszy kapłan onieśmiał barczystą posturą, władczą manierą, stentorowym głosem i przenikliwością spojrzenia, którym zdawał się przesywać mnie na wylot.

– Coś za jeden, że ośmielasz się dotykać świętą relikwię?

Otworzyłem usta, lecz nie zdołałem wydobyć z siebie żadnego dźwięku, jakbym zapomniał i greki, i łaciny.

– Chłopiec jest tu gościem, megabyzosie. To tylko niewinna pomyłka – przyszedł mi z odsieczą Antypater.

– Gościem?

– Z Rzymu – bąknąłem.

– Z Rzymu? – Teotymos zmarszczył brwi.

Antypater jęknął. Czyż nie ostrzegał mnie, bym nie zdradzał się ze swym pochodzeniem? Kapłan jednak posłał mi ostatnie, groźne spojrzenie i porwał maskę, po czym przestał zwracać na mnie uwagę. Odwrócił się do ludzi zebranych wokół nieruchomo leżącej postaci.

– Dziewczynka nie żyje – obwieścił.

Rozległy się krzyki i zawodzenia.

– Megabyzosie, co jej się stało? – zawołał ktoś.

– Na ciele nie ma żadnych śladów. Zdaje się, że zmarła nagle i z nieznanego powodu. Ponieważ jednak stało się to w świątyni, należy sądzić, że taka była wola Artemidy.

– Nie! – krzyknął Mnason. – Chloe była oddana bogini jak wszystkie dziewice!

– Nie oskarżam twej córki o nieczystość, Mnasonie. Jeśli jednak to bogini ją raziła, musimy przyjąć, że jakaś część ceremonii ją rozgniewała. –

Kapłan popatrzył na trzymaną w dłoniach maskę. – Rozumiem, że odbył się już taniec Akteona. Kto grał rolę bogini?

Tancerki zbiły się w ciasną grupkę, tuląc się wzajem i pocieszając. Antea zmieszana wysunęła się przed koleżanki. Pierwszy kapłan podszedł blisko i wbił w nią wzrok. Eutropiusz chciał stanąć u boku córki, lecz Teotymos powstrzymał go stanowczym gestem. Dziewczyna trzęsła się ze strachu i nerwowo zagryzała wargę. Pod uporczywym spojrzeniem starca zaczęła cichutko szlochać. – Jest nieczysta – rzekł kapłan w stronę zebranych.

– Nie! – krzyknął jej ojciec – to oszczerstwo!

Tłum wstrzymał oddech.

– Ośmielasz się zarzucać kłamstwo pierwszemu megabyzosowi? – wycedził Teotymos.

– I to w samej świątyni Artemidy?

Eutropiusz nie wiedział, co począć. Zaciśnął pięści, a jego twarz przybrała barwę buraka.

– Nie, oczywiście, że nie – burknął w końcu. – Powtarzam jednak, że moja córka jest niewinna. Jest dziewicą! Potrzebna jest próba...

– Oczywiście, że próba się odbędzie – odparł zimno Teotymos. – Tak, jak nakazuje Artemida w tak strasznych okolicznościach. Bracia kapłani, natychmiast usuńcie tę młódkę ze świątyni. Niech jej więcej nie kala swą obecnością!

Paru megabyzoi chwyciło roztrzęsioną i daremnie wzywającą pomocy ojca Anteę. Trupio błady Eutropiusz powlókł się za nimi. Inni wynieśli ciało Chloe, a obok nich dreptał jej załamany ojciec. Reszta tancerek rozpierzchła się do swoich rodzin. Osłupiali muzycy patrzyli po sobie, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć.

Przeniosłem wzrok na Antypatra i dostrzegłem, że ma łzy w oczach.

– Jakże wyczekiwałem dnia, gdy znów stanę w świątyni Artemidy! – Potrząsał głową w oszołomieniu. – Jak bardzo chciałem ci ją pokazać, Gordianusie! Lecz nie w ten sposób! Co za potworny dzień! Co za tragedia!

Poczułem na plecach czyjś wzrok. Rozejrzałem się i pośród bezładnego tłumu dostrzegłem niewolnicę Amestris. Wpatrywała się we mnie tak intensywnie, jakby chciała mi coś powiedzieć lub też zadać pytanie. Tym razem jednak to ona pierwsza odwróciła wzrok i wybiegła ze świątyni.

W domu Eutropiusza panowała grobowa atmosfera. Prawdopodobnie cały Efez był tego wieczoru przygnębiony, ponieważ nagła śmierć młodej dziewczicy i poważne oskarżenie wobec Antei przerwały ucztę i świętowanie. Kapłani nakazali ludziom rozejść się do domów i modlić o przewodnictwo Artemidy. Siedzieliśmy w ogrodzie, gdzie Amestris podała nam skromny posiłek; apetyt dopisywał jednak tylko mnie.

– Taki młokos jak ty zawsze jest głodny, niezależnie od sytuacji – westchnął mój mistrz, oddając mi swą nietkniętą miskę soczewicy i prosa.

– Nikt nigdy nie wmówi mi, że Chloe zginęła z woli Artemidy – wymamrotał Mnason, wbijając puste spojrzenie gdzieś w przestrzeń. – Stoją za tym nasi wrogowie, Eutropiuszu. Wiesz, kogo mam na myśli.

Zamiast na przyjaciela, gospodarz popatrzył na mnie. Znów poczułem się jak intruz.

– Jeśli nie macie nic przeciwko temu, dokończę kolację u siebie – powiedziałem, wstając i zabierając miseczkę.

– Pójdę z tobą. – Antypater też podniósł się z za stołu.

– Nie, mistrzu, zostań. Przyda nam się twoja rada – zaproponował Eutropiusz.

Mnie nie zatrzymywał, unikał też mojego spojrzenia. Wyniosłem się czym prędzej i pospieszyłem do mojej izby. Dokończywszy posiłek, nie bardzo wiedziałem, co z sobą zrobić. Dreptałem chwilę tam i z powrotem,

ale w końcu ciekawość wzięła górę. Zdjąwszy buty, cichaczem przemierzyłem korytarz i zatrzymałem się u szczytu schodów. Tocząca się w ogrodzie rozmowa dobiegała tu dość wyraźnie.

– Wiadomo, że Teotymos jest na pasku Rzymian – perorował Mnason. – Zrobi wszystko, by uciszyć tych, którzy chcą wolnego Efezu.

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że pierwszy megabyzos ma coś wspólnego ze śmiercią twojej córki? – wtrącił Antypater.

– Właśnie to chcę powiedzieć! – krzyknął Mnason głosem łamiącym się od powstrzymanego szłochu.

– I mnie się wydaje, że oskarżenie Antei wypadło jak wyreżyserowane – odezwał się po dłuższej chwili Eutropiusz. – Choć to brzmi nieprawdopodobnie, muszę się przychylić do podejrzenia, że Teotymos ma coś wspólnego z tą tragedią, a następnie wykorzystał ją, by fałszywie oskarżyć moje dziecko. Jeśli Antea nie przejdzie próby pomyślnie, będzie to klęska także dla mnie. -Słyszałem o tej próbie, ale nigdy jej nie widziałem – powiedział Antypater.

– Bo też bardzo rzadko do niej dochodzi, mistrzu. Na palcach jednej ręki mogę policzyć, ile razy odwoływano się do niej za mojego życia.

– Mgliście sobie przypominam, że ma ona coś wspólnego z jaskinią w świętym gaju Ortygia.

– Zgadza się. Do wyznaczonego czasu oskarżona dziewczyna trzymana jest pod strażą hierodul. Gdy nadejdzie czas, wiodą ją do prastarego gaju, pełnego świętych miejsc. To tam, w jaskini nad strumieniem, Leto powiła boskie bliźnięta, Artemidę i Apolla. U jej stropu zawieszona jest na łańcuchu fletnia Pana. Inna historia opowiada, skąd się tam wzięła, szkoda jednak teraz czasu na takie dygresje. Dawno temu wejście zamknięto żelazną bramą, do której klucz mają tylko megabyzoi. Podsądną zamyka się w jaskini. Jeśli jest dziewicą, z fletni dobiedzie się melodia... nikt nie wie,

czy dmucha w nią wtedy sam bóg, czy też zesłany z niebios wiatr... a na jej dźwięk rozewrze się krata. Dziewczyna odzyskuje wolność i nieposzlakowaną reputację.

– A jeśli dziewicą nie jest?

– Wówczas fletnia milczy, a nieszczęsnej panny nikt już nigdy nie zobaczy.

– Umiera tam na miejscu? – przeląkł się Antypater.

– Następnego dnia kapłani otwierają drzwi i wchodzi do środka, jednak nikogo tam nie znajdują. Dziewczyna po prostu... znika – dokończył drżącym głosem Eutropiusz.

– A więc dostęp do groty mają wyłącznie kapłani?

– Oczywiście. Tak jest ze wszystkimi miejscami poświęconymi Artemidzie.

– Jeśli więc podejrzewacie, że Teotymos mógł się posunąć do morderstwa... a więc i do profanacji świątyni... czyż powstrzyma się przed fałszerstwem także w przypadku próby? Eutropiuszu, musisz działać. Przedstaw wasze zarzuty publicznie.

– Bez dowodów? Mogę się tylko powołać na niechęć Teotymosa do mnie i Mnasona powodowaną naszym stosunkiem do Rzymian. Namiestnik w żadnym razie nie udzieli nam pomocy, a jeśli podważymy wiarygodność próby, ludzie również zwrócą się przeciw nam. Zostaniemy postawieni przed sądem za świętokradztwo.

– I zapewne również poddani jakiemuś nadprzyrodzonemu testowi, którego wynik będzie w pełni zależny od woli Teotymosa – dokończył Antypater. – Jesteście zatem w potrzasku.

– To Rzymianie nastawili kapłanów przeciw Efezjanom – burknął Mnason. – Megabyzoi powinni być dla nas autorytetami, a nie wrogami.

– Trzeba przyznać, że są wśród nich i prawi ludzie – wtrącił gospodarz.
– Większość podziela nasze poglądy. Teotymos stanowi wyjątek, niestety jest również pierwszym kapłanem. Murem stoi po stronie Rzymian i dławi wszelkie próby oporu. Ale ten żaloszny stan rzeczy się odmieni, gdy tylko nadciągnie Mitrydates...

Mitrydates! Nic dziwnego, że nie chcieli otwarcie rozmawiać przy młodym Rzymianinie. Król Pontu od lat rywalizował z Rzymem o wpływy w Azji Mniejszej. Wszyscyśmy uważali, że wojna jest nieunikniona. Nie było wątpliwości, po czyjej stronie staną wtedy Eutropiusz i Mnason. Przypuszczalnie byli nawet szpiegami Pontyjczyka.

– Kto wie, być może Mitrydates naprawdę wydrze kiedyś Efez Rzymowi, ale nic nam teraz po tym. – Antypater mówił tak cicho, że ledwo go słyszałem. – Zastanówmy się, jak uratować Anteę.

– Trzeba nam modlić się do Artemidy i mieć nadzieję, że jej moc pokona skorumpowanego kapłana, uzurpującego sobie prawo do przemawiania w jej imieniu wyszeptał Eutropiusz. – Módlmy się, by próba przebiegła pomyślnie, a moja córka odzyskała dobre imię.

W ogrodzie zapadła głucha cisza. Nagle znów poczułem się obserwowany. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Amestris.

– Trzeba ci czegoś, Rzymianinie? – powiedziała.

– Jak długo tu jesteś?

– Tak długo jak ty – uśmiechnęła się z przekąsem.

– A więc wszystko słyszałaś. – Przełknąłem ślinę.

– Tak. Ten gaj zwany Ortygią... gdzie się znajduje?

– Niedaleko miasta. Prowadzi tam Święta Droga, trzeba jednak iść na południe, w kierunku przeciwnym do świątyni. Za murami droga skręca na zachód i biegnie wzdłuż urwiska nad zatoką. Dalej jest święty gaj.

– A ta jaskinia?

– Droga prowadzi prosto do niej.

– Rozumiem.

– Dlaczego pytasz?

– Antypater wciąż powtarza, że muszę dobrze poznać wszystkie miejsca, które odwiedzimy – odrzekłem z wzruszeniem ramion.

– Jaskinię zobaczysz szybko. Jutro uda się tam całe miasto, żeby przyglądać się próbie... – Głos jej się załamał. Spuściła wzrok. – Biedna Antea!

– Nie wierzysz w jej czystość?

– To nie kwestia wiary, ja to wiem. Moja pani i ja nie mamy przed sobą tajemnic. Mimo to obawiam się próby.

– Ja także – odparłem cicho. Dobiegły nas głosy z ogrodu, zbyt jednak ciche, by rozróżnić słowa, po czym rozległo się szuranie krzeseł. – Powinienem wracać do izby.

– A ja zobaczę, czy pan czegoś nie potrzebuje.

Przez chwilę obserwowałem oddalającą się niewolnicę, po czym zamknąłem się w sypialni. Niebawem usłyszałem, jak Antypater wchodzi do swego pokoju. Musiał być wyczerpany, niemal natychmiast bowiem rozległo się jego stłumione chrapanie.

Wstałem z łóżka, włożyłem sandały i zarzuciłem na ramiona lekki płaszcz. Drzwi frontowe były zapewne zaryglowane i pilnowane przez służbę. Dam radę zeskoczyć z balkonu? W jasnym świetle księżyca wypatrzyłem dobre miejsce do skoku. Nie byłem pewien, czy uda mi się wspiąć z powrotem, jednak teraz nie zaprzętało mnie to zbytnio.

Skok i lądowanie poszły łatwiej, niż się spodziewałem. Wydostałem się z willi i znalazłem drogę do amfiteatru, gdzie bez trudu odszukałem Świętą Drogę, ciemną teraz, znaczoną szeregiem wypalonych pochodni. Zgodnie ze wskazówką Amestris skierowałem się na południe. Skąpane w świetle

księżycą obce ulice wyglądały pięknie i dziwnie zarazem. Mijałem ozdobne fasady bogatych domostw, gimnazjony, świątynie i sklepy, nie spotkałem jednak żywej duszy. Kiedy boginię dotyka ciężka zniewaga, i to w dniu jej święta, lepiej trzymać się domu...

Bąłem się, że w wyprawie przeszkodzi mi zamknięta brama miasta, zastałem ją jednak otwartą na oścież jak gdyby nigdy nic. Tylko nieopodal stała grupa urzędników i kapłanów pogrążonych w dyskusji nad jutrzejszą próbą. Minąłem ich niepostrzeżenie, trzymając się w cieniu i starając kroczyć jak najciszej. Już po chwili rażno maszerowałem Świętą Drogą przecinającą tu efeską nekropolię i wkrótce doszedłem do stóp pasma wzgórz. Wygodny dotąd gościniec zamienił się w krętą i wyboistą dróżkę. Po prawej między drzewami połyskiwały wody portu. Las gęstniał z wolna; strzeliste cyprysy jakby przyglądały mi się w milczeniu, a powietrze przesyciła woń cedrów. Gdzieś niedaleko niosło się wesołe pluskanie strumyka; byłem podekscytowany na myśl, że oto znalazłem się blisko miejsca narodzin Artemidy i Apolla.

W końcu dotarłem do polany. Za połącią wysokiej trawy, pośrodku wystającej ze zbocza skalnej ostrogi dostrzegłem półmatowy zarys żelaznych wrót. Przezornie nie podszedłem do nich wprost, tylko okrążyłem polanę skrajem lasu, skryty w jego mroku. U drzwi dobyłem spod tuniki małe zawiniątko – pożegnalny prezent od ojca. Zawierało kilka przydatnych instrumentów, z których nauczył mnie korzystać. Niektóre były prawdziwie wiekowe, inne wymyślił i zrobił sam. Inni ojcowie przekazywali synom tajniki negocjacji handlowych, murarki czy też retoryki; mój natomiast podzielił się ze mną wszystkim, co wiedział o pokonywaniu cudzych zamków...

Z ulgą przyjąłem brak strażników; gaj i łąka wydawały się bezludne. Najwyraźniej Efezjanie zbyt poważnie traktowali świętość tego miejsca, by

zwykły śmiertelnik mógł się tu zjawić w innych celach niż udział w ceremonii. Mimo to nie śmiałem skrzesać ognia, trzeba więc było poradzić sobie przy samym świetle księżyca. Nigdy dotąd nie widziałem podobnego zamka. Atakowałem go jednym wytrychem po drugim. W końcu jeden z nich wszedł gładko, lecz choć wyginałem go na wszystkie strony, żelazne trzewia zamka ani myślały się poruszyć. Już miałem się poddać, gdy w końcu trzasnęła zapadka i brama stanęła otworem.

Zawahałem się. Czy wkraczając do jaskini, nie popełnię świętokradztwa? Byłem gotów wejść, ale czy kiedykolwiek stamtąd wyjdę? Otuchy dodało mi wspomnienie innej ojcowskiej lekcji: „Ludzie często wykorzystują groźbę boskiego gniewu do ziemskich celów. Zawsze krytycznie oceniaj takie przestrogi i polegaj na własnym zdrowym rozsądku. Sam przez całe życie łamałem wszelkie tak zwane boskie prawa, a przecież stoję tu przed tobą cały i zdrowy, i z czystym wobec bogów sumieniem”.

Zanurzyłem się w mrok jaskini. Wrota zostawiłem uchylone, odczekałem też chwilę za progiem, pozwalając oczom przyzwyczać się do ciemności. Z radością stwierdziłem, że tu i ówdzie wąskimi szczelinami sączą się strumyczki księżycowej poświaty. Powoli rozróżniałem już zarysy groty i dostrzegłem, że dalej otwiera się kolejna komora, większa i lepiej oświetlona. Na samym środku, wysoko pod sklepieniem – co najmniej na trzech chłopa – wisiała na srebrzystym łańcuchu fletnia Pana. Nie było sposobu, by jej dosięgnąć.

Wąskie przejście prowadziło do następnej pieczary, mniejszej i mroczniejszej od poprzednich. Po omacku znalazłem w niej niewielkie drzwiczki, w których ledwie zmieściłby się skulony człowiek. Próbowałem je otworzyć, ale upuściłem narzędzia i w ciemności nie mogłem ich odnaleźć. Wyczułem pod rękami kilka innych przedmiotów, między innymi

nóż i toporek podobne do używanych przez megabyzoi w obrzędach, oraz worek z grubego materiału, w którym bez problemu zmieściłaby się drobnej postury osoba. W końcu natknąłem się na coś twardego i spiczastego niczym róg, a dalej wymacałem zwierzęcą sierść.

Z okrzykiem strachu rzuciłem się do tyłu i walnąłem głową o skałę. W bladym świetle zauważyłem tuż nad ziemią wpatrujące się we mnie lśniące ślepia jakiejś bestii. Serce waliło mi jak młot. Co to za potwór? Dlaczego nie wydaje żadnego dźwięku? Czy mam przed sobą strażnika świętej jaskini, jakieś rogate bydlę z menażerii Artemidy, rozszarpujące takich jak ja świętokradców na strzępy?

Z wolna dotarło do mnie, że patrzę na maskę jelenia, teatralny rekwizyt nieszczęsnej Chloe. Zniosłem ją do większej groty, gdzie mogłem jej się lepiej przyjrzeć. Nagle przypomniałem sobie o otwartych wrotach; pospieszyłem do wejścia i zatrzasnąłem zamek. Wróciwszy do ostatniej komory, już spokojnie namacałem swoje wytrychy i pokonałem ostatnie drzwiczki. Owionęło mnie świeże, chłodne powietrze. Przepchnąłem się na zewnątrz i stanąłem w kamienistym i zarośniętym chaszczami wąwozie. Bez wątpienia było to sekretne wejście do jaskini.

Wróciłem do podziemia i zamknąłem za sobą drzwiczki na zamek. Ułożyłem się wygodnie w centralnej pieczarze. Nie bałem się, że zasnę; cały czas wyobrażałem sobie, że gapi się na mnie jelenia maska. Raz po raz nachodziła mnie myśl, że nie jestem sam – zdawało mi się, że słyszę czyjś przytłumiony oddech i jakieś szmery. Przypomniałem sobie kolejną ojcowską sentencję: „Największym wrogiem człowieka jest jego wyobraźnia”. Uśmiechnąłem się. Przecież nie mogło tu być nikogo oprócz mnie.

W końcu musiałem jednak usnąć, ponieważ zbudził mnie nagle dobiegający z zewnątrz stłumiony kobiecy szloch i kakofonia grzechotek

i tamburynów.

Przed jaskinią odprawiano jakiś rytuał. Nie dało się rozróżnić żadnych słów, ale rozpoznałem charakterystyczny, srogi głos pierwszego kapłana Teotymosa. W końcu usłyszałem szcęk otwieranego zamka, a po chwili odgłos zatrzaskiwania wrót. Zapadła cisza i nie od razu dobiegło mnie delikatne dziewczęce pochlipywanie. Ucichło na moment, po czym odezwało się bliżej ze zdwojoną siłą, aż przerwał je stłumiony okrzyk. Antea, ubrana w zgrzebną białą tunikę, stanęła w środkowej grocie i spostrzegła mnie. Nie poznała, kogo ma przed sobą, i cofnęła się przerażona.

– Anteo! – wyszeptalem. – Znasz mnie. Spotkaliśmy się wczoraj, w domu twego ojca. Jestem Gordianus, Rzymianin podróżujący z Antypatrem. -Co tu robisz? Jak się tu dostałeś? Groza ustąpiła miejsca zdumieniu.

– Teraz to nieważne – odrzekłem. – Mamy ważniejszy problem... jak zmusić tę fletnię, by zagrała? – Wskazałem na wiszący wysoko instrument.

– A więc ona naprawdę istnieje – szepnęła dziewczyna. – Nie wiedziałam, co myśleć, gdy hierodule powiedziały mi, na czym polega próba. Fletnia, która sama zagra melodię, jeśli jestem niepokalana? I oto jest. A ja jestem dziewicą, bogini na pewno o tym wie. Tylko czekać, aż usłyszymy muzykę. Fletnia musi zagrać!

Unieśliśmy wzrok. Powietrza w jaskini nie mącił ani boski wiatr, ani nawet zwykły przeciąg. Fletnia wisiała martwo i nie zanosilo się na to, by wydobyła z siebie choćby jedną nutę.

– Może to w tobie tkwi problem. – Antea wbiła we mnie oskarżycielskie spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– Fletnia nie zagra w obecności osoby nieczystej.

– No i...?

– Jesteś dziewiczy, Gordianusie z Rzymu?

– Nie jestem pewien... – Spłonilem się. – Nie wiem, czy to określenie dotyczy mężczyzn – rzuciłem, by zyskać na czasie.

– Bzdura! Obcowałeś z kobietą czy nie?

– To bez znaczenia – uciałem. – Jestem tu po to, by cię uratować.

– I jak zamierzasz to zrobić?

– Zagram na fletni.

– A potrafisz? – Popatrzyła na mnie sceptycznie.

– Cóż...

– A jak w ogóle zamierzasz jej dosięgnąć?

– Może ty to zrobisz. Wdrap mi się na ramiona...

– Jestem tancerką, nie umiem grać na instrumentach. Poza tym i tak wisi za wysoko, nawet gdybym ci stanęła na głowie.

– Ale spróbować trzeba.

Spróbowaliśmy. Antea stanęła na moich ramionach pewnie, jak na tancerkę przystało. Chwyć ją i przyciągnij – wydusiłem. Była cięższa, niż się spodziewałem.

– Nie da rady! – jęknęła. – Nie sięgnę. A zresztą łańcuch się przecież nie rozciągnie.

– Może mi się uda – rzucił ktoś z cienia.

Antea rozpoznała głos i z okrzykiem radości zeskoczyła mi z ramion. Z półmroku wyłoniła się Amestris. Dziewczęta rzuciły się sobie w objęcia.

Niewolnica musiała iść za mną do świętego gaju, wśliznąć się do jaskini, gdy drzwi były otwarte, i ukryć się w jakimś ciemnym kącie. To jej oddech słyszałem wcześniej.

– Pani, jeśli staniesz na ramionach Rzymianina, a ja stanę na tobie... – zaczęła Amestris.

– Nie jestem pewien, czy utrzymam was obie – wtrąciłem.

– Pewnie, że dasz radę, osiłku – rzekła.

Zarumieniłem się, ale jej słowa dodały mi pewności siebie.

– No i ja umiem grać na fletni – dodała. – Pani, sama mówiłaś, że mogę iść w zawody ze słowikami.

Na zewnątrz po długiej ciszy znów rozległ się lament kobiet. Zgromadzeni, nie słysząc muzyki, zaczęli spodziewać się najgorszego.

Antea chwyciła się pod boki i uniosła wzrok na fletnię. Może liczyła, że jednak zagra sama z siebie?

– Chyba warto spróbować – uznała w końcu.

Wdrapała się na mnie i oparła rękami o ścianę. Na nią z kolei wspięła się Amestris. Byłem pewien, że lada chwila pięknie mi kręgosłup, ale zacisnąłem zęby i w milczeniu dobywałem z mięśni wszystkich sił. Wykręcałem szyję, jak mogłem, nie widziałem jednak, co się nade mną dzieje.

Nagle zabrzmiał długi, niski dźwięk fletni, a po nim kolejny, wyższy. Nastąpiła chwila ciszy, po czym jaskinię zalały odbijane echem dźwięki jednej z najbardziej przejmujących melodii, jakie w życiu słyszałem.

Za bramą jęki i płacz ucichły jak nożem uciął, zastąpione przez okrzyki zadziwienia i radości. Może podsunęła mi to tylko wyobraźnia, ale głowę dałbym, że dobiegł mnie też pełen niedowierzania głos Teotymosa.

Dziwna, piękna pieśń dobiegła wreszcie końca – w samą porę, bo plecy odmawiały mi już posłuszeństwa. Dziewczęta zeskoczyły zgrabnie na ziemię, a ja oparłem się o ścianę bez sił, łapiąc powietrze i pocierając obolałe ramiona.

– Co teraz? – szepnęła Antea.

– Na dźwięk muzyki brama powinna sama się rozewrzeć – oświadczyłem.

– Jeśli nie, to kapłani mają klucz i na pewno otworzą drzwi – dodała Amestris.

– Tego się raczej nie doczekamy – odparłem, kręcąc głową. – Należy się jednak spodziewać rychłych odwiedzin pierwszego kapłana.

– O czym ty mówisz, Gordianusie?

Pospiesznie opowiedziałem im o tajnym wejściu do jaskini i przydzieliłem im zadania.

Naraz pieczarę zalał strumień światła – to ktoś otworzył tylne drzwiczki, po czym trzasnął nimi wściekle. Usłyszeliśmy stłumione przekleństwo i głośne pytanie:

– Na Hades, gdzie się podział nóż i topór? Gdzie maska?

W środkowej grocie stanął Teotymos. W ręce trzymał kapłańską czapę; musiał ją ściągnąć, żeby przecisnąć się przez wąskie przejście. Na widok przytulonych do siebie dziewcząt stanął jak wryty, po czym rzucił okiem na fletnię Pana.

– Co tu robi niewolnica? – warknął. – I jak, na Hades, zagrałyście na fletni?

Nie zauważył mnie, bo ukryłem się w plamie cienia tuż przy ścianie. U stóp położyłem sobie broń, którą kapłan zamierzał zgładzić Anteę. Zabrałem ją spod drzwi, żeby nie wpadła mu w ręce, poza tym wolałem ją mieć pod ręką, gdyby przyszło do starcia. Teotymos był postawny i silny; w walce z nim potrzebowalibyśmy jakiegokolwiek dostępnego elementu przewagi. To byłaby jednak ostateczność; planowałem załatwić go podstępem. Stałem spięty, ściskając oburącz jeleni łeb.

Kapłan całą uwagę skupił na dziewczynach. Podkradłem się tuż za jego plecy i z całej siły nacisnąłem mu maskę na czerep. Kosztowało mnie to trochę wysiłku, gdyż była zaprojektowana na wymiar niewielkiej

dziewczęcej główki, ale dopiąłem swego. Oczyma wyobraźni widziałem, jak umocowany w środku ostry kolec wbija mu się w skórę.

Odkryłem go poprzedniego dnia w świątyni, kiedy miałem okazję przyjrzeć się masce z bliska. Domyśliłem się, że szpikulec musi być zatruty; spazmatyczne ruchy Chloe nie były więc świetną interpretacją męki Akteona, lecz wywołanymi przez jad śmiertelnymi konwulsjami. Po zdjęciu maski nikt nie zauważył miejsca ukłucia ani strużki krwi pod ogniście rudymi włosami dziewczyny, a potem już Teotymos przejął kontrolę nad sytuacją. Nic dziwnego, że zareagował tak nerwowo, widząc, że przyglądam się masce; zaraz po uroczystości zaniósł ją widocznie do jaskini, razem z bronią i workiem na zwłoki Antei. Bez wątpienia zamierzał odczekać, aż przygnębiony „wyrokiem bogini” tłum rozejdzie się do domów, po czym zakraść się do groty sekretnymi drzwiami i rozprawić z dziewczyną. Mogę sobie tylko wyobrazać, co chciał z nią zrobić przed dokonaniem mordy. Człowiek, który potrafił zabić niewinną tancerkę w sanktuarium Artemidy i na oczach całego miasta, tym bardziej nie cofnąłby się przed żadnym bezceństwem w tak odludnym, omijanym przez bogobojnych Efezjan miejscu. Tak, Teotymos był potworem w ludzkiej skórze i zasługiwał na śmierć. Wydawało się sprawiedliwe, aby zginął od własnej broni.

Przez głowę przemknęła mi obawa, czy na kolcu zostało jeszcze dość trucizny, by powalić takie chłopisko. Ukłucie go zabolęło; wrzasnął i rozpaczliwie próbował zedrzeć z siebie maskę, szarpiąc za poroże. Miotając się po całej grocie, wyglądał, jakby grał rolę przemienionego Akteona. Wpadł rogami na ścianę, odbił się od niej i uderzył o inną, aż w końcu runął na ziemię wstrząsany drgawkami. Potrwało długą chwilę, nim wreszcie znieruchomiał.

Wszyscy troje gapiliśmy się na trupa. Trudno mi było uwierzyć w to, co się właśnie wydarzyło. Nigdy jeszcze nie zabiłem człowieka; teraz zrobiłem to z premedytacją i, jak mi się wydawało, bez skrępowań. Powoli ogarniała mnie obezwładniająca mieszanka emocji. Na domiar wszystkiego Antea chwyciła mnie za ramiona i pocałowała, z całej siły przyciskając wargi do moich.

– Mój bohaterze! – wołała. – Wybawco!

Nad jej ramieniem uchwyciłem spojrzenie Amestris. Wpatrywała się we mnie z uśmiechem, który – stwierdziłem zaskoczony – był mi droższy od gorącego pocałunku jej pani.

– Chodź, Anteo – powiedziałem stanowczo, gdy już wyswobodziłem się z jej objęć. – Nie powinnaś być w tym strasznym miejscu ani chwili dłużej. Otworzę wrota wytrychem, ty wyjdiesz na światło dzienne, a drzwi zamkną się na powrót i tak próba dopełni się zgodnie z odwiecznym rytuałem.

– A ty i Amestris? I co z nim? – Wskazała ruchem głowy ciało megabyzosa.

– Wykradniemy się tylnymi drzwiami. A jak postąpimy z Teotymosem, zdecydujemy po rozmowie z twoim ojcem.

Tak też zrobiliśmy. Wypuściłem dziewczynę, sam niezauważony dla ludzi na zewnątrz. Już przez zamknięte drzwi usłyszałem dziki okrzyk radości Eutropiusza i jeszcze głośniejsze wiwaty tłumu.

Razem z Amestris ruszyliśmy do tajnego przejścia. Pod fletnią Pana dziewczyna objęła mnie i pocałowała. Zupełnie inaczej, niż zrobiła to Antea. Trwałem w jej uścisku bez ruchu, mimo woli przymknąwszy powieki. Po chwili ze śmiechem odsunęła się o krok.

– Mam wrażenie, że nigdy dotąd się nie całowałeś, Gordianusie.

– Ja... eee... – bąknąłem, czując, że oblewam się rumieńcem.

Podniosła wzrok na instrument i zmarszczyła brwi.

– Jak sądzisz? Czy fletnia by zagrała, gdyby nie było mnie w jaskini?

– To znaczy?

– Czy milczała, bo nie jestem dziewicą? Zastanawiałam się nad tym, idąc tu za tobą, ale jakiś głos w mojej głowie powiedział mi: zrób to! No to przyszedłam. Myślę, że to była słuszna decyzja. W końcu tylko we troje daliśmy radę dosięgnąć fletni i uratować moją panią.

– Obydwoje postąpiliśmy dobrze, Amestris. Ale czy to znaczy, że nie jesteś...Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się.

– Oczywiście, że nie! Na pewno nie bardziej niż ty. – Zaśmiała się, ale urwała i zakryła dłonią usta, ujrawszy moją minę. – Gordianusie, nie powiesz chyba, że nigdy...

Spuściłem wzrok.

– Nie wiem, jak to się robi w Efezie – szepnąłem – ale Rzymianin zazwyczaj czeka jakiś rok od przywdziania męskiej togi, zanim... zazna przyjemności Wenus.

– Wenus? Ach, tak nazywacie Afrodytę. Kiedy więc przywdziałeś tę togę?

– Rok temu, gdy skończyłem siedemnaście lat.

– Hmm, więc chyba już ci pora, prawda?

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czyżby naśmiewała się ze mnie?

Palony przypływem wstydu bez słowa ruszyłem do tajnego wyjścia. Razem niepostrzeżenie opuściliśmy jaskinię.

Tej nocy, gdy już opadły emocje i dano upust radości po cudownym ocaleniu Antei, Eutropiusz wziął Antypatra, Mnasona i mnie na naradę. Moje bezczelne włamanie do świętej jaskini przyjęto początkowo ze wzburzeniem – Mnason burczał coś pod nosem o „stukniętym Rzymianinie” – lecz Antypater wysunął przypuszczenie, że może to sama

Artemida tak pokierowała naszymi z Amestris poczynaniami, aby wyeliminować z grona swych sług nikczemnego kapłana i ocalić niewinną dziewczynę.

– Bogowie często działają w sposób pokrętny i niezrozumiały dla nas, śmiertelników – powiedział z przekonaniem. – Tak, w tym wypadku wyraźnie dostrzegam rękę Artemidy. Któż inny, jeśli nie Gordianus... ten stuknięty Rzymianin, jak to ująłeś, Mnasonie... wpadłby na pomysł, by wdrzeć się do świętej jaskini i tam poczekać na rozwój wydarzeń? Teotymos liczył, że przez naszą pobożność nie zrobimy nic dla ratowania twojej córki, Eutropiuszu. Wierzę, że Gordianus i twoja młoda niewolnica byli boskimi narzędziami – oznajmił.

To zakończyło wszelkie dyskusje. Co do ciała megabyzosa, Antypater uznał, że powinniśmy po prostu zostawić je tam, gdzie upadło, dodając, że prawdopodobnie długo nikt go nie znajdzie, chyba że ktoś działał z nim w zмовie. Ale i wówczas, nawet jeśli zorientują się, co było przyczyną jego śmierci, nie będą mogli oskarżyć o nią nikogo i najpewniej zatuszują całą sprawę. Będzie to wyglądało tak, jakby po wysunięciu fałszywego, podłego oskarżenia wobec Antei pierwszy kapłan po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Efezjanie sami wyciągną wnioski.

– Wszyscy wiedzą, że Teotymos był marionetką w rękach Rzymian – dodał Mnason. Jego upadek i zniknięcie zostanie odebrane jako boska kara i znak, że nadchodzi kres władzy Rzymian i służących im zdrajców. Może... – Głos mu uwiązł w gardle na chwilę. – Może śmierć mojej małej Chloe posłuży większemu dobru, jeśli dzięki niej nasze miasto przybliży się ku upragnionej wolności.

Antypater położył dłoń na jego ramieniu.

– Mądrze mówisz, Mnasonie. Twoja córka była wierną służką Artemidy i nie zginęła daremnie – powiedział kojąco, po czym zwrócił się do

Eutropiusza. – Miałem nadzieję dłużej zabawić w Efezie, stary druhu, ale sprawy się skomplikowały. Obawiam się, że ostatnie zajścia mogą nasilić antyrzymskie nastroje i dojdzie do zamieszek. Zwolennicy Mitrydatesa śmielej podniosą głowy, rzymski namiestnik będzie zmuszony zareagować... kto wie, co może się wydarzyć? Dla bezpieczeństwa mojego młodego przyjaciela wyruszamy więc w dalszą drogę, i to jak najszybciej.

– Ja także liczyłem, że będę mógł cieszyć się dłużej waszą wizytą – odrzekł posmutniały Eutropiusz. – Pozwól jednak, że jutro udamy się wspólnie do świątyni i złożymy ofiarę dziękczynną, a także poprosimy boginię o błogosławieństwo dla waszych dalszych podróży. Potem załatwię wam przewóz do następnego celu wyprawy.

Udaliśmy się na spoczynek. Nie mogłem jednak zasnąć. Pokój był skąpany w jasnych promieniach księżyca. Wstałem z łóżka i zaciągnąłem ciężkie kotary. Obracałem się z boku na bok, na przemian gapiłem się w sufit i przykrywałem głowę poduszką; robiłem wszystko, by nie myśleć o Amestris. Drzwi cicho skrzypnęły i zamknęły się. Delikatne kroki przemierzyły komnatę.

Uniosłem się na łokciach. Nic nie widziałem, dopóki nie rozsunęła kotar; wówczas ujrzałem ją w całej okazałości, nieprzesłoniętej choćby najmniejszym skrawkiem odzienia. Zanim zdążyłem wypowiedzieć jej imię, była już w łożu u mego boku.

Objąłem ją i przycisnąłem do siebie, jakbym nigdy już nie zamierzał wypuścić jej z rąk.

– Dzięki ci, Artemido! – szepnąłem.

– Artemida nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała Amestris i zaśmiała się cicho. Tej nocy jesteśmy czcicielami Wenus.

Tak oto w słynnym mieście poświęconym dziewiczej bogini łowów pokonałem dwa progi: po raz pierwszy zabiłem człowieka i zaznałem

miłości kobiety.

Po krótkiej wizycie w świątyni Antypater i ja weszliśmy na pokład statku wybranego dla nas przez gospodarza. Amestris stała ze wszystkimi na wybrzeżu. Machaliśmy sobie na pożegnanie... Wpatrując się w jej piękną sylwetkę, wspominając nasze wspólne chwile i rozkosz dotyku jej ciała, poczułem tęsknotę. Czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczę?

Efez malał za rufą, a ja złożyłem w duchu przysięgę: gdziekolwiek los mnie zaprowadzi, nigdy nie przejdę obok świątyni Artemidy bez wstąpienia do środka, zapalenia kadzidełka i pomodlenia się do bogini, by darzyła moją Amestris wszelkimi błogosławieństwami.

Z zamyślenia wyrwało mnie pytanie nauczyciela.

– Gordianusie, co tam sobie nuczisz pod nosem?

– Nie poznajesz, mistrzu? To melodia, którą Amestris zagrała na fletni Pana. Ta dziwna, tęskna pieśń do dziś nie daje mi spokoju.



WDOWY Z HALIKARNASU (Mauzoleum)

Zachodnie wybrzeże Azji Mniejszej to istny galimatias półwyspów, zatok i rozsianych wszędzie wysepek. Niektóre z nich to zaledwie skały lekko wysunięte ponad fale, ale są i prawdziwe góry wyrastające z błękitnej równiny morza, a na wschodnim horyzoncie daleki masyw lądu, soczyście zielony w południowym słońcu, pod wieczór zaś otulony purpurową mgiełką, oddziela niewyraźną kreską wodę od nieba. W kwietniu morze zmienia barwę z godziny na godzinę pod dyktando słońca i chmur: raz jest to ostry odcień lapis-lazuli, kiedy indziej mdły lazur, który potem znienacka przechodzi w opalizującą zieleń skrzydeł ważki. Czasem, o świcie lub o zmierzchu, morską toń przybiera metaliczny połysk niczym gigantyczny arkusz brązowej lub miedzianej blachy.

Wśród tego przepychu ulotnych bogactw natury kryje się w labiryncie cypli i wysepek Halikarnas. Otwarty ku południowi port osłonięty jest i przed zimowymi sztormami, i przed wzrokiem pasażerów przepływających statków; w rzeczy samej, można minąć go o włos i nawet nie zauważyć. Dopiero kiedy się okrąży skalisty przylądek, oczom żeglarzy ukazuje się otoczone murem duże miasto i reda pełna statków. Wysoko ponad linią dachów, tak nieproporcjonalnie wielkie, że aż nierzeczywiste, góruje słynne Mauzoleum.

Nigdy dotąd nie widziałem budowli tak niewyobrażalnie ogromnej. W głowie mi się nie mieściło, jak coś wymurowanego z kamienia może

sięgać hen pod niebo i nie zawalić się pod własnym ciężarem. Czyż możliwe, żeby wznieśli ją zwykli śmiertelnicy? Mauzoleum zgodnie okrzyknięto jednym z cudów świata; teraz zrozumiałem dlaczego.

Wyobraźcie sobie ogromny prostokątny postument z olśniewająco białego marmuru, wznoszący się wyżej niż frontony większości znanych wam świątyń. Na jego szczycie wzdłuż wszystkich krawędzi poustawiano rzędy wielgachnych posągów. Za ich plecami wznosi się drugi, nieco węższy marmurowy blok, również zwieńczony szpalerem rzeźb, a na nim kolejny, wyższy od obu dolnych razem wziętych, okolony dekoracyjnym fryzem w barwach cynobru, żółci i błękitu. Na tym trójwarstwowym cokole wyrasta właściwa świątynia – wielka jak Partenon, otoczona lasem kolumn i stojących między nimi wielkich figur. Wysoki dach architekt ukształtował na podobieństwo piramidy schodkowej. Jej podnóża strzegą nadnaturalnych rozmiarów marmurowe lwy, tak wiernie oddane, że tylko czekać, aż rozlegnie się ich groźny ryk. Na samym szczycie zaś zastygła w pełnym biegu pozłocista kwadryga lśniąca tak jasno, że można by ją wziąć za rydwan samego Heliosa, roztaczający nad światem własny, a nie odbity blask.

Już na pierwszy rzut oka umysł ogarnia ogrom i złożoność Mauzoleum znacznie szybciej, niż słowa mogą to opisać. Wrażenie jest oszałamiające i natychmiastowe: oto dzieło bogów w mieście śmiertelników, zesłany na ziemię okruczeństwa samego Olimpu. Budowla, jakby świadoma swej wyjątkowej natury, trzyma się z dala od ludzkich siedzib, odgradzona od nich rozległym dziedzińcem, upstrzonym tu i ówdzie ołtarzami, fontannami i zieleńcami. Całkowicie dominuje nad miastem, a przy tym wydaje się obca zaiste jak intruz rodem z boskiej dziedziny. Taki był bez wątpienia zamiar pogrążonej w żałobie królowej, która przed dwustu sześćdziesięciu laty wybudowała swemu mężowi ten grobowiec.

Zerknąłem na Antypatra. Na jego pomarszczonej twarzy również malował się bezbrzeżny podziw.

– Mistrzu, widziałeś wcześniej Mauzoleum, prawda? – wołałem się upewnić. Oczywiście, że tak, Gordianusie. – Musiałem wyrwać starca z zamyślenia, bo głośno zamknął rozdziawione usta. – Mówiłem ci już, że mieszka tu moja rodzina. Zatrzymamy się u kuzynki Bitony. Czemu o to pytasz?

Uśmiechnąłem się tylko i dalej podziwiałem rosnącą w oczach budowlę. Podczas gdy nasz statek okrążał falochron i wchodził do basenu portowego, Antypater opowiadał mi o mieście. Wydawało się niezdołbane: otaczały je masywne mury naszpikowane wieżami i nieustannie patrolowane przez zbrojnych. Halikarnas bowiem, w przeciwieństwie do większości Azji Mniejszej, pozostawał niezależny od Rzymu, choć był z nim związany ścisłym sojuszem. Wiele z okazałych budowli, na których zawiesiłem wzrok, wznosił król Mauzolos, od którego imienia wziął nazwę jego słynny grobowiec. Ten wielki władca uczynił Halikarnas stolicą Karii i jednym z najzasobniejszych miast świata. Na zboczu nieopodal Mauzoleum ujrzałem piękny amfiteatr; najwyższe wzniesienie wieńczyła świątynia Aresa, a w niej – jak mi powiedział Antypater – krył się jego wielki posąg, najwspanialsza ponoć podobizna boga wojny na świecie. Daleko po prawej na kolejnym szczycie królował imponujący pałac monarchy, a po lewej dostrzegłem jeszcze jedną okazałą świątynię. Nauczyciel wyjaśnił mi, że jest poświęcona Afrodycie i Hermesowi.

– Obydwu bóstwom? – spytałem.

– Tak jest. Tuż obok, już w obrębie murów, znajduje się jaskinia ze świętym źródłem nimfy Salmakis. Zapewne słyszałeś opowieść o jej miłości do syna Afrodyty i Hermesa? – Na moje wzruszenie ramion Antypater westchnął tylko i pokręcił głową z dezaprobatą. – Ech, wy

Rzymianie! Tylko wam podbój świata w głowach, a tak niewiele o nim wiecie.

– Przecież wiesz, że chętnie się uczę, mistrzu.

– W takim razie podczas naszego pobytu odwiedzimy grootę Salmakis, a ja opowiem ci tę poruszającą historię. Możesz nawet wykąpać się w jej stawie, jeśli starczy ci odwagi! Zaśmiał się z żartu, którego znów nie rozumiałem.

Już miałem zapytać o jego znaczenie, lecz w tejże chwili kapitan naszej łajby, dostrzegłszy nagle dogodne miejsce do przycumowania, gwałtownie skręcił i oto przed nami znów ukazało się Mauzoleum w całej okazałości. Teraz już dobrze widziałem szczegóły barwnego fryzu na górnym postumencie: przedstawiał sceny zażartej walki Amazonek z greckimi wojownikami. Wyżej jaśniały marmurowe oblicza posągów skrytych między niebosiężnymi kolumnami.

– Widzisz te dwie rzeźby pośrodku? – spytał Antypater. – To Mauzolos i Artemizja. Na zawsze razem, wpatrzeni w morze, witają każdego, kto wpływa do portu.

– Nadzwyczajne! – szepnąłem.

– Gdy będziemy zwiedzać Mauzoleum, zobaczysz, że każda ze ścian jest inna. Artemizja wynajęła czterech najznamienitszych rzeźbiarzy tamtych czasów i poleciła im przyozdobić je wedle swego uznania. Dla zwycięzcy przewidziała nagrodę. Do współzawodnictwa ku czci zmarłego króla zaprosiła też dramaturgów, poetów i atletów.

– Musiała go bardzo kochać – stwierdziłem.

– Tak bardzo, że nie mogła znieść myśli o całkowitej rozłące. Część prochów Mauzolososa zmieszała z winem i wypiła, łudząc się, że osłabi to jej żal. Ból przybrał jednak tylko na sile i Artemizja zmarła jeszcze przed ukończeniem Mauzoleum.

– Pękło jej serce?

– Tak głosi legenda. Spoczęła więc obok swego męża, a wejście do grobowca zapieczętowano na wieki ogromnym głazem.

– Umrzeć z miłości! – wykrzyknąłem. – Mimo wszystko to szaleństwo.

– Miłość zawsze ma w sobie coś z obłądu, czasem delikatnego, ale czasem wręcz obezwładniającego. Nawet gdy nie prowadzi do śmierci, może się skończyć drastycznie. Przykładu nie trzeba daleko szukać... ot, choćby historia Salmakis i jej zauroczenia...

I znów, jakby złośliwy duch chciał powstrzymać Antypatra przed dokończeniem opowieści o tutejszej nimfie, pogawędkę przerwał nam kapitan łodzi, pokrzykując, byśmy się usunęli z drogi marynarzom krzątającym się przy linach i żaglach. -Bitona jest najmłodszą córką mojej zmarłej kuzynki Teo – wyjaśnił mi Antypater, gdy przemierzaliśmy miasto na ciągniętym przez muła wozie, który wynajęliśmy na nabrzeżu.

Nie miałbym nic przeciwko spacerowi, ale szerokie i wybrukowane ulice Halikarnasu pozwalały na przejażdżkę bez konieczności przeciskania się między ludźmi. Minęliśmy obszerny plac i liczne bazyry, a następnie coraz bogatsze – w miarę wjeżdżania pod górę i zbliżania się do królewskiego pałacu – dzielnice mieszkalne. Mauzoleum oddalało się z wolna, nie zniknęło mi jednak z pola widzenia.

– Nie widziałem jej od lat – ciągnął stary. – Ma dwie córki, są już dorosłe i pozakładały rodziny. Parę lat temu zmarł jej mąż. Musi dobiegać czterdziestki... trudny wiek dla wdowy. Zbyt młoda, by umrzeć, i za stara na zamęcie, powiadają. Chyba że odziedziczy majątek, czego niestety los Bitonie odmówił. Jej małżonek był zamożnym kupcem, lecz pod koniec życia prześladował go pech. Dobrze, że udało jej się przynajmniej zatrzymać dom. Gdy napisałem do niej z prośbą o gościnę, od razu odpowiedziała, że będziemy bardzo mile widziani. – Wyciągnął szyję

i rozejrzał się. – I oto jesteśmy. To, zdaje się, ten dom przed nami, nie przypominam sobie jednak, by miał tak jaskrawy kolor. Czyżby farba była świeża? I te zdobienia z brązu na drzwiach... Kiedyś wyglądało to chyba prościej. Nowe czy co?

Woźnica z mozołem wyładowywał nasze bagaże, a Antypater pospieszył do wrót i sięgnął do kołatki. Cofnął dłoń jak oparzony, gdy zauważył, że ma ona kształt męskich genitaliów. Uniósł brwi, zawahał się, ale w końcu ujął ją ostrożnie w dwa palce, podniósł i puścił. Ciężki metalowy fallus głuchym stuknięciem zaanonsował nasze przybycie.

Otworzył nam młody, urodziwy niewolnik. Otwierał już usta, by coś powiedzieć, kiedy upierścieniona damska dłoń spoczęła mu na ramieniu i odsunęła go delikatnie na bok. Ukazała się nam jego pani, wysoka kobieta w długiej szkarłatnej sukni, tu i ówdzie ściągniętej paskami dla podkreślenia jej wydatnych krągłości. Szyję i dekolt zdobiły liczne naszyjniki z oprawnych w złoto i srebro karneoli i lapis-lazuli. Ciemne włosy o purpurowym połysku musiała myć je w hennie – nosiła upięte w skomplikowaną konstrukcję podtrzymywaną przez strategicznie rozmieszczone grzebienie z hebanu i srebrne szpilki. Może i miała Bitona wypisane na twarzy swoje lata, lecz pierwsze, co w niej dostrzegłem, to błyszczące zielone oczy, krwiście czerwone usta i zniewalający uśmiech.

– Kuzynie! – wykrzyknęła, rozpościerając szeroko ramiona. Antypatra zaskoczyło to entuzjastyczne powitanie, w końcu jednak z rezerwą odwzajemnił uścisk. – Zauważ, krewniaku, że powstrzymałam się od wykrzyknięcia twego imienia na całą ulicę. Przeczytałam twój list, musisz mi jednak przypomnieć, jak się teraz nazywasz. To było takie dowcipne... O! Już pamiętam! – Klasnęła w dłonie z zadowolenia. – Witaj w moich skromnych progach, Zotikosie z Zeugmy! – To rzekłszy, Bitona cofnęła się

o krok i zmierzyła mnie wzrokiem. – A to zapewne twój młody Rzymianin. I co, Gordianusie, jak ci się podoba Halikarnas?

– Jest... eee...

– Oszłamiający? – Pokiwała głową ze śmiechem, kładąc dłoń na bujnym biuście. Trochę z początku przytłacza, prawda? Mam na myśli Mauzoleum oczywiście. Wpływasz do portu i od razu bije cię po oczach, że tak powiem. Można się przyzwyczaić. To jak ze świtem... co ranka cud, lecz po pewnym czasie przyjmujesz to jak coś zwyczajnego. Ale i tak wciąż bywa, że ot, idę sobie przez rynek i nagle jakbym widziała je pierwszy raz w życiu i aż mi dech zapiera. Ach, gadam jak najęta! Wchodźcie, wchodźcie!

Chwyciła nas pod ramiona i powiodła przez westybul i pięknie urządzony pokój z naturalistycznymi malowidłami na ścianach aż do ogrodu, gdzie pośrodku pluskającej fontanny czuwała nad domostwem statua Afrodyty. Półnaga bogini stała w klasycznej pozycji, zasłaniając piersi ramieniem; przez chwilę byłem niemal pewien, że modelką była nasza gospodyni – zmysłowe proporcje figury wydały mi się identyczne jak u niej. Myśl ta musiała przyprawić mnie o rumieniec, Bitona bowiem posłała mi uważne spojrzenie.

– Zgrzałeś się podróżą, Gordianusie? Niewolnik przyniesie ci zimną wodę i wino oraz posiłek. Tobie też, kuzynie – dodała. Zerknąwszy na mistrza, stwierdziłem, że i mój towarzysz nieco pokraśniał.

Siedliśmy w ogrodzie i oddaliśmy się pogawędce. Antypater był dziwnie spięty i nieswój; jeśli ona to zauważyła, nie dała nic po sobie poznać. Sam nie odzywałem się zbyt wiele i usilnie starałem się nie gapić zbyt otwarcie na gospodynię. Nigdy dotąd nie widziałem podobnej kobiety. Wydawała się wyrafinowana i rzeczowa zarazem; dojrzała, a pełna werwy.

W końcu Bitona przeprosiła nas i odeszła, obiecując rychło wrócić.

Gdy tylko zniknęła, Antypater chrząknął z dezaprobatą.

– Hetera! – powiedział.

W odpowiedzi rzuciłem mu jedynie pytające spojrzenie.

– Hetera! – powtórzył. – Kuzynka Bitona została kobietą do towarzystwa, a ten dom zamieniła w... no, burdel! Inaczej tego nazwać nie można.

– Chyba się mylisz, mistrzu – zaproponowałem.

Wiedziałem co nieco – choć nie z autopsji – o tego typu przybytkach, jakich nie brak u nas w Suburze. Pracujące tam kobiety w niczym nie przypominają naszej gospodyni eleganckiej pani domu z porządnej dzielnicy. Są biedne, niewykształcone i ogólnie mają ciężki żywot. Zmarszczyłem brwi.

– Co to właściwie jest ta hetera? – wymówienie greckiego słowa przyszło mi z trudem.

– W Rzymie nie ma czegoś takiego – zaczął Antypater, wieczny nauczyciel. – W Grecji za to hetery istnieją od wieków. Wspominają o nich nawet Platon i Demostenes. To luksusowe kurtyzany, biegłe w sztuce i poezji, często utalentowane tancerki i śpiewaczki. Bywa, że są nawet zapraszane na sympozja filozoficzne i pozwala się im wygłaszać tezy. Niektóre przyjmują gości we własnych domach, gdzie bez uszczerbku na reputacji może pojawić się najznamienitszy dostojnik. Ale koniec końców ich rola jest taka sama jak każdej prostytutki: mają zadowolić klienta. I kuzynka Bitona jest taką właśnie heterą!

– To niemożliwe. – Nie mogłem w to uwierzyć. – Tak sądzisz? Zwróciłeś uwagę na kształt kołatki u drzwi? To widomy znak, co się wyprawia w tym domu.

– Może to tylko talizman chroniący przed złym okiem. W Rzymie widzi się takie często i niekoniecznie oznaczają...

– A ten posąg Afrodyty nad nami? Bogini miłości!
– Każdy może mieć taki posąg. Kto nie czci Afrodyty?
– Tak? Widziałeś malowidła w pokoju, przez który przechodziliśmy? Przedstawiły Apolla i Dafne, Parysa i Helenę, Ledę i łabędzia... same historie o żądzy i uwodzeniu.

– Owszem, zauważyłem, że są raczej... dwuznaczne.

– Dwuznaczne? Chyba lubieżne! Na dodatek Bitonie wyraźnie się powodzi. Po mężu nie została jej złamana drachma. Wiem, bo prosiła mnie o pożyczkę, której jej zresztą udzieliłem. Tymczasem dom jest pięknie odnowiony i udekorowany. A te frykasy i wino, którymi nas uraczono? To nie był tani cienkusz. Jak inaczej kobieta mogłaby się tak dorobić? Z pewnością nie parając się tkactwem lub wyplatając kosze ani w żaden inny przyzwoity sposób! Spójrz zresztą, jak ona wygląda. Skandalicznie! Jest wdową i powinna się nosić na czarno.

– Mówiłeś przecież, że owdowiała ładnych parę lat temu...

– Na czarno, mówię, dopóki ponownie nie wyjdzie za mąż lub umrze. A ona tu paraduje w czerwonej sukni, która wygląda, jakby ją na niej ulano... włosy też ma fikuśnie poupinane, powinna zaś je kryć skromnie w siatce!

Zacząłem rozważać implikacje.

– Nawet jeśli masz rację, mistrzu, to co w tym strasznego? Jeśli jej klienci to szanowani ludzie, a ona może dzięki temu godnie żyć...

– Ależ Gordianusie! W jej wieku? To oburzające!

– W jakim wieku? Myślę, że jest raczej... – Ugryzłem się w język. Trudno byłoby mi wytłumaczyć staremu, co sędzę o jego krewniaczce jako kobiecie.

– Dziękuję, Gordianusie – rzuciła Bitona, która nie wiedzieć kiedy znalazła się przy nas. – Nie wiem, co chciałeś powiedzieć, ale zakładam, że

miał to być komplement. Co do twoich uwag, kuzynie Antypatrze...-Ile z tego usłyszałaś? – wymamrotał.

– Wystarczająco dużo. Niegrzecznie było z mojej strony podsłuchiwać, lecz z drugiej strony nie na miejscu jest też mówić źle o kobiecie w jej własnym domu.

– Bitono, moja krytyka ma tylko twoje dobro na celu.

– Doprawdy? W takim razie powinieneś się ucieszyć, że zastajesz mnie w dobrobycie. Skoro zaś już o tym mowa, to zanim odjedziesz, zamierzam spłacić ci pożyczkę, której mi tak hojnie udzieliłeś w potrzebie.

– To był drobiazg, kuzynko, nie ma o czym mówić...

– Dla mnie to wtedy wiele znaczyło. Dziś zaś jestem dumna, że mogę zwrócić dług. Cokolwiek sobie myślisz, mam swoją godność.

– Mimo to...

– Mimo to wybrałam karierę hetery? Owszem, i to także napawa mnie dumą.

– Bitono!

– Być może zapomniałeś, gdzie jesteś. Halikarnas trochę się różni od innych greckich miast. To dawna stolica Karii, a w historii tego królestwa zapisało się wiele silnych, niezależnych kobiet, jak choćby królowa Artemizja.

– Ona jednak, gdy owdowiała, poświęciła się przede wszystkim uczczeniu zmarłego męża. Gdybyś poszła za jej przykładem...

– Tobym umarła z żalu i poszła za nim do Hadesu! W tej kwestii nie zamierzam jej naśladować. Chcę żyć, kuzynie, a nie wegetować, do tego zaś potrzebne są pieniądze. Wdowa ma dwa wyjścia, a mnie jakoś nie uśmiecha się los tkaczki. W dniu, gdy stałam się heterą, połamałam krosna i spaliłam je na ołtarzu Afrodyty. Wszystko, co robię, robię dla jej chwały. Poważnie traktuję mój zawód, kuzynie.

– Jednak... – Antypater odwrócił wzrok i pokręcił głową.

– Czyżbyś wciąż widział we mnie małą córeczkę Teo i głupio ci widzieć we mnie kobietę zdolną dać mężczyźnie rozkosz?

– Wręcz przeciwnie. – Starzec zmarszczył brwi. – Tylko że się nie godzi, aby kobieta czterdziestoletnia...

– Kuzynie... – Bitona się roześmiała. – Dopóki Afrodyta daje mi siły, a mężczyznom miłe jest moje towarzystwo, jakie znaczenie ma mój wiek? Co powiesz, Gordianusie?

Zaskoczony nagłym pytaniem otworzyłem usta, lecz nie zdołałem wykrztusić ani sylaby.

– Kuzynie, możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz – Bitona ponownie zwróciła się do Antypatra – lecz musisz się pogodzić z tym, że dalej będę się zajmować swoimi sprawami. Kilka razy w miesiącu odbywają się tu niewielkie przyjęcia. Wraz z kilkoma innymi damami... niektóre z nich to również wdowy... zabawiamy ściśle wybrane grono zacnych panów. My śpiewamy i tańczymy, oni zaś raczą się winem, dyskutują o polityce i filozofii. Kiedy zdarzy im się powiedzieć coś wyjątkowo śmiesznego, włączam się do rozmowy. Później niektórzy z gości udają się do sypialni, a rankiem, wypoczęci i odmłodzeni, wracają do codziennego życia. Co może bardziej się podobać Afrodycie?

– A co ja mam ze sobą począć podczas tych przyjęć? – zapytał Antypater.

– Dołączysz do nas, rzecz jasna. Jadło i napitek są wyśmienite, panie piękne i utalentowane, a konwersacja interesująca. Przychodzą tu jedni z najzamożniejszych i najlepiej wykształconych ludzi w Halikarnasie.

– Zamożni, to pewne – odparł poeta. – Ale wykształceni?

– Spójrzcie no tylko na tego snoba! Zapewniam cię, kuzynie, że tutejsi bogacze nie ustępują w niczym Efezjanom, Rodyjczykom czy nawet

Ateńczykom. Znają i twoje wiersze.

– Naprawdę? – Antypater wyraźnie się ożywił.

– Tak i ubolewam, że nie będę mogła przedstawić cię jako mego drogiego kuzyna Antypatra z Sydonu. Wieści o twojej śmierci dotarły aż tutaj. Przez jakiś czas byłeś głównym tematem rozmów moich gości.

– Coś takiego! – Mój mistrz nie mógł się powstrzymać od pełnego satysfakcji uśmiechu.

– Wszyscy zgodzili się, że świat stracił w tobie największego wieszczka. - No, może jednego z większych. – Antypater silił się na skromność.

– Urządziliśmy wieczorek poetycki ku twojej pamięci. Na zmianę recytowałyśmy twoje epigramaty o krowie Myrona i roztrząsaliśmy, który jest najtrafniejszy. Czy ty w ogóle kiedykolwiek widziałeś ten ateński posąg na własne oczy? Trudno uwierzyć, by jakakolwiek rzeźba mogła być aż tak realistyczna – rzekła Bitona, po czym wydeklamowała: Ech, żeby nie te racice w kamieniu grzęznące, Już dawno bym trawę szczypała na łące.

Antypater zachichotał i przytoczył drugi epigramat: Na próżno mnie trącasz, szukasz, gdzie wymiona. Cielaku, jam nie twa matka, lecz krowa Myrona.

Przewróciłem oczami i chrząknąłem znacząco. Ach, ci Grecy ze swoimi wierszykami! Mój nauczyciel spłodził ich o tym bydlęciu tyle, że mogliby przerzucać się nimi do rana.

– Cóż począć – westchnęła Bitona. – Będę musiała zaprezentować gościom Zotikosa z Zeugmy i na nikim nie zrobi to najmniejszego wrażenia. Z drugiej strony nie masz sobie równych w poetyckiej improwizacji, na pewno więc zjednasz sobie całe towarzystwo. Cieszę się, że to uzgodniliśmy!

Antypater zamrugał gwałtownie; nagle dotarło do niego, że wzięto go podstępem.

– Bitono, przecież nie powiedziałem, że będę na twoich przyjęciach.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami. – Możesz na ten czas zamykać się w bibliotece. Nie zawiedziesz się, zachowałam wszystkie książki mojego męża. Była chwila, że omal nie wystawiłam ich na sprzedaż... zanim moje przyjęcia zaczęły mieć wzięcie. Mam nawet pełne Dzieje Herodota. Jak wiesz, i on pochodził z Halikarnasu. Antypatrowi zaświeciły się oczy.

– To świetny pomysł! Kiedy ty będziesz zabawiać gości, my z Gordianusem podelektujemy się Herodotem.

„Mów za siebie!” – miałem na końcu języka, ale w porę się w niego ugryzłem. Gospodyni dostrzegła moją minę i roześmiała się.

– Ano, zobaczymy – ucięła. – Tymczasem patrzcie, słońce uciekło nam z ogrodu. Nawet Afrodyta zda się drzeć z zimna. Przejdźmy teraz może na balkon.

Powiodła nas na otwarty ku zachodowi taras na zboczu. Widok był stamtąd wspaniały: po lewej lśniła w przedwieczornym blasku zatoka, po prawej pięło się ku niebu strome wzgórze zwieńczone świątynią Aresa; na wprost zaś – wciąż z trudem mogłem uwierzyć w jego realność – królowało nad okolicą wielkie Mauzoleum. Zachodzące słońce zawisło za samym złotym rydwanem, otaczając go świetlistym nimbem.

Przez dłuższą chwilę oparci o balustradę kontemplowaliśmy w milczeniu ów zapierający dech w piersiach pejzaż. Stopniowo zaczęły do mnie docierać słowa wypowiedane przez kogoś poniżej. Spojrzałem w tamtą stronę i na balkonie sąsiedniego domu zobaczyłem dwie kobiety w czerni. Starsza – wiek poznałem po siwych pasemkach między spowitymi w woalkę blond włosami – czytała coś na głos młodszej, która nie miała nakrycia głowy. Rozpuszczona burza złotych loków okalała jej twarz niczym chmura w promieniach zachodzącego słońca. Mimo zakrywającej figurę stoli dało się poznać, że ma smukłe ciało. Słuchała towarzyski

z odchylną do tyłu głową i zamkniętymi oczami, jak gdyby przez sen. Była piękna i chyba niewiele starsza ode mnie.

– Sąsiadki – rzekła Bitona, widząc, gdzie patrzę. Ściszywszy głos, dodała: – Tryfosa i jej młoda synowa, Korynna.

– Są w żałobie? – spytałem.

– Śmierć nawiedziła ich dom i dlatego ubierają się na czarno, wątpliwe jednak, by szczególnie opłakiwały zmarłego. Radzę wam trzymać się z dala od tej dwójki. – Gospodyni spojrzała na Antypatra z ukosa. – Jeżeli chcesz ponarzekać na źle prowadzące się wdowy, daj mi spokój i raczej zajmij się Korynną. – Tym niewinnym, ślicznym stworzeniem? – zdziwił się stary.

– Nią właśnie. Może być niebezpieczna.

– Żartujesz!

Tryfosa musiała usłyszeć jego okrzyk, przestała bowiem czytać i podniosła ku nam głowę. Korynna otworzyła oczy, zerknęła na teściową i również odwróciła się w naszym kierunku, nerwowym ruchem zakrywając dolną połowę twarzy czarną woalką. Oczy miała jasnoblękitne. W jej spojrzeniu było coś niepokojącego – a może tylko to sobie wyobraziłem pod wpływem słów Bitony?

– Witaj, Bitono! – zawołała starsza.

– Witaj, Tryfoso.

– Wyprawiasz przyjęcie?

Czyżbym usłyszał w jej głosie nutkę sarkazmu?

– Ci panowie to moi goście – wyjaśniła nasza gospodyni. – Ów młodzieniec to Gordianus, który przybył tu aż z Rzymu, a to jego nauczyciel i towarzysz podróży, Zotikos z Zeugmy. Korynno, ty przecież pochodzisz z tamtych okolic, prawda?

– Tak, Zeugma leży w Kommagenie. – Oczy dziewczyny się zwężyły. – Nie sądzę jednak, bym mogła znać twego gościa.

– Nie miałam tego na myśli – odparła Bitona ze sztucznym uśmiechem, który z daleka mógł wyglądać bardziej szczerze.

– Słońce zachodzi – stwierdziła rzeczowo Tryfosa. W rzeczy samej, wóz Heliosa skrył się już za bryłą Mauzoleum. – Pora na nas. Chodź, synowo.

Kobiety opuściły balkon i bez słowa weszły do środka.

Tego wieczoru, gdy wylegiwali się na miękkich sofach i raczyli się owocami morza, Bitona opowiedziała nam ich historię.

– Tryfosa jest w moim wieku, lecz owdowiała dawno temu, krótko po narodzinach syna. Mąż zostawił jej sporą fortunę. Co prawda prawowitym spadkobiercą był chłopiec, lecz Tryfosie udało się przejąć kontrolę nad schedą. To rzadki przypadek, bo zazwyczaj dziedziczą mężczyźni z rodu męża, a wdowę brutalnie usuwa się na bok. Tym razem jednak męskich krewnych w całej rodzinie nie było i wszystko przypadło Tryfosie, mogła więc wychowywać syna wedle swego uznania. Mało której kobiecie trafia się taka gratka.

– Jak to się więc stało, Bitono, że ty zachowałeś kontrolę nad swoim majątkiem? zapytałem.

– Tak naprawdę nie zachowałam. Teoretycznie nadzór nad wszystkim ma mój szwagier. Dzięki bogom jest uległy i nie sprawia problemów.

– Chcesz powiedzieć, że delikwent je ci z ręki – wtrącił cierpko Antypater.

– Wracając do naszej opowieści. – Gospodyni odchrząknęła. – Tryfosie udało się zdobyć niezależność, wszyscy jednak krytycznie komentowali sposób, w jaki wychowywała swojego małego Tymona. Przypuszczam, że kształcili go wynajęci nauczyciele, lecz przecież młodych chłopców wysyła się również do gimnazjonu, by przebywali wśród rówieśników i nabierali tężyzny. Tymczasem ona trzymała go w domu. Nie miał przyjaciół ani nie brał udziału w zawodach.

– Straciwszy męża, Tryfosa stała się nadopiekuńczą matką. To normalne – uznał Antypater.

– Być może, lecz było w ich domostwie coś niezwykłego. Trudno powiedzieć, czy była nadopiekuńcza czy też przeciwnie, zimna i niedbała. Mały Tymon rzadko wychodził na świat, jakby był więźniem własnej matki. Gdy zaś dorósł do żeniaczki, czy Tryfosa szukała znajomości z rodzinami tutejszych panien na wydaniu? Nie, ona wywiozła go do Kommageny, skąd sama pochodziła. Tam jakimś cudem udało jej się ożenić Tymona z dziewczyną bardzo posażną. To właśnie Korynna, którą dziś widzieliście na balkonie. Cała trójka wróciła do Halikarnasu i osiadła w tym domu. Nie zaprosili sąsiadów na przyjęcie i nie przedstawili oblubienicy. Czasem widywałam w mieście Tymona i jego matkę, lecz dziewczyna nie wynurzała się z domu prawie nigdy. Nierzadko się zdarza, że mąż trzyma żonę w odosobnieniu, dopóki nie urodzi pierwszego dziecka, ale żeby aż tak? Jestem prawdopodobnie jedną z niewielu osób, które ją w ogóle widziały, a to dzięki położeniu naszych balkonów. Korynna lubi się wygrzewać w popołudniowym słońcu. Czasem ją zagaduję, lecz z uwagi na odległość dzielącą nasze domy musimy do siebie pokrzykiwać, co jest dość niezręczne, a ona nie przejawia najmniejszej chęci do rozmowy. Ledwie udaje mi się wydusić z niej zdawkowe tak lub nie, po czym szybko zaszywa się w domu.

– Może jest po prostu nieśmiała – wziął ją w obronę Antypater. – Biedaczka pochodzi z daleka i z tego, co mówisz, zna tu tylko teściową. Metropolia taka jak Halikarnas musi być przytłaczająca dla dziewczyny z Kommageny, a kobieta twojej... klasy może ją onieśmielać.

– Chcesz powiedzieć, że Tryfosa zabroniła jej zadawać się z taką rozpustnicą jak ja? Bitona prychnęła pogardliwie. – No, mnie przynajmniej nie posądza się o morderstwo!

– Co ty mówisz, kuzynko?

– Niecały rok po powrocie do Halikarnasu Tymon zmarł nagle, podobno na febrę. Nie miał nawet dwudziestu lat, dopiero co przejął kontrolę nad odziedziczonym majątkiem. Zważcie, że i jego ojciec umarł młodo, krótko po narodzinach syna. Korynna nie zdążyła nawet zająć w ciążę. Obydwie są teraz wdowami.

– Dwie ofiary tragedii! – wykrzyknął Antypater. – Pod jednym dachem kobiety w różnym wieku, połączone śmiercią mężów, razem noszące żalobę. Siedzą razem na balkonie, a starsza czyta głośno młodszej. :, cóż za wzruszająca scena! Wiecie co? Toż to dobry materiał na wiersz! – Stary wziął oddech i wyrzucił z siebie:

Dwie halikarneńskie wdowy, dzieląc się żalobą, U stóp Mauzoleum w jednym żyły domu. Starsza nader poważną była, surową osobą, Młodsza, piękna i wstydliva, nieznaną nikomu.

– Wysłuchaj najpierw całej historii – przerwała mu obcesowo Bitona; komentarz mojego mistrza na temat wdowieństwa najwyraźniej wytrącił ją z równowagi. – Nikt nie wie, jak zginął Tymon. To stało się nagle, a pogrzeb odbył się niemal cichaczem. Zanim po mieście rozeszła się wieść o jego śmierci, prochy chłopaka złożono już w rodzinnym grobowcu obok jego ojca. Podobno zabiła go febra...-To się zdarza – wtrącił Antypater.

– I to nagminnie... Tylko gdy ludzie zaczęli drążyć temat, okazało się, że nikt nie wpadł na trop medyka, którego wezwano do łóża chorego. Nie znaleziono też nikogo, kto byłby świadkiem pochówku. Wszystko najwyraźniej odbyło się w ścisłym gronie domowników. A kiedy już ciało spłonęło na stosie, wraz z nim znikają wszelkie dowody ewentualnej zbrodni... W popiołach nie widać ran ani oznak otrucia, prawda? Potem wspomniano śmierć ojca Tymona, równie nagłą, a w świetle ostatnich wydarzeń nie mniej podejrzaną. W obydwu wypadkach, ze względu na brak

męskich krewnych, spadek zgarnęły wdowy, mimo wszystkich prawnych ograniczeń w bezpośrednim dziedziczeniu majątku przez kobiety. I oto mamy dwóch martwych mężów i dwie żony w pełni życia, cieszące się pełną schedą.

Antypater był wyraźnie wstrząśnięty.

– Czyżbyś insynuowała, że ta przemiła młoda niewiasta z zimną krwią zamordowała męża, i to przy współudziale teściowej... jego matki, na bogów!... i przywłaszczyła sobie jego pieniądze? I teraz te dwie zabójczynie pędzą szczęśliwy żywot, korzystając z owoców niesłychanej zbrodni? A gdzie dowody na poparcie tak straszliwego oskarżenia? Sam pomysł wydaje się absurdalny.

– Może tobie – odcięła się Bitona. – Ja jednak chyba lepiej wiem, do czego zdolna jest kobieta, gdy pragnie niezależności.

– Ale żeby matka zamordowała własnego syna, i to wspólnie z synową? To nie ma najmniejszego sensu.

– Kuzynie, nie doceniasz złożoności niewieściego umysłu i emocji, jakie nim targają. Wydaje ci się, że matczyzna miłość to jedyny sens życia kobiety, niektóre z nas jednak wyłamują się ze schematu oddanej żony i troskliwej matki. Świat jest bardziej skomplikowany, niż ci się wydaje. – Bitona zniżyła głos. – Niektórzy nawet podejrzewają, że Tryfosa i Korynna są kochankami.

– Dostyc, kuzynko! Masz zapewne na myśli bywalców twoich przyjęć. – Poeta spochmurniał. – Jeśli podczas tych, jak mówisz, uczonych dyskusji roztrząsa się podobne kwestie, to zdecydowanie wolę towarzystwo Herodota. -Jak sobie życzysz, kuzynie.

Wytrawna gospodyni pojęła, że konwersacja niebezpiecznie się rozgrzewa, i delikatnie zmieniła temat. Przez resztę wieczoru rozmawialiśmy o przyjemniejszych sprawach.

Obfita wieczerza przerosła możliwości żołądka mego mentora, albowiem nazajutrz nosa nie wyściubił ze swego pokoju, tłumacząc się niestrawnością. Uwagi Bitony nie uszła jednak moja chęć poznania obcego miasta i zaoferowała się, że mnie po nim oprowadzi.

– Pójdziemy tylko we dwoje? – zdziwiłem się.

– Oczywiście, że nie! – Biel jej zębów w wesołym uśmiechu była zniewalająca. – Będzie nam towarzyszył niewolnik do posług i ochroniarz, by nieść sakiewkę. Gdy rozbolą nas nogi, weźmiemy sobie lektykę.

– Miałem na myśli...

– Zastanawiałeś się, czy wypada, bym pokazała się publicznie w towarzystwie przystojnego, dwa razy młodszego mężczyzny, z którym nie jestem w żaden sposób spokrewniona? Cóż, Gordianusie, jesteś już dużym rzymskim chłopcem. Musisz sam zdecydować, czy chcesz mojego towarzystwa.

– Pokażesz mi Mauzoleum?

– Nie znalazłbyś bardziej kompetentnego przewodnika. Znam historię kryjącą się za każdym detalem grobowca. Jeżeli na straży będą stali odpowiedni ludzie, być może uda nam się zajrzeć na sam jego szczyt. Nie każdy ma tam wstęp.

– Na co więc jeszcze czekamy?

Bitona nie przesadziła ani trochę, zachwalając swą znajomość miasta. Zwiedzanie zaczęliśmy od królewskiego pałacu, wzniesionego przez Mauzolososa w czasach, gdy Halikarnas był stolicą Karii. Zbudowano go w niekonwencjonalny sposób; detale wykonano z marmuru, lecz do murowania konstrukcji nośnej użyto cegieł pokrytych tynkiem tak pieczołowicie wypolerowanym, że w słońcu błyszczał niczym szkło.

Stamtąd lektyką pojechaliśmy na wzgórze Aresa. Po wizycie w Efezie pierwsza lepsza świątynia nie była już w stanie zrobić na mnie wrażenia, tej

jednak nie sposób było odmówić wielkości, skryta zaś wewnątrz podobizna boga wojny wywoływała w sercu trwogę i podziw.

Zeszliśmy z powrotem w dolinę traktem biegnącym przy amfiteatrze, dzięki czemu mogłem przyjrzeć mu się z bliska, następnie przemierzyliśmy rojną i gwarną dzielnicę straganów i wyszynków, gdzie wrzuciliśmy coś na ząb. W końcu dotarliśmy pod Mauzoleum. Najpierw obeszlśmy je ze wszystkich stron, bym mógł się napatrzyć na rzeźbione szczegóły. Bitona nie pamiętała dokładnej liczby posągów zdobiących grobowiec, ale było ich około dwustu pięćdziesięciu – mogłyby zasiedlić całe miasteczko, pomyślałem. Wskazywała, gdzie widać wpływy rozmaitych porządków architektonicznych – widoczna oznaka, że Karia leży na styku wielkich kultur świata. Niższe warstwy przypominały niezdobytą perską twierdzę, górna kondygnacja z kolumnadą była niezaprzeczalnie grecka, dach zaś wyraźnie nawiązywał do tradycji Egiptu i kolejnego cudu świata, Wielkiej Piramidy. Musiałem przyznać, że architekt potrafił połączyć wszystko to w spójną, harmonijną całość.

Bitona stanęła na wysokości zadania i przekonała strażnika, by wpuścić nas do środka. Wewnątrz – ku memu zaskoczeniu – nie zobaczyłem monumentalnej sali, a tylko ciasne i kręte schody prowadzące do otaczającej kolumny esplanady. Sądziłem, że podbudowa zawiera liczne komnaty, a u góry za kolumnami kryje się świątynia, lecz moja przewodniczka wyprowadziła mnie z błędu – poza komorą grobową w całej budowli nie ma żadnych pomieszczeń. Z punktu widzenia inżynierii pusta przestrzeń była tu wykluczona; tylko bryła z litego kamienia mogła utrzymać niewyobrażalnie ciężką piramidę, na dodatek zwieńczoną złotym rydwanem.

Niewolnik i ochroniarz zostali na zewnątrz, a my podjęliśmy żmudną wspinaczkę. U szczytu schodów z trudem już łapałem oddech, lecz

uznałem, że wrażenie było warte wysiłku: z bliska wielkie kolumny wyglądały jeszcze bardziej imponująco, a wobec gigantycznych posągów Mauzolosy i Artemizji oraz ich przodków poczułem się tak, jak pies musi się czuć w cieniu człowieka. Jednakże kiedy się odwróciłem i ujrzałem roztaczającą się u mych stóp panoramę, wydało mi się, że jestem równy bogom. Mój wzrok sięgał ponad zatokę usianą miniaturowymi statkami, ponad labiryntem wysp i półwyspów aż do morskiego bezmiarów. Na horyzoncie bieliło się kilka małych jak kropki żagli. Nigdy jeszcze nie znalazłem się tak wysoko, nawet u nas na Kapitolu; i pomyśleć, że dostałem się tu schodami, które były dziełem ludzkich rąk.

– Zaiste, cud świata! – szepnąłem w zachwycie.

Bitona uśmiechnęła się, a jej dłoń spoczęła na moim ramieniu. Ten gest sprawił mi niewysłowioną przyjemność. Zadrzałem; wysokość przyprawiała mnie o zawroty głowy. Byliśmy sami. Pchnięty impulsem pocałowałem ją w usta.

Nie odtrąciła mnie i odsunęła się dopiero po kilku długich uderzeniach serca.

– Sądzę, że kuzyn Antypater nie pochwaliby twego zachowania, młodzieńcze – powiedziała z uśmiechem.

– Nie ma go tutaj. Nigdy nie pokonałby tych schodów!

Wybuchnęliśmy śmiechem i powoli ruszyliśmy dookoła kolumnady; z każdej strony witał nas nowy, równie wspaniały widok.

– Bitono,” czy mogę zadać ci osobiste pytanie?

– Możesz.

– Czy w tym, co robisz... chodzi tylko o pieniądze?

– To rzeczywiście osobiste pytanie! – Zaśmiała się perliście. – Ale skoro pytasz tak grzecznie, odpowiem. Nie, nie tylko o pieniądze. Styl życia

hetery zawsze mnie intrygował, nigdy jednak nie sądziłam, że dane mi będzie samej go doświadczyć.

– A więc lubisz to, co robisz?

Kolejny wybuch śmiechu.

– Możesz mi nie wierzyć – odparła – lecz kobieta, nawet w moim wieku, również jest zdolna odczuwać cielesną przyjemność.

– Przecież wiem, chodziło mi tylko o...

– Dlaczego Artemizja wypłała prochy Mauzolososa? Bo myślała, że magicznym sposobem przywróci go do życia? Nie! Tęskniła za nim fizycznie, pożądała go i jedynie w ten sposób mogła się z nim połączyć. Po śmierci mego męża przekonałam się, że też mam pragnienia... ale nie widziałam powodu, by kontentować się popiołem, kiedy wokół tylu żywych, atrakcyjnych mężczyzn. Dla Artemizji pożądanie było silniejsze od śmierci, dla mnie jest silniejsze od starości. – Wyprzedziła mnie i wpatrzyła się w przestrzeń. – A jak jest z tobą w tej materii, Gordianusie? Miałeś wiele kobiet?

Znów spiekłem raka.

– No, prawiczką już nie jestem – odrzekłem zuchowato, wspomniawszy ostatnią noc w Efezie.

– Lecz pewnych rzeczy jeszcze nie doświadczyłeś. – Pokiwała głową. – Nic w tym złego. Przynajmniej masz na co czekać. Mój kuzyn pokaże ci tak zwane siedem cudów, ale zobaczysz, że po świecie chodzą też cuda nie z brązu i kamienia, lecz z gorącej krwi i kości.

Ty jesteś cudem, Bitono! – chciałem z siebie wyrzucić, lecz bałem się, że wyjdę na głupka. Zamiast tego przyjąłem rzeczowy ton.

– Czy zawsze każesz sobie płacić za towarzystwo?

– Jakże ciekawe pytanie, młody człowieku. Nie, nie zawsze i nie każdemu. – Odwróciła się i stanęła na wprost mnie. – Niezależnie od tego,

czy sprzedaję czy rozdaję me względy, jestem kobietą niezależną. To dla mnie ważne, żebyś to rozumiał, Gordianusie. Mężczyźni płacą mi, lecz nie mogą mnie kupić. Nikt nie ma mnie na własność i nigdy nie będzie miał. Pamiętaj o tym, jeśli kiedykolwiek będziesz znów chciał mnie pocałować. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Wątpię. Jesteś jeszcze młody, a serce nie sługa. Chcę jednak wyrazić się jasno, bez względu na to, co się między nami wydarzy.

Dotarliśmy tymczasem na zachodnią część grobowca i mogliśmy podziwiać niksące za widnokretem słońce. Stwierdziłem, że jedynym widokiem w Halikarnasie piękniejszym od słońca zachodzącego za Mauzoleum jest zachód słońca oglądany ze szczytu Mauzoleum zwłaszcza jeśli patrzy się na to, mając u boku kogoś takiego jak Bitona.

Choć moja przewodniczka deklarowała, że ze wszystkich świątyń Halikarnasu najbliższa jej sercu jest ta poświęcona Afrodycie i Hermesowi – jako że sama należała do najgorliwszych czcicielek bogini – tego dnia nie zdążyliśmy już zwiedzić ani jej, ani też groty Salmakis, o której wspominał Antypater. Nasza gospodyni powiedziała, że w tym miesiącu przypada doroczne święto nimfy i wtedy właśnie tam pójdziemy.

Mój nauczyciel zmagał się z niedyspozycją jeszcze przez kilka dni. Do zdrowia wrócił dopiero w dniu, kiedy miało się odbyć przyjęcie.

– Zmieniłeś zdanie, kuzynie? – zapytała pani domu w przerwie między gorączkowymi przygotowaniem. – Czy Zotikos z Zeugmy zaszczyca nas dziś swoją obecnością?

– Niestety, Bitono, twoja kuchnia mi nie służy, a spodziewam się, że nie inaczej zareaguję na twoich gości i ich rozmowy. Jeśli pozwolisz, dziś wyruszę w podróż z Herodotem.

– A ty, Gordianusie?

Popatrzyli na mnie oboje z pytająco uniesionymi brwiami.

– Myślę, że wezmę udział w zabawie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Antypater zacisnął usta, lecz nic nie powiedział; Bitona wydawała się zadowolona.

Pierwsze zjawiły się koleżanki Bitony. Kiedy znalazły się w komplecie, gospodyni dokonała prezentacji. Było ich pięć, z czego trzy egzotycznego pochodzenia; dwie pozostałe dzieliły z Bitoną stan wdowi, wszystkie zaś były od niej młodsze. Nie znalazłbyś jednak wśród nich płoczej trzpiotki; to były wytworne i pewne siebie damy. Każda reprezentowała inny typ urody: zmysłowa blondynka, smukła rudowłosa i tak dalej. Ich suknie były udrapowane i spięte tak, by podkreślić figurę, lecz w dobrym smaku i bez przesadnego jej odsłaniania. Najśmielszą kreację przywdziała Bitona; to wtedy po raz pierwszy ujrzałem zwiewną tkaninę zwaną jedwabiem z Kos. Jej zielony kolor współgrał z barwą oczu pani domu, materia zaś tak była połyskliwa i przejrzysta, jakby miast ubrania właścicielka miała na sobie tylko falującą warstewkę wody, która jakimś cudem przylgnęła jej do ciała. Gdy panie mościły się na sofach, a niewolnicy czynili ostatnie przygotowania, Bitona wzięła mnie na bok.

– Niedługo przyjdą goście – powiedziała. – Zanim się zjawią, powinieneś wybrać sobie towarzyszkę.

– Towarzyszkę?

– Na później.

– Och.

– Czy któraś bardziej ci się podoba? Przyjrzyj się jeszcze.

Nawet nie spojrzałem na tamte, lecz intensywnie wpatrywałem się w rozmówczynię.

– Myślę, że wiesz, z kim chciałbym spędzić wieczór.

Uśmiechnęła się i złożyła na mych wargach ulotny pocałunek niczym muśnięcie letniego wietrzyku.

Gośćmi, których tego dnia podejmowała nasza gospodyni, było pięciu eleganckich mężczyzn o nienagannych manierach; przybyli odziani w barwne tuniki rzymskiego kroju, na stopach mieli kosztowne trzewiki, niczego nie można też było zarzucić ich elokwencji. Dwóch z nich sam Antypater uznałby pewnie za dowcipnych. Rozmowa krążyła wokół polityki (wymieniano ostrożne spostrzeżenia w kwestii nabrzmiewającego konfliktu między Rzymem a królem Pontu Mitrydatesem), interesów (zastanawiano się, jak ewentualna wojna może się odbić na handlu) i sztuki (tu tematem dnia było wznowienie Faetona Eurypidesa podczas ostatniego festynu, które jednogłośnie okrzyknięto wielkim sukcesem). Jadło było przepyszne, a wino lało się strumieniami, ale rozcieńczone wodą, nikt więc nie upił się zbyt szybko.

Po posiłku przyszedł czas na uciechy. Jedna z dziewczyn śpiewała, a druga akompaniowała jej na lirze. Trudno było odmówić im talentu. Następnym punktem programu był taniec Bitony w rytm grzechotek i tamburynów, którymi wymachiwała inna hetera. Gdy tak ją podziwiałem w płasach, przypomniał mi się jeden z wierszy Antypatra, traktujący o słynnej kurtyzanie z Koryntu, która wyjechała do Rzymu, by tam parać się swym zawodem:

*Jej sarnich oczu głębie od snu się miększe zdają.
Ramiona białe falują jak woda z ruczaju.
Gdy tańczy, jej tułów zda się kośćca pozbawiony –.
Tak miękki i plastyczny niczym ser topiony.
Oto rusza do Italii Rzymian bałamucić,
By z serc wojowniczość chcieli, a z rąk oręż zrzucić.*

No, tego Rzymianina już ze szczętem zbałamuciłaś, przemknęło mi przez myśl, gdy śledziłem jej ruchy, oczu od niej niezdolny oderwać...

Po tańcu Bitona przysiadła się do mnie. Była rozgrzana i zarumieniona; czułem bijące od niej fale ciepła. Wyobraźnia zaczęła podsuwać mi fascynujące wizje i dopiero po długiej chwili dotarło do mnie, że rozmowa zesłała na kobiety z sąsiedniego domu.

– Nie dalej jak kilka dni temu widzieliśmy je na balkonie – opowiadała gospodyni. Tryfosa czytała synowej na głos...

– Ten skandal trwa już o wiele za długo! – wykrzyknął jeden z mężczyzn, młodszy i bardziej krewki od pozostałych.

– A cóż niby mielibyśmy począć? – westchnął inny, z resztkami włosów starannie przylizanymi w rzadkie pasemka na łysinie. – Wszyscy wiemy, co tam się musiało wydarzyć. Udusiły biedaka albo otruły, ale brak na to dowodów.

– Są dowody czy ich nie ma, coś jednak trzeba z tym zrobić. – Raptus nie dawał za wygraną. – Doprawdy, jak tu siedzę, przysięgam, że tak tego nie zostawię!

– Co zamierzasz? – spytała Bitona.

– Z pewnością jeśli nie w Halikarnasie, to gdzie indziej żyje jakiś krewny Tymona. On mógłby przejąć majątek i przywołać te niebezpieczne baby do porządku. Jeśli zaś ten sposób zawiedzie, zawsze można wnieść oskarżenie, a wtedy władze muszą przesłuchać niewolników. Oni na pewno znają prawdę.

– Niewolnicy bywają bardzo lojalni. – Łysoń pokręcił głową z rezygnacją.

– Tortury łamią najtwardszych. Dajcie mi godzinę sam na sam z jednym z nich, a wyciągnę z niego prawdę. Wówczas złamię się pozostali, a karząca ręka sprawiedliwości wreszcie dosięgnie te bezczelne modliszki!

Trochę przestraszył mnie ten ferwor. Zerknąłem na Bitonę, która tylko uśmiechnęła się pobłaźliwie i skierowała konwersację na mniej drażliwe tory. Zapał narwańca był pewnie słomiany, lecz pomysł torturowania niewolników i tak zajadła wrogość wobec pięknej Korynny wytrąciły mnie z równowagi. Żałowałem, że nie ma z nami Antypatra; on pokazałby raptusowi, gdzie jego miejsce. Z drugiej strony przy starym nie miałbym odwagi przyciskać uda do nogi Bitony, jak to teraz robiłem; ona zaś odpowiadała mi tym samym.

Nie żałowałem sobie wina i w końcu niedawny problem rozplynął się w przyjemnym rauszy ku. Zapomniałem zaś o wszystkim natychmiast, gdy Bitona szepnęła mi na ucho, że pora już przejść do sypialni.

Czas w Halikarnasie płynął jak sen. Wiosna dopisywała, Antypater cieszył się chyba z towarzystwa zakurzonych tomów, a my z Bitoną też się nie nudziliśmy. Nie sądziłem nawet, że istnieje tyle sposobów miłego spędzania czasu, a pani domu znała je chyba wszystkie.

Kilka dni po przyjęciu nasza trójka, to znaczy Antypater, Bitona i ja, wyruszyliśmy na zwiedzanie świątyni Afrodyty i Hermesa, a następnie mieliśmy wziąć udział w celebrze przy źródle Salmakis.

Krótko przedtem wyszedłem jeszcze na balkon i ujrzałem – dopiero drugi raz od naszego przyjazdu – wdowę z Kommageny. Siedziała spowita w czerń i patrzyła na zachód słońca. Widocznie poczuła na sobie mój wzrok, nagle bowiem podniosła głowę i spojrzała prosto na mnie. W jej błękitnych oczach dostrzegłem coś nienaturalnego... ale znów nie byłem pewien, czy to nie złudzenie wywołane opowieścią Bitony.

Zespół wprawnych tragarzy niósł nas przez miasto w sporej lektyce. Antypater podziwiał Mauzoleum z jednej strony skąpane w zachodzącym słońcu, z drugiej zaś spowite cieniem. Zwróciłem się do Bitony. -Myślisz, że ten człowiek naprawdę wniesie oskarżenie przeciw twoim sąsiadkom?

– Jaki człowiek?

– Ten narwaniec z przyjęcia.

– Ach, Straton! Często się tak czupurzy. Nie waha się jednak naprawdę ciągać ludzi po sądach. Raptus z niego! Nie zdziwiłabym się, gdyby zrealizował groźbę... choćby tylko po to, by zrobić na mnie wrażenie.

– A gdyby udało mu się doprowadzić do ukarania wdów, byłabyś pod wrażeniem?

– Nie wiem. – Zmarszczyła brwi. – Musielibyśmy być pewni, co tam się wydarzyło.

Antypater nie słuchał naszej rozmowy, zajęty własnymi myślami.

– Źródło Salmakis! – wykrzyknął nagle. – Nie widziałem go od czasu pierwszej wizyty w Halikarnasie, wiele lat temu. Byłaś wtedy jeszcze małą dziewczynką, Bitono. Trudno jednak zapomnieć historię nimfy Salmakis. Znasz ją, Gordianusie?

– Nie. Opowiedz mi, proszę.

– Jaki to świetny materiał na wiersz! Dawno, dawno temu, jeszcze zanim ludzie zbudowali tu miasto, nimfa Salmakis zamieszkiwała jaskinię, gdzie bije źródło dziś noszące jej imię. Pewnego dnia piękny młodzieniec zabłądził w te okolice. Dzień był upalny, zrzucił więc odzienie i już, już miał zanurkować w sadzawce. Salmakis przyglądała mu się z jej dna i ogarnęło ją pożądanie, młodzian ten nie był bowiem zwykłym śmiertelnikiem, lecz spłodziło go dwoje bóstw: Afrodyta i Hermes. Na imię mu było Hermafrodyt. Salmakis wynurzyła się z wody i wpiła w chłopca wzrok. Wyznała mu miłość i rzuciła się w ramiona. Hermafrodyt miał tylko piętnaście lat, nie był gotowy do miłości, a mokre i pospieszne pocałunki nimfy budziły w nim obrzydzenie. Wskoczył do wody, by się od niej uwolnić, nie wiedział jednak, że to z niej nimfa czerpie moc. Salmakis

rzuciła się za nim, stała się giętka niczym wodorost i owinęła się ciasno wokół niego. Nie było ucieczki!

– Utopiła go? – spytałem. –Gdyby tylko! – zawołał dramatycznie Antypater. – Ponieważ on jej nie chciał, a ona nie mogła znieść myśli o rozłące z nim, wezwała bogów, by złączyli ich ciała tak, jak zrosnąć się mogą dwie gałęzie. Bogowie nie pozostali głusi na błagania nimfy. Gdy Hermafrodyt wynurzył się z wody, nie był już pięknym efebem, lecz stworem obojga płci. Odtąd źródło Salmakis ma szczególną właściwość: mąż, który się z niego napije lub w nim skąpie, staje się po części kobietą.

– Jeśli to prawda, mężczyźni muszą je omijać szerokim łukiem! – Zaśmiałem się nerwowo na samą myśl o takiej przypadłości.

– Zdziwisz się – wtrąciła Bitona. – Są tacy, którzy źle czują się w męskim ciele. Przybywają tu, by prosić bogów o podobną łaskę. Czyżbyś nie wierzył w tę historię, Gordianusie?

– Nie bardzo.

– Zaczekaj więc, aż ujrzysz rytuał.

Noc już zapadła, gdy dotarliśmy do świątyni. Zastaliśmy tam może setkę ludzi. Dym kadzidlany buchał z ołtarza całymi obłokami; zgromadzeni zanosili modły do Afrodyty i Hermesa, a także do ich potomka. W końcu wszyscy – zauważyłem, że kobiet jest zdecydowanie więcej – wylali się na zewnątrz.

Ruszyliśmy krętym gościńcem przez prastary gaj aż do przepastnej groty. Woda ściekała z omszałych ścian otaczających staw szeroki na jakieś dwadzieścia stóp i dwakroć dłuższy. Mrok rozświetlały tam jedynie zawieszane na hakach lampiony; ich odbicia tańczyły figlarnie na wodzie. Jaskinię wypełniały stłumione szepty i donośne kapanie wody.

Kapłani podeszli do brzegu sadzawki. Towarzyszył im chłopiec o czarnych włosach do ramion, przyodziany tylko w luźną szatę, którą

zresztą szybko zrzucił, gdy mężczyźni zaintonowali modlitwy. Odwrócił się do tłumu, by każdy widział jego nagość; był jeszcze dzieckiem i nie miał na ciele męskiego owłosienia.

Chłopiec powoli wszedł do wody. Śpiewy osiągnęły wyższe rejestry, gdy kapłani wezwali Salmakis, by okazała swą moc. Chłopiec, odwrócony plecami do zgromadzonych, nieustraszenie brnął w głąb stawu. Woda sięgała mu do kolan, potem do pasa, w końcu do ramion. On jednak sunął dalej, aż zanurzył się kompletnie. Przez dłuższą chwilę nie dawał znaku życia, nie dostrzegłem na lustrzanej powierzchni nawet bąbelków. Nagle wynurzył się i kontynuował marsz przez staw. Jego mokre włosy lśniły w nikłym świetle; ukazały się białe ramiona i plecy, w końcu pośladki i łydki. Wyszedł z wody na drugim brzegu i powoli obrócił się ku nam.

Kilka osób obok mnie stłumiło okrzyk, inni dali głośno upust radości i uldze. W migotliwym świetle lamp wyraźnie ujrzeliśmy dowód mocy Salmakis: przed nami stała teraz dziewczynka.

– Niemożliwe! – wyszeptałem skołowany. Tuż za mną Bitona podjęła śpiew z innymi; zrozumiałem, że to tradycyjna pieśń na tę okazję, sławiąca potęgę bogów, zdolną zmieniać, co niezmiennie.

Obejrzałem się przez ramię. Na twarzach zebranych malowała się niekłamana radość. Przez chwilę zdawało mi się, że widzę wdówkę z Kommageny, ale światło było zwodnicze, a po tym, czego przed chwilą byłem świadkiem, nie dowierzałem zbyt własnym oczom.

Kapłani oznajmili, że każdy, kto chciałby napić się z sadzawki lub w niej zanurkować, ma pozostać, reszta zaś musi odejść. Bez żalu opuściłem to mroczne, wilgotne i tajemnicze miejsce.

– Bliźnięta! – tłumaczyłem Antypatrowi następnego dnia, gdy odpoczywaliśmy na balkonie. – Używają do tego bliźnięt!

– Ty wciąż o tym rytuale? – Stary zmarszczył brwi. – Byliśmy świadkiem cudu, Gordianusie. To była boska interwencja, nie żadne kuglarstwo. Masz się tym nabożnie zachwycać, a nie szukać dziury w całym.

Podniosłem się z krzesła i zacząłem dreptać w kółko.

– Jaskinia jest poszatkowana szczelinami – snułem rozważania na głos. – Pod wodą musi być jama zdolna pomieścić dziewczynkę i dość powietrza, by wytrzymała tam jakiś czas. Jedno z bliźniąt wchodzi do sadzawki i zamienia się miejscami z siostrą, która wychodzi na powierzchnię.

– Naprawdę uważasz, że po świecie chodzi tyle bliźniąt, by kapłani mogli co roku angażować nową parkę, i to nieznaną nikomu z wiernych? Poza tym bliźnięta różnych płci nigdy nie są jednakowe.

– No dobrze, może to nie muszą być bliźnięta – nie dawałem za wygraną. – Wystarczy, by byli podobni z postury i fryzury. W tej jaskini jest tak ciemno, kapryśne światło nie ułatwia sprawy, drugi brzeg stawu daleko...

– Zamilknijże wreszcie, młodzieńcze. Poczułem natchnienie. – Mistrz przymknął powieki i wystawiwszy twarz na promienie słońca, zadeklamował:

Cóż jest w Halikarnasie powietrzu i wodach, Ze tak zaborczymi tu niewiasty czyni? Toż obłęd, gdy proch męża pije monarchini. Lecz wykastrować boga, jak Salmakis młoda, Zrastając się z nim w... w... zrastając z nim się...

Głos starca powoli cichł. Mamrotał coś jeszcze niezrozumiale przez moment, po czym zachrapał donośnie.

– Mój drogi kuzyn i jego drzemki – rzuciła kpiąco Bitona, która nagle zmaterializowała się na balkonie. – Tak dziś ciepło, co za sielskie popołudnie. Może my też powinniśmy się zdrzemnąć?

– W środku dnia? Nie chce mi się spać.
– Ale ci się zachce.
– Tak sądzisz?
– Kiedy już cię wymęczone! – Uniosła filuternie brew, odwróciła się i zniknęła w głębi domu.

Zerwałem się z krzesła i ruszyłem za nią.

Godzinę później obudziłem się zlany zimnym potem mimo wszechobecnego skwaru.

Miałem sen. W moim koszmarze zbrojni ludzie wyłamali drzwi domu Tryfosy i jej synowej. Brutalnie wyciągnęli na ulicę niewolników, nic sobie nie robiąc z ich wrzasków i protestów gospodyni. Nieszczęsnych wepchnięto na wóz, który zabrał ich – nie widziałem tego, lecz wiedziałem – gdzieś do lochu na tortury. Tryfosa stawiała opór; uciekła na balkon i zagroziła, że skoczy. Korynnę zapędzono w róg, gdzie plugawi żołdacy okrutnie sobie z niej dworowali; zdarli z niej welon, a potem i czarną suknię...

Wyśliznąłem się z łóżka, nie budząc Bitony, i szybko narzuciłem tunikę. Antypater z głową mocno odchyłoną w tył wciąż chrapał i ślinił się na balkonie. Wymknąłem się z willi i ruszyłem do domu pogrążonego w żałobie. Załomotałem do drzwi. Gburowatemu odźwiernemu wyłuszczyłem, że przebywam w gościnie po sąsiedzku i muszę się widzieć z jego panią. Nie przebijając w słowach, kazał mi się wynosić. Tłumaczyłem, że sprawa ta jest najwyższej wagi; w odpowiedzi bezczelnie zatrzaskał mi drzwi przed nosem.

Wróciłem do domu i znów wszedłem na balkon. Antypater dalej spał, choć już bezgłośnie. Wahałem się przez chwilę, po czym wyjrzałem przez balustradę i zmierzyłem wzrokiem odległość do pustego balkonu sąsiadek.

Oszacowałem, że pokonawszy kilka wąskich gzymsów, da się tam przeskoczyć – lub też runąć i skrócić kark.

Pewne rzeczy robi się, mając osiemnaście lat, a później – kiedy człowiekowi przybędzie trochę oleju w głowie – raczej się ich unika. To właśnie była jedna z tych rzeczy. Wiele razy wspomnienie tej straceńczej eskapady przyprawiało mnie potem o dreszczyk; jestem pewien, że tylko dzięki łutowi szczęścia wyszedłem z niej żywy.

Wtedy oczywiście o tym nie myślałem. Parłem ostrożnie przed siebie, balansując na palcach i przywierając do nierówności w murze, ale kilkakrotnie omal nie straciłem równowagi. W końcu nadludzkim susem znalazłem się na sąsiednim balkonie.

Ta igraszka ze śmiercią jeszcze mnie podekscytowała, czułem się więc na siłach zrobić kolejny, potencjalnie jeszcze bardziej niebezpieczny krok i wejść do domu, w którym nie miałem prawa przebywać. Z tego, co się orientowałem, tutejsze prawo zezwalało na zgładzenie włamywacza bez ostrzeżenia. Powoli jednak uczyłem się słuchać głosu mej natury – byłem skłonny podejmować względnie niewielkie ryzyko, gdy na szali ważyły się wielkie stawki. Jeśli moje podejrzania miały się okazać uzasadnione, wdowy dopuściły się oszustwa, lecz nie zbrodni. Nie zamierzałem beczynnym się przyglądać, jak narwaniec Straton niszczy dwóm kobietom życie tylko dlatego, że chce wyrzucić wrażeń na innej.

Plan był taki: zamierzałem odszukać jedną z sąsiadek, błyskawicznie zapewnić ją, że mam pokojowe zamiary (zanim podniosą alarm i każą mnie zatłuc albo zrzucić z balkonu na ulicę), poinformować, jakie niebezpieczeństwo nad nimi wisi, po czym wyznać, że domyślam się prawdy. Wiedziałem jednak, że najlepiej nawet zaplanowane akcje (nie mówiąc o takich naprędce upichconych) mają to do siebie, iż lubią się

potoczyć w nieprzewidziany sposób. Skąd mogłem wiedzieć, że to, co w moim zamyśle miało się stać na końcu, wydarzy się najpierw?

Z balkonu dostałem się do niewielkiej, urokliwej jadalni. Nikogo tam nie spotkałem, przeszedłem więc do krótkiego korytarza, a z niego do pierwszej z brzegu izby. Pech chciał, że trafiło akurat na garderobę Korynny. Bardziej niezręcznej sytuacji nie mógłbym sobie wyobrazić; młoda wdowa w asyście teściowej właśnie się przebierała i gdy stanąłem w drzwiach, była całkowicie naga. Wystarczył mi jeden rzut oka, by stwierdzić, że nie jest ani wdową, ani synową.

Antypater nigdy się nie dowiedział, czegom się dopuścił, lecz Bitonie musiałem wszystko wyjawić. Tylko ona mogła powstrzymać Stratona przed wniesieniem niesłusznego oskarżenia.

Po wieczerzy mój mentor jak zwykle zaszył się w bibliotece. Jego kuzynka doskonale widziała, że mam jej coś ważnego do powiedzenia, najpierw jednak zażądałem przysięgi przed posągiem Afrodyty, że nikomu tego nie powtórzy. Siedliśmy na balkonie pod gwiazdami i wtedy zrelacjonowałem jej całą historię, zaczynając od moich domysłów musiały ją zaskoczyć, powstrzymała się jednak od komentarzy – a kończąc na ich nieoczekiwanym a dobitnym potwierdzeniu.

– Jakim cudem wciąż żyjesz? – spytała, gdy dotarłem do momentu, w którym spotykam obydwie panie w nader krępującej sytuacji. – Kara, jaką wymierzyła Akteonowi Artemida, jest niczym w porównaniu do tego, co zrobiłabym temu, kto by mnie naszedł nagą w sypialni!

– Z pewnością moja wizyta ich nie ucieszyła – powiedziałem oględnie. – Musiałem więc mówić szybko, unikając nadlatujących wazonów i innych improwizowanych pocisków, jakimi jęły mnie obrzucać! W końcu jednak przekonałem je, że chcę im pomóc. Dobrze się stało, że zastałem Korynnę rozebraną do rosołu; gdybym napotkał ją okutaną jak zwykle w czerń,

wyparłaby się wszystkiego. Ponieważ jednak moja hipoteza została udowodniona empirycznie, nie miała żadnego wykrętu. Kiedy nakreśliłem zagrożenie, jakie stanowi dla nich twój gorliwy moralista Straton, i zadeklarowałem, że z całego serca pragnę go powstrzymać, zrozumiały, że nie wróg, lecz przyjaciel. Życie w nieustannym kłamstwie oduczyło je ufności do ludzi. Gdy Tryfosa w końcu wyjawiała mi wszystko, rozpłakała się z ulgi. Myślę, że już dawno pragnęła zrzucić z serca ciężar ich tajemnicy. To jak, Bitono, możesz to zrobić?

– Co mianowicie?

– To, co im obiecałem: odwieść Stratona od jego zamiarów.

Machnęła ręką.

– To żaden problem. Dość będzie mu powiedzieć, że się pomyliliśmy co do wdów, że przeprowadziłam z nimi długą rozmowę i wszystko się wyjaśniło, a wszelkie oskarżenia o morderstwo są niedorzeczne.

– Czy jemu to wystarczy?

– Wątpisz w moją siłę perswazji, Gordianusie? – Bitona zmrużyła oczy.

Gdzieżbym śmiał... Pokręciłem głową i powiedziałem:

– Słyszałem o takich ludziach, zrodzonych na podobieństwo Hermafrodyty, ale nigdy jeszcze nikogo takiego nie spotkałem.

– A ja owszem, lecz tylko w pewnych świątyniach podczas pewnych świąt. Wielu przypisuje im magiczną moc, a osobliwą budowę ciała uznaje za znak łaski bogów, która tytułuje te osoby do posługi w świątyniach, na przykład w roli głosu wyroczni. Tryfosa mogła obwieścić światu naturę swego dziecka, zamiast ją ukrywać.

– Też ją o to spytałem. Ona na to: Miałam pozwolić, by moje dziecko wiodło żywot świętego dziwoląga? Najwyraźniej przy narodzinach dostrzeżono cechy obydwu płci, lecz męska przeważała. Akuszerka uznała, że wagina w końcu sama się zasklepi, więc Tryfosa i jej mąż postanowili

wychować dziecko jak chłopca i nadali mu imię Tymon. Potem śmierć zabrała jej męża i Tryfosa musiała wychować dziecko sama. W wieku dojrzewania Tymon zaczął jednak przejawiać coraz więcej cech kobiecych. Nastąpił nie tylko rozrost piersi, pojawiły się również żeńskie aspekty osobowości. Tymon nie uważał się za chłopca i chciał się ubierać jak dziewczynka. Matka i jej latorośl przeżyły trudne chwile zwątpienia i rozterki, w końcu jednak znalazły rozwiązanie: postanowiły wyruszyć w podróż, rzekomo w poszukiwaniu narzeczonej, i wrócić z nią, czyli Tymonem, odtąd zwanym Korynną.

– A więc oblubieniec był zarazem oblubienicą! – skomentowała Bitona.
– Jak im się udało uniknąć konieczności pojawienia się we dwoje?

– Nie udało się. Krótco po powrocie do Halikarnasu kilka razy musieli się ludziom pokazać, ale wtedy rolę młodej wybranki Tymona grała jedna z niewolnic, twarz jednak zawsze kryła pod woalem, by nikt jej nie rozpoznał.

– A jak upozorowano śmierć Tymona?

– Zdobyły ciepłego jeszcze trupa, podobnego wiekiem i wyglądem do chłopca, i wyprawiły pośpieszny pogrzeb. Nie obyło się pewnie bez kilku łapówek, lecz cel został osiągnięty: Tymon odszedł w niebyt bez niewygodnych świadków. Odtąd żyła tylko Korynna, wdowa po swym poprzednim wcieleniu.

– Tylko jak ona chciała utrzymać tę maskaradę? Jeśli kiedykolwiek wyjdzie za mąż... ponownie, znaczy... pan młody w noc poślubną niechybnie odkryje, z kim się naprawdę ożenił.

– Może mu to przypadnie do gustu! – rzuciłem. Zdążyłem się już przekonać, że świat potrafi zadziwiać, a ludzie mają najróżniejsze upodobania. – Korynna jest teraz kobietą, a jej matka zrobiła wszystko, by

jej to umożliwić. Dlatego też wzięły udział w rytuale u źródła Salmakis. - Nie widziałam jej tam.

– Mignęła mi, lecz nie byłem w stu procentach pewien, postanowiłem więc nic nie mówić. Po ceremonii kapłani pozwolili przecież zostać chętnym do poddania się przemianie. Korynna napiła się z sadzawki i długo się w niej kąpała. Niestety! Bogowie nie uznali za stosowne spełnić jej marzenia.

– Biedna dziewczyna!

– Widzisz więc, jaką niesprawiedliwością byłoby prześladowanie tych dwóch kobiet przez Stratona czy kogokolwiek innego. Oficjalnie uśmierciły Tymona, lecz przecież nikogo przy tym nie skrzywdziły. Powinno się je zostawić w spokoju i pozwolić iść wybraną ścieżką, prawda? Może nawet spróbujesz się z nimi zaprzyjaźnić. Są w końcu twoimi sąsiadkami.

– Myślę, że mogłabym zaprosić je kiedyś na przyjęcie. – Bitona zadumała się.

– Korynna jest nieśmiała, ale pełna uroku. Co się zaś tyczy jej matki... Mój mistrz trafnie to ujął, choć wiersza nie dokończył: co takiego ma w sobie Halikarnas, że tutejsze wdowy są tak silnymi osobowościami? Tryfosa jest twarda jak stal, błyskotliwa, zaradna i niezależna. Na swój sposób przypomina mi ciebie.

Bitona przyjęła to jak miły komplement i nagrodziła mnie czułym pocałunkiem.

Wiosna płynnie przeszła w lato. Nadszedł czerwiec, jeśli więc mieliśmy zdążyć na olimpiadę i zobaczyć słynną świątynię Zeusa, pora nam była ruszać w drogę.

Bitona przestrzegła mnie na wstępie, że żaden mężczyzna nie może nią zawładnąć. Na nabrzeżu machała nam niestrudzenie na pożegnanie, póki całkiem nie zniknęła mi z pola widzenia. Nie uroniła jednak choćby

najmniejszej łezki; to ja czułem dotkliwy ból rozstania. Zamrugalem i zwiesilem głowe.

– Co się stało, Gordianusie? – spytał Antypater.

– Ot, woda prysnęła mi w oczy i trochę piecze – odparłem, trąc powieki. Ostatnie żegnało nasz statek Mauzoleum, ale i ono stopniowo niknęło za horyzontem: najpierw wielki, piętrowy postument, potem kolumnada, piramidalny dach, a wreszcie złoty rydwan. Wspaniały pomnik żałoby królowej Artemizji na zawsze pozostał w mej pamięci, lecz na mym sercu nie mniej trwały ślad odcisnęła inna wdowa z Halikarnasu.

IV

O TEMPORA! O MORES! OLIMPIADA! (Posąg Zeusa w Olimpii)

– Widziałeś kiedyś coś podobnego? – spytał Antypater. – Potrafiłbyś sobie wyobrazić takie widowisko?

Nie widziałem i nie potrafiłbym. Rzymianie kochają świętować; parę sztuk wystawionych w prowizorycznym teatrze, uczta pod gołym niebem, wyścigi rydwanów w Circus Maximus – takie imprezy wielokrotnie widywałem w swoim osiemnastoletnim życiu. Żaden wszakże z rzymskich festynów nie mógłby się równać z chaotyczną swobodą, a tym bardziej ze zdumiewającym rozmachem olimpiady.

Grecy uwielbiają sportową rywalizację. Można powiedzieć, że żyją właściwie dla tych zawodów, podczas których nadzy młodzieńcy przechwalają się atletyczną sprawnością. Tego typu igrzyska organizuje kilka miast w Helladzie, ale najwspanialsze i gromadzące najwięcej zawodników i publiczności są te urządzone co cztery lata w Olimpii. Odbywają się też najdłużej w historii: wraz z moim nauczycielem przybyliśmy oglądać ich sto siedemdziesiąte drugie wydanie. Pomnożywszy tę liczbę przez cztery, zdałem sobie sprawę, że tradycja olimpijska ma już prawie siedemset lat; kiedy na tych polach po raz pierwszy spotkali się najlepsi z najlepszych, Romulus i Remus ssali jeszcze wilczyce, a Rzym się jeszcze nie narodził. Dla Antypatra miały to być trzecie w życiu igrzyska olimpijskie; ja miałem przed sobą pierwsze.

Już samo dotarcie do Olimpii okazało się nie lada sztuką. Z Elidy – miasta zarządzającego organizacją igrzysk – musieliśmy jechać tu jeszcze dwa dni drogą zatłoczoną wozami i piechurami. Wraz z kilkoma przygodnymi towarzyszami podróży mieliśmy do dyspozycji wynajęty wóz zaprzężony w muły i poruszający się w tempie, które zdawało się nudzić nawet te leniwe kłapouchy. O jedzenie i wino nie musieliśmy się martwić – wędrowni sprzedawcy oferowali je na każdym kroku – gorzej jednak było z wodą. Po długim, upalnym lecie płynąca wzdłuż szlaku rzeka była niemal wyschnięta, a miejscowi oberżyści i rolnicy z dostępem do własnych źródeł żądali astronomicznych sum za każdy kubek. O kąpieli nie było nawet co marzyć.

Pierwszą noc przespaliśmy wprost na ziemi, gdyż w żadnym mijanym zajeździe nie było ani jednej wolnej izby, a ludzie zajmowali nawet dachy. Wielu podróżnych zabrało własne namioty, a kilku bogaczy z całymi orszakami służby rozstawiło istne pałace z płótna. W skalistym terenie trzeba było rywalizować o każdy w miarę płaski i gładki kawałek ziemi.

– Gdzie będziemy spać w Olimpii? – spytałem.

– O to nie musisz się kłopotać, Gordianusie – uspokoił mnie Antypater.

O szczegóły już się nie dopytywałem. Podczas naszej podróży do siedmiu cudów świata nauczyłem się już całkowicie ufać memu nauczycielowi we wszystkich kwestiach organizacyjnych.

Drugiego dnia jazdy na drodze panował taki tłok, że nasz wóz utknął na dobre.

– Przejdźmy resztę trasy pieszo – zaproponował poeta, ostrożnie spuszczać nogi na ziemię.

Zszedłszy z wozu, skrył się za przydrożnym głazem, a ja poszedłem w jego ślady pewien, że mistrz chce sobie ulżyć, co i mnie by się przydało. On jednak, gdy tylko sprawdził, że nikt go nie może zobaczyć, wyciągnął

z torby przepaskę na oko i przytwierdził sobie sztuczny nos. Roześmiałem się w głos.

– Cóż to, mistrzu, czyżbyś planował wystąpić w Olimpii jako mim?

Pytanie było tylko w połowie żartem. Antypater uwielbiał zabawiać widownię.

– Przebieram się, bo nie chcę, by mnie ktoś w mieście rozpoznał – odpowiedział szeptem.

– Przecież jak dotąd nigdzie nie było z tym problemu – dociekałem.

– To prawda, Gordianusie, ale jak widzisz, zjeżdża się tu cały grecki świat. Nie wiadomo, na kogo możemy się natknąć. Dopóki więc stąd nie odjedziemy, będę się posługiwał fałszywym nie tylko imieniem, ale i nosem.

– Ale masz dziwnie zmieniony głos! – Znów parsknąłem śmiechem. – To pewnie ten nochal tak cię uciska.

– To dobrze – ucieszył się poeta. – Więc i po głosie nikt mnie nie pozna.

Na trakt już nie wróciliśmy; Antypater uparł się, żebyśmy poszli ścieżką pnącą się na wzgórze, tłumacząc, że widok wart będzie wysiłku, a przy tym zorientujemy się w terenie. Gdy dotarliśmy na szczyt, przyznałem mu rację: u naszych stóp rozpościerała się dolina Alfejosu, a Olimpia wyglądała jak miniatura miasta.

Ściśle mówiąc, Olimpia nie jest miastem, lecz raczej ośrodkiem kultu. Jedynym celem jej istnienia jest organizacja igrzysk poświęconych Zeusowi. Spodziewałem się zobaczyć tam ze dwa tory wyścigowe, parę placów na walki zapaśników i pięściarzy, tłumy widzów, no i oczywiście świątynię Zeusa z jego wspaniałym posągiem dłuta Fidiasza – jeden z cudów świata, dla którego tu przyjechaliśmy. Rzeczywistość znacznie jednak przerastała moje wyobrażenia. Rad chłonałem niewypowiedziane piękno okolicy, aluwialnej równiny usianej topolami, dębami i drzewami

oliwnymi, obramowanej odległymi wzgórzami, które porastał las sosnowy. Tuż za miastem wznosi się wzgórze Kronosa; choć niezbyt wysokie, robi jednak wrażenie, gdyż samotnie wyrasta z płaskiej niziny, no a przy tym opromienia je sława miejsca zmagania Zeusa z ojcem, władcą Tytanów, o panowanie nad wszechświatem. W dolinie Apollo stoczył też kiedyś zwycięski pojedynek na pięści z Aressem, a tam, gdzie teraz stoi stadion, pokonał w wyścigu skrzydłonego Hermesa. Tor odmierzył dla nich sam Herakles – i w tym samym miejscu urządzony został dzisiejszy, teraz świeżo wygrabiony i połyskujący białym piaskiem, gotowy dla tegorocznych zawodników.

W sercu miasta leży słynny Altis – święty gaj Zeusa. Dziś, otoczony murem, ma jeszcze sporo drzew (w tym oliwne zasadzone przez Heraklesa, z którego liści robi się wieńce dla zwycięzców), ale dawny bujny las zastąpiły wzniesione przez stulecia świątynie, gmachy publiczne, portyki i tysiące posągów przedstawiających bogów, ale przede wszystkim nagie sylwetki atletów – każdy bowiem triumfator igrzysk miał prawo do uwiecznienia w brązie. Nad całością dominował masyw świątyni Zeusa ze strzelistymi kolumnami i dachem krytym marmurowymi płytkami. Na całym obwodzie zdobił ją fryz wyłożony połączanymi tarczami, błyszczącymi teraz w popołudniowym słońcu.

Za gajem widniały liczne budowle użytkowe: sale zgromadzeń, baraki dla atletów, a także urządzona z przepychem kwatera dla najważniejszych gości olimpiady. Na uliczkach między nimi pulsował wielotysięczny tłum. Nigdy jeszcze nie widziałem tylu ludzi naraz!

Zeszliśmy w dolinę i wtopiliśmy się w tę podekscytowaną ciżbę. Oczy i uszy atakowała kakofonia widoków i dźwięków; tu popisywał się swą sztuką zongler, kawałek dalej poeta z lirą recytował wiersze, zagłuszany chwilami przez heroldów zapowiadających kolejne punkty programu –

nowe recytacje, koncerty muzyczne bądź debaty filozofów. Herold nawoływał krewnych zawodników, aby zgłaszali się do rejestracji na rezerwację miejsc na trybunach, uprzedzając, że nie dla każdego ich starczy, więc lepiej się pospieszyć. Tęga wróżbiarka głośno zapewniała siwobrodego starca, że dożyje stu lat, po czym wyrwała mu z dłoni przygotowaną monetę, odepchnęła go od prowizorycznego straganu i nachalnie zapraszała następnego klienta. Ludzie spieszyli w różnych kierunkach, inni stali grupkami pogrążeni w rozmowie, wielu jadło coś z oferowanych tu i tam smakołyków, śmiano się, krzyczano i gestykulowano. Minęła nas procesja religijna prowadzona przez kapłankę w powłóczystej białej szacie, za którą dreptały przejęte pacholeta z miseczkami dymiącego kadzidła. Słodkawy dym mieszał się z aromatem świeżo upieczonego chleba i mięs; w pewnej chwili owionął mnie ciężki zapach perfum otaczający niczym chmura zmierzającą w przeciwną stronę delegację egzotycznych (egipskich, jak się domyśliłem po charakterystycznych nakryciach głów) dygnitarzy, niesionych w lśniących złoceniami lektykach. Po jakimś czasie ludzka rzeka wyniosła nas na wielki rynek, gdzie straganiarze przekrzykiwali się, reklamując zdumiewająco bogaty asortyment amuletów i pamiątek. Można tu było kupić miniaturowe figurki atletów – biegaczy, zapaśników, oszczepników, woźniców rydwanów – a także niezliczone repliki Fidiaszowego Zeusa wykonane z drewna, metalu, kamienia, a nawet szklane. Podczas gdy Antypater oglądał niewielką kopię słynnego Dyskobola Myrona, moją uwagę zaprzętnęła mijająca nas para pięknych kobiet, szepczących coś do siebie z perlistym śmiechem. Blondynka i brunetka, obie wysokie i smukłe jak Amazonki, w chitonach tak cienkich, że chyba najlżejszy zefirek mógłby je zdmuchnąć z ich kształtnych ciał. Wiedziałem, że mężatki nie mają wstępu do Olimpii, za to damy innego rodzaju jak najbardziej. Blondyna

spostrzegła, że się na nie gapię, i trąciła koleżankę w bok. Obie obdarowały mnie wymownymi uśmiechami, dając mi do zrozumienia, że ich towarzystwo jest na sprzedaż, ale mnie na to zdecydowanie nie stać.

Miałem wrażenie, że cały świat skupił się w ten jeden kipiący wir, a ja stoję w samym jego centrum.

Wtedy właśnie Antypater zobaczył moją minę i zadał pytanie, czy kiedykolwiek widziałem coś podobnego. Zdołałem tylko pokręcić przecząco głową w odpowiedzi, bez słów przyznając, że nie. Ruszyliśmy dalej przez kłębiącą się ludzką masę i natknęliśmy się na grupę widzów stojących kręgiem wokół jakiegoś wykonawcy. Słyszając salwy ich śmiechu, uznałem, że podziwiają występ jakiegoś mima-komika; choć z drugiej strony ich wesołość miała w sobie coś z drwiny, a od czasu do czasu słyszałem też gwizd albo pogardliwe prychnięcie. Paru mężczyzn wycofało się z koła i odeszło, wyrazem twarzy i kręceniem głów dając wyraz niesmakowi. Wśliznęliśmy się z Antypatrem na ich miejsce, żeby zobaczyć, o co chodzi. Wysoki człowiek, na którym skupiała się uwaga widzów, był bosy i odziany w żebracze łachmany; z głowy zwisały mu przetłuszczone długie włosy, a broda wyglądała tak, jakby ze dwa ptaki uwiły sobie w niej gniazda. Nagie kończyny uderzały nieproporcjonalną długością i chudością; skórę miał ogorzałą od słońca, a oczy zdumiewająco błękitne, na dodatek wytrzeszczał je tak, że źrenice otaczały grube pierścienie białek.

– Głupcy! – wykrzykiwał ów dziwny osobnik, potrząsając sękatym kijem trzymanym w kościstej ręce. – Mówicie, że przybywacie tu ku czci Zeusa, ale tak naprawdę myślicie tylko o swych żądzach! Nie bogów czcicie, ale atletów zmagających się dla waszej rozrywki... najgłupszych i najmniej wartych z was wszystkich!

– Jeśli igrzyska to taka głupota, co ty sam tu robisz, stary durniu? – odkrzyknął któryś z gapiów.

– Jak dobry lekarz zmierza tam, gdzie pełno jest chorych lub rannych, tak mędrcom wypada iść tam, gdzie gromadzą się idioci.

– Uch! – Antypater się skrzywił. – To cynik, zjawiał się, by popsuć wszystkim zabawę.

– A więc tak wyglądają cynicy... – mruknąłem.

Słyszałem o takich wędrownych filozofach, którzy za nic mając własną wygodę (i higienę), paradują po świecie, głośno krytykując wszystko, co daje ich bliźnim jakąkolwiek przyjemność. Antypater mówił mi, że nie brak ich w greckim świecie, ale w Rzymie nigdy żadnego nie widziałem; trudno sobie zresztą wyobrazić, aby tolerowano u nas takie społeczne typy.

Głos zabrał mąż w zielonym chitonie.

– Jak śmiesz się tu zjawiać w czas tych najświętszych igrzysk i szkalować atletów? Cóż może być miłsze bogom niż piękno i co może być piękniejsze nad widok młodzieńców idących z wiatrem w zawody? Powiadam ci, że biegi to najszlachetniejsze z ludzkich zamiłowań!

– Chciałeś chyba powiedzieć, że podnieca cię widok tyłu nagich wypiętych pośladków – odciął się cynik, wzbudzając jaskrawy rumieniec na licu adwersarza i gromki rechot pozostałych. – Cóż to niby jest szlachetnego w bieganiu? Królik i antylopa to najsmiglejsze z ziemskich stworzeń... i najtchórzliwsze zarazem. Myślisz, że Zeusa obchodzi, który tam tchórz umie najszybciej umykać?

To wywołało nową salwę gwizdów, gniewnych okrzyków i buczenia. W Rzymie motłoch obrzuciłby już utrapionego złośliwca resztkami jedzenia albo i kamieniami. Tu jednak, choć ludzie prychnęli ze złością, wymachiwali pięściami i słownie karcili zuchwalca, nikt nie podniósł nań ręki ani nie próbował w żaden sposób go uciszyć. Grecy kochają sportowców, ale też szanują wolność wypowiedzi filozofów – nawet cyników. Odwróciłem się do Antypatra i szepnąłem:

– Facet ma trochę racji.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– No, w końcu cóż w tym ważnego, kto najszybciej pobiegnie, najdalej miotnie kijem albo będzie dłużej okładał przeciwnika pięściami, choćby sam już spuchł od ciosów? A ludzie ciągną tu dziesiątkami tysięcy z najdalszych zakątków Grecji tylko po to, żeby popatrzeć na jakieś zawody. Trochę to wszystko głupie, nie sądzisz?

Mój były nauczyciel spojrział na mnie ze zgrozą, jakbym wypowiedział najgorsze bluźnierstwo.

– Radzę ci zatrzymać podobne przemyślenia dla siebie, Gordianusie – odparł chłodno.

– Cynikowi może takie gadanie ująć na sucho, ale od gościa z Rzymu oczekuje się więcej respektu.

– Ale ty chyba nie jesteś jak tamci, mistrzu? Tyś poeta. Co cię obchodzi bieganie, skakanie i rzucanie przedmiotami na odległość?

Antypater patrzył na mnie bez słowa. Zapomniałem, jak dogłębnie grecką ma duszę i jak namiętnie wszyscy Grecy uwielbiają igrzyska. Cynicy są pojedynczymi odstępstwami od tej reguły.

– Możesz wyrwać chłoptasia z Rzymu... – mruknął w końcu i urwał, sztywniejac na widok podchodzącego doń niechlujnego filozofa.

– Hej ty, jednooki! – krzyknął tamten. – Czy my się skądś nie znamy? – spytał, wykręcając głowę w różne strony, jakby chciał przebić wzrokiem przepaskę na oku zaczepionego.

– Wątpię – odburknął poeta, pokraśniały na twarzy. – A ciebie jak zwa, cyniku? – Jestem Symiusz z Sydonu, a ty? I gdzieś stracił to oko?

– Nie twój interes. Skoro jednak musisz wiedzieć, to nazywam się Zotikos z Zeugmy.

– A ten twój młody kompan to kto? – Filozof zwrócił się w moją stronę. Odór jego niemytego ciała był nader intensywny. – Może to jeden z zawodników? Ma nos pięściarza, bary zapaśnika... pierś dyskobola... Czyżbyś startował w pankrationie?

Wiedziałem od nauczyciela, że pod tą nazwą kryje się najbrutalniejszy z greckich sportów, wymyślony przez Heraklesa i Tezeusza: połączenie boksu i zapasów bez żadnych regulaminowych ograniczeń. Na tych zawodach normą są połamane kości, a bywa, że przegranego trzeba pogrzebać.

– Na imię mi Gordianus – odrzekłem, prostując się z godnością. „Z Rzymu”, już miałem na końcu języka, ale cynik i tak od razu rozpoznał mój akcent.

– Cóż to, Rzymianin chce wziąć udział w igrzyskach? – zdumiał się.

– Nie, ja chcę tylko zobaczyć posąg Zeusa.

Puszczając moją odpowiedź mimo uszu, Symiusz odwrócił się do gapiów i rozpoczął kolejną tyradę.

– Od samego początku i przez setki lat w igrzyskach mogli współzawodniczyć tylko Grecy. Teraz, żeby zrobić przyjemność naszym rzymskim panom, mówi się, żeby dopuścić do udziału każdego, kto tylko liżnie trochę greki... nawet Rzymian! Cóż dalej? Może otworzymy igrzyska dla przybłędów z całego świata, aby cudzoziemcy mogli się tu nam pysznić, pluć na ziemię i stawiać sobie posągi w świętym gaju Zeusa? – Mówca raptownie obrócił się na pięcie, podbiegł do Antypatra i wznowił śledztwo. – Przysięgłbym jednak, że cię skądś znam. Co to takiego? – Wysunął przed siebie dwa palce; zorientowałem się, że chce go uszczypnąć w sztuczny nos, który wystawiony na działanie słońca zaczął się nieco deformować.

– Chodźmy stąd, mistrzu! – Chwyciłem starego za ramię i odciągnąłem w tył. – Mierzi mnie już smród bijący od tego typu.

Cynik patrzył za nami przez chwilę, ale wkrótce stracił zainteresowanie i podjął swą przemowę. Kiedy odeszliśmy na bezpieczną odległość, zagadnąłem:

– Powiedział, że pochodzi z Sydonu, czyli to twój krajan, mistrzu. Może cię znać?

– Człowiek spotyka na drodze życia wielu ludzi. – Antypater machnął lekceważąco ręką. – Nie da rady spamiętać wszystkich.

– Wyglądałby zupełnie inaczej, gdyby znalazł czas na łaźnię i przystrzyżenie brody... Ale chyba nie zapomniabyś kogoś o tak niespotykane błękitnych oczach? Są naprawdę uderzające.

– Komu by się chciało szperać w zakamarkach pamięci przy takim pioruńskim upale...

– Poeta westchnął ciężko. – Chodź, odszukamy naszą kwaterę.

– Niby gdzie?

– Rozglądaj się za namiotem niejakiego Eksagentosa.

Popytaliśmy paru przechodniów i wkrótce skierowano nas w okolice stadionu. Spodziewałem się skromnego namiociku, w którym moglibyśmy złożyć nasze rzeczy i przespać noc w ścisłości i ciasnocie, ale tymczasowy dom owego Eksagentosa okazał się prawdziwym pałacem z płótna, z licznymi komnatami, wspartym na lesie ozdobnych masztów. Gospodarza nie było, zostawił jednak służbie polecenie przyjęcia Zotikosa z Zeugmy. Niewolnik powitał nas uprzejmie i zaprosił do środka, musieliśmy jednak najpierw zdjąć sandały. Ziemię pod namiotem wyścielono cudownie miękkimi dywanami. Sługa wskazał nam niewielką boczną komorę, informując, że będziemy ją mieli tylko dla siebie. Wewnątrz mieściły się dwa wąskie łóżka i stolik, na którym stał srebrny dzbanek z wodą i dwa

srebrne kubki. Było tam też osobne wyjście, mogliśmy więc czuć się naprawdę swobodnie.

Nalałem sobie wody i wypilem łąpczywie. Smakowała mi bardziej niż najlepsze wino!

– Czym sobie zasłużyliśmy na tę odrobinę luksusu? – spytałem, padając jak długi na jedno z łóżek (zaskakująco wygodne).

– Zna się paru ludzi. – Antypater wzruszył ramionami, zsunął z oka przepaskę i potarł powiekę. – Od czasu do czasu ktoś tam rewanżuje się za przysługę. – Ale kim jest nasz tajemniczy gospodarz?

– Przyjacielem przyjaciela.

– Wiesz chyba jednak o nim coś więcej?

– To bogaty kupiec z Pontu, skoro już jesteś taki ciekawy – odburknął.

– Z Pontu? Z królestwa Mitrydatesa? – Przyszło mi do głowy, że jakimś zrzędzeniem imię to wypływało wszędzie, dokąd nas droga przywiodła. – To bardzo daleko stąd, prawda?

– Pont leży na najdalszym krańcu greckiego świata. – Nauczyciel przytaknął skinieniem głowy. – Ale i sam król jest częściowo naszej krwi, a wielu jego poddanych wywodzi się z Hellady. Bez wątpienia ujrzymy na zawodach niejednego Pontyjczyka, a nasz gospodarz zapewne pragnie dopingować swojaków.

– Zaiste musi być bogaczem, skoro stać go na taki...

Przerwał mi dźwięk trąb. Cichy gwar na zewnątrz w jednej chwili przerodził się w głośnie wiwaty.

– Oho, już są! – zakrzyknął Antypater z uśmiechem.

– Kto?

– Sam zobaczysz, Gordianusie! – odparł, wiążąc rzemienie sandałów, po czym nasunął na oko przepaskę. – Czy mój nos jest prosty?

Podążyłem za nim na zewnątrz, między ludzi. Tłum płynął szybkim nurtem, by powitać przybywających z Elidy atletów. Na czele procesji szli mężczyźni w purpurowych szatach, niosący wieńce oliwne i długie kije rozdwojone na końcu jak węzowe języki – byli to sędziowie, do których należy nadzór nad każdą konkurencją; owe kije zaś to nie tylko symbol ich godności, lecz i broń, której użyją, gdyby ktokolwiek z zawodników ośmielił się oszukiwać lub złamać reguły. Za sędziami maszerowało kilkuset młodzieńców; niektórzy mieli na sobie luźne chitony, większość jednak nosiła tylko przepaski biodrowe. Wszyscy byli opaleni na brąz po miesiącu treningu i eliminacji w Elidzie. Widziało się wśród nich smukłych, długonogich biegaczy i prawdziwych herkulesów o mocarnych torsach i bicepsach; większość była moimi równolatkami lub tylko niewiele starsza. Zaledwie garstkę można było posądzić o wiek powyżej dwudziestki, ale spostrzegłem też paru olimpijskich weteranów, którzy musieli już skończyć trzydzieści lat, a mimo to wciąż utrzymywali się w doskonałej formie.

Czoło procesji zbliżyło się i minęło nas, sunąc wzdłuż muru otaczającego Altis. Gapie byli coraz bardziej podnieceni; machali rękami i wykrzykiwali imiona najślawniejszych atletów, ci zaś z uśmiechem odpowiadali na pozdrowienia. Niektórzy mieli harde, wyniosłe miny, ale większość była równie podekscytowana jak widzowie. Dla niejednego z nich musiała to być pierwsza okazja do opuszczenia rodzinnego domu i okolicy.

– Oto najlepsi w całej Grecji! – wyrwało się i Antypatrowi. – Ech, łza się w oku kręci!

Mruknąłem coś w odpowiedzi, ze zdziwieniem ujrzałem jednak, że to nie przenośnia: mój nauczyciel naprawdę ocierał z policzka strużkę wilgoci. Rozejrzawszy się wokoło, przekonałem się, że nie tylko on uległ wzruszeniu na widok zawodników wkraczających do Olimpii. Ależ ci

Grecy są sentymentalni... zwłaszcza ci starsi, wciąż wracający wspomnieniem do złotych lat młodości spędzonej w gimnazjonach!

Kątem oka spostrzegłem postać w łachmanach wspinającą się na mur Altisu. Symiusz z Sydonu stanął wyprostowany na jego koronie i zaczął wymachiwać rękami i dziko pohukiwać, żeby zwrócić na siebie uwagę tłumu.

– I co, to niby ci wasi idole? – krzyknął naraz. – Te próżne kogutki, nadęte dumą i samouwielbieniem? Cóż niby jest dobrego w atlecie, pytam was? Co takiego robią poza bieganiem w kółko, laniem się po mordach i tarzaniem w piachu jak zwierzęta, łapiąc się przy tym nawzajem za krocze? I za to wszyscy im wiwatujecie wniebogłosy, przewracając oczyma i roniąc łzy? Wstyďte się! Zamiast się zachwycać tymi brutalami, powinniście ustawić ich w rzędek i ściąć na chwałę bogom niczym woły... w ten sposób mielibyście przynajmniej dobrą wyżerkę. Oho, widzę, że czujecie się urażeni moimi słowami. No to powiadam wam, że młody człowiek, który dba tylko o ciało, a zaniedbuje umysł, nie ma więcej duszy niż wół właśnie i tak należałoby go traktować... a wy czynicie z nich idoli. Co przydaje człowiekowi szlachetności? Nie gry i zabawy, ale stawianie czoła przeciwnościom i trudom codziennego życia. Nie zmaganie się z drugim takim samym wołem o liściasty wieniec, ale poszukiwanie prawdy i oddzielanie jej od plew fałszu. Nie żądza sławy i nagród, lecz życie godne i uczciwe!

– Atleci są tu po to, by uczcić Zeusa! – odkrzyknął ktoś z tłumu.

– Naprawdę? Powiem ci, po co większość tych byczków tu ściągnęła. Mają nadzieję zdobyć fortunę! Tak, tak, od sędziów dostaną tylko wieniec na głowę, wiem... Tylko że każde miasto nagradza swojego zwycięzcę złotem i srebrem, jak wszyscy wiemy. Nie tylko więc kłaniacie się im w pas i pchacie synów i córki w ich ramiona, ale jeszcze robicie z nich bogaczy!

A potem patrzycie, jak obrastają w tłuszcz i stają się przeciwieństwem tego, czym byli i za co ich tak kochaliście. Wasze ukochane igrzyska to jedna farsa!

Część zgromadzonych buczała i pokrzykiwała na cynika, inni starali się go ignorować. Przechodzący atleci rzucali nań okiem i parskali śmiechem. Co któryś prowokował go obleśnym gestem. Nagle jeden z nich wyrwał się z procesji i paroma skokami znalazł się na murze. Był niski i krępy, miał muskularne nogi i ramiona, a na sobie tylko przepaskę. Jego krótko przycięte włosy i brwi były tak jasne i spłowiałe od słońca, że niemal raziły białością.

– Czy to nie Protofanes z Magnezji? – spytał ktoś niedaleko mnie.

– Tak, to faworyt w pankrationie!

Młody zawodnik z pewnością kontrastował wyglądem z niechlujnym, kościstym filozofem. Już samo przeciwstawienie fizycznej doskonałości własnego ciała brzydocie starca mogłoby go zadowolić, ale rozgrzana sytuacją i gromkimi okrzykami aprobaty kolegów posunął się dalej: zerwawszy z bioder przepaskę, chwycił Symiusza za ramię – cynik daremnie próbował się bronić – i wepchnął mu przepocony pas tkaniny w usta, wiążąc końce w prymitywny knebel. Upokorzony cynik odwrócił się tyłem do rechoczących gapiów i usiłował się oswobodzić, podczas gdy nagi Protofanes naprężył mięśnie i wznosił pięść nad głowę w dumnej pozie zwycięzcy. Tłum ryknął śmiechem. Zawodnicy skakali z uciechy i klepali się po plecach. W spontanicznym akcie hołdu kilku poszło za przykładem pankrationisty i obnażyło się, wywijając swymi przepaskami w powietrzu jak proporcami. Pomysł chwycił jak ogień suchą słomę i po chwili – oczywiście ku wielkiej uciechu widzów nie było już w procesji ani jednego odzianego atlety.

Spojrzałem na koronę muru; Symiusza już tam nie było. Musiał widać zejść na drugą stronę, do świętego gaju. Protofanes powstał tak jeszcze moment, po czym syty chwały zgrabnie zeskoczył na ziemię i dołączył do kolegów, którzy powitali go wiwatami i rubasznymi klapsami. Przeniosłem wzrok na Antypatra, spodziewając się znów ujrzeć sentymentalną łezkę, on jednak stał z miną raczej ponurą.

– Czyżby ten incydent cię nie rozbawił, mistrzu? – spytałem. – Choć w zasadzie zgadzam się z twoim krajanem, nie zasmuciło mnie, że ktoś go uciszył. Ależ ten Symiusz ma irytujący głos!

– Obawiam się, że sędziów to też nie rozbawiło. Spójrz tylko.

Przybrana w purpurę starszyzna na czele pochodu zatrzymała się i z kamiennymi twarzami przyglądała się zajściu. Trochę między sobą poszeptali, po czym bez słowa odwrócili się i podjęli marsz. Zawodnicy szybko ustawili się w szyku i podążyli za nimi. Protofanes minął nas uśmiechnięty, wesoło machając rzeszom sympatyków, nieświadomy kwaśnej reakcji sędziów.

Kiedy przeszli ostatni atleci, tłum wydał jeszcze kilka okrzyków na ich cześć i z wolna się uspokoił. Ludzie wrócili do swych zajęć i rozrywek; atrakcja dnia się skończyła. Zaprzysiężenie uczestników i pierwsze konkurencje igrzysk miały nastąpić dopiero nazajutrz.

– Do wieczora jeszcze ze dwie godziny – zauważyłem. – Co będziemy teraz robić?

Bąłem się, że zaproponuje, abyśmy wzięli udział w jakiejś debacie filozoficznej albo posłuchali poezji, na szczęście nauczyciel wskazał na gaj Zeusa, gdzie zza muru widać było marmurowy dach świątyni i część fryzu ze złotymi tarczami.

– Przybyliśmy tu zobaczyć jeden z cudów świata, prawda? – odpowiedział. – Nie chciałbym stracić nic z igrzysk, lepiej więc będzie

pójść tam dzisiaj.

Zgodziłem się z ochotą.

U wejścia do świątyni musieliśmy odstać swoje w kolejce. Ludzi było wielu, a zwiedzających wpuszczano za opłatą i tylko w kilkunastoosobowych grupach z przewodnikiem. Nasz był młody i przedstawił się jako potomek Fidiasza, twórcy sławnego posągu Zeusa.

– Jak pewnie wiecie, statua ta wykonana jest z chryzelefantyny. Postać boga wyrzeźbiona jest w kości słoniowej, włosy zaś, sandały i odzienie są ze złota. Takie też jest inne dzieło wielkiego Fidiasza, posąg Ateny Partenos w Atenach. Złoto jest niezniszczalne, ale kość słoniową trzeba regularnie oliwić i polerować, aby nie popękała. Tu, w Olimpii, ten święty obowiązek powierzono nam, potomkom rzeźbiarza. Dziedziczymy ten zaszczyt z ojca na syna i w ten sposób zarazem służymy bogu i czcimy pamięć przodka, największego artysty, jaki kiedykolwiek żył i tworzył.

To ostatnie stwierdzenie wydało mi się przesadzone i nieobiektywne, wstrzymałem się jednak od komentarza, póki na własne oczy nie ujrzę owego dzieła.

– Zanim wejdziemy do świątyni, pozwólcie, że zapoznam was z jej historią i wymienię kilka wartych uwagi szczegółów architektonicznych – ciągnął przewodnik. – Budowlę ukończono na otwarcie osiemdziesiątych pierwszych igrzysk olimpijskich, to znaczy przed trzystu sześćdziesięcioma czterema laty. Posąg został w niej ustawiony po dalszych dwudziestu czterech, w czasie osiemdziesiątych siódmych igrzysk. Ma zatem, co łatwo obliczyć, trzysta czterdzieści lat. Kiedy go ujrzycie, zrozumiecie, dlaczego się mówi, że przyroda stworzyła słonia po to, by dostarczyć Fidiaszowi kłów na to dzieło.

Teraz już nie wytrzymałem i przewracając oczyma, szepnąłem:

– Ależ on się pyszni tym swoim przodkiem!

– Sza, ignorancie! – skarcił mnie Antypater, każąc słuchać dalej.

– Już sama świątynia jest cudem architektury – mówił przewodnik. – Długa na dwieście trzydzieści stóp, szeroka na dziewięćdziesiąt pięć i wznosi się na sześćdziesiąt osiem. Wierzchołek frontonu wieńczy statua Nike, bogini zwycięstwa, spoglądająca ku staremu stadionowi na wschodzie, z którego mogą ją widzieć biegacze i czerpać z niej inspirację do walki. Są pytania? Nie ma? W takim razie za chwilę wejdziemy do pronaosu. Zobaczycie w przedsionku posąg króla Elidy, Ifitosa, który ustanowił igrzyska w Olimpii. Uczynił to na polecenie wyroczni delfickiej, która nakazała też, by wszyscy Grecy zaprzestali wojen w miesiącach poprzedzających zawody. W ten sposób otrzymaliśmy dar pokoju i wytchnienia od ustawicznych walk.

– Dziś to Rzymianie pilnują pokoju między Grekami – powiedział półgłosem ktoś za moimi plecami, co inni skwitowali potakującymi pomrukami.

Choć nie mogli wiedzieć, że pochodzę z Rzymu, poczułem się nagle nieswojo.

– W pronaosie znajdują się też ciężkie tarcze z brązu, które w ostatnim dniu zawodów niosą w wyścigu hoplici. U szczytu ścian biegnie fryz przedstawiający prace Heraklesa. Przybywającym tu atletom przypomina on, że jak heros muszą się nieustannie doskonalić. A teraz proszę za mną...

– Właściwie to miałbym pytanie – rzuciłem, unosząc dłoń. Stojący za mną mężczyzna, ten od antyrzymskiego komentarza, burknął coś pod nosem. Zdawałem sobie sprawę, że akcent mnie zdradza, ale brnąłem dalej.

– Wspomniałeś o brązowych tarczach hoplitów, lecz mnie intrygują te połączone zdobiące fryz zewnętrzny. Co one symbolizują?

– O, to dobre pytanie! – ucieszył się potomek Fidiasza. – Jest ich w sumie dwadzieścia jeden. Ufundował je rzymski wódz Lucjusz

Mummiusz, kiedy odwiedził Olimpię po stłumieniu buntu Związku Achajskiego.

– Kiedy zdeptał ostatnie iskry oporu Greków! – wycedził głos za mną.

Antypater uciszył go gniewnym syknięciem. Przewodnik kontynuował:

– Obawiano się, że Mummiusz zrobi z Olimpią to samo, co z Koryntem, to znaczy obrabuje, a może i zburzy świątynie, on jednak postawił w Altisie nowe posągi Zeusa i podarował owe poślacane tarcze, dziś uświetniające ten fryz.

– Za co zapłacił łupami zdobytymi na Grekach! – Mężczyzna nie dawał za wygraną.

– Wdzięczna Elida, na której spoczywa zaszczytny obowiązek zarządzania sanktuarium olimpijskim, postawiła mu pomnik konny stojący dziś na honorowym miejscu między statuami bogów i atletów w Altisie.

– I powinno się go wreszcie obalić! – krzyknął zapalczywiec.

– Hej, ty tam! – ofuknął go przewodnik. – Przypominam ci, że zaraz wchodzimy do świątyni Zeusa. Jeżeli jeszcze raz podniesiesz głos... ba! Jeśli się w ogóle odezwiesz, każę cię wyrzucić. Zrozumiałeś?

Obejrzałem się przez ramię, żeby popatrzeć na adresata tej groźby. Był to jasnowłosy osiłek ze schludnie przystrzyżoną brodą być może były atleta. Odpowiedział mi wyzywającym spojrzeniem, zerknął też niechętnie na Antypatra, a potem odwrócił wzrok i wymamrotał coś na potwierdzenie.

Ruszyliśmy za przewodnikiem po stopniach do wejścia. Potężne brązowe wrota stały otworem. Zatrzymałem się na chwilę, podziwiając ogromne marmurowe kolumny portyku, po czym wszedłem za grupą do środka. Możliwe, że posąg Ifitosa i tarcze ciężkozbrojnych w westybulu też były imponujące, ja jednak nie mam w tej materii zdania, gdyż od razu całą moją uwagę przykuła rzeźba widniejąca w głębi głównej sali i moje zmysły przestały rejestrować wszystko inne. Zapomniałem o niemiłym incydencie

z wrogiem Rzymu i Rzymian; zagapiony pomaszerowałbym prosto do niej, gdyby Antypater nie chwycił mnie za ramię. Przewodnik coś mówił monotennie – chyba wymieniał kolejne prace Heraklesa – ja jednak nie słyszałem słów, pochłonięty nabożnym podziwem dla Fidiaszowego Zeusa na tronie.

Bywają w życiu rzadkie chwile, kiedy rozum nie chce przyjąć, co mu oko podsuwa, ponieważ wie, że oglądana rzecz po prostu nie może realnie istnieć w świecie, jaki znamy nie ma dla niej miejsca w przyrodzie, jest nienaturalna, a więc naprawdę jej nie ma. Niemal zawsze to rozum ma rację, a oko się myli, omamione złudzeniem optycznym, ale dopóki ich spór nie zostanie ostatecznie rozwiązany, człowieka ogarnia dziwne oszołomienie. Tak było ze mną, gdy ujrzałem Zeusa – bo przecież z pewnością nie mógł to być zwykły posąg, tylko on sam we własnej boskiej osobie!

Przewodnik wreszcie zamilkł i wyminął mnie, zachęcając grupę, by szła za nim. Trzymany wciąż przez Antypatra – na szczęście, bo potrzebowałem oparcia – stąpałem naprzód, z każdym krokiem bliżej boga. Rósł i rósł nade mną, aż czułem się przytłoczony jego obecnością. Miałem wrażenie, że ledwo się mieści w świątyni. Gdyby wstał z tronu, straciłby z niej dach i przewracał kolumny...

W półmroku panującym w sali efekt był tym większy. Wejście znajduje się po wschodniej stronie, by wpuszczać promienie porannego słońca i dać Zeusowi widok na odległy stadion; późnym popołudniem wpadające tamtędy światło dnia jest łagodne i niepewne, wspomagane pochodniami rozwieszonymi na ścianach i czerwonym blaskiem płonących w żelaznych koszach bierwion. Znajdujący się u stóp posągu basen odbija boską postać i rozsiewa wokół migotliwe odbłyски płomieni, przydając jeszcze wnętrzu tajemniczości; zauważyłem, że odbicia są bardzo dziwne –

wypełniający basen płyn zdawał się gęstszy od wody i połyskiwał jak polerowany czarny marmur. Dopiero podszedłszy do samej krawędzi, stwierdziłem, że to oliwa. Domyśliłem się, że służy potomkom Fidiasza do codziennej pielęgnacji jego rzeźby.

Głos przewodnika stopniowo przebił się do mojej świadomości.

– Sam tron boga jest wielkim dziełem, większym i wspanialszym niż najlepszy pomnik w niejednym mieście. Poręcze tworzą groźne sfinksy, ręce boga spoczywają na ich wzniesionych skrzydłach. Masywne zastrzały i boki tronu pokryte są misternie malowanymi i rzeźbionymi scenami z życia bogów i herosów. Na całym tronie nie ma ani skrawka bez ozdób... wszędzie zobaczycie jak nie marmurową płaskorzeźbę, to inkrustację z cennych metali albo klejnotów. Gdyby Fidiasz nie stworzył nic innego, i tak byśmy go nazwali największym artystą wszech czasów. Ale przenieście wzrok na samego Zeusa! Ogarnijcie zmysłami niesamowity spokój bijący z jego twarzy pod złotym wieńcem, majestat mocarnego torsu i barków, elegancję złotej szaty opadającej z ramienia i zakrywającej lędźwie. W lewej dłoni dzierży berło zwieńczone złotym orłem. W prawej widzimy skrzydlatą Nike. Niektórzy twierdzą, że twórca czerpał natchnienie z Iliady. Jak mówi Homer, gdy Zeus ledwie głową skinie, trzęsie się w posadach cały Olimp! Według innych rzeźbiarz po prostu musiał widzieć boga na własne oczy.

– A wierzę! – szepnąłem mimo woli.

– A teraz wróćmy do przedsionka, skąd wejdziemy na galerię i będziecie mogli się przyjrzeć posągowi z bliska.

Gdy tak się wspinaliśmy wąskimi, krętymi schodami i straciłem z oczu niebiańskiego Zeusa, teraz dopiero zaczęły do mnie docierać niektóre szczegóły budowli. Była mniejsza od świątyni Artemidy Efeskiej, ale też robiła wrażenie. Ileż bogactw zdołali ci Grecy zgromadzić w przeszłych

wiekach i jak doskonałych wydali architektów i artystów! Dotarłszy za innymi na wysoką galerię, przystanąłem i oparłem się o balustradę, by spojrzeć na niemal czarny z tej perspektywy basen z oliwą. Kolejna grupa zwiedzających właśnie weszła do sali i stała wpatrzona w posąg.

Usłyszałem syknięcie Antypatra i pospiesznie dołączyłem do reszty na zachodnim krańcu galerii. Nasz przewodnik milczał – i nie dziwota, nie znam bowiem słów, które mogłyby wyrazić odczucia, jakich się doznaje, będąc tak blisko boga. Z dłońmi zaciśniętymi na poręczy stałem niemal twarzą w twarz z Zeusem Wszechmocnym. Detale rzeźby – złota broda, skóra z kości słoniowej, źrenice z lapisu – nawet z tak bliska wydały mi się niesamowicie realistyczne. Nie zdziwiłbym się, gdyby Gromowładny nagle mrugnął powieką czy wziął oddech albo potrząsnął złotymi lokami. Byłem przekonany, że w dziele Fidiasza rzeczywiście mieszka sam bóg.

Wzdrygnąłem się, bo w niepewnym oświetleniu przez moment miałem wrażenie, że statua delikatnie się poruszyła. Zeus za chwilę na mnie spojrzy! Zebrałem się w sobie, bo gdyby przemówił, z pewnością głos byłby ogłuszający jak grzmot. Potem zamrugąłem i zdałem sobie sprawę, że rzekomy ruch musiał być złudzeniem, gdyż nikt oprócz mnie nie zareagował, posąg zaś stał nieruchomo jak... no, jak posąg. Głupcze, skarciłem się w duchu, każdy wie, że świątynni bogowie nigdy nie przemawiają. Przekazują nam swoją wolę poprzez wyrocznie, sny bądź znaki w rodzaju lotu ptaków, które tylko augurowie potrafią odczytać. Mimo to, kiedy zwiedzanie dobiegło końca i całą grupą wychodziliśmy na zewnątrz, wciąż czułem na sobie kamienne spojrzenie Zeusa.

Znalazłszy się na placu, zamrugąłem oślepiiony światłem dziennym i potrząsnąłem głową jak ktoś wyrwany z głębokiego snu. Przewodnik wyglądał na znudzonego – w końcu oprowadzał codziennie wiele takich

wycieczek, a do tego dzień w dzień miał zaszczyt namaszczać posąg oliwą. Na pożegnanie wręczył każdemu z nas niewielki drewniany krążek.

– Jeśli użyjecie go jeszcze dzisiaj, zapewni wam wstęp do warsztatu Fidasza za połowę normalnej ceny. Można tam obejrzeć jego własne narzędzia i formy odlewnicze, którymi do dzisiaj posługuje się nasz mistrz rzeźbiarski i jego pomocnicy.

– Pójdziemy tam teraz, Gordianusie? – spytał Antypater.

Westchnąłem, czując nagle zmęczenie.

– Myślę, że powinienem się raczej położyć na chwilę. To chyba przez ten upał wybąkałem zawstydzony, ponieważ dotąd to stary poeta pierwszy padał wyczerpany.

– Dobrze, w takim razie wracamy do namiotu naszego gospodarza. Na ulicach będzie rojno i gwarno do późnej nocy, ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy wcześniej poszli spać.

– Może kupimy u straganiarzy coś do jedzenia na później?

– O, przypuszczam, że na miejscu nie umrzemy z głodu. Eksagentosa stać na rozrzutność przy stole.

Słońce stało nisko nad widnokrzem, kiedy szliśmy przez Altis ku bramie, i posągi rzucały długie cienie. Wyróżniał się wśród nich rzymski wojownik na koniu i w zbroi, jedyny odziany między półnagimi postaciami atletów i herosów. Zatrzymałem się, by przeczytać inskrypcję na piedestale: „Ku czci Lucjusza Mummiusza, naczelnego wodza Rzymian, Elida wznosi ten pomnik w uznaniu jego cnót i łaskowości okazanej miastu i wszystkim Grekom”. Spojrzałem w górę. Na kamiennej twarzy wojownika nie było śladu emocji. W jednym ręku trzymał wodze, drugą uniósł w geście pokoju.

– A więc to jest ten pomnik, o którym wspominał przewodnik. Co o nim myślisz, mistrzu?

Spojrzałem na Antypatra, lecz on nawet nie zwolnił kroku, pospieszyłem więc za nim.

Gdy tylko wróciliśmy do naszej kwatery, padłem jak ścięty na łóżko i natychmiast zasnąłem. Ocknąłem się w środku nocy, obudzony parciem na pęcherz. Wstałem, nieco jeszcze zamroczony wydostałem się na dwór i doczłapałem do pobliskiego rowu, specjalnie w tym celu wykopanego. Księżyc był niemal w pełni i zalewał dolinę mdłym białym światłem rzucającym głęboko czarne cienie. Nie wszyscy jeszcze spali; w ogólnej ciszy dźwięczały tu i ówdzie pijackie śpiewy tudzież szmer dalekich rozmów, a w mroku błyszcząco kilka ognisk. Wróciłem do namiotu, uniosłem płachtę zasłaniającą wejście do naszej komórki i już miałem zanurkować do środka, kiedy gdzieś z innej części usłyszałem czyjś okrzyk.

– Coś trzeba będzie z nim zrobić, i to szybko!

Odniosłem wrażenie, że mówiący podniósł głos w nagłym przypływie emocji. Brzmienie wydało mi się znajome. Ktoś mu odpowiedział, ale znacznie ciszej, prawie niedosłyszalnie.

– Nieszkodliwy? – znów odezwał się ów pierwszy. – To wszystko gra! On jest śmiertelnie niebezpieczny, powiadam wam. Myślę, że szpieguje dla Rzymian.

To sprowokowało nową cichą odpowiedź, po czym tamten przemówił raz jeszcze. Byłem pewien, że gdzieś go już słyszałem.

– Szpieg czy nie, ale może nas zdemaskować jako agentów Mitrydatesa. Sydończyk musi umrzeć!

No, to mnie rozbudziło na dobre. A więc Antypatra nie tylko rozpoznano, ale ktoś nakłaniał do jego zamordowania – i to ktoś, z kim dzieliliśmy jeden namiot! Wsunąłem się do naszego przedziału. Było tam tak ciemno, że ledwo rozróżniałem sylwetkę mojego nauczyciela na jego

łóżku. Wyciągnąłem rękę, by go obudzić, ale przekonałem się, że to tylko poduszka i niedbale zwinięty koc.

– Mistrzu! – zagadnąłem scenicznym szeptem.

Antypatra nie było. Stałem w milczeniu znieruchomiały i nasłuchiwałem, ale rozmowa już ucichła. Czyżby tamci mnie usłyszeli? Przemknęło mi przez myśl, by przedrzeć się przez płócienny labirynt i zażądać od nich – kimkolwiek byli – wyjaśnień, ale uznałem, że to byłoby szaleństwo. Jeżeli mają Antypatra za rzymskiego szpiega, to wiedzą też, że podróżujemy razem, i wobec mnie także nie żywią przyjaznych uczuć. Co też za pomysł miał mój nauczyciel, żeby szukać dla nas kwatery w namiocie pełnym agentów króla Pontu! I gdzie on, u licha, jest?

Zostać u siebie nie mogłem. Nie było też sensu zacząć nawoływać Antypatra, bo tylko zbudziłbym pozostałych i ściągnął na siebie uwagę. Wyśliznąłem się na zewnątrz i klucząc w gąszczu mniejszych namiotów, omijając ludzi śpiących wprost na ziemi, ruszyłem przed siebie. W końcu znalazłem kawałek wolnego miejsca pod drzewem oliwnym i usiadłszy, oparłem się plecami o pień. Ukryty tak w głębokim cieniu miałem stąd dobry widok na wejście do naszej komory. Może jak ja wyszedł za potrzebą albo nie mógł zasnąć i wybrał się na nocny spacer? Chciałem go zatrzymać, zanimby wszedł do namiotu, gdzie ktoś – kto wie, czy nie sam gospodarz? – dybie na jego życie. Nie doceniłem jednak mocy Somnusa, czy raczej Hypnosa, jak Grecy nazywają boga snu. Usilnie starałem się trzymać oczy otwarte, ale jakaś siła wciąż je zamykała, aż w końcu poczułem, że ktoś mnie szarpie za ramię. Rozchyliłem nieco zaspane powieki i ze zdumieniem ujrzałem przykucniętego przy mnie jednookiego starca z bulwiastym nochalem – dopiero po chwili rozpoznałem w nim mojego mentora.

– Mistrzu, nic ci się nie stało? – wykrzyknąłem.

– Mnie nic... A tobie, Gordianusie? Nie mogłeś usnąć w namiocie?

W jasnym świetle brzasku wszędzie wokoło ludzie się budzili i przewracali z boku na bok lub wstawali. Dość chaotycznie, bo jeszcze nie do końca się otrząsnąłem ze snu, zreferowałem mu zasłyszane strzępki nocnej rozmowy. Antypater długo milczał, a w końcu pokręcił głową.

– To był sen, Gordianusie. Ten głos to wytwór twojej sennej wyobraźni.

– Nie, mistrzu! – zaprotestowałem. – Nie spałem przecież! Byłem trzeźwy jak i teraz.

– To znaczy, że tak w połowie. – Poeta się uśmiechnął. – Może i coś tam słyszałeś, ale z pewnością źle zrozumiałeś słowa tego człowieka.

– Ależ jestem najzupełniej pewien, że... – Urwałem, straciwszy nagle całą tę pewność. Nie dalej jak wczoraj pod wieczór byłem przekonany, że posąg Zeusa ma mi coś do powiedzenia... Nocne wydarzenia zaczęły mi się wydawać mętne i nierealne. – Ale gdzie ty byłeś, mistrzu?

– W namiocie było mi zbyt duszno. Ja też poszukałem sobie miejsca pod gołym niebem i potem już spałem jak suseł. No, ale pora już się ocknąć, młodzieńcze! Chodźmy coś przekąsić w jadalni naszego gospodarza.

– Oszalałeś? Mogą cię otruć!

– Gordianusie, twoje obawy są bezpodstawne, zapewniam cię. Jeśli jednak nalegasz, możemy kupić coś do jedzenia po drodze do buleuterionu.

– Do czego?

– Do budynku, w którym atleci złożą przyrzeczenie. Tradycja wymaga, aby przysięgli przed posągiem Zeusa Gromowładnego, że będą współzawodniczyć uczciwie, słuchać sędziów, nie przyjmować łapówek ani nie uciekać się do pomocy czarów. Robią to w niewielkich grupach, a po wszystkim wychodzą witani przez kibiców. To świetna okazja, by im się przyjrzeć z bliska.

– Przecież widzieliśmy ich wczoraj na procesji.

Antypater tylko wzniosł oczy ku niebu, wyprostował się i ruszył przed siebie. Rad nierad poszedłem za nim, lekko się zataczając od resztek snu, który nie chciał mnie opuścić. Przed buleuterionem zebrał się już spory tłumek, ale się zorientowałem, że coś jest nie w porządku. Ledwośmy stanęli w tylnym rzędzie, nieznajomy mężczyzna zwrócił się do Antypatra z pytaniem:

– Czy to prawda, co ludzie gadają?

– To znaczy co?

– Ponoć Protofanes z Magnezji nie będzie dopuszczony do przyrzeczenia, a więc nie weźmie udziału w pankrationie.

– A to dlaczego?

– Dlatego, że wczoraj podniósł rękę na tego cynika. Gdyby go nie dotknął, nie byłoby problemu, ale że go tam lekko sponiewierał... a do tego na murze Altisu... sędziowie uznali, że złamał jakieś tam święte prawo.

– To jedna bzdura! – wtrącił inny kibic. – Protofanes zrobił tylko to, cośmy wszyscy chcieli zrobić.

– Nie powinien jednak tknąć filozofa – odparł inny.

– Mówią, że wszystko teraz zależy od Symiusza – dodał trzeci.

– Jak to? – Antypater uniósł brwi.

– Podobno nikt z sędziów nie widział przebiegu zajścia, bo byli już za daleko w przedzie. Wezwali więc cynika, by zeznawał. Jeżeli się tu pokaże i potwierdzi, że oberwał od Protofanesa na murze, to chłopak ma igrzyska z głowy. Cztery lata treningu zaprzepaszczone, szansa na sławę i chwałę rozwiana jak dym... I tylko z powodu jakiegoś przepisu!

– A jeśli cynik się nie stawia? – dopytywał się Antypater.

– Wtedy może Protofanesowi się upiecze i będzie mógł złożyć przyrzeczenie z innymi. Wątpię, by któryś z atletów świadczył przeciw niemu, a i wśród publiczności się chyba taki nie znajdzie.

Rozmowę przerwało nagłe zamieszanie. Tłum rozstępował się, by dać przejście Protofanesowi z Magnezji, który nadchodził odziany w skromny chiton, witany okrzykami zachęty i brawami. Paru najśmielszych wyrwało się do przodu, by go klepnąć po plecach. Młody atleta, wczoraj tak pewny siebie, tego ranka ukazał zupełnie inne oblicze: posępny, lecz zdecydowany wstąpił na schody buleuterionu, ale dwóch sędziów w purpurze zagrodiło mu drogę rozwidlonymi kijami. - Wiesz, jaki cięży na tobie zarzut, Protofanesie z Magnezji? - spytał jeden z nich.

Młodzieniec otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale zrezygnował. Okazanie braku szacunku sędziom skończyłoby się dlań dyskwalifikacją tak samo jak akt bezbożności. Przełknął ślinę i odpowiedział basem:

– Kiedy zapadnie decyzja?

– Wkrótce, jak sądzę. Oto nadchodzi cynik.

Ludzie znów się rozstąpili, by przepuścić Symiusza, który właśnie się pojawił na skraju coraz bardziej zatłoczonego placu. Filozof jak zwykle zrobił z siebie widowisko: zataczał się jak pijany, jedną ręką trzymał się za gardło, a drugą czynił błagalne gesty.

– A ten co znów wyczynia? – spytał któryś z naszych sąsiadów z wyraźnym niesmakiem.

– Drwi sobie z Protofanesa. O, jak zadziera rękę niby pankrationista przyznający się do porażki! To trzeba mieć tupet, żeby tak szydzić z młodego człowieka, któremu chce złamać karierę!

Symiusz chwiejnie szedł wprost ku Antypatrowi i mnie. Był tak blisko, że odruchowo odskoczyłem do tyłu. Skręcił jednak, a ja usłyszałem jego ochrypły, piskliwy szept:

– Wody! Tak chce się pić...

– On nie gra! – powiedziałem z nagłym przestraczem. – Coś mu naprawdę jest.

Cynik zdołał jeszcze postawić nogę na pierwszym stopniu i na oczach wszystkich upadł. Jeszcze chwilę rzucał się w drgawkach, skarżąc się słabnącym głosem na przemożne pragnienie, aż wreszcie znieruchomiał z twarzą w dół i rozrzuconymi bezwładnie kończynami. Był martwy. Prawa dłoń, wyciągnięta nad głowę, zdawała się wskazywać na Protofanesa. Wypadek był tak dziwaczny i niespodziewany, że przez długą chwilę wszyscy stali jak skamieniali, aż w końcu ktoś krzyknął głośno to, co niejednen na pewno myślał:

– Protofanes go zabił!

Plac zafalował. Każdy cisnął się do przodu, by na własne oczy zobaczyć trupa. Zdezorientowani początkowo jak wszyscy, sędziowie szybko odzyskali kontenans i zaczęli przywoływać zgromadzenie do porządku, co bardziej natarczywym nie żałując razów kijami. Oskarżony atleta stał jak wryty z wymalowanym na twarzy osłupieniem.

Popychany przez napierających z tyłu znalazłem się nagle u podnóża schodów, tuż przy zwłokach. Z buleuterionu wynurzali się inni sędziowie, zaalarmowani rosnącą wrzawą. Jeden z nich trącił mnie kijem, każąc odstąpić. Cofnąłem się posłusznie o krok, ale dalej ani rusz – tłum za mną był jak ściana. Jeszcze chwila, a mnie na niego wepchną, przeraziłem się. Spojrzałem w dół. Wymierzony w atletę palec cynika uwalany był krwią. Nachyliłem się i przy bliższych oględzinach dostrzegłem dwie ranki kłute.

– Ktoś musiał go otruć! – usłyszałem czyjś okrzyk.

– Hańba, Protofanesie! – rzucił inny. – Dlaczegoś to zrobił?

– Wszyscy wiemy dlaczego! Ale żeby posunąć się aż do mordu? Nikt nie może popełnić tak bezwstydnego zbrodni i oczekiwać, że będzie dopuszczony do świętych igrzysk!

Wyglądało na to, że wyrok na Protofanesa zapadnie tu i teraz – jeśli nie uchwałą sędziów, to na pewno przed doraźnym trybunałem opinii

publicznej. Ludzie szybko uznali go za winnego śmierci cynika.

– Co za hańba – powiedział ktoś nieopodal.

Drgnąłem. Znałem ten głos – to był ten sam człowiek, który w świątyni Zeusa wyrzekał na Mummiusza i Rzymian w ogóle... ale nie tylko. Odwróciłem się, by zobaczyć jego twarz; poznałem go po jasnym zaroście i barczystej sylwetce. W jednej ręce trzymał worek z grubej skóry, ciasno zawiązany sznurem.

– Ale jak Protofanes miałby tego dokonać? – padło pytanie.

– Musiał podstępem podsunąć mu truczkę w jedzeniu.

– Już prędzej w trunku! – zaryzykował ktoś kalambur.

– Cynik nie został otruty – odezwałem się.

– Co takiego? – Sędzia, który przed chwilą szturchnął mnie kijem, usłyszał moje słowa i zainteresował się. – Mów głośniej, młodzieńcze! Odchrząknąłem i powtórzyłem:

– Symiusza nie otruto. To znaczy, nie w ścisłym tego słowa znaczeniu... w każdym razie nie poprzez jadło ani napitek.

– Od czego więc zginął? – Sędzia zmarszczył brwi.

– Od jadu węża.

To wzbudziło w tłumie nowe zamieszanie. Czyżby na polach Olimpii grasowały jadowite gady?

– Popatrzcie na jego palec – wyjaśniłem. – Ma ślady ukąszenia. Widać je na pierwszy rzut oka.

Paru sędziów zeszło niżej, żeby obejrzeć nieboszczyka.

– Bardzo chciało mu się pić – dodałem. – Mój ojciec...

Już chciałem zacząć opowiadanie, jak to papcio wyuczył mnie podstaw i trików swojego fachu, a między innymi wszystkiego, co wiedział o węzach, postępowaniu z nimi, działaniu i ekstrakcji ich jadu, ale w porę ugryzłem się w język. Co ich to mogło obchodzić?

– Prawdopodobnie ukąsił go dipsas – podjąłem tłumaczenie. – To jad tych węży powoduje gwałtowne pragnienie, a następnie śmierć w konwulsjach.

– Myślę, że ten młody człowiek może mieć rację – orzekł jeden z sędziów, którzy badali zwłoki. – To jednak nie uwalnia Protofanesa od zarzutu. Dla niego to nader szczęśliwy przypadek, że cynik umarł na chwilę przed złożeniem zeznania. Gdzie niby jest ten wąż i skąd by się tu wziął? Może to nie on sam dokonał zbrodni, ale mógł to zlecić komuś innemu...

– Węża nie przywiózł do Olimpii żaden przyjaciel Protofanesa – przerwałem – tylko agent w służbie obcego władcy. To tacy ludzie posługują się truciznami i innymi metodami zabijania. Ten knuł zamordowanie Symiusza z Sydonu już wczorajszej nocy. Wiem, bo słyszałem to na własne uszy. Stoi tu przed wami! – zakończyłem dramatycznie, wskazując jasnobrodego mężczyznę. – Nie wiem, jak nakłonił filozofa, by wsadził dłoń do tego worka, który trzyma w ręku, ale tak to się musiało stać.

Ludzie odsunęli się od nieznanego, który rzucił mi jadowite spojrzenie. Ty tam! krzyknął sędzia, który mnie indagował. – Co masz w tym worku?

– O to samo spytał mnie cynik, kiedy mu powiedziałem, że to prezent dla niego odparł mężczyzna ze złośliwym uśmiechem. – Sami zobaczcie!

To mówiąc, rozsypał sznur worka i zamachnął się, wysypując zawartość w powietrze. Wąż długi jak moje przedramię spadł na stopnie nieopodal ciała Symiusza. Sycząc i wijąc się, z furią rzucił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

Wybuchła panika. Ludzie wrzeszczeli i potykali się o siebie, uciekając na oślep, byle dalej od groźnego gada. Działąłem bez namysłu – wyrwałem najbliższemu purpuratowi jego sędziowski kij i rozdwojonym końcem

przygwoździłem węża do ziemi tuż przy trójkątnej głowie, tak że nie mógł się wyrwać.

– Niech ktoś go przetnie na pół! – krzyknąłem.

Gapie spoglądali po sobie bezradnie. W Olimpii nikt nie nosi przy sobie żadnej broni.

Protofanes paroma skokami znalazł się przy mnie, chwycił gada obiema rękami i rozdarł go jednym szarpnięciem, po czym rzucił wijące się szczątki na ziemię i dokładnie rozdeptał. Zapadła cisza, a potem powietrzem wstrząsnął gromki ryk wiwatów – na cześć atlety, nie moją.

W zamieszaniu morderca gdzieś zniknął.

Po zaprzysiężeniu zawodnicy udali się do Altisu złożyć ofiary na ołtarzach różnych bóstw i zapewnić sobie ich przychylność podczas zmagania. Widzowie zbierali się przy bogato zdobionej budowli z marmuru, zwanej Kolumnadą Ech, gdzie trębacze i heroldowie igrzysk wiedli własne współzawodnictwo: kto dłużej nutę wyciągnie lub więcej ech wywoła między kolumnami. I ta tradycja liczyła setki lat, a okazała się bardziej zajmująca, niżbym się spodziewał.

Konkurs właśnie się skończył, gdy ujrzałem zmierzającą ku nam znajomą postać. Był to Protofanes, z daleka rozjaśniony uśmiechem od ucha do ucha. -To tyś schwytał węża, prawda? – spytał, zwracając się do mnie.

– Ja. Dzięki, że zauważyłeś – odrzekłem, nie kryjąc sarkazmu.

Przyznaję, że rano oczekiwałem jakiejś formy uznania czy podziękowania za okazany refleks – może zresztą i konkretnej nagrody – lecz musiało mi za nią starczyć niechętne mruknięcie jednego z sędziów, kiedy mu oddawałem kij.

– Jesteś z Rzymu?

– Zgadza się. Na imię mi Gordianus.

– Pozwolili mi złożyć przyrzeczenie, wiesz? – Atleta skinął mi głową. Z bliska nie wydawał się już niski; przewyższał mnie wzrostem prawie o głowę. – Jestem pewien, że zwyciężę w pankrationie. Wciąż jednak czegoś nie rozumiem. Dlaczego ten facet od węża zamordował cynika?

– Bo był agentem Mitrydatesa – odrzekłem. – Nie przybył tu podziwiać waszych wyczynów, ale z własnymi zamysłami. Był przekonany, że Symiusz szpieguje go na rzecz Rzymian i może go zdemaskować.

– Ten stary pierdoła? – zdumiał się osiłek.

– Najlepszymi szpiegami są ludzie, których nikt by o to nie podejrzewał – odparł Antypater, który dotąd milcząco przysłuchiwał się rozmowie.

– Możliwe – zgodził się Protofanes. – Myślałbym jednak, że szpieg powinien trzymać się w cieniu i nie przyciągać niczyjej uwagi.

– Albo właśnie postępować na odwrót.

– Szkoda tylko, że zabójca zwiął. Już tam sędziowie by z niego prawdę wydarli, bez dwóch zdań. Ale co to w ogóle za gadka o szpiegowaniu, agentach i tak dalej? Wszyscy przybywają do Olimpii w pokoju. W tym cały sens igrzysk, nie?

– Wprost przeciwnie, młody człowieku, Olimpia zawsze była siedliskiem intryg sprowadził go na ziemię Antypater. – To największe zgromadzenie w greckim świecie. Kiedy tak wielu ludzi spotyka się w jednym miejscu, także ci najbogatsi i najbardziej wpływowi, nie może się obejść bez jakichś zakulisowych działań, ze szpiegostwem włącznie. W tej dolinie zrodził się niejeden spisek i plan, który nie miał nic wspólnego ze sportem, możesz mi wierzyć. Protofanes pokręcił z niedowierzaniem głową. Polityka zupełnie go nie interesowała.

– No, ja tak tylko... Wpadłem na dwa słówka, podziękować za tę akcję z wężem. Gdyby organizowano zawody w szybkim refleksie, trudno by cię

było pobić, Gordianusie z Rzymu. Kiedy wygram pankration, nie zapomnę o tobie.

To rzekłszy, oddalił się w swoją stronę.

– Cóż za miły młodzieniec – powiedział Antypater z westchnieniem. – Mam nadzieję, że naprawdę zwycięży.

– No, przynajmniej starczyło mu manier, by mi podziękować.

– Taak... To co, wracamy do namiotu na posiłek, zanim się zaczną popołudniowe zawody?

– Co takiego? Chyba nie zamierzasz spędzić ani chwili dłużej pod dachem Eksagentosa, mistrzu?

– A to czemuż?

– Toż to morderca! Albo prawie morderca.

– Skąd ta opinia?

– Z tego, co tam usłyszałem w nocy!

– Powiedziałeś, że słyszałeś, jak ten blondyn nalega, by zgładzić Sydończyka”, i uznałeś, że chodziło o mnie, ale jak się potem przekonałeś, miał na myśli Symiusza. Jeśli jednak cię dobrze rozumiem, nie wiesz, kim był jego rozmówca ani też co mówił, prawda? Mógł to rzeczywiście być nasz gospodarz, ale też nie możesz wykluczyć, że jego głos był głosem sprzeciwu wobec planów zabójcy, prawda?

– Niby tak – przyznałem. – Ktoś jednak w tym namiocie na pewno pracuje dla Mitrydatesa. Pamiętasz, co powiedział ten z węzem, że Symiusz może ich zdemaskować jako agentów króla?

– Gdyby nawet, to co nam może grozić ze strony tych ludzi?

– Przecież to ja wskazałem mordercę! Kto wie, czy nie unicestwiłem tym samym jakiegoś ich większego planu. Mogą chcieć się zemścić.

– Tak, Gordianusie, odkryłeś zabójcę – przytaknął poeta z uśmiechem. – Tacy ludzie nie mają wielkiej wartości. Jeśli myślisz, że dekonspiracją

jednego zbira wystawiłeś się na zemstę króla Pontu, to za luźno trzymasz wodze wyobraźni. A teraz wracajmy do namiotu. Jeśli zastaniemy gospodarza, przedstawię cię. Eksagentos to bardzo miły człowiek, wierz mi, no i cieszy się zasłużoną sławą smakosza. Nie wiem jak ty, ale ja po dzisiejszych wydarzeniach porządnie zgłodniałem.

Przez pięć dni zawodów miałem tyle wrażeń, że zlewają mi się w pamięci w barwny, acz mglisty melanż. Przyglądałem się wyścigom pieszym i konnym, łykałem kurz wzbijany przez rozpędzone rydwany i podziwiałem tężyznę hoplitów biegnących w pełnym rynsztunku – choć sam pomysł takiego wyścigu wydał mi się raczej groteskowy. Z respektem obserwowałem zmagania zawodników w nieznanej mi dotąd konkurencji zwanej pentatlonem, na którą składają się rzut dyskiem i oszczepem, skoki, bieg i zapasy. Czuję się zmęczony i obolały od samego patrzenia! Wśród finałowych zawodów były sporty walki: zapasy, pięściarstwo i brutalny pankration. Oprócz oficjalnych konkurencji organizowano też pokazowe zawody chłopców za młodych jeszcze na udział w igrzyskach, a wieczorami biesiadowano przy winie i mięsivach ze zwierząt ofiarnych, w tym setki wołów zarżniętych na ołtarzu Zeusa przed świątynią w Altisie. Antypater zmuszał mnie do uczestniczenia we wszystkim, co się działo, i sam bawił się doskonale. Ze szczególnym zainteresowaniem śledził boje pankrationistów, co przyjmowałem ze skrywaną ironią: oto człowiek, który całe życie poświęcił tworzeniu pięknych wierszy i ujmowaniu w słowa najdelikatniejszych odczuć i ulotnych stanów świadomości, zamieniał się na moich oczach w rozwrzeszczanego, tupiącego nogami szaleńca podnieconego widokiem dwóch facetów tarzających się w pyle, okładających się kułakami i starających się chwycić drugiego za najwrażliwsze części ciała. W pankrationie dopuszczalne jest nawet duszenie; podczas jednej z pierwszych walk Protofanesa myślałem już, że

uśmierci przeciwnika swoim żelaznym chwytem za gardło. Widok nabrzmiałej, czerwonej twarzy nieszczęśnika, jego wywalony jęzor i wytrzeszczone oczy przypawił mojego towarzysza o łązy szczęścia. Przegrany z trudem zdołał unieść dłoń na znak kapitulacji.

Obserwując zachowanie mojego nauczyciela podczas tych igrzysk, zdałem sobie sprawę, że choć znam go przez większość mojego życia, pod pewnymi względami wciąż jest dla mnie tajemnicą. Kiedy już całe to mordobicie dobiegło końca, zwycięzcą okazał się Protofanes. Gdy odbierał nagrodę, miał skrwawioną twarz, zapuchnięte oko i całe ciało w zadrapaniach i siniakach, ale zęby szczyrzył w uśmiechu jaśniejszym niż kiedykolwiek – do czego miał pełne prawo, jako że oprócz pankrationu wygrał też w zapasach i miał wrócić do domu z dwoma wieńcami. Jak mi wyjaśnił podekscytowany Antypater, taki wyczyn zdarza się niezwykle rzadko.

– Pierwszy dokonał go sam Herakles, a przez setki lat olimpijskiej tradycji udało się to tylko trzem innym. Teraz dołączył do nich nasz Protofanes. Jego sława przetrwa nas wszystkich!

– Nawet sławę wielkiego Antypatra z Sydonu, Zotikosie?

Mój mistrz westchnął melancholijnie.

– Czymże jest byle poeta w porównaniu ze zwycięzcą igrzysk Zeusowych?

Trzeba przyznać, że Protofanes zachował się przyzwoicie. Po ceremonii zamknięcia olimpiady i procesji, podczas której atletów obrzucano deszczem liści oliwnych, odszukał mnie w ciżbie, by porozmawiać przed pożegnaniem.

– I jakie wywozisz stąd wrażenia, Gordianusie? – spytał.

– Mordercza impreza!

– Żebyś wiedział! Ale dla tych, co zwyciężą, warta całego wysiłku i bólu.

– Na pewno masz rację – powiedziałem. – Ale jeśli mam być szczery, to cała idea igrzysk jest dla mnie niezrozumiała. Tyle szumu się robi wokół ideałów uczciwości w sporcie, dyscypliny i pobożności, ale same zawody to już pot, chaos, brutalność i przemoc. To, co się opiewa jako zgromadzenie na cześć fizycznej doskonałości, podszyte jest intrygą i polityką... ba! Byliśmy nawet świadkami morderstwa! A na to wszystko cień rzuca jeszcze ta niewysłowiona konfrontacja między grecką dumą i rzymską hegemonią. Każe mi się to zastanowić nad czasami, w których przyszło nam żyć, i nad ludzkimi postępami. Jak mawia mój ojciec, o tempora! O mores!

Protofanes patrzył na mnie bez wyrazu; gdzieś po drodze musiał chyba stracić wątek. Pewnie teraz pójdziesz na ucztę zwycięzców – rzekł Antypater.

– Tak, a będzie to uczta nad ucztą! Przedtem jednak chciałbym spłacić dług.

– Jaki dług? – spytałem.

– Wobec ciebie, Gordianusie. Gdyby mnie obwinili za śmierć cynika, byłbym skończony. Nie dopuściliby mnie do igrzysk, nie pozwoliliby złożyć przyrzeczenia. Ty mi tego oszczędziłeś! Ojcowie mojego miasta obiecali hojnie mnie nagrodzić, tym bardziej że przywiozę z Olimpii nie jeden, ale dwa wieńce. – To mówiąc, podał mi skórzaną sakiewkę. To wszystkie moje pieniądze. Przywiozłem je z domu, ale już ich nie potrzebuję... bogacze będą teraz bić się między sobą o przywilej goszczenia mnie i karmienia przez całą drogę do Magnezji! Chcę więc darować je tobie.

Wcisnął mi sakiewkę w dłoń. Była ciężka.

– Ależ ja nie mogę...

– Nie bądź taki skromny, Gordianusie z Rzymu. Cynizm do niczego człowieka nie zaprowadzi w życiu, ale przesadna skromność też nie. Jeśli jednak mogę ci coś poradzić, to przekaż z tej sumy, ile uważasz, świątyni Zeusa. To on sprawia, że niemożliwe staje się możliwe. No, na mnie pora. Szczęśliwej drogi! Jeśli kiedykolwiek zawitacie w Magnezji, odwiedźcie mnie koniecznie.

– Cóż za gość z niego! – szepnął z podziwem Antypater, patrząc za odchodzącym atletą. – No, poszczęściło ci się, Gordianusie. Niezły zarobek! Ale powinieneś posłuchać jego rady i oddać wszystko, co do drachmy, Zeusowi.

Zmarszczyłem brwi.

– Może sporą sumkę, ale chyba nie całość – zaprotestowałem, marszcząc brwi.

– A na co chcesz je wydać? Widziałem cię na rynku. Ani spojrzaleś na te wszystkie pamiątki i świecidełka na straganach.

– Owszem, widziałem parę obiektów, które mi się podobały – odrzekłem, wspominając blondynkę i brunetkę, na które natknęliśmy się pierwszego dnia, wysokie jak Amazonki i odziane w chitony cieńsze od pajęczyny. Ciekawe, czy są jeszcze w Olimpii?

V

INTERLUDIUM W KORYNCIE: KŁĄTWA WIEDŹMY

W trakcie naszej podróży oprócz siedmiu cudów świata, które były naszym głównym celem, zobaczyliśmy z Antypatrem znacznie więcej. Jako Grek i poeta zarazem, mój towarzysz pragnął oddać cześć swoim wielkim poprzednikom, zatrzymaliśmy się więc na Lesbos, aby odwiedzić grób Safony, oraz na los, gdzie pochowany jest Homer. (Gdyby chciał ujrzeć miejsce jego narodzin, musielibyśmy zahaczyć o niemal każdą wyspę na Morzu Egejskim – tyle ich rości sobie prawa do tego zaszczytu).

Ujrzelśmy po drodze wiele niezwykłych miejsc i rzeczy, może nie dorównujących siedmiu cudom, ale uważam, że niektórym niewiele brakuje do tego miana. Z pewnością piękny i imponujący jest ateński Partenon i znajdujące się wewnątrz dzieło Fidiasza – chryzelefantynowy posąg Ateny. Mając jednak w pamięci świątynię Artemidy w Efezie i Fidiaszowego Zeusa w Olimpii, rozumiałem doskonale, dlaczego to właśnie one znalazły się wśród wielkiej siódemki.

Zawitaliśmy także na Delos, by zobaczyć Keraton, ołtarz Apolla przez niego samego, jak wierzą niektórzy, w dzieciństwie zbudowany. Nazwa ta pochodzi od greckiego słowa keras, oznaczającego róg – w całości został on bowiem wykonany z misternie, bez żadnych wiązań, splecionych poroży jeleni upolowanych przez siostrę boga, Artemidę. Ołtarz rzeczywiście robi wielkie wrażenie, jednak naszą wizytę na wyspie trudno nazwać przyjemną. Pod rzymskimi rządami Delos przeobraziła się w jeden z największych na

świecie targów niewolników, przesiąknięte wstrętnym odorem skupisko ludzkiej nędzy i nieszczęścia. Dziś ludzie przybywają tam po to, by kupować niewolników całymi tysiącami, nie zaś dla piękna ołtarza Apolla.

Z rozlicznych miejsc, jakie dane mi było zobaczyć, szczególnie mocno wryły mi się w pamięć ruiny Koryntu. Po igrzyskach olimpijskich wynajęliśmy człowieka z wozem zaprzężonym w muły i udaliśmy się na wschód, przecinając Peloponez, rozległy półwysep, który słuszniej byłoby nazwać wyspą, gdyby nie cieniutki skrawek ziemi łączący go ze stałym lądem. Kręta droga ostrymi wirażami kluczyła wśród stromych gór i przeciskała się przez skalne jary. Wreszcie pod koniec długiego dnia podróży Antypater powiedział mi, że zbliżamy się do przesmyku.

– W najwęższym punkcie nie ma on nawet czterech mil szerokości – wyjaśnił. – Taki młodziak jak ty, Gordianusie, z łatwością może w ciągu jednego dnia przejść od Zatoki Korynckiej na północy do Zatoki Saronckiej na południu i z powrotem, znajdując jeszcze czas na niespieszny posiłek przy drodze łączącej obie części Grecji.

– Droga jest bez wątpienia popularna – odrzekłem.

Odkąd opuściliśmy Olimpię, co rusz wyprzedzały nas szybsze wozy i jeźdźcy.

– Owszem – zgodził się Antypater. – Pomiędzy miastami na stałym lądzie, takimi jak Ateny czy Teby, a miastami Peloponezu, jak choćby Sparta i Argos, zawsze panuje niemały ruch, a już szczególnie teraz, tuż po igrzyskach. Zauważyłeś, że większość podróżnych jedzie w tę samą stronę co my? To atleci i widzowie wracają do domów na wschodzie. Nie ma innej trasy na kontynent.

Trakt po raz kolejny ostro skręcił na północ, okrążając urwistą skałę wystrzelającą z ziemi po naszej lewej stronie. Kiedy wspiął się na szczyt wzgórza, wprost przed nami zobaczyłem nagle Zatokę Koryncką i w tym

samym momencie, w dali po prawej stronie, po raz pierwszy ukazały mi się wody Zatoki Saronńskiej, srebrzące się za długim, niebieskawym grzbietem.

– Przy takim położeniu i z jedyną drogą z zachodu na wschód to miejsce świetnie by się nadawało do założenia miasta – zauważyłem. Byłem bardzo dumny z tego bystrego spostrzeżenia i oczekiwałem, że mój stary nauczyciel wynagrodzi mnie uśmiechem. Antypater jednak tylko się skrzywił.

– Gordianusie! Nie mów mi, że trud, jaki włożyłem we wbijanie ci do głowy geografii, był daremny. Czyżbyś nie wiedział, gdzie jesteśmy?

Cóż, potrafił sprawić, że dorosły, osiemnastoletni mężczyzna poczuje się czasem znów jak chłopaczek.

– Pięćdziesiąt cztery lata temu Lucjusz Mummiusz ku chwale Rzymu zrównał z ziemią cały Korynt i wymordował jego mieszkańców. A Ty, Rzymianin, nie wiesz nawet, gdzie znajdowało się to miasto! Potrafiłbyś w ogóle wskazać je na mapie?

– Oczywiście, że tak – zaprotestowałem. – Jeśli to jest Zatoka Koryncka, tam na północy... a ta kręta droga zaprowadzi nas ostatecznie w dół, na Przesmyk Koryncki, w takim razie... to musi być Akrokorynt, wzgórze z twierdzą wznoszące się nad dawnym miastem powiedziałem, wskazując urwisty szczyt na lewo od nas. – Tak, kiedy się lepiej przyjrzeć, widać resztki murów. Ale to by znaczyło, że sam Korynt musiał leżeć... o, tam, u stóp tego urwiska.

W końcu dostrzegłem to, co było przecież widoczne jak na dłoni, ale mój wzrok nieuważnie się po tym przeslizgiwał – dalekie kopczyki kamieni i hałdy ziemi, które były wszystkim, co pozostało z dumnego niegdyś Koryntu. Zaciekawilo mnie to wielce, lecz od ruin dzieliła nas spora odległość, a letni dzień miał się już ku końcowi. Wóz i muły rzucały teraz

długie cienie na wysoką, spieczoną trawę rosnącą wzdłuż drogi. Antypater nachylił się i stuknął woźnicę w ramię.

– Czy jest tu gdzieś w pobliżu miejsce, gdzie moglibyśmy przenocować?

– Tutaj? Tak blisko ruin? Oczywiście, że nie! – Woźnica odwrócił głowę i spojrzał nań jak na szaleńca. – Rzymianie nie pozwoliliby postawić nawet straganu z warzywami bliżej niż milę od murów, nie mówiąc już o gospodzie. Poza tym tutaj...

– Tak? – zachęcił Antypater. – Co takiego?

– Straszy! – Mężczyzna zniżył głos do ochryplego szeptu. – I dalej już nie jadę. Ciarki mnie przechodzą za każdym razem, kiedy znajdę się w tej okolicy.

– Ja jednak chętnie bym się przyjrzał tym ruinom z bliska – powiedział Antypater.

– Jak wola, panie, ale beze mnie. – Woźnica smagnął muły lejcam. – Coś wam powiem. Droga się tu zaraz rozwidła i jedna odnoga skręca w lewo, do starego portu w Lechajonie. Jest tam rzymski garnizon. Żołnierze utrzymują tam nadal kilka nabrzeży i magazynów, wyłącznie na użytek wojskowy. Miasta praktycznie tam nie ma, ot, parę sklepików i lupanar dla wojaków, ale jest i mały zajazd z tawerną. Ty i ten młody Rzymianin możecie się tam zatrzymać.

– A ty gdzie będziesz spał? – spytałem.

– Wystarczy mi wiązka słomy w stajni – odparł woźnica.

– Po wizycie w burdelu, bez wątpienia – szepnął Antypater.

– A jutro rano, jeśli nadal będziecie mieli ochotę zwiedzać ruiny, podrzucę was. Możecie je sobie obejrzeć za dnia, a potem wrócę po was, zanim się ściemni.

Kiedy droga nachyliła się w dół, znów otworzyła się przed nami szeroka tafla Zatoki Korynckiej, roziskrzona teraz złoto w zachodzącym słońcu.

W końcu pojawił się też ów porcik, mała mozaika rudych dachów na tle wody. Kiedy podjechaliśmy bliżej, rozmyte kontury nabrały kształtów i zobaczyliśmy przed sobą skupisko kilkunastu starych, zaniedbanych zabudowań. W pierwszym mieściła się nasza gospoda. Wyglądała nader uboga, lecz po długim dniu spędzonym na dygoczącym na wybojach wozie jawiła się nam niemal pałacem. W pobliżu nie było nikogo. Kiedy wóz się zatrzymał, kilka wyczerpanych upałem psów podniosło się ociężale na nogi i jęło merdać ogonami w nadziei na jakiś kąsek. Woźnica odpędził je i wszedł do zajazdu, by załatwić nam nocleg.

Rozejrzałem się wokół, ale faktycznie niewiele tu było do oglądania. Miasteczko miało atmosferę melancholijnej rezygnacji. Budynki z zapadniętymi dachami ledwo się trzymały na ugiętych, pełnych szpar ścianach.

-1 pomyśleć, że Lechajon był kiedyś jednym z najruchliwszych greckich portów! – westchnął Antypater. – Po drugiej stronie przesmyku leży siostrzana miejscowość, ale pewnie tak samo podupadła.

– Skoro lokalizacja jest tak doskonała, dlaczego Rzymianie nie odbudowali portów, by dalej zgarniać zyski?

– Spytaj rzymskiego senatu! Podejrzewam, że przyczyną jest wzajemna zawiść. Żaden z senatorów nie chce dać innemu uprawnień do zarządzania, bo nie zniósłby myśli, że to rywal będzie zarabiał, a nie on.

– Woźnica mówił jednak coś o rzymskim garnizonie.

– Tak, ale żołnierze nie stacjonują tu po to, żeby utrzymać port, ale raczej dlatego, żeby nikt z niego nie korzystał. Jedno z najpiękniejszych miast na świecie zostało zniszczone, ponieważ miało czelność przeciwstawić się Rzymowi, a że zdobywcy drą ze sobą koty, porty starożytnego Koryntu marnieją, nikomu nie przynosząc pożytku.

Nigdy nie słyszałem z ust Antypatra tak zdecydowanej krytyki Rzymu. Kiedy dorastałem, robił co mógł, by nauczyć mnie greki i zaszczepić we mnie szacunek i podziw dla greckiej kultury, jednak w osądach dotyczących najnowszej historii, a zwłaszcza rzymskiego podboju Grecji, zawsze pozostawał ostrożny.

Wóznica powrócił ze złą wiadomością: nie było dla nas izby w gospodzie.

– Jak to? To niemożliwe! – oświadczył Antypater. – Sam porozmawiam z właścicielem.

Pomogłem mu zsiąść z wozu i wszedłem za nim do środka. Właściciel nie był Grekiem, lecz byłym rzymskim centurionem o imieniu Gnejusz. Zanim przeszedł w stan spoczynku i zaczął prowadzić ten interes, odsłużył w armii wiele lat. Na nasze pytanie wyjaśnił, że wszystkie cztery izby zajęli inni goście, którzy przyjechali niedługo przed nami.

– Wszystkie? Kim są ci ludzie? – Antypater spytał po łacinie, nie chcąc widocznie słuchać, jak karczmarz kaleczy grekę.

– Grupa rzymskich podróżnych przybyła właśnie z Olimpii. Mówią, że chcą tu zostać przez jakiś czas i przyjrzeć się ruinom na wzgórzu. Posilają się właśnie w tawernie. – Właściciel gospody skinął w stronę sąsiedniego pomieszczenia, z którego docierał do nas szmer czyjejs rozmowy, przerywany co jakiś czas śmiechem.

Antypater rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Przyjrzeć się ruinom, mówisz? Przypomnę ci, że to miasto miało nazwę: Korynt. A teraz bądź tak łaskaw i poproś swoich gości, żeby się trochę ścięsnili i odstąpili nam jeden z pokoi.

Przez twarz gospodarza przemknął grymas niezadowolenia.

– Stare, stuknięte Greczysko! – burknął pod nosem.

– Mówiłeś coś? – spytał Antypater.

– No właśnie, powtórz, co powiedziałeś – zażądałem.

Gospodarz dopiero teraz przyjrzał mi się uważniej. Jego oczy spoczęły na żelaznym pierścieniu na mojej prawej ręce.

– Jesteś Rzymianinem? – zapytał.

– Tak.

– Wyglądasz trochę za młodo, by nosić pierścień obywatela.

– Mam osiemnaście lat.

– A to co innego. – Pokiwał głową. – A ten twój Grek to co za jeden?

– Zotikos był moim nauczycielem – odrzekłem. – Poza tym to nie powinno cię obchodzić.

– Wręcz przeciwnie, młodzieńcze. Obchodzi i to bardzo, podobnie jak każdy inny, kto zatrzymuje się pod moim dachem – odparł gospodarz tonem byłego centuriona. – Podoba mi się jednak twoja czupurność, obywatelu. No dobrze, zrobię tak, jak proponuje twój grecki przyjaciel, i porozmawiam z pozostałymi gośćmi. Wyglądają na rozsądnych ludzi. Może jednak znajdzie się dla was nocleg.

Wszedł do tawerny, a po chwili powrócił w towarzystwie rosnącego mężczyzny o rudych, kręconych włosach i szczeciniastej brodzie. Przedstawiliśmy się sobie nawzajem. Nazywał się Tytus Tuliusz.

– Nasz gospodarz mówi, że szukacie izby – powiedział. – A już myślałem, że będziemy mieć zajazd tylko dla siebie. Nie spodziewałem się, że ktokolwiek inny odnajdzie to miejsce, tak daleko od traktu. Wracacie właśnie z Olimpi, prawda?

– Owszem – odrzekłem. – Pierwszy raz na igrzyskach? Ja również. Niezłe widowisko! Widzieliście biegi? Ten cały Eudamos zupełnie pogrążył rywali. Nie mieli z nim szans! A pankration? Protofanos urządził rywalom niezły pogrom!

– Oddacie nam jeden pokój czy nie? – spytał szorstko Antypater.

– Spokojnie – odparł Tulusz. -1 tak zbyt wcześnie jeszcze na sen. Napijcie się najpierw z nami na dole.

– Jestem starym człowiekiem, podróż mnie zmęczyła i muszę się położyć – Antypater nie ustępował.

– Trzeba tak było od razu. Jasne, weźcie sobie którąś z izb. Poradzimy sobie jakoś. Zamierzaliśmy spać po trzech, ale możemy się równie dobrze zmieścić i czwórkami.

– Jest was dwunastu? – spytałem. – Wszyscy byliście razem na igrzyskach?

– Tak. A teraz chcemy zwiedzić jeszcze kilka miejsc na Peloponezie, zanim popłyniemy z powrotem do Italii. To ja nalegałem na zwiedzanie ruin Koryntu. Moi kompani kręcili nosami, ale zapewniłem ich, że nie pożałują.

– My także chcemy zobaczyć te ruiny – powiedziałem.

Odwróciłem się w stronę Antypatra, ale on już wchodził po schodach, by udać się na spoczynek. Gospodarz podążył za nim z pękiem brzęczących kluczy w zaciśniętej dłoni.

– A więc Rzymianie zostali we własnym gronie. – Tulusz się uśmiechnął. – Są tu moi towarzysze oraz kilku wolnych od służby żołnierzy z garnizonu. Prosimy do kompanii, Gordianusie.

Z przyjemnością przyjąłem zaproszenie, licząc na to, że kielich wina rozluźni moje zeszywniałe od jazdy członki. Grupa Tulusza składała się z samych mężczyzn. Byłem najmłodszy z nich wszystkich, choć od kilku mogło mnie dzielić najwyżej parę lat różnicy wieku. Kobieta, która ich obsługiwała, nie była ani młoda, ani ładna, ale musiała się urodzić tutejszą wolną obywatelką, bo traktowała gości zbyt szorstko jak na niewolnicę.

– Ismeno! – zawołał Tulusz. – Przynieś no puchar dla mojego przyjaciela. Obrzuciła go kwaśnym spojrzeniem, ale przyniosła drewniany kubek i wcisnęła mi go do ręki, po czym napełniła go z dzbanka.

– Miejmy nadzieję, że ten młody człowiek wykaże się lepszymi od waszych manierami. – Potoczyła złym spojrzeniem po biesiadnikach, mnie jednak obdarzyła ciepłym uśmiechem.

– Oho, zdaje się, że nasz Gordianus zawrócił Ismenie w głowie! – zaśmiał się mój nowy znajomy. – Wreszcie mężczyzna, na którego by miała ochotę! – rzucił jeden z żołnierzy, błyskając zębami w szerokim uśmiechu. Miał kark jak u byka i pierwsze oznaki siwizny na blond włosach o miedzianym odcieniu. W każdej podpitej grupie musi się znaleźć jeden głośniejszy od pozostałych i on tę rolę świetnie wypełniał.

– Nie drażnij jej, Marku – przestrzegł go kolega, raczej cherlawy jak na legionistę. Zmarszczki wokół ust zdradzały jego niespokojne usposobienie.

– A czemużby nie, Lucjuszu? Czyżbyś się bał Ismeny? A może się zadurzyłeś w starej heterze? – Marek zaśmiał się rubasznie.

Rozmowa się rozwinęła, a jej głównym tematem była Olimpia. Żołnierze zazdrościli podróżnym możliwości obejrzenia igrzysk. Ponieważ widziałem wydarzenia, które innych ominęły, przyłączyłem się do pogawędki i dobrze się bawiłem. Zaczynałem już tęsknić za domem, więc tym lepiej się czułem w miejscu, gdzie wszyscy mówili po łacinie. A ponieważ żołnierze spragnieni byli nowinek z ojczyzny, rozmowa szybko przeszła na Rzym i poczułem się, jakbym rzeczywiście był w domu.

– W dzisiejszych czasach wszyscy w Rzymie rozmawiają tylko o wojnie – rzekł Tuliusz. – Wojna w Azji Mniejszej z królem Mitrydatesem wisi na włosku, podobnie jak w Italii pomiędzy Rzymem a jego niezadowolonymi sprzymierzeńcami.

– Ale żadna się przecież jeszcze nie zaczęła – powiedział Lucjusz, który sprawiał wrażenie strapionego.

– Otóż to, jeszcze... – odparł Tuliusz posępnie, na co jego towarzysze pokiwali ponuro głowami. – Wy jesteście z dala od tego wszystkiego.

Służba w takim miejscu musi wam mijać bardzo spokojnie. -Spokojnie jak w grobie! – zaśmiał się Marek.

Lucjusz uczynił dłonią gest odpędzający złe moce.

– Nie powinieneś tak mówić, Marku. Wiesz, że tutaj aż się roi od duchów i czarów.

– Czarów? – spytałem.

– Czarnej magii! – Lucjusz uniósł ciemne, gęste brwi. – Klątwy i zaklęcia, czarownicy i wiedźmy. Otaczają cię, gdziekolwiek się tu ruszysz.

– Umiesz sobie dawać radę – stwierdziłem, krępując rzemieniem ręce i nogi Marka.

– Mnie to miejsce wydaje się praktycznie wyludnione – zauważyłem. – Poza paroma rozszanymi tu i ówdzie gospodarstwami nie widzieliśmy prawie żadnych oznak życia po drodze. Gdzie niby miałbym tu znaleźć wiedźmę?

– Nie musiałyś szukać zbyt daleko. – Lucjusz spojrzał wymownie w kierunku Ismeny.

Zauważyła jego wzrok i odwzajemniła się gniewnym spojrzeniem.

– Lucjusz, ale z ciebie tchórz! – zaśmiał się Marek. – Boisz się własnego cienia!

– Tak? No to mi powiedz, dlaczego nasi żołnierze umierają tu we śnie? Pamiętasz Aulusa i Tyberiusza? Obu znaleziono martwych i do dziś nie wiadomo z jakiej przyczyny. I czemu wszyscy się boją zbliżyć do ruin, zwłaszcza w nocy? – Lucjusz zadrżał. – Wolałbym raczej stawić czoło Mitrydatesowi albo walczyć w wojnie domowej! Jak ktoś podnosi na ciebie miecz, to przynajmniej wiadomo, z kim ma się do czynienia i jak się bronić. Na waszym miejscu wybiłbym sobie z głowy włóczenie się po tych ruinach. Tam się czai coś złego. Jeśli chcecie znać moje zdanie...

– Tego już doprawdy zbyt wiele! – Tulusz wyprostował się i uniósł podbródek. Jesteś rzymskim żołnierzem i nie pozwolę ci wygadywać takich bzdur. Czymże był Korynt, jeśli nie kolejnym miastem podbitym i wyróżnionym w pień przez Rzymian? Wszyscy wiemy, że doszło tam do rzezi, ale czy to znaczy, że żaden Rzymianin nie powinien postawić tam stopy z obawy przed mściwymi duchami? Absurd! Gdybyśmy mieli bać się wchodzić do miast, któreśmy sami obrócili w perzynę, to lepiej od razu wyrzec się wszelkich podbojów, podkulić ogonki i schować się w Rzymie! To tyle na temat duchów. A co się tyczy magii, jak ją nazywasz, to już typowo babska sprawa. Kobiety ciągle się obrzucają klątwami, a już zwłaszcza Greczynki. O, Hermesie z podziemia, ta wydra Ambrozja jest ode mnie ładniejsza, spraw więc, błagam, żeby włosy jej wypadły z głowy i wyrosły na piersi... O, wielka Artemido, wspomóżycielko rodzących, wszystkie mają już dzieci, a ja jedna nie, zrób tak, żeby im beczały po całych nocach... i temu podobne bzdury. Baby się wiecznie swarzą i wzywają pomocy bogów, jakby ci nie mieli nic lepszego do roboty. Mężczyźni nie przystoi zaprzętać sobie głowy takimi durnotami... tym bardziej jeśli jest Rzymianinem, i to jeszcze żołnierzem.

Lucjusz pokręcił tylko głową, dopił wino, wstał i wyszedł bez słowa.

– A to ci przesądny typ, nie ma co – skwitował Marek. – Nie podoba mu się tutaj i zawsze wyrzeka. Nic sobie z tego nie róbcie.

Aby pokazać, że nie przejął się krakaniem Lucjusza, Tulusz postawił wszystkim następną kolejkę. Ismena przewróciła oczami, ale poczłapała napęnić dzban.

Godzinę później z trudem wdrapałem się na piętro i padłem na niewygodne łóżko obok Antypatra. Zjadłem tego wieczoru zdecydowanie za mało, pijąc przy tym zbyt wiele, więc nie czułem się najlepiej. Kiedy

mój towarzysz obudził mnie o świcie, w głowie mi huczało, a w gardle miałem sucho jak na pustyni.

Na dole Gnejusz podał nam polewkę z prosa lekko osłodzoną miodem – proste śniadanie, jakie nauczył się zapewne przyrządzać jeszcze w wojsku. Reszta gości jeszcze nie wstała. Zazdrościłem im tego luksusu, bo sam bym jeszcze pospał, gdyby nie zafundowana mi przez Antypatra pobudka.

Woźnica wyglądał równie nieświeżo jak ja.

– Jak tam twoje nocne igraszki? – zapytał wesoło Antypater.

Mężczyzna w odpowiedzi tylko jęknął. Dotrzymując danego nam słowa, zabrał nas w pobliże starych ruin, posykując boleśnie przy każdym podskoku wozu na wyboistej drodze. Gdy dotarliśmy na miejsce, wysadził nas i zawrócił w stronę Lechajonu, obiecując, że przyjedzie po nas przed zmierzchem.

Korynt był niegdyś otoczony murem obronnym z bramami i wieżami, z którego pozostały już jedynie fundamenty. W ich obrębie nadal widoczny był dawny układ ulic, jednakże z budynków nie pozostało nic poza rozrzuconymi bezładnie kamieniami, przewróconymi kolumnami, gruzem z dachówek i zwęglonym drewnem wśród wysokich traw. Tu i ówdzie dostrzegałem fragmenty mozaikowych podłóg, ale żadna nie zachowała się w całości. Zobaczyłem kilka cokołów, ale ani jednego posągu.

Panowała tu atmosfera melancholii, której szczególnie łatwo ulegał Antypater. Błądził wśród ruin jak we śnie, z dziwnym wyrazem oczu, jakby wspominał miasto takie, jakie było kiedyś.

– Znałeś Korynt przed zniszczeniem? – spytałem.

Wziął głęboki oddech i odchrząknął, po czym odpowiedział:

– Byłem tu jako chłopiec. Starszyzna Sydonu wybrała mojego ojca, aby przyjechał po radę do wyroczeni delfickiej, no i na szczęście zabrał mnie ze sobą w tę podróż. Przejechaliśmy przez przesmyk dwukrotnie i za każdym

razem spędziliśmy tu po kilka dni. Jednak pamiętam to tylko jak przez mgłę, w oderwanych obrazach, jak to bywa ze wspomnieniami z dzieciństwa. Nie potrafię już ocenić, co naprawdę widziałem i przeżyłem, a co sobie tylko wyobrażam. A nic z tego, co widzę tu dzisiaj, nie wydaje mi się znajome. Zupełnie nic! Chociaż...

Zaczął się znowu przechadzać, a na jego twarzy pojawił się wyraz determinacji.

– Szukasz czegoś konkretnego? – zapytałem.

– Poznam właściwe miejsce, kiedy na nie trafię – wymamrotał.

Chodziłem za nim przez godzinę albo i dłużej, wędrując ulicami nieistniejącego już miasta. Ciepły wiatr poświstywał cicho wśród ruin, przyprawiając spaloną słońcem trawę o niespokojne drżenie.

W końcu poeta się zatrzymał, zamknął oczy i pochylił głowę z westchnieniem. Sądząc po zarysach licznych pokojów i pozostałościach ogrodu z fontanną, znajdowaliśmy się w samym środku czegoś, co kiedyś musiało być wspaniałą willą. Antypater odchylił głowę i nie otwierając oczu, wyrecytował po grecku:

Byłam Rodopą różanolicą, a mą matką Boisca. Nie od mieczaśmy zginęły i nie od choroby, Lecz gdy Ares straszliwy miastu pogrom zesłał, Matka za nóż chwyciła i za sznur konopny. Córkę jak jagnię ofiarne wśród modłów zarżnęła, A potem sobie na gardle pętlę zacisnęła. Tak dwie Koryntianki, nietknięte i wolne, Umarły bez trwogi, z klątwą dla zwycięzców.

Kiedy skończył, wokół zapanowała cisza jak makiem zasiał, przerywana jedynie lekkim szmerem wiatru w trawie. Nagle rozdarły ją brawa; najpierw zaklaskał ktoś jeden, a po chwili dołączyli do niego inni.

Poderwałem się i odwróciłem nerwowo, jakbym się spodziewał ujrzeć za plecami duchy pomordowanych Koryntian, ale rzeczywistość okazała się

znacznie bardziej prozaiczna: zjawili się Tytus Tulliusz i jego kompani.

– Świetna recytacja! – pochwalił Tulliusz i zwrócił się do towarzyszy: – Panowie, to, co przed chwilą słyszeliście, jest fikcyjnym epitafium dla zmarłej matki i córki z Koryntu, napisanym przez nieodżałowanego Antypatra z Sydonu. Miałem zamiar sam to wam zadeklamować, ale pocziwy Zotikos, rodowity Grek, zrobił to znacznie lepiej. To było wyśmienite, Zotikosie!

Cała grupa potwierdziła tę opinię kolejną rundą aplauzu. Gdybyż wiedzieli, że mają przed sobą autora we własnej osobie! Zazwyczaj mojego nauczyciela cieszyły wyrazy uznania dla jego wierszy, tym razem jednak... Gdyby wzrok mógł zabijać, Tulliusz padłby trupem na miejscu. On jednak, nie widząc grymasu na twarzy Antypatra, wrócił do roli eksperta i spokojnie kontynuował rozpoczęty zapewne dużo wcześniej wykład. -A zatem, panowie, czyżbyśmy naprawdę znajdowali się w miejscu, gdzie zrozpaczona Boisca zabiła swą córkę Rodopę, po czym sama popełniła samobójstwo? Nie bardzo w to wierzę, jako że obie kobiety są najpewniej jedynie wytworem poetyckiej wyobraźni. Poeta nie zamierzał uwiecznić autentycznych postaci, lecz przypomnieć nam o terrorze, jaki musiał spaść na Korynt w ostatnim dniu jego istnienia, kiedy to legionieści Lucjusza Mummiusza zburzyli mury i na wyraźny rozkaz senatu zrównali miasto z ziemią, mordując mężczyzn i biorąc w niewolę kobiety i dzieci. Jakież pytania?

– Do powstania przeciwko Rzymowi przyłączyły się też inne greckie miasta, a jednak nie zostały zniszczone – przypomniawszy jeden z mężczyzn. – Dlaczego więc spotkało to akurat Korynt?

– Przede wszystkim dlatego, że to on rozpoczął wojnę, podburzając innych do buntu i atakując pokojowo nastawionych sąsiadów, którym dobrze było pod rzymskim panowaniem. Poza tym senat nigdy nie

zapomniał o pewnym paskudnym incydencie, jaki wydarzył się tu wcześniej. Wyobraźcie sobie, że naszych posłów oblano tu fekaliami i moczem, kiedy przechodzili pod czyimś prywatnym domem. Za taką zniewagę prędzej czy później trzeba słono zapłacić! Ostatecznie senat zdecydował, że aby wybić Grekom z głów buntownicze odruchy, trzeba surowo ukarać Koryntian i pokazać, co czeka każdego, kto ośmieli się sprzeciwić Rzymowi. Jak sobie zapewne przypominacie, tego samego roku została zburzona Kartagina, nasz odwieczny wróg, a jej mieszkańcy obróceni w niewolników. Los Kartaginy na zachodzie i Koryntu na wschodzie dość skutecznie zniechęcił tych, którzy inaczej może by poszli w ich ślady. Wynik możecie sami ocenić: oto pięćdziesiąt lat później Rzym twardo trzyma Grecję w garści, co zresztą tylko jej wychodzi na dobre, gdyż położyliśmy w ten sposób kres nieustającym wojnom, jakie tu między sobą od wieków toczono. Cóż, dla utrzymania porządku trzeba czasem tego i owego przykładowo ukarać.

Mężczyźni zgromadzeni wokół Tulusza pokiwali głowami w zadumie, a ten i ów mruknął coś potakująco.

– Co za duby smalone! – burknął gniewnie Antypater. -Oczywiście zawsze są głębsze przyczyny takiego upadku miasta. Jedni dopatrują się w zagładzie Koryntu ręki boskiej, inni jednak są zdania, że to jego nieroztropne władze same ją na siebie ściągnęły bez jakiegokolwiek interwencji ze strony bogów. Nikt nie zaprzeczy, że Koryntianie ulegli demoralizacji. Jest taka teoria, że choć z jednej strony bliskość morza korzyść z handlu miastu daje i bogactw przysparza, to z drugiej przeciw niemu samemu obrócić się może, gdyż obywatele jego na złą drogę chciwości, gnuśności i folgowania sobie czasem prowadzi. Zapominają wówczas o cnotach męstwa i dyscypliny, za to prześcigają się w mnożeniu majątku. Ten sam rozkład moralny dotknął Kartaginę, inne nadmorskie

miasto, w którym zamiłowanie do handlu i obcych towarów pozbawiło ludzi zasad. Mając nie jeden, lecz dwa porty po obu stronach przesmyku, zaledwie kilka mil od siebie położone, Korynt był pewnie w dwójnasób na tę przypadłość narażony... – Tulusz pokiwał głową z miną zadowolonego z siebie mędrca. – Przypomina mi się jeszcze jeden z trenów Sydończyka o Koryncie, w którym właśnie o szczególniejszym miasta z morzem związku mowa. Piękne nereidy, córki Okeanosa, płaczą nad jego losem. Pozwolę sobie teraz go zacytować, jeśli oczywiście nasz Zotikos nie ma nic przeciwko temu... – Mówca urwał i chrząknął ze znaczącym uśmieszkiem. Było jasne, że to tylko figura retoryczna, albowiem nawet nie zerknął na Antypatra. – No, to posłuchajcie.

Gdzież dziś, o Koryncie, twe piękno przesławne?

Gdzie szançe mocarne...

– No nie, tego już nie zniosę! – wykrzyknął poeta i odwróciwszy się na pięcie, ruszył szparko przed siebie.

Podążyłem za nim, ledwo mogąc dotrzymać mu kroku. Jeszcze długo gonił nas śmiech i docinki tamtych.

– Mistrzu! – zawołałem zdyszany.

Antypater nie miał zamiaru stanąć, a nawet jeszcze przyspieszył. Im bliżej do Akrokoryntu, tym bardziej stromo piął się teren, ale on nadal nie zwalniał. Wyglądało na to, że idziemy szlakiem, który niegdyś był dobrze utrzymaną drogą; widziałem, że okrąża zbocze i prawdopodobnie prowadzi na sam szczyt góry. Teraz jednak została z niej tylko zaniedbana ścieżka. Zacząłem już podejrzewać, że Antypater nie spocznie, póki nie dotrzemy do jej krańca, ale w końcu przystanął dla złapania oddechu. Czy to z wysiłku, czy też z gniewu twarz miał czerwoną jak burak. Odsapnął wreszcie i zapytał:

– Znasz chyba historię Syzyfa?

– Imię brzmi znajomo...

Popatrzył na mnie z pogardą, zapewne zirytowany moją często okazywaną ignorancją.

– Syzyf był założycielem i pierwszym królem Koryntu. Miał nieszczęście obrazić czymś Zeusa... co do tego krążą różne wersje... i został surowo ukarany. Musiał toczyć pod stromizną wielki głaz, który nieodmiennie pod koniec drogi wyslizgiwał mu się i staczał na powrót w dół, a on wracał i zaczynał tę bezsensowną pracę od początku... i tak przez całą wieczność. Według niektórych to właśnie na tym wzgórzu cień Syzyfa odbywa tę karę i stąd jego nazwa, Stok Syzyfa.

Spojrzałem w dół skalistego zbocza, po czym przeniosłem wzrok wyżej. Mieliśmy już za sobą ponad połowę drogi, jednak najbardziej stromy odcinek był wciąż przed nami. Antypater ruszył dalej pod górę.

Minęliśmy ruiny murów, które kiedyś tworzyły fortecę, aż w końcu stanęliśmy na krawędzi urwiska górującego nad szczątkami miasta. Na północy połyskiwało morze. Rzymskie galery cumujące w Lechajonie były z tej odległości małe jak zabawki, a sylwetki żołnierzy na murach warowni ledwo dostrzegalne. U naszych stóp zobaczyłem zarys dawnych murów Koryntu.

Słońce wisiało teraz dokładnie nad naszymi głowami. W ostrym świetle bez cienia okolica wyglądała surowo i trochę nierealnie, jakby uporczywy ciepły wiatr osuszył barwy z żywszych tonów. Wyobraziłem sobie, że z dołu dobiegają szepty i jęki dawnych mieszkańców. Miałem wrażenie, że ruiny połyskują jakimś tajemniczym blaskiem, ale była to jedynie iluzja wywołana unoszącym się rozgrzanym powietrzem i falowaniem traw rosnących pośród kamieni. Zadrzałem, czując lekki zawrót głowy od gorąca.

– Co się tu naprawdę wydarzyło, Antypatrze?

– Słyszałeś wersję naszego przyjaciela Tuliusza. Koryntianie sami na siebie sprowadzili zagładę. Typowe rzymskie rozumowanie: zrzucić winę na ofiary! – westchnął. Bunt Związku Achajskiego rozpoczął się od ataku na wierną Rzymowi Spartę. Rzymianie wykorzystali to jako pretekst do inwazji na Peloponez, rzekomo w obronie swoich sojuszników. Stoczono kilka bitew. Związek został zdruzgotany, a przywódcy albo polegli, albo popełnili samobójstwo. Kulminacja kampanii nastąpiła tu, w Koryncie. Miasto otworzyło bramy w akcie poddania, ale Lucjusz Mummiusz miał rozkaz senatu, aby uczynić z niego przykład dla całej Grecji. Legioniści wtargnęli do miasta i doszczętnie je zniszczyli. Mężczyzn wyrżnięto w pień, kobiety brutalnie gwałcono, a te, które przeżyły, sprzedawano do niewoli, podobnie jak dzieci. Domy i świątynie plądrowano i palono. Żołnierzom pozwolono zabrać tyle biżuterii i złota, ile tylko zdołali unieść, jednak najcenniejsze dzieła sztuki Mummiusz odesłał do dyspozycji senatu. Rzym wzbogacił się wtedy ponad wszelką miarę. Zajrzyj do którejkolwiek świątyni na Forum... wszystkie najlepsze obrazy i posągi pochodzą właśnie z Koryntu. Co drugi jest w dodatku źle podpisany, ponieważ ten prostak Mummiusz nie umiał odróżnić statuy Zeusa od Posejdona! – Antypater zamilkł zamyślony, a po długiej chwili mówił dalej: – Niejaki Arystydes namalował kiedyś niezwykły obraz. Przedstawia Heraklesa miotającego się w agonii i usiłującego zderzyć z siebie zatrutą koszulę, prezent od żony, która uwierzyła w to, że magiczny przyodziewek zapewni jej męzowską wierność. W tle widać Dejanirę, przerażoną swoim uczynkiem, a podstępny centaur Nessos wychyla się triumfalnie uśmiechnięty ze swej leśnej kryjówki. Ojciec pokazał mi to malowidło tutaj, w Koryncie. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak mnie zafascynowało i przeraziło zarazem! Nigdy go nie zapomniałem. I oto kilka lat temu wchodzę do jednej z rzymskich świątyń w Rzymie i co tam widzę w westybulu? Toż samo

dzieło Arystydesa, nie jakąś marną kopię, ale najprawdziwszy oryginał! Od razu wróciły wszystkie moje dziecięce wspomnienia z Koryntu. I wtedy napisałem ten wiersz.

Antypater podszedł na sam skraj urwiska. Wstrzymałem oddech w obawie, że silniejszy podmuch wiatru może strącić go w przepaść, ale nie miałem odwagi mu przeszkodzić. Słowa, które brzmiały tak pompatycznie i pusto zarazem, gdy wypowiadał je Tuliusz, w ustach Antypatra zyskały całkiem nowy wydźwięk.

Gdzież dziś, Koryncie, twe piękno przesławne? Gdzie szańce mocarne, świątynie i wieże? Gdzież tłum, co wypełniał ulice twe dawne, Gdzie czcigodne matrony i święte alkierz O, miasto Syzyfa, ślad zginął po tobie! Wojny pożar tak wszystko do zgliszczy wypala. I dziś tylko morze trwa w rzewnej żałobie – Słonymi łzy Nereid brzeg omywa fala.

Podszedłem bliżej i stanąłem obok nauczyciela, jak on patrząc w dół na umarłe miasto, wsłuchany w pojękiwania wiatru. Po chwili moją uwagę przykuł jakiś ruch wśród ruin. Zdawało mi się, że to grupa Tuliusza; miniaturowe postacie były zbyt daleko, bym mógł je rozpoznać, jednak dostrzegłem jego charakterystyczne rude włosy i brodę. Przyjaciele nie stali już skupieni wokół niego jak słuchacze przy mówcy ani nie podążali za nim z miejsca na miejsce w karnym szeregu. Wyglądało na to, że szperają w gruzie i przerzucają to tu, to tam, choć nie miałem pojęcia w jakim celu. Chciałem zapytać Antypatra, co o tym sądzi, jednak on stał zapatrzony w zupełnie innym kierunku i nie chciałem zawracać mu głowy rzymskimi turystami.

Wiatr przybierał na sile. Mój mentor odsunął się wreszcie od urwiska i ruszyliśmy z powrotem w dół. Po drodze, w pewnym oddaleniu od ścieżki, zauważyłem ruiny, które wcześniej musiałem przeoczyć. Antypater też je dostrzegł, zбочyliśmy więc, aby się im lepiej przyjrzeć.

Największa z budowli była kiedyś niewielką świątynią. Części przewróconej kolumny leżały wśród gruzowiska, a na wyblakłym malowidle widniejącym na fragmencie ściany Antypater rozpoznał Persefonę, żonę Hadesa i królową podziemi.

– Nie widzisz, Gordianusie, jej królewskiego diademu? W dłoni ma przetak. Żniwiarze posługują się takimi narzędziami do odsiewania ziarna od plew, bogini zaś oddziela nim dobre i złe dusze zstępujących w zaświaty. Podobne sita są używane przy odprawianiu świątynnych rytuałów w całej Grecji.

– Na czym polegają te rytuały?

– Nikt tego tak naprawdę nie wie, ponieważ uczestniczą w nich tylko kobiety. Prawdopodobnie wzywają one podziemne moce.

– Ale to przecież czarna magia, nie kult żadnego boga!

Antypater wzruszył ramionami.

– A kto to wie, gdzie kończy się jedno, a drugie zaczyna?

Tuż obok znajdowały się szczątki kilku innych małych budynków. Antypater wysnuł przypuszczenie, że mogły one służyć dawniej jako jadalnie i miejsca spotkań czcicielek Persefony. Wszystkie się zawaliły poza jedną chatą z drzwiami i oknem; stała w stercie gruzu, ale jej dach pozostał nietknięty. Antypater pchnął drzwi i weszliśmy do środka.

Wewnątrz zaskoczył mnie nagły chłód. To niby normalne w grubych murach nawet przy największym upale, ale tu zrobiło mi się wręcz zimno. Niewielkie, ciemne pomieszczenie sprawiało wrażenie zupełnie pustego, kiedy jednak mój wzrok przyzwyczał się do półmroku, zacząłem rozróżniać walające się na podłodze przedmioty: gliniane lampki, kadzielnice oraz kilka cienkich, spłaszczonych kawałków czarnego metalu. Podniosłem jedną z takich tabliczek, która ku mojemu zdziwieniu okazała się dość ciężka, a przy tym nadspodziewanie giętka.

– Odłóż to! – nakazał Antypater tonem tak zdecydowanym, że posłuchałem go od razu.

– Co to właściwie jest?

– Ołowiana tabliczka do pisania. Naprawdę się nie domyślasz, gdzie jesteśmy? To chata czarownicy! Rozejrzałem się wokoło.

– Jesteś pewien? Przecież to zupełnie pustkowie. Dlaczego ktokolwiek...

– Rzymianie zniszczyli sanktuarium, ale to nadal miejsce poświęcone Persefonie. Koryntianki od wieków oddawały się tu magicznym praktykom. Od czasu, gdy Jazon sprowadził czarodziejkę Medeę z Kolchidy i uczynił ją swoją żoną i królową, w Koryncie zawsze były czarownice.

– Ale przecież Koryntu już nie ma.

– Wiedźmy jednak pozostały. Te przedmioty były używane całkiem niedawno. Widzisz popiół w kadzielnicach? Zobacz, jaki okopcony jest sufit. Wszystko wskazuje na to, że ciągle się tu spotykają i rzucają czary. Wyśpiewując zaklęcia do ciemnych mocy, wypisują rylcem na ołowiu klątwy i podrzucają osobom, które chcą uśmiercić.

– Wszystkie tabliczki są puste, z wyjątkiem tej jednej...

Podniosłem tabliczkę leżącą osobno. W półmroku musiałem wyteńczyć wzrok, aby przeczytać niewyraźne litery, jednak grecki tekst napisany został prostym językiem i nie miałem problemów z jego przetłumaczeniem.

– Wzywam was, Ananke i Mojro! – odczytałem na głos. – Wzywam cię, egipski Uferze wszechmocnego imienia! Zniszczcie mą nieprzyjaciółkę Eudoksję! Niech sześcinnie, zmarnieje od włosów na głowie po paznokcie u stóp. Napełnijcie jej usta trocinami, a łono piaskiem. Wlejcie w jej żyły czarną ropę i ocet. Niech... I tu się napis urywa.

– Rzuć to, Gordianusie!

– Jak myślisz, dlaczego to wciąż tu jest?

– Któż to może wiedzieć? Możliwe, że coś przeszkodziło piszącej albo prysł magiczny moment... A może się zreflektowała i odstąpiła od zamiaru. A teraz odłóż już tę tabliczkę i chodźmy stąd wreszcie.

Ponaglany przez Antypatra ruszyłem za nim, chętnie jednak zostałem dłużej, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma więcej śladów magicznych praktyk. Ostre światło słoneczne oślepiło mnie, gdy wyszedłem z chłodnej i ciemnej chaty. Fale gorącego, dusznego powietrza wciąż unosiły się nad usianym kamieniami stokiem. -Kiedy przyjedzie woźnica? – spytał Antypater. – Dość się już napatrzyłem na Korynt.

Słońce wciąż jeszcze stało wysoko na niebie, gdy dotarliśmy do umówionego miejsca. Mój nauczyciel znalazł skrawek cienia pod drzewkiem oliwnym i uciął sobie drzemkę. Ja tymczasem oparłem się tylko o pień i wsłuchałem w kląskanie cykad w trawie.

W pewnym momencie zobaczyłem rzymskiego żołnierza nadjeżdżającego na koniu. Miał na głowie hełm, przez co nie poznałem go od razu.

– Czyżbyś nie lubił upałów? – spytał drwiąco i wtedy zorientowałem się, że to Marek, który w tawernie wyśmiewał tchórzostwo jednego ze swych towarzyszy.

– Co tutaj robisz? – spytałem przyciszonym głosem, aby nie zbudzić mojego mistrza.

– Normalnie, patroluję okolicę – odrzekł Marek i spiąwszy lekko wierzchowca, pokłusował dalej. Wkrótce zniknął za niewielkim wzgórzem.

Co jakiś czas wydawało mi się, że słyszę dźwięki dobiegające od strony ruin: rozmowy mężczyzn i szczęk metalowych narzędzi. Czy to możliwe, żeby Tuliusz z przyjaciółmi nadal tam czegoś szukali? A jeśli tak, to czego i po co? Zastanawiałem się, czy nie pójść w tamtą stronę i sprawdzić, ale doszedłem do wniosku, że nieodpowiedzialnie byłoby zostawiać Antypatra

samego. Przemknęło mi poza tym przez głowę, że być może to wcale nie nasi rzymscy znajomi, lecz duchy Koryntian tak hałasują. Było to tylko chwilowe, niemądre odczucie, niemniej jednak zdecydowałem nie ruszać się z miejsca. Podobnie jak Antypater, miałem już dosyć tej opustoszałej, smętnej okolicy. Ulżyło mi, kiedy wóz w końcu nadjechał, by zabrać nas z powrotem do gospody w Lechajonie.

Zjedliśmy z Antypatrem wczesną kolację, ale najpierw dogadaliśmy się z woźnicą, że następnego dnia rano zawiezie nas do Kenchreaj, drugiego z portów Koryntu położonego po południowej stronie przesmyku, skąd bez trudu moglibyśmy – tak nas w każdym razie zapewniał – wynajętym stateczkiem dostać się do Pireusu, portu pod Atenami.

Zaledwie przyłożyłem głowę do poduszki, z dołu dobiegły głośnie rozmowy i śmiechy: to wrócili Tuliusz i jego przyjaciele. Przestraszyłem się, że hałas nie da mi zasnąć, ale wystarczyło, że zamknąłem oczy, a od razu znalazłem się w objęciach Morfeusza.

Obudziłem się o świcie. W nocy dręczyły mnie koszmary, od których nijak nie mogłem się uwolnić. O czym właściwie śniłem? O wiedźmach i klątwach – tego byłem pewien, jednak w głowie miałem chaos i nic więcej nie mogłem sobie przypomnieć. Zacząłem już sobie wyrzucać, że niepotrzebnie wypłem tyle wina poprzedniego wieczoru, kiedy dotarło do mnie, że przecież skończyło się na jednym kubku, i to pół na pół z wodą. Antypater chrapał w najlepsze na sąsiednim łóżku.

Podniosłem się chwiejnie z posłania i odryglowałem drzwi. Zszedłem na dół, zastanawiając się, czy Gnejusz lub Ismena kręcą się już po tawernie. Moje zaschnięte podniebienie aż krzyczało o łyk wody.

To, co tam ujrzałem, wprowadziło mnie w pierwszej chwili w całkowite osłupienie i nie byłem w stanie zrozumieć, co się stało. Zachwiałem się, nagle osłabły, chwytając się za brzuch i próbując opanować mdłości.

To była istna jatka. Trup na trupie, krew na ścianach i podłodze. Tytus Tulliusz leżał z głową nienaturalnie odrzuconą i rozwartymi oczyma i ustami. Ktoś poderżnął mu gardło. Przód jego tuniki tak nasiąkł krwią, że nie było widać pierwotnego koloru.

Śmierć mi nie pierwszyczna – nieraz oglądałem walki gladiatorów – nigdy jednak nie widziałem aż tylu zabitych naraz. Walcząc z nudnościami, zacząłem liczyć ciała. Dwanaście. Cała kompania, jeszcze kilka godzin temu pełna życia i energii, leżała teraz martwa na podłodze tawerny w kałużach krwi.

Pobiegłem z powrotem na górę, żeby obudzić Antypatra. Nie było to łatwe zadanie, ale w końcu mój towarzysz wstał. Był nieco zdezorientowany i ledwo się trzymał na nogach, zupełnie jak ja tuż po przebudzeniu. Kiedy zeszliśmy na dół, właściciel gospody już tam był. Stał u progu z wzrokiem wlepionym w leżące przed nim zwłoki i kręcił z niedowierzaniem głową.

– Zupełnie jak po bitwie – wyszeptał.

– Na Zeusa! – zakrzyknął Antypater. – Wszyscy zamordowani! Gordianusie, słyszałeś coś w nocy?

– Nie. Spałem jak kamień.

– Ja również. Ale jak to się stało, że hałas nas nie obudził? Przecież tu się musiała toczyć prawdziwa bitwa! Ci mężczyźni z całą pewnością krzyczeli.

– Tylko że nie ma śladów walki – zauważyłem, marszcząc brwi. – Ani jedna ława nie jest przewrócona, nic się nie stłukło, a żaden z nich nawet nie dobył broni. Tak jakby bez protestu poddali się śmierci.

– Albo zostali całkowicie zaskoczeni – zasugerował Antypater. – Kto tutaj był wczoraj wieczorem, Gnejuszu?

– Tylko ta dwunastka, nikogo więcej nie widziałem. – Nie przyszedł nikt z garnizonu?

Karczmarz zaprzeczył.

– A Ismena?

– Była tu, naturalnie.

– A gdzie jest teraz? – indagował Antypater.

– Sam chciałbym wiedzieć. Wieczorem zawsze idzie do domu. Mieszka w małej chatce za miastem, ale ranny z niej ptaszek i z reguły jest z powrotem w tawernie jeszcze przede mną.

– Może coś się jej stało? – wyraził przypuszczenie mój nauczyciel.

– Albo też uciekła – podsunąłem. – Czy sądzisz, że Ismena mogłaby...

– Jeśli wydaje ci się, że ona maczała w tym palce, jesteś chyba szalony – zachnął się Gnejusz. – Dlaczego miałyby źle życzyć tym ludziom? Dlaczego ktokolwiek miałyby coś takiego zrobić?

Przypomniało mi się, w jaki sposób Tulliusz mówił o zniszczeniu Koryntu, dyskredytując jego mieszkańców i obwiniając ich o doprowadzenie do własnej zguby. Antypater poczuł się urażony jego uwagami. Zastanawiałem się, kogo jeszcze Tulliusz obraził – w tej tawernie czy gdziekolwiek indziej. Czyżby swoim nietaktem ściągnął na siebie zemstę samych duchów Koryntian? Przerażony niewyjaśnioną rzezią, nie umiałem już powstrzymać galopującej wyobraźni.

– A może to był zwykły rabunek? – Antypatrowi przyszedł do głowy bardziej zwyczajny motyw.

Gnejusz pobiegł na górę i po chwili wrócił z informacją, że pokoje zamordowanych pozostały nietknięte i że nikt nie ukradł ich rzeczy.

– Trzeba powiadomić dowódcę garnizonu – zdecydował. – Sam do niego pójde.

Nie mając ochoty przebywać dłużej w pomieszczeniu pełnym trupów, wyszliśmy z Antypatrem na zewnątrz, by tam czekać na rozwój wydarzeń. Nie trwało długo, a karczmarz był z powrotem. W ślad za nim przybył oddział zbrojnych, witany gwałtownym ujadaniem psów, które jednak wkrótce się gdzieś rozbiegły. Wśród żołnierzy rozpoznałem Marka i jego przesadnego towarzysza Lucjusza. Przed nimi, na czele oddziału, szedł szpakowaty dowódca o słabo zarysowanym podbródku i postawie godnej patrycjusza. Przyjrzał się nam uważnie i zapytał:

– Widzieliście, co tu się stało?

– To ja znalazłem zwłoki – wyjaśniłem. – Nikt z nas jednak nie widział, jak doszło do mordu.

– To już sam ustalę. Nazywam się Kwintus Meneniusz i jestem dowódcą tutejszego garnizonu. A wyście co za jedni?

– Jestem Gordianus z Rzymu, a to mój dawny nauczyciel, Zotikos. Właśnie wracamy z igrzysk w Olimpii. Zamierzaliśmy dziś rano pojechać do Kenchreaj i złapać tam jakiś statek...

– Dzisiaj na pewno tego nie zrobicie – zdecydował dowódca, po czym zwrócił się do Gnejusza: – Pokaż mi ciała, centurionie – powiedział, z uprzejmości zwracając się do gospodarza jego dawnym stopniem. – A wy dwaj – rzucił w naszą stronę – chodźcie z nami na wypadek, gdybym miał więcej pytań.

Przez lata swojej kariery Kwintus Meneniusz był niewątpliwie świadkiem bardziej krwawych wydarzeń, jednak kiedy zobaczył podłogę tawerny usłaną trupami, zadrżał i ledwo stłumił okrzyk. -Czy wszyscy ci ludzie byli twoimi gośćmi, centurionie Gnejuszu? – zapytał.

– Owszem.

– Czy ich okradziono?

– W izbach nie ma śladów włamania. Nie wiem natomiast, czy nie zabrano im czegoś, co nosili przy sobie.

– Lucjusz! Marku! Obejrzyjcie dokładnie zwłoki. Sprawdźcie, czy nie ma przy nich sakiewek.

Żołnierze sprawnie obszukali zabitych. Przy każdym znaleźli woreczki pełne monet. Dowódca uniósł brwi.

– A więc nie było żadnej kradzieży? W takim razie dlaczego ich zamordowano? I jak to się mogło stać, skoro nie widać śladów walki? – Potrząsnął głową. – Dobra, odłożyć tam sakiewki na miejsce. Ofiary były obywatelami Rzymu. Dla dobra śledztwa należy sporządzić dokładny spis tego, co miał przy sobie każdy z zabitych... – Machnął zrezygnowany ręką na samą myśl o górze raportów, jakie będzie zmuszony napisać.

Nagle powstało drobne zamieszanie. Zajęty wciskaniem sakiewki kolejnemu nieboszczykowi za pas Lucjusz nagle poderwał się i odskoczył do tyłu.

– Co tam zobaczyłeś, żołnierzu? – spytał Meneniusz.

W tej samej chwili kątem oka dostrzegłem Marka, który akurat odkładał na miejsce sakiewkę Tytusa Tulusza. Czy mi się tylko wydawało, czy naprawdę coś z niej przedtem wyciągnął? Pewności nie miałem, a nikt inny najwyraźniej niczego nie zauważył. Później zresztą całą uwagę skupiłem na Lucjusz, który teraz ostrożnie sięgał po coś, co znajdowało się pod leżącym obok niego ciałem. Po chwili znów cofnął rękę jak oparzony.

– Na Herkulesa, cóż tam masz, człowieku? – spytał zniecierpliwiony Meneniusz, po czym odtrąciwszy podwładnego, sam się schylił i podniósł upuszczony przez niego cienki, płaski przedmiot.

Była to ołowiana tabliczka, podobna do tej, którą widziałem w chacie czarownicy.

Meneniusz usłyszał moje nerwowe sapnięcie i spojrzał na mnie przenikliwie, ale zaraz ponownie jął oglądać metalowy prostokąt, zmrużonymi oczyma próbując odczytać wyryte na nim litery. Prychnąwszy niecierpliwie, podszedł nagle do mnie i wcisnął mi tabliczkę do rąk.

– Trzymaj. Masz młode oczy i zdaje się, że wiesz, co to jest. Przeczytaj na głos.

Przebiegłem wzrokiem słowa i aż ciarki mi przeszły po plecach.

– Nie wiem, czy powinienem.

– Czytaj, mówię!

Wzięłem głęboki oddech i zacząłem.

– Wzywam was, Ananke i Mojro, i ciebie, egipski Uferze wszechmocnego imienia! Zgładźcie tych bezbożnych Rzymian! Odbierzcie im życie, niech dołączą do zmarłych, których cześć skalali. Otwórzcie im gardła i niech wycieknie z nich krew...

Lucjusz wydał z siebie zduszony krzyk, a jego ciałem wstrząsnęły dreszcze. Chciał chyba wybiec z tawerny, lecz gniewne spojrzenie dowódcy osadziło go na miejscu.

– No dalej, czytajże! – krzyknął Meneniusz.

– Uśmierć tych barbarzyńców, o Ananke. Strąć ich do Tartaru, o Mojro. Zgładź bluźnierców, egipski Uferze...

W tym momencie Lucjusz się zachwiał, wywrócił oczy białkami na wierzch i runął na ziemię pomiędzy trupy.

– Na Herkulesa, ten człowiek zemdlał! – skwitował Meneniusz z niesmakiem. Kazał kilku żołnierzom zająć się Lucjuszem, po czym wyrwał mi z rąk tabliczkę. – Czary oświadczył. – Tutejsze kobiety mają bzika na tym punkcie. Czy morderczynią mogła być twoja pomocnica, centurionie Gnejuszu?

Karczmarz spojrzał na niego, niezdolny wykrztusić choćby słowa.

– Wszystko się wyjaśni w trakcie śledztwa. – Meneniusz westchnął ciężko. – Trzeba zmusić miejscowe kobiety do mówienia. Wyciąganie dowodów od czarownic to nieprzyjemne zadanie, niezbyt odpowiednie dla rzymskiego legionisty, ale cóż począć... Ot, garnizonowe życie!

To rzekłszy, polecił żołnierzom usunąć ciała z gospody i spisać wszystkie należące do ofiar rzeczy. Następnie zwrócił się do Gnejusza i zażądał, by mu pokazano izby wynajęte przez Tulusza i spółkę. Ani ja, ani Antypater nie byliśmy mu na razie potrzebni, więc pozwolił nam odejść.

Mój nauczyciel wyszedł na zewnątrz, mówiąc, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, ja tymczasem podszedłem do Marka.

– Twój przyjaciel Lucjusz sprawiał wrażenie przerażonego, gdy usłyszał treść klątwy zagadnąłem.

– Mój przyjaciel Lucjusz schowałby się najchętniej we własnym cieniu, gdyby podejrzewał, że gdzieś obok jest wiedźma. – Żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– A więc twoim zdaniem to, co tu zaszło, nie miało nic wspólnego z tą tabliczką?

– Trudno powiedzieć. – Marek wyduł usta. – Dowódca już tam wywacha, kto lub co zabiło tych ludzi.

– Co zabrałeś z sakwy Tulusza?

Moje pytanie zaskoczyło go nie gorzej niż grom z jasnego nieba. Udał, że nie wie, o czym mówię, ja zaś udawałem pewność siebie, której nie miałem za grosz. Nie spuściłem jednak wzroku i Marek w końcu skapitulował. Z krzywym uśmiechem i wzruszeniem ramion wyciągnął pięknie odlaną w brązie figurkę Herkulesa wielkości palca wskazującego.

– Nie powiesz nikomu, prawda? – spytał.

– Jak myślisz, skąd on miał coś takiego?

– Być może przywiózł to ze sobą jako talizman.

– Jeśli tak, to na niewiele mu się przydał – zauważyłem. – Masz coś przeciwko temu, abym go zatrzymał?

Nagle z twarzy Marka opadła maska dobroduszości.

– Jeśli odmówię, pewnie doniesiesz na mnie mojemu dowódcy? Dobra, bierz go sobie, cwaniaczku. Ale wtedy ty również będziesz złodziejem, wcale nie lepszym ode mnie. Wygląda na to, że każdy miewa czasem lepsze rączki, co? A teraz daj mi spokój, robota czeka.

Powiedziawszy to, Marek przyłączył się do kolegów, by pomóc im w niewdzięcznej funkcji wynoszenia zwłok. Mimo że powiedzieliśmy już Meneniuszowi wszystko, co wiedzieliśmy o sprawie, nadal nie pozwalał nam wyruszyć w dalszą drogę, kazać zostać w Lechajonie do zakończenia śledztwa. Woźnica tymczasem nie chciał dłużej czekać i następnego dnia o świcie odjechał do Olimpii.

Trudno o mniej interesujące miejsce na przymusowy postój. Całodzienne zwiedzanie ruin Koryntu w zupełności mi wystarczyło, a samo miasteczko nie miało do zaoferowania nic poza gospodą, do której nie mogłem już wejść bez przyływu mdłości. Nie kusily mnie ani zakurzone, kiepsko zaopatrzone sklepiki skupione wokół garnizonu, ani dom publiczny przy nabrzeżu, zwłaszcza odkąd raz i drugi zobaczyłem zatrudnione w nim damy wchodzące lub wychodzące tylnymi drzwiami.

Na szczęście okazało się, że śledztwo wkrótce ruszy. Zanosilo się na spore kłopoty dla Ismeny; przeszukując jej chatę, żołnierze znaleźli rekwizyty do magicznych rytuałów – takie same lampki, kadzielnice i czyste ołowiane tabliczki, jak te, które widzieliśmy z Antypatrem w chacie więdźmy na Stoku Syzyfa, razem z małymi szkatułkami z ołowiu, w których ukryte były drewniane lalki (do rzucania uroków, jak stwierdził mój nauczyciel). Nie było wątpliwości co do tego, że Ismena jest czarownicą i że najprawdopodobniej to ona wyryła słowa klątwy na

tabliczce znalezionej w tawernie. Problem polegał jednak na tym, że wiedźma zniknęła i nikt nie wiedział, gdzie jej szukać. Żołnierze przeczesali każdy dom w pobliżu i wypytywali wszystkich mieszkańców, ale Greczynka najwyraźniej rozpułnęła się w powietrzu.

Jak mówił Gnejusz, miejscowi ludzie są przekonani, że Rzymianie zginęli za sprawą magii. Wobec braku innych dowodów komendant garnizonu gotów był uznać tę wersję za słuszną.

– Czy to naprawdę możliwe? – spytał Antypatra.

Siedzieliśmy w cieniu rosnącego przed gospodą figowca, aby przetrwać najgorszy upał, zupełnie jak psy leżące na pylistej ziemi kilka kroków od nas.

– Sam przecież czytałeś tabliczkę, Gordianusie. Tekst wyraźnie wzywał siły wyższe oraz tego egipskiego Ufera, kimkolwiek on jest, by „otworzyły im gardła”. I tak się właśnie później stało, w środku nocy, bez oporu ze strony ofiar, a przy tym tak cicho, że żaden z nas się nie obudził. To musiała być czarna magia. – Antypater się wzdrygnął. – Co trzymasz w dłoni?

Nie myśląc o tym, co robię, wyciągnąłem odebranego Markowi Heraklesa z brązu i bezwiednie zacząłem się nim bawić. Na jej schowanie było już za późno, więc opowiedziałem mojemu towarzyszowi, skąd mam figurkę.

– Zastanawiałem się, czy nie oddać jej dowódcy, by mógł ją dołączyć do innych rzeczy Tuliusza, ale wydało mi się to niezręczne. Gdybym powiedział mu, że Marek ją wziął, prawdopodobnie zostałby wychłostany albo nawet spotkałoby go coś gorszego. Z drugiej strony nie mógłbym zataić przed Meneniuszem pochodzenia figurki, bo wówczas pomyślałby, że sam ją ukradłem. Nie dałoby się też powiedzieć, że ją znalazłem, bo niby skąd wtedy wiedziałbym, że to własność Tuliusza?

– A jesteś pewien, że należała do niego?

– Żołnierz wyciągnął ją z jego sakiewki.

– Pokaż, niech się jej lepiej przyjrzę. – Antypater przez chwilę obracał figurkę w dłoni, po czym rzekł: – To tutejsza robota. Korynccy rzemieślnicy byli znani z robienia takich miniaterek. Widzisz ten melanz ciemnej czerwieni i zieleni na powierzchni? Wymyślili specjalnego rodzaju patynę, której nie zobaczysz nigdzie indziej. Zresztą pieczęć na spodzie to znak rozpoznawczy jednego z najsławniejszych warsztatów w Koryncie.

– Tuliusz tak się lubił popisywać, że chyba pokazałby swój koryncki talizman wszystkim dookoła.

Antypater zmarszczył brwi.

– Wiesz, co o tym myślę? Tuliusz nie przywiózł tej figurki ze sobą z Rzymu, ale znalazł ją tamtego dnia w ruinach i zwyczajnie sobie przywłaszczył.

– Nie jestem pewien, czy można tu mówić o przywłaszczeniu. W końcu, jak by nie patrzeć, gdy ją znalazł, nie była niczyją własnością. -Tak czy owak nie miał prawa jej wziąć. Na mocy dekretu wydanego przez rzymski senat, w określonym promieniu od ruin nie może powstać żadna budowla ani też nic nie wolno z nich zabierać. Nie wolno tu niczym handlować ani szukać skarbów. Wszyscy oczywiście uważają, że wśród gruzów Koryntu nie zostało już nic godnego uwagi i że wszystko, co wartościowe, już dawno skradziono lub zniszczono. A jednak pod całym tym rumowiskiem można jeszcze znaleźć to i owo z kosztowności, jak ten Heraklesik. Pewnie niewiele już takich istnieje, więc twoja figurka jest tym cenniejsza, warta być może tyle, co roczny żołd legionisty.

– To maleństwo? Chyba nie mówisz poważnie, mistrzu?

– No, może trochę przesadziłem. – Antypater rozejrzał się dookoła. – Niemniej na twoim miejscu schowałbym ją głęboko i dobrze bym uważał na Marka. Może cię gdzieś zdybać, pobić i odebrać, coś mu wydarł.

Robiło się coraz goręcej. Antypater wkrótce twardo zasnął. Zostałem sam ze swymi myślami i zapatrzyłem się na pobrużdżoną ścianę Akrokoryntu w oddali. Poczulem nagłą ochotę, żeby tam wrócić. Nie mieliśmy już woźnicy, ale uznałem, że bez Antypatra, który by mnie spowalniał, z łatwością mogę pokonać trasę tam i z powrotem. Podniosłem się i ruszyłem z powrotem w stronę wzgórza, odganiając psiska, które poderwały się, by mi towarzyszyć.

O tej porze słońce wręcz oślepiało, a znad pokrytych wyschniętą, łamliwą trawą stoków unosiły się fale gorąca. Wkrótce poczułem pragnienie i zdałem sobie sprawę, że popełniłem błąd, nie zabierając ze sobą ani odrobiny wody.

Dotarłem do linii murów i zagłębiłem się w ruiny. Odszukałem miejsce, gdzie natknęliśmy się na grupę Tuliusza, i zacząłem się zastanawiać, gdzie widziałem ich po raz ostatni wtedy ze szczytu Akrokoryntu. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ w głowie kręciło mi się już z żaru i pragnienia, a kopce gruzu dookoła wydawały mi się teraz bliźniaczo identyczne. Stałem tak zdezorientowany i rozglądałem się bezradnie dookoła; co rusz wydawało mi się, że widzę podejrzany ruch, a na najmniejszy odgłos – szelest przemykającej jaszczurki czy ptasi trel – podrywałem się nerwowo. Pomyślałem o matce, która zabiła własną córkę, a później siebie samą, i o tysiącach innych, którzy tutaj cierpieli i umierali. Czułem, że duchy Koryntu mnie obserwują, i sam nie wiem kiedy zacząłem szeptać słowa, które miały je udobruchać i sprawić, że wybaczą mi to najście.

Błąkając się tak, trafiłem w końcu na miejsce niedawno przez kogoś naruszone. Poodwracane kamienie ujawniły ścieżki żyjących pod nimi robaków, a ziemia była w wielu miejscach rozkopana. Niejasne przeczucie kazało mi przesunąć jeden z kamieni, a kiedy to zrobiłem, ujrzałem za nim

wąską szczelinę, wystarczająco dużą jednak, by zmieściła się w niej moja ręka.

Zawahałem się przez chwilę, wiedząc, że wewnątrz może czaić się wąż, pajak albo i coś gorszego. Potem jednak odetchnąłem głęboko i wsunąłem dłoń do czarnego otworu. Czubkami palców wyczułem coś zimnego i łuskowatego, a w chwilę później usłyszałem dziwny metaliczny szmer. Odruchowo cofnąłem rękę, ale w następnej chwili dotarło do mnie, co znajduje się w środku. Sięgnąłem ponownie śmieiej, zanurzając dłoń między krążki chłodnego, gładkiego metalu. Kciukiem i palcem wskazującym chwyciłem jedną z monet i wyciągnąłem ją ze szczeliny.

Srebro mocno już szerniało od śniedzi, ale bez trudu rozróżniłem wizerunek Bellerofonta dosiadającego Pegaza. Na rewersie koryncki bohater zabijał monstrualną Chimere. Moneta była gruba i ciężka.

Oględziny pochłoneły mnie tak bardzo, że nie usłyszałem, kiedy ktoś nadjechał. Dopiero gdy padł na mnie cień jeźdźca na koniu, podniosłem wzrok. Promienie słońca tworzyły coś na kształt aureoli wokół połyskującego hełmu przybysza.

– Piękna, prawda? – zapytał Marek. – Moneta, znaczy. Ciekawe, że jedne rzeczy uznajemy za piękne, bo są jedyne w swoim rodzaju... jak ta figurka Herkulesa, którą mi zabrałeś... a inne, ot, jak ten pieniążek, są tym cudniejsze, im jest ich więcej. A w tej skrytce, na którą właśnie trafiłeś, jest ich całe mnóstwo. Wykopanie tego i innych skarbów zajęło mi wiele miesięcy.

– O jakich skarbach mówisz? – W ustach aż mi zaschło z wrażenia. -O wazach i innych tego typu cudniakach. Większość przedmiotów, które udaje mi się znaleźć w ruinach, jest albo potłuczona, albo też nadtopiona przez ogień, ale często odkrywam coś tak doskonałego, że aż sam nie mogę uwierzyć. Taka była ta figurka, którą Tuliusz znalazł wczoraj i bezczelnie

ukradł. Z tego, co przypadkiem usłyszałem, ustalili wcześniej ze swymi kamratami, że cokolwiek odkopią w ruinach, podzielą sprawiedliwie między sobą. A kiedy znaleźli tę kryjówkę z monetami, zgodzili się jej nie ruszać i wrócić po nie później. Tulusz oszukał kumpli i zwinął cichaczem Herkulesa, kiedy nikt nie patrzył. A co by było, gdyby Meneniusz natrafił na nią, przeszukując zwłoki, i zorientował się, skąd pochodzi?

– A kiedy to miałeś okazję słyszeć rozmowę Tulusza i jego kompanów?
– spytałem, marszcząc brwi.

– Wczoraj, kiedy się tu kręcili. Gadali jeden przez drugiego jak rozgdakane kury, nie mając pojęcia, że tu jestem i wszystko słyszę. Dzięki niech będą armii! Kwintus Meneniusz to jeden z najgłupszych ludzi, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi, ale w zwiadowczym fachu czegoś zdołał mnie nauczyć. Takie umiejętności są szczególnie cenne wtedy, gdy się chce zagrabieć skarby z zakazanego miejsca i nie dopuścić do tego, by zrobił to ktokolwiek inny. Tytus Tulusz i spółka myśleli, że mogą tu sobie przyjść, splądrować ruiny i odjechać z łupem, a nikt ich nie zatrzyma. Naiwniacy!

– Dlaczego nie zgłosiłeś tego po prostu dowódcy? Aresztowałyby ich przecież, prawda?

– Nie sądzę. Raczej cmoknąłby z dezaprobatą, zafundował im pogadankę o moralności i odesłał, skąd przybyli. Potem zabroniłby zwiedzania i wystawił całodobowe warty, no i wysłałby szczegółowy raport do Rzymu z zapytaniem o dalsze instrukcje. Skarby tymczasem zostałyby odkryte i cała moja praca poszłaby na marne.

– Od jak dawna to robisz?

– Znaczący, przeczesuję ruiny? Od miesiący. Zacząłem niemal pierwszego dnia, kiedy zostałem wysłany na patrol do tego zapomnianego przez bogów i ludzi miejsca. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nikt inny nie wpadł na ten pomysł wcześniej. Miejscowi są zbyt przesądni, by myszkować w gruzach.

Nasi zresztą też. Ten dureń Lucjusz zaraża wszystkich strachem, opowiadając niestworzone historie o wiedźmach i duchach. Naturalnie jeszcze go do tego zachęcam, a sam przychodzę tu tak często, jak tylko się da bez wzbudzania podejrzeń, i szukam skarbów. Zazwyczaj nic nie znajduję, raz na jakiś czas tu monetę, tam sygnet czy srebrną łyżkę. Trafiają się jednak prawdziwe odkrycia, jak złota broszka w idealnym stanie albo worek monet zakopany kiedyś przez jakiegoś bogacza. Wszystko, co uda mi się tu wyszperać, chowam na później, bo nie da się tego bezpiecznie przeszmuglować bez niczyjej wiedzy, a na tym zadupiu nie ma ani gdzie sprzedać kosztowności, ani na co wydać pieniędzy. Tak więc mój skarbczyk sobie rósł i czekał na lepsze czasy, aż tu zjawili się tamci. Nie mam pojęcia, jakim cudem trafili na moją kryjówkę.

– Nie nazwałbym tego cudem. Raczej jakiś zły los ich tutaj skierował.

– Oczywiście! – Marek się roześmiał. – Mieli prawdziwego pecha, że ich obserwowałem. Gdybym na nich doniósł, pogrzebałbym własny interes. Nie miałem zamiaru pozwolić, aby wracali tu dzień po dniu i wykradali skarby, które z takim trudem gromadziłem. A niech mnie, ależ to się nagrzało! – Zdjął hełm i rzucił go na ziemię, po czym przeczesał palcami mokrą od potu blond czuprynę, w której pojawiły się już pierwsze siwe pasma.

– A więc postanowiłeś się ich pozbyć – zgadłem. W ustach tak mi zaschło, że prawie nie mogłem mówić. Zrobiło mi się słabo i czułem, że za chwilę zemdleję. – Sam ich wszystkich zamordowałeś?

– Ależ oczywiście. O, tym – odparł, wyciągając z pochwy swój krótki miecz. – Nieźle się namęczyłem, żeby go potem doczyścić.

– Ale w jaki sposób? Dlaczego nie stawiali oporu? Nie, zaczekaj... chyba wiem. Nie zrobiłeś tego sam. Byłeś w zмовie z właścicielem gospody.

– Jak na to wpadłeś, Gordianusie?

– Dał mi do myślenia nasz twardy sen. Byliśmy z Antypatrem zmęczeni wędrówką i upałem, ale nie aż tak, by się nie zorientować, co się dzieje. To nie było naturalne. Musieliście dosypać nam czegoś mocnego do posiłku lub wina, bo spaliliśmy jak zabici. Czuję, że to robota Gnejusza.

Marek spojrział na mnie uważnie.

– Zaprawił też napitek Tuliusza i reszty – ciągnąłem. – Zasnęli tak głęboko, że się nie przebudzili, kiedy spokojnie, jednemu po drugim podrzynaliście gardła. Dlaczego nas też nie zabiliście?

– Jestem żołnierzem, Gordianusie, i zabijam jedynie z konieczności, a nie dla rozrywki. Interesowaliście się ruinami z pobudek historycznych albo sentymentalnych, jak twój stary nauczyciel. Rzymski smarkacz i drżący Grek recytujący poezję nie stanowili dla mnie zagrożenia. Kazałem Gnejuszowi dać wam środek nasenny, abyście niczego nie usłyszeli. Nie widziałem potrzeby, aby was też sprzątnąć. Widzę jednak, że to był błąd, który zamierzam teraz naprawić.

Sprawnie zeskoczył z konia, wciąż trzymając w dłoni miecz. Ścisnął mocniej rękojeść, szykując się do zadania ciosu. Odskoczyłem w tył i aby zyskać na czasie, spytałem:

– I sfalszowaliście tę klątwę na ołowianej tabliczce?

– Szczęśliwym trafem znaleźliśmy ją z Gnejuszem w izbie Tuliusza, już potem, jakżeśmy ich wykończyli. Prawdziwa tabliczka z klątwą, wystarczająco straszna, by Lucjusz zemdlał z wrażenia, a Meneniusz zapomniał o zdrowym rozsądku. Wyobrażasz sobie tak niewiarygodny zbieg okoliczności? – Marek parsknął śmiechem.

– Ale kto w takim razie wyrył ten tekst?

– Jestem pewien, że to sprawka Ismeny. Lucjusz zawsze powtarzał, że ona jest wiedźmą. Zniosłem tabliczkę na dół i ukryłem między ciałami.

Dobrze się złożyło, że to właśnie on ją znalazł. A ty jak pięknie odczytałeś jej treść! Zrobiłbyś karierę jako aktor. Nawet mnie przechodziły dreszcze. O, egipski Uferze wszechmocnego imienia! – Żołnierz śmiał się do rozpuku, miecza jednak nie schował.

– Lucjusz wspomniał o innych żołnierzach, którzy też zginęli we śnie – nie dawałem za wygraną. – Był przekonany, że to skutek klątwy.

– To także była moja robota. – Marek wzruszył ramionami. – Aulus odkrył moje zamiary i zażądał udziału w zyskach, więc go otrułem. Miesiąc później sytuacja się powtórzyła z Tyberiuszem. Lucjusz naprawdę wierzył, że padli ofiarą czarów, i powtarzał to wszystkim do znudzenia, nikt więc nigdy nie podejrzewał, że to ja mogłem mieć z tym coś wspólnego.

– Skoro trucizna sprawdziła się już wcześniej, dlaczego nie zastosowałeś jej i tym razem?

– A skąd miałbym wziąć jej aż tyle? Nie, szybciej i łatwiej, a przy tym znacznie bardziej wiarygodnie było podać im coś nasennego, a potem zrobić użytek z tego – przeciął powietrze swoim mieczem tuż przy mojej głowie, aż poczułem ciepły podmuch.

Desperacko próbowałem wymyślić kolejne pytania, szukając przy tym czegoś, czym mógłbym w niego rzucić. Wszędzie pełno było gruzu, ale wszystkie kamienie i kawałki drewna były zbyt duże lub zbyt małe, by wykorzystać je w charakterze broni. Marek dostrzegł moją konsternację i uśmiechnął się, zapewniając, że zabija tylko wtedy, gdy musi, a nie dla przyjemności. Wyraz jego twarzy przeczył jednak wypowiedzanym słowom.

Zatoczyłem się osłabiony strachem, pragnieniem i upałem. Nogi się pode mną ugięły. Serce waliło mi jak młotem i zdawało mi się, że za chwilę rozsadzi mi pierś. Przed oczyma stanęły mi duchy zmarłych wyciągające do mnie ręce na powitanie.

Nagle usłyszałem dziwny świst. Ujrzałem wypadający z dłoni Marka miecz, a on sam zeszywniał na moment i bezwładnie osunął się na ziemię.

Nie rozumiałem, co się stało. Dopiero kiedy udało mi się uspokoić rozbiegane myśli i oczy, zobaczyłem nad sobą Ismenę. Pojawiła się tak niespodziewanie, jakby zmaterializowała się po prostu z powietrza.

– Jak tego dokonałaś? – wyszeptałem. – Zabiłaś go, nawet nie dotykając. Nie byłaś nawet blisko.

Posłała mi jadowite spojrzenie.

– Przede wszystkim on żyje. Sprawdź puls.

Przyłożyłem żołnierzowi palce do szyi.

– Rzeczywiście, jest tylko nieprzytomny – potwierdziłem.

– I niedługo się ocknie, więc radziłabym ci go związać. -Niby czym?

– Zdejmij wodze z jego konia – powiedziała z niecierpliwością w głosie.

– No tak, oczywiście. To przez ten upał nie myślę jasno. Nadal jednak nie rozumiem, jak to zrobiłaś. Rzuciłaś na niego zaklęcie?

– Dotknij jego potylicy.

Ponownie jej posłuchałem.

– Ma sporego guza! Jakim zaklęciem...

– Dajże mi spokój z tymi zaklęciami! Doprawdy, młodzieńcze, czyż twój ojciec nie nauczył cię strzelać z procy? Czarami można wiele osiągnąć, ale dopóki mam pod ręką kamień wielkości jajka, nie muszę wzywać na pomoc egipskich bóstw, żeby powalić człowieka.

– Umiesz sobie dawać radę – stwierdziłem, krępując rzemieniem ręce i nogi Marka. -

Naprawdę jesteś czarownicą?

– Tytus Tulusz i jego przyjaciele przecież nie żyją, nieprawdaż?

– Owszem, ale to dlatego, że...

– Jeśli nie podobają ci się moje odpowiedzi, nie zadawaj mi pytań.

To mi dało do myślenia. Uznałem, że powinienem okazać jej więcej szacunku.

– Pismo na tabliczce w gospodzie było takie samo jak na tej, którą znalazłem na Stoku Syzyfa. Napisałaś obie te klątwy. A zatem to twoja chata, prawda?

– Tak, używam jej wraz z innymi kobietami.

– Kim jest Eudoksja i dlaczego nie dokończyłaś klątwy przeciwko niej? Ismena się roześmiała. Przez moment jej twarz była odmieniona i prawie piękna.

– Musiałeś zapytać akurat o to? Eudoksja jest czyjąś teściową. W ostatniej chwili kobieta, która chciała, abym rzuciła na nią urok, straciła odwagę i się wycofała. Mimo to i tak musiała mi zapłacić. A teraz przełóż tego żołnierza przez siodło i wracaj z nim do miasteczka, zanim umrzesz z pragnienia.

– A ty? Nie potrzebujesz konia? - Niby do czego?

– Żeby stąd uciec. Cały garnizon cię szuka.

– Jestem przecież czarownicą, głupcze. Nie muszę mieć konia, żeby zniknąć. Zajmij się lepiej swoimi sprawami, a ja ze swoimi też sobie poradzę.

Sięgnęła do szczeliny i wyciągnęła stamtąd garść monet, po czym wepchnęła je do jednej z sakiewek poprzyszywanych do jej luźnej szaty. Kilka z nich już pękało w szwach.

– Zabierasz łupy Marka?

– Nie miałam zamiaru, ale taka jest wola Ananke. Lepiej, żebym ja trzymała nad nimi pieczę, niż żeby wpadły w łapy jakiegoś rzymskiego żołdaka.

– Tytus Tulusz naśmiewał się z magii, a do tego znieważył zmarłych Koryntu. Teraz on i jego przyjaciele nie żyją. A co będzie z Markiem?

– Jego dowódca wymierzy mu stosowną karę.
– A Gnejusz?
– Pod jego łóżkiem jest już ołowiana tabliczka. – Ismena splunęła na ziemię. – Umrze jeszcze przed zmrokiem.

Włosy zjeżyły mi się na karku.

– A co ze mną?
– Ty nie zrobiłeś nic złego. – Uśmiechnęła się. – Razem z twoim mistrzem oddalicie cześć pamięci Koryntian i świętemu miejscu Persefony. W całej tej historii wykonujecie tylko rozkazy Mojry. Wypełniacie przeznaczenie. Nie czujesz? No, a teraz już idź!

Zanim dotarłem z powrotem do Lechajonu, słońce wisiało już nisko nad horyzontem, rzucając długie cienie. W suchej bryzie nie słyszałem już szeptów zmarłych, jedynie szelest suchej trawy. Duchy Koryntu już się nie gniewały, w każdym razie nie na mnie.

Dochodząc do gospody, zobaczyłem z daleka, że Antypater wciąż jeszcze śpi pod figowcem. Jeden z psów zauważył mnie i zaszczekał. Wydawało mi się, że dostrzegłem jakiś ruch w jednym z okien na piętrze. Czyżby Gnejusz mnie widział? Pospieszyłem w kierunku garnizonu. Na warcie stał Lucjusz. Spozrzegł mnie i pobiegł zawiadomić dowódcę. Meneniusz zjawił się chwilę później. Wyszedł mi naprzeciw, przyglądając się swojemu podkomendnemu przewieszonemu przez konia niczym worek ze zbożem. Marek właśnie zaczynał odzyskiwać świadomość. Mamrotał coś i szarpał niespokojnie skórzane pasy wokół kostek i nadgarstków.

– Cóż tu się, na Hades, dzieje? – zażądał wyjaśnień Meneniusz.

Ze spieczonego gardła nie mogłem wydobyć słowa. Dowódca kazał mi przynieść wody. Wypiwszy ją, poczułem się trochę lepiej, ale w dalszym ciągu milczałem. Nie jest wszak łatwo wyjawić prawdę, która pośle innego człowieka na śmierć. Marek był wielokrotnym mordercą. Otruł dwóch

swoich towarzyszy i poderżnął gardła tuzinowi rzymskich obywateli. Gdyby nie interwencja Ismeny – czy też Mojry – byłbym jego kolejną ofiarą. Tak, trzeba mu wymierzyć sprawiedliwość; nadal jednak nie mogłem się zdobyć na to, by spojrzeć na niego, kiedy przekazywałem Meneniuszowi wszystko, co wiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że moje zeznania z pewnością doprowadzą do jego rychłej egzekucji. Oczywiście mógłby się początkowo wyprzeć wszystkiego, nie miałem wszakże wątpliwości, że dowódca wyciągnąłby w końcu z niego prawdę.

Obywatelom rzymskim przysługuje normalnie prawo szybkiej śmierci poprzez ścięcie, ale jaką karę przewiduje prawo dla żołnierza, który wymordował swoich własnych towarzyszy? Może będzie ukrzyżowany jak niewolnik lub też ukamienowany przez oddział jak dezterter? Wolałem się nad tym nie zastanawiać. Moja rola w tej historii się skończyła i teraz w gestii Meneniusza leżało wypełnienie przeznaczenia.

Dowódca odprawił mnie, mówiąc, że porozmawia jeszcze ze mną po przesłuchaniu Marka. Szybkim krokiem poszedłem do gospody. Na niebie rozbłysły już pierwsze gwiazdy, a pod figowcem było tak ciemno, że z trudem dostrzegłem Antypatra, ale dochodzące stamtąd chrapanie świadczyło, że mój nauczyciel nadal śpi w najlepsze. Drzemiące psy nawet nie podniosły łbów, by na mnie spojrzeć.

Wszedłem do gospody. W westybulu było ciemno, ale przez drzwi tawerny sączyło się ciepłe światło. Gnejusz najwyraźniej zapalił lampę. W wyobraźni widziałem go już, jak stoi w izbie otoczony przez duchy zamordowanych. W każdej chwili mogli nadszednąć po niego żołnierze z garnizonu, by aresztować go za współudział w zbrodni. Nie miałem zamiaru go ostrzegać, ale coś jednak kazało mi zajrzeć do środka.

Częściowo ukryte w półmroku ciało Gnejusza zwisało na linie z belki pod sufitem, wciąż lekko rozkołysane, jakby popełnił samobójstwo

zaledwie chwilę temu. Natychmiast przypomniałem sobie Ismenę i jej zapowiedź, że gospodarz będzie martwy, jeszcze zanim zapadnie zmrok.

Następnego dnia Meneniusz pozwolił nam wyjechać. Zorganizował nawet transport przez przesmyk, dając do dyspozycji wóz i dwóch żołnierzy, wyraźnie zadowolonych z takiej wycieczki.

W Kenchreaj rzeczywiście łatwo znaleźliśmy statek płynący do Pireusu. Kiedy Przesmyk Koryncki niknął powoli za nami, zastanawiałem się, czy rzeczywiście to czary Greczynki mogą być przyczyną takiego rozlewu krwi i zamętu, zwłaszcza że nikt poza nią samą nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdyby takie rzeczy były możliwe, to ciekawe, ile już razy nieświadomie wypełniałem wolę niewidzialnych mocy i kiedy znowu znajdę się pod wpływem czyichś zaklęć. Zadrzałem na samą myśl. Miałem nadzieję, że już nigdy więcej nie spotkam Ismeny.

VI

GALIJSKI OLBRZYM (Kolos Rodyjski)

Zaprawdę, Gordianusie, ten młody człowiek stanie się jednym z najwybitniejszych umysłów naszej epoki, symbolem mądrości i chlubą nauki. Wspomnisz moje słowa!

W ustach tak sławnego poety jak Antypater z Sydonu był to prawdziwy komplement. Mówił o Posydoniuszu, naszym gospodarzu na Rodos. Patrząc na srebrne pasma na jego skroniach, nie nazwałbym go młodym człowiekiem – no, ale ja miałem osiemnaście lat... Zupełnie już siwemu Antypatrowi Posydoniusz musiał rzeczywiście wydawać się młodzikiem. Energii na pewno mu nie brakowało: co chwila podrywał się z krzesła, by sięgnąć po zwój z biblioteki i za jego pomocą objaśnić jakąś myśl, albo po prostu w ferworze barwnej opowieści krążył po ogrodzie, ilustrując ją do tego żywą gestykulacją. Niedawno wrócił z podróży po Galii i miał wiele do opowiadania.

Posydoniusz był nie tylko uczonym, lecz i niestrudzonym odkrywcą, którego pogoń za wiedzą zawiodła do wielu egzotycznych krain. Peregrynacje zaczął kilka lat temu od wizyty w Rzymie. Wtedy też po raz pierwszy spotkał Antypatra i wywarł na nim takie wrażenie, że znajomość zaowocowała późniejszą regularną korespondencją, kiedy Posydoniusz wędrował już przez Afrykę, Hiszpanię i Galię, gdzie całe lata spędzał wśród tubylców, obserwując ich odmienne zwyczaje. Na rodzinną wyspę wrócił w samą porę, byśmy mogli skorzystać z jego gościnności. -Proszę, oto

przykład tego, o czym mówiłem – powiedział właśnie nasz gospodarz, wróciwszy do ogrodu z długim nożem. Trzymał go w płasko ułożonych dłoniach, abyśmy mogli dobrze się przyjrzeć srebrnej rękojeści, bogato zdobionej zawijasami i wizerunkami głów zwierzęcych. – To jest nóż ceremonialny, którym galijski druid posługiwał się podczas krwawego rytuału wróżebnego. Widziałem to na własne oczy. Ofiarą był pojmany wojownik z innego plemienia. Związano mu ręce na plecach i dwóch mężczyzn trzymało go mocno, a naczelny druid wbił mu go w brzuch tuż nad przeponą. Gdy wstrząsnęły nim przedśmiertne konwulsje, puścili go, a kapłani bacznie obserwowali, w którym kierunku upadnie, ile razy wierzgnie nogami i jaki kształt utworzy wypływająca z jego rany krew. Na tej podstawie wywróżyli, że nowo narodzony syn ich wodza w ciągu trzech dni wyzdrowieje z trawiącej go gorączki.

– I rzeczywiście wyzdrowiał? – spytał Antypater.

– Tak jest. Oczywiście tego typu przypadłości, jeśli wcześniej nie zabiją chorego, na ogół samoistnie mijają właśnie po trzech dniach. Niemniej jednak dobra wróżba złagodziła ojcowski niepokój, a kiedy się sprawdziła, szczęśliwy wódz hojnie druidów wynagrodził.

– Przepowiadanie przyszłości na podstawie kałuż krwi wydaje się mało wiarygodne odważyłem się wtrącić.

– Rzymscy augurowie twierdzą, że potrafią odczytać wolę bogów z zachowania kury dziobiącej rozsypane na ziemi ziarno – odparł Posydoniusz z nieodgadnionym wyrazem twarzy. – Dlaczego metoda galijskich kapłanów miałaby być gorsza?

Nie wiedziałem, czy mówi poważnie, czy kpi. Od wyjazdu z Rzymu wciąż obracaliśmy się z moim nauczycielem wśród jego ziomków z różnych greckich miast na wschodzie imperium i nieraz, młody Rzymianin, bywałem obiektem niewinnych dowcipów i jawnych drwin,

a zdarzały się i przejawy nieukrywanej wrogości. Na Rodos nie spotykałem się z tym tak często, gdyż w przeciwieństwie do sąsiednich wysp i znacznej części Azji Mniejszej zachowała niezależność i nastroje antyrzymskie nie były tam tak silne. U Posydoniusza nie bardzo jednak wiedziałem, jak odbierać ton, jakim często się do mnie zwracał – zupełnie jakby opowiadał niezrozumiały dla mnie dowcip. Możliwe, że po prostu rozmawiał ze mną tak samo jak ze swoimi uczniami w akademii.

Od naszego przybycia na Rodos minęło dziesięć dni. Nasz statek wszedł do portu o zmierzchu i był jednym z ostatnich, jakie w ogóle w tym sezonie tu dotarły. Zbliżała się zima, a wraz z nią nieprzewidywalne wichury i sztormy, które uniemożliwiały dalsze żeglowanie.

Kiedy przepłynęliśmy już koło długiego, wysuniętego w morze falochronu, zacząłem się gorączkowo rozglądać, aby jak najszybciej złowić wzrokiem to, czego każdy nowo przybyły na Rodos jest najbardziej ciekaw: pozostałości Kolosa z brązu, mimo zniszczenia wciąż cieszącego się sławą jednego z cudów świata. Posąg przewrócił się i roztrzaskał podczas trzęsienia ziemi sto trzydzieści pięć lat temu. W niewyraźnym świetle mignęły mi tu i ówdzie olbrzymie, groteskowo porzrzucone szczątki leżące na falochronie. Obie stopy nadal tkwiły mocno przytwierdzone na wysokim cokole; jedno omywane przez fale ramię spoczywało częściowo pod wodą; z leżącej na boku gigantycznej głowy zdawało mi się niepokojąco przyglądać wielkie oko, w miejscu drugiego zaś ziała wielka dziura.

Zanim przybiliśmy do nabrzeża i przeszliśmy kontrolę urzędników portowych, zrobiło się już zbyt ciemno na bezpośrednie oględziny Kolosa, udaliśmy się więc z Antypatrem prosto do domu Posydoniusza, który znajdował się na akropolu, w znacznej odległości od portu.

Mój nauczyciel postanowił, że spędzimy na Rodos całą zimę, a nie moglibyśmy sobie wymarzyć w tym celu lepszego lokum niż ogromna, luksusowo urządzona willa naszego gospodarza. Zmęczony podróżą poeta niemal nie wyściubiał z niej nosa, z przyjemnością ograniczając się do spacerów po ogrodzie, gdzie chętnie przesiadywał i grzał się w słońcu, ilekroć wyjrzało zza skłębionych chmur. Lubił też ucinać sobie pogawędkę z Posydoniuszem, który dotrzymywał nam towarzystwa tak często, jak tylko pozwalały mu na to akademickie obowiązki, a gdy gospodarz był zajęty, Antypater z lubością oddawał się przeglądaniu jego imponującej kolekcji ksiąg i pamiątek z podróży. Wieczory upływały nam najczęściej na kolacjach podawanych w uroczym pokoju wychodzącym na ogród. Przeważnie przyłączało się do nas kilku najbardziej obiecujących studentów gospodarza lub też jakieś znamienite osobistości – miasto Rodos słynęło wszak w całej Grecji nie tylko z uczonych, ale i ze świetnych atletów, bogatych kupców i utalentowanych artystów.

W normalnych okolicznościach z pewnością poproszono by taką sławę jak Antypater o wygłoszenie kilku gościnnych wykładów w akademii, jednak Posydoniusz rozumiał i akceptował to, że mój mistrz musi pozostawać incognito. Przyznał się nam nawet, że i jemu zdarzało się w podróży przybierać fałszywe tożsamości. Nie kwestionował więc prośby Antypatra o zachowanie dyskrecji i posłusznie przedstawiał go nie jako słynnego poetę, lecz skromnego nauczyciela, Zotikosa z Zeugmy, towarzysza podróży młodego Rzymianina Gordianusa.

Mój mentor szybko się wdrożył do jednostajnego rytmu domowego życia, mnie ono jednak nie służyło i z każdym dniem byłem coraz bardziej niecierpliwy. Od pierwszego dnia pragnąłem wrócić do portu i obejrzeć z bliska szczątki Kolosa, ale moje nagabywania Antypater kwitował stwierdzeniem, że nie musimy się spieszyć, gdyż będziemy na wyspie przez

kilka miesięcy. Ilekroć zaś wspominałem o moim marzeniu Posydoniuszowi, patrzył na mnie obojętnie i kazał się uzbroić w cierpliwość. Zaczynałem już podejrzewać, że ma mnie za jednego z tych bezmyślnych rzymskich turystów, zaliczających w biegu wszystkie najważniejsze atrakcje ze swojej listy miejsc i rzeczy, które wypada zobaczyć. Jak się później okazało, nie bez powodu odwlekał naszą wycieczkę do portu, ale wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia.

Kiedy obaj z Antypatrem pochyliliśmy głowy nad rytualnym sztyletem druidów, nagle rozległ się donośny głos, mówiący po grecku z przedziwnym akcentem, jakiego nigdy jeszcze nie słyszałem.

– Co robisz z moim nożem?

Wszyscy trzej poderwaliśmy się przestraszeni. Broń jakby sama wyśliznęła się z rąk Posydoniusza, a kiedy niezdarnie usiłował ją złapać, skaleczył się w palec i na kamienną posadzkę kapnęło kilka kropli krwi.

Gość tymczasem wszedł do ogrodu. Jego wygląd był nie mniej zdumiewający niż głos. Był to mężczyzna olbrzymiego wzrostu, odziany w długą, bogato wyszywaną i przepasaną w talii szatę, której deseń natychmiast skojarzył mi się ze zdobieniami druidzkiego noża. Jego sandały nie przypominały żadnego znanego mi obuwia: miały odkryte palce i ozdobione były srebrnymi ćwiekami i paciorkami nanizanymi na skórzane frędzle. Przybysz zsunął kaptur, przez co w oczy rzucała się jego płomiennoruda, poprzetykana siwizną i starannie utrefiona czupryna. Policzki miał ogolone, wąsy za to nosił tak długie, że praktycznie zasłaniały mu usta i spływały – zaplecione w warkoczyki! – aż na pierś. Coś podobnego widziałem pierwszy raz w życiu.

– Przestraszyłeś nas, Gatamandyksie! – odezwał się do gościa Posydoniusz.

Przyglądałem się tej niezwyklej postaci w zadziwieniu. Ubiór, chropowaty akcent, stwierdzenie, że nóż należy do niego, i wreszcie nietypowe imię, jakim Posydoniusz się do niego zwracał – wszystko to zdradzało, że mam przed sobą druida. W trakcie dotychczasowych podróży widziałem już wiele zaskakujących rzeczy, lecz spotkanie galijskiego kapłana tu, na Rodos, tysiące mil od jego ojczyzny, bez wątpienia należało do największych niespodzianek.

– Kiedy wróciłeś z Lindos? – spytał go Posydoniusz.

– Niedawno.

– Udało wam się?

– Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. – Gość się chyba uśmiechnął, choć uśmiech i tak ginął gdzieś pod wąsami.

– Przywieźliście to z sobą? – Na twarzy Posydoniusza malowało się podekscytowanie.

– Wróciliśmy konno drogą nad brzegiem, a ładunek wysłaliśmy statkiem.

– Skąd wystrasnęliście kapitana, który przy tej pogodzie zgodził się żeglować? – Nie było łatwo, ale zdaniem Kleobulosa droga morska była bezpieczniejsza. Przesyłka podobno dotrze tu jutro.

– A koszty?

– Kwota, którą przesłałeś, wystarczyła, ale na styk.

– Wspaniale! Ach, byłbym zapomniał. Pozwól, że ci przedstawię dwóch innych gości, którzy spędzą w moim domu całą zimę. Gordianus, obywatel rzymski, i jego nauczyciel, Zotikos. Panowie, przedstawiam wam Gatamandyksa, druida z plemienia Segurów. Okazał mi wielką gościnność, kiedy byłem w Galii. Przyplłynął razem ze mną na Rodos, w towarzystwie pewnego młodego człowieka, jego współplemieńca. Obaj wrócili właśnie z... wycieczki wybrzeżem do Lindos.

– Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale wasza wyprawa miała na celu odnalezienie jakiegoś cennego przedmiotu, tak? – zainteresował się Antypater.

Wyglądało na to, że druid nie ma ochoty odpowiadać. Posydoniusz odchrząknął i powiedział, że wrócimy do tej kwestii później. Widząc, że nasz gospodarz pragnie zmienić temat, Antypater zwrócił uwagę na nóż.

– A zatem to twoja własność, Gatamandyksie?

Druid sięgnął po sztylet i chwycił rękojeść płynnym, wypracowanym ruchem.

– Domyślam się, że Posydoniusz opowiedział ci o „barbarzyńskiej” ofierze złożonej przy użyciu tego noża? Z waszych min wnioskuję, że tak. Zgadza się, należy do mnie. To ja byłem tym druidem, który zadał śmiertelny cios... o, w taki właśnie sposób. – To mówiąc, wykonał szybkie pchnięcie w powietrzu. Obaj z Antypatrem aż podskoczyliśmy ze strachu, a Gatamandyks... chyba znów się uśmiechnął pod wąsem. – Nie bójcie się, bogowie nie oczekują dziś żadnej ofiary.

– Gdzie się podział Kleobulos? – zapytał Posydoniusz.

– Twój uczeń zostawił nas przed wejściem i poszedł do domu swoich rodziców.

– A Windowiks? – dopytywał dalej nasz gospodarz.

– Położył się u siebie, zmęczony po całodziennym jeździe. Pewnie już śpi. -Nie mam pojęcia, w jaki sposób ten młody człowiek utrzymuje tak dobrą kondycję. – Posydoniusz z niedowierzaniem pokręcił głową. – Przecież on prawie cały czas tylko śpi i je. Ale może to i dobrze, że nie przyszedł do ogrodu. Przynajmniej Zotikos z Gordianusem będą mogli... ale właściwie nie, nie powiem na razie nic więcej, żeby nie narażać na niepowodzenie naszego eksperymentu.

– Jakiego eksperymentu? – zainteresował się mój nauczyciel.

– Wkrótce się dowiecie, zwłaszcza że odegracie w nim najważniejszą rolę.

– Nie wspominałeś nam o tym wcześniej.

– Nie mogłem zdradzać szczegółów przed czasem. Teraz jednak musimy się pospieszyć.

– Będziemy musieli stąd wyjechać? – W głosie Antypatra wyraźnie pobrzmiwała nuta niezadowolenia.

– Owszem, pora już złożyć wizytę Kolosowi.

Posydoniusz uśmiechnął się, widząc podniecenie na mojej twarzy, a ja nawet nie próbowałem tego ukryć, tak bardzo cieszyłem się, że wreszcie spełni się moje pragnienie. Zastanawiało mnie jednak, co nasz gospodarz miał na myśli, mówiąc o jakimś tajemniczym eksperymencie. Zanosilo się na to, że nad brzegiem będzie chłodno i wietrznie, pobiegłem więc po parę płaszczy i ruszyłem za Posydoniuszem do westybulu. Gatamandyks został w ogrodzie, a kiedy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, jak obraca nóż w dłoniach, wpatrując się w srebrzystą klingę.

– Co wiesz o Kolosie? – zagadnął Posydoniusz.

Przechodziliśmy właśnie obok gimnazjonu położonego poniżej naszej willi. Szedł z nami niewolnik o imieniu Zenas, na oko starszy ode mnie o jakieś dziesięć lat, który często towarzyszył swemu panu jako goniec i skryba. Po lewej mijaliśmy stadion otoczony długim, niskim murem, na którym wsparte były trybuny ozdobione wspaniałymi mozaikami przedstawiającymi bogów i atletów, z prawej zaś między kolumnami długiego portyku migąły sylwetki trenujących efebów, nagich mimo dojmującego chłodu. Widok ten przypomniał mi zdanie usłyszane kiedyś od ojca: „Prawdziwy Grek zawsze ćwiczy na golasa, choćby mu śnieg padał na głowę”.

Pytanie Posydoniusza było wyraźnie skierowane do mnie, wypadło więc udzielić odpowiedzi.

– Wszystkiego, co wiem o tym posągu, nauczył mnie Zotikos – zacząłem, sądząc, że w ten sposób sprytnie uniknę ewentualnej krytyki niedostatków mojej erudycji.

Posydoniusz, doświadczony nauczyciel, puścił to mimo uszu.

– Śmiało, młody Rzymianinie, albo coś wiesz, albo nie.

Zenas wyglądał na rozbawionego. Przywykł pewnie do widoku uczniów wprawianych w zakłopotanie przez swego pana. Zawiedziony nieskutecznością manewru, przystąpiłem do egzaminu.

– Jeśli dobrze pamiętam, posąg postawiono niemal dwa wieki temu. Przedstawiał boga słońca, Heliosa, którego Rodyjczycy otaczali większą czcią niż pozostałych bogów, ponieważ to on u zarania dziejów uniósł tę wyspę z dna morza. Pierwszą jej stolicą było Lindos na południowym wybrzeżu, ale nowe miasto, również noszące nazwę Rodos, powstało tutaj, na północnym krańcu wyspy, niewiele ponad trzysta lat temu. Jest więc całkiem młode, znacznie młodsze od Rzymu i Aten...

– Wszystko to prawda – przerwał mi Posydoniusz – ale odbiegłeś trochę od tematu.

– Słusznie. Wracając zatem do Kolosa... Rodos obiegł kiedyś macedoński król Demetriusz, który szturmował mury za pomocą ogromnych machin wojennych w postaci obitych żelazem ruchomych wież, nigdy przedtem niespotykanych. Niczego jednak nie wskórał i w końcu musiał opuścić wyspę. Świątując zwycięskie przetrwanie, z metalu zebranego po zniszczeniu taranów, wież oblężniczych i katapult mieszkańcy miasta zbudowali gigantyczny posąg Heliosa jako afirmację życia i piękna, przeciwieństwo Demetriuszowych machin śmierci i zniszczenia. Jego wykonanie zlecono rzeźbiarzowi Charesowi z Lindos.

Realizacja zadania zajęła mu dwanaście lat i nikt właściwie nie wie, w jaki sposób to zrobił. Niektórzy mówią, że do ustawiania elementów posągu posłużył się specjalnie skonstruowanym żurawiem, inni zaś twierdzą, iż w miarę jak rósł metalowy szkielet, budowano wokół niego kolejne, spiralnie ułożone rampy, a każdy nowy segment Kolosa był odlewany w glinianych formach na poprzednim. Bez względu jednak na zastosowaną metodę, kiedy już Kolos stanął gotowy, a wszystkie otaczające go rampy i rusztowania usunięto, wzbudził wielkie zdumienie i podziw. Mierzył dobrze ponad sto stóp, a na pięćdziesięciostopowym postumencie prezentował się jeszcze okazalej. Wyższego posągu nigdy dotąd nie widziano. Jego sława rozniosła się po całym świecie, od bagien Kolchidy aż po Słupy Heraklesa, od górnych katarakt Nilu do... – Urwałem, szukając w pamięci nazw najbardziej na północ wysuniętych prowincji rzymskiego imperium.

– Do Galii – odpowiedział Posydoniusz.

– Chciałem powiedzieć: do Ultima Thule.

– Mogę cię jednak zapewnić, że Kolos jest znany także w Galii – odparł gospodarz. Nawet szukając efektownych przeciwieństw do hiperboli, mówca nie powinien przedkładać retorycznej kwiecistości nad prawdziwy przykład, jeśli ma go do dyspozycji. Ale mów dalej, proszę.

– Kolos stał przez kilkadziesiąt lat na nabrzeżu, zadziwiając wszystkich przybyszów, dopóki nie wstrząsnęło wyspą wielkie trzęsienie ziemi. W gruzach legło wtedy wiele świątyń i innych budowli, lecz jego upadek był największą stratą. Posąg pękł na wysokości kolan, a wszystko, co powyżej, runęło, łamiąc się na kawałki. Do dzisiaj jego fragmenty leżą na ziemi, a ludzie i tak przyjeżdżają na Rodos, aby je oglądać, ponieważ nigdzie nie powstało jeszcze dzieło, które mogłoby dorównać jego dawnej świetności.

– Bardzo dobrze, Gordianusie, dużo zapamiętałeś ze swoich lekcji. – Egzaminator obdarzył mnie uśmiechem.

Dotarliśmy do skrzyżowania i skręciliśmy w prawo. Szerokie ulice Rodos mają układ prostokątny, a otwierająca się przed nami aleja była największa i najwspanialsza w całym mieście, ozdobiona pluszczącymi fontannami i bujnymi ogrodami, a przede wszystkim szpalerem z setek posągów. Widziało się tam wizerunki bogów, słynnych herosów, a także wodzów i ojców miasta, którzy odparli atak Demetriusza.

Minęliśmy wiele monumentalnych ołtarzy i świątyń, aż wreszcie wyszliśmy na rozległy plac miejski, przez Greków zwany agorą, i przecięliśmy go na skos. Poczulem w nozdrzach woń morza; po chwili usłyszałem plusk fal liżących nabrzeże i pokrzykiwania mew. Jeszcze parę przecznic i przed nami ukazał się port podzielony przez szerokie, obramowane głazami molo na dwa długie baseny. Przy nabrzeżach tłoczyło się wiele statków zacumowanych tu na sezon zimowy, ale że miały teraz puste ładownie i żaden nie wybierał się w morze, na pokładach i na brzegu widać było tylko nielicznych marynarzy. W całym porcie panowała atmosfera dziwnej martwoty i opuszczenia.

Wejście na molo przegradzał gruby sznur. Na nasz widok z pobliskiej budki wynurzył się niski, łysawy mężczyzna z przyklepionym do ust służalczym uśmiechem i wyciągniętą jak po jałmużnę ręką.

– Przyszło się obejrzyć słynnego Kolosa, co? – zagadnął. – Nie pożałujecie, to prawdziwy cud świata, bez dwóch zdań. Jeśli potrzebujecie przewodnika albo... A, to wy, mistrzu Posydoniuszu. Szybko wróciliście, i z nowymi gośćmi, co? Zawsze miło was widzieć, panie. Dla tak szacownego obywatela naturalnie wejście gratis. O, już opuszczam sznur. Tym razem bez Galów? No, ale tym dwóm typom szczęki opadły, gdy się gapili na naszego Kolosika! Czeka was wspaniałe przeżycie – zwrócił się

do mnie i Antypatra. – Zwłaszcza ciebie, panie młody. Czegoś takiego jeszcze w swoim krótkim życiu nie widziałeś. Uważajcie tylko, gdzie stawiacie stopy. Pełno tu rozrzuconych kamieni i ostrych kawałków metalu.

Mimo zapowiedzi wolnego wstępu człowieczek nie opuszczał wyciągniętej chciwie dłoni. Gdy go mijaliśmy, zauważyłem, że na dany przez Posydoniusza znak Zenas wysupłał z trzosika monetę i podał ją strażnikowi. Po chwili szliśmy już pod zimny wiatr ku krańcowi mola. Z coraz większym zadziwieniem patrzyłem na rosące z każdym krokiem w oczach fragmenty Kolosa leżące na ziemi niczym poćwiartowane zwłoki wojownika. Oprócz nas wśród szczątków kręciło się jeszcze kilku zwiedzających, dzięki czemu mogliśmy ocenić skalę zniszczonej rzeźby. Była dziełem rąk ludzkich, ale tak dziwnym, nieziemskim wręcz, że budziła nabożny respekt nawet w tym pożałowania godnym stanie. Najpierw dostrzegłem kciuk – tak wielki, że nie mógłbym go objąć rękoma; potem wyprostowany palec dłuższy niż niejeden znany mi posąg naturalnej wielkości. W poprzek mola niczym gigantyczny wąż leżało ramię, a dalej pochodnia wielkości latarni morskiej. Wewnątrz niektórych elementów widać było stalowe pręty i śruby stabilizujące Kolosa od środka; wyglądało na to, że nogi miał wypełnione kamiennym balastem. Zdziwiło mnie odkrycie, że ścianki jednych fragmentów były grube jak męskie ramię, a innych cienkie jak moneta. W pewnej chwili nasunęło mi się pytanie:

– Skoro tyle części zachowało się w dobrym stanie, dlaczego Kolosa nie odbudowano? Nie dało się ich na nowo połączyć?

– Rozważano taką decyzję – odrzekł Posydoniusz. – Wielu chciało przywrócić go do pierwotnej chwały, ale inni nalegali, by szczątki przetopić, a brązu użyć do innych celów lub sprzedać, jako że trzęsienie ziemi spowodowało poważne straty na całej wyspie i trzeba było pieniędzy

i materiałów na odbudowę. Aby rozstrzygnąć spór, wysłano delegację do Delf po radę.

– Z jakim wynikiem?

– Cóż, wyrocznie mają to do siebie, że często dzielą werdykt między obie strony, nie zadowolając żadnej. Delegaci usłyszeli, że Kolosa odbudowywać nie należy, ale jego członki mają zostać tam, gdzie upadły, i nikt nie ma naruszać ich spokoju. Ale z biegiem lat doceniliśmy tu mądrość wyroku Apolla: czas mija, a Kolos wciąż leży jak leżał, nie mniej sławny teraz niż wtedy, gdy górował nad portem i po dziś dzień jest dumą Rodos, choć obalony i połamany.

Okrążywszy ułamek wielkiego kolana, stanąłem nagle przed genitaliami posągu moszną i fallusem otoczonym u nasady wieńcem stylizowanych kędziorów. W oryginalnej pozycji były bez wątpienia proporcjonalne do całości, lecz oglądane tak solo, bez cielesnego kontekstu, robiły piorunujące wrażenie. Antypater parsknął śmiechem na ten widok, ale nie omieszkał też pacnąć czubka penisa na szczęście – jak już wielu przed nim, brąz w tym miejscu lśnił bowiem złociście, wypolerowany tysięcznymi dotknięciami rąk.

Kawałek dalej natknęliśmy się na olbrzymią twarz, którą w dniu przybycia widziałem z pokładu statku. Spomiędzy utrefionych włosów wyrastała korona słonecznych promieni; niektóre były pogięte, kilku brakowało, lecz dwa pozostały nienaruszone i sterczały ostre i proste jak groty włóczni tytanów.

Masywny kamienny cokół z osadzonymi na nim stopami Kolosa sam był wyższy niż większość rzymskich kamienic. U jego podstawy widniała przytwierdzona wielka brązowa płyta z inskrypcją wypisaną tak dużymi literami, że bez trudu dało się ją odczytać z kotwiczących w porcie statków. Był to wiersz dedykacyjny. Antypater zobaczył, że czytam go, bezgłośnie

poruszając wargami – moja umiejętność odcyfrowywania greckich tekstów nie dorównywała znajomości mowy Hellenów – i zaczął go recytować z taką pewnością w tubalnym głosie, jakby sam go ułożył:

Heliosie, ten posąg ku chwale Twej wznieśliśmy Z koroną z tego, co na wrogu zdobyliśmy. Twa światłość boska mroki wojny rozproszyła, Niedola nasza za Twą sprawą się skończyła I niepokonany dumnie lud rodyjski trwa, Pan na własnej dziedzinie, suweren morskich fal.

Razem z Posydoniuszem nagrodziliśmy deklamację brawami, na co poeta ukłonił się z gracją.

– Widzę, że jesteś pod wrażeniem pozostałości Kolosa, Gordianusie – odezwał się nasz gospodarz znanym mi już mentorskim tonem. – Umiałbyś sobie wyobrazić, jak wyglądał ongiś, gdy jeszcze stał nietknięty?

Wziąłem się pod boki i zadarłem głowę ku niebu, starając się zwizualizować sobie przytłaczający ogrom posągu nade mną.

– Postać boga jest prawie naga – zacząłem z przymkniętymi oczyma. – Tylko skąpy płaszcz zwiesza mu się z ramienia... wśród szczątków widziałem fragment z jego fałdami, ale nie mógł za wiele zakrywać... Stał z jedną nogą wysuniętą naprzód, a drugą lekko ugiętą w kolanie. Jedna ręka opuszczona... ta, w której dzierżył pochodnię... druga wzniesiona ku nadpływającym statkom w geście powitania.

– Nazwałbyś go urodziwym?

– No... chyba tak, ale nos ma trochę przydługi. Zapewne cała twarz była nieco wydłużona, aby skompensować złudzenie dysproporcji przy oglądaniu z dołu, a rysy przesadnie podkreślone, żeby nadać licu więcej wyrazistości na użytek patrzącego z oddali.

– Świetnie, Gordianusie! – pochwalił Antypater. – Nie przypominam sobie, bym cię kiedykolwiek uczył zasad perspektywy.

– To logiczne – odparłem ze wzruszeniem ramion. – A może po prostu model Charesa miał wydatny nos i mocne rysy...

– Twój nauczyciel mówił mi, że jesteś bystrym obserwatorem. – Posydoniusz się uśmiechnął. – Przyjrzałeś się więc dobrze twarzy i członkom posągu?

– Myślę, że tak.

– Doskonale. Postaraj się zachować tę wizję w pamięci, kiedy już wrócimy do domu.

Uwaga Wydała mi się zbędna – ujrawszy Kolosa z bliska, któż mógłby go kiedykolwiek zapomnieć? Chcąc jednak sprawić przyjemność gospodarzowi, raz jeszcze wpatrzyłem się uważnie w oblicze upadłego giganta.

Tego wieczoru przy kolacji dołączył do nas Gatamandyks. Przyglądałem mu się dyskretnie z ciekawością, manieri miał bowiem równie niezziemskie jak aparycję. Zamiast ułożyć się na sofie w pozycji półleżącej jak my, jadł na siedząco, przycupnąwszy na brzegu mebla. Jak stwierdził, przełykanie w pozycji horyzontalnej nie jest dla człowieka naturalne! Miał też skłonność do mówienia głośniejsz niż trzeba, i to nie przerywając żucia pokarmu.

Oprócz druida biesiadował z nami także młody Rodyjczyk o imieniu Kleobulos – ten sam, który towarzyszył Galom w wyprawie do Lindos. Był niskiego wzrostu, miał perkaty nos i ciemnoblonde włosy, zachowywał się zaś z dość sztywną godnością, jakże kontrastującą z bezceremonialnością egzotycznego sąsiada. Posydoniusz przedstawił go jako jednego ze swych najlepszych uczniów, szczególnie zainteresowanego historią rodzinnej wyspy, w której znajomości mało kto może się z nim równać.

Właśnie podano przystawkę – krem jajeczny z figami – kiedy przysiadł się do nas ostatni biesiadnik, młody Gal podróżujący z Gatamandyksem.

Bez słowa przeprosin za spóźnienie usiadł obok swego ziomka, przeciągnął się i ziewnął, jakby właśnie wstał z łóżka.

– Zotikosie, Gordianusie, to jest Windowiks z ludu Segurów. – Gospodarz dokonał prezentacji, pilnie wpatrując się w nasze twarze, jakby ciekaw reakcji.

Windowiksa z pewnością można było nazwać przystojnym młodzieńcem. Najbardziej zwracał na siebie uwagę budową ciała: robił wrażenie olbrzyma. Rzucały się też w oczy jego długie włosy barwy białego złota. Wyglądały na szorstkie; jak się później dowiedziałem, mył je w roztworze wapna, od czego zbiełały i nabrały faktury końskiej grzywy, co wśród Galów uchodzi za szczyt urody. Nosił wąsy jak Gatamandyks, choć nie tak ekstrawaganckie, sięgające ledwie za podbródek. Miał mocno zarysowane kości policzkowe, długi nos i szerokie czoło. Oczy jaśniały mu najbledszym odcieniem błękitu, przywodzącym na myśl odbłask słońca na grzbiecie morskiej fali.

Ubrany był w dziwną szatę odsłaniającą muskularne ramiona, coś w rodzaju skórzanej tuniki zesnurowanej na piersi rzemykami, tak krótkiej, że gdy się przeciągał, widać mu było brzuch. Od pasa w dół ciało zakrywały mu spodnie zwane bryczesami (w Rzymie mówimy o takich: bracae), uszyte z miętko wyprawionej skóry i tak dopasowane na biodrach, jakby na nim ulane, niżej zaś otulające każdą nogę osobno aż po kostki, w kroku wykończone czymś w rodzaju woreczka. Jak można znieść na sobie coś tak krępującego męskie części intymne, wyobrazić sobie nijak nie potrafiłem. Stopy miał obute w podobne sandały jak druid, z których wystawały niezwykle duże palce zdobne w kosmyki jasnych włosów.

Tematem konwersacji były podróże. Posydoniusz dzielił się wrażeniami z Galii, jego tamtejsi przyjaciele opowiadali o wozach po Grecji, komentując różnice dzielące obie kultury. Antypater od czasu do czasu

wtrącał swoje trzy grosze, ja jednak głównie słuchałem w milczeniu, podobnie jak Windowiks. Zauważyłem, że i Kleobulos, choć tak sławiony za erudycję przez gospodarza, nie ma za wiele do powiedzenia. Wydawał się raczej skwaszony i chyba nie darzył Galów zbyt dużą sympatią.

Przez cały wieczór czułem na sobie badawcze spojrzenia Posydoniusza. Widziałem, że często przesuwają wzrok z Antypatra i ze mnie na Windowiksa i z powrotem, jakby oczekiwał, że jakoś szczególnie zareagujemy na jego obecność. W końcu, nad kalmarami przyrządzonymi w anyżowym sosie, nie wytrzymał i spytał wprost:

– Antypatrze, Gordianusie... Przypatrzcie się, proszę, naszemu młodemu galijskiemu gościowi. Co widzicie?

– Urodziwego młodzieńca – odrzekł mój nauczyciel z lekkim zdziwieniem w głosie.

– Jego rodacy na pewno by się z tobą zgodzili. Ale czy nie uważasz, że jego rysy są... raczej wyraziste, jak na greckie normy?

– Ideał piękna bywa odmienny w różnych stronach. – Antypater wzruszył ramionami. Twój gość z pewnością jest okazem sprawności fizycznej, a do tego mężczyzną olbrzymiej postury.

– Okazem sprawności? Człowieku, toż to ciało godne boga! Jeśli zaś chodzi o wzrost, to rzeczywiście przewyższa każdego znanego mi Greka, ale możesz mi wierzyć, że w Galii należy do przeciętnych. Jak to ujął Arystoteles? Piękno mieszka w dużym ciele; mąż niskiego wzrostu może mieć wdzięk i dobre proporcje, ale nie nazwiemy go pięknym. Kiepska wiadomość dla nas, Greków... prawda, Kleobulosie? – Posydoniusz się zaśmiał, ale jego uczeń mu nie zawtórował. – Tak, z Windowiksa jest rzeczywiście kawał chłopca, jak by nie patrzeć. Ale czy nie dostrzegasz w nim jeszcze czegoś, Zotikosie? Nie? A ty, Gordianusie?

Zmarszczyłem brwi.

– Teraz, gdy tak to podkreślasz, Posydoniuszu, rzeczywiście zaczyna mi się wydawać znajomy – powiedziałem.

– Tak sądzisz? A gdzie mogłeś go wcześniej widzieć? – Nie mam pojęcia. Nigdy nie byłem w Galii... – Tu zwróciłem się do Gala. – A i ty chyba nie odwiedzałeś Rzymu, Windowiksie?

Zagadnięty błysnął idealną bielą zębów w uśmiechu. Oczy miał wciąż na pół zamknięte, jakby nie do końca się jeszcze obudził.

– Nie, Gordianusie, nigdy nie byłem w twoim mieście – odparł z okropnym akcentem i nieco kalecząc gramatykę, ale w końcu i moja greka pozostawiała wiele do życzenia, choć sporo po drodze się nauczyłem. – Jeśli tam kiedyś zawitam, pozwolisz mi przespać się z tobą?

– Chciałeś chyba powiedzieć: u ciebie! – Parsknąłem śmiechem. – Jasne, czuj się zaproszony.

Posydoniusz chrząknął znacząco.

– No, wyteż pamięć, Gordianusie – nalegał. – Przyjrzyj się twarzy Windowiksa i powiedz, czy ci kogoś... lub czegoś... nie przypomina? Może widziałeś coś podobnego całkiem niedawno, na przykład już tu, na Rodos?

Wpatrzyłem się otwarcie w oblicze Gala, trochę zbity z tropu jego dość wyzywającym spojrzeniem.

– No, jest trochę podobny do... Ale trudno powiedzieć, bo te wąsy...

Posydoniusz zerknął na młodego olbrzyma i mruknął:

– Mówiłem ci, Windowiksie, że musisz je zgolić, jeśli chcesz, by ktokolwiek dostrzegł podobieństwo.

– Windowiks bez wąsów? – Gal westchnął żałośnie. – Nie do pomyslenia! Dziewczyny w Galii by się zapłakały na taką nowinę. Ale cóż, może i się ich wyrzeknę i zgolę. Jutro rano, jeśli Kleobulos mi pomoże. – Zerknął ukosem na sąsiada.

– Nie jestem, do licha, balwierzem! – prychnął Rodyjczyk z niechęcią. – Od takich rzeczy mamy niewolników, nie?

Gal zaśmiał się cicho. Zdaje się, że lubił drażnić się ze swym greckim rówieśnikiem.

– Albo... – mruknął niby do siebie. – Gdybym tak zasłonił dłonią usta... trochę się pochylił i obrócił głowę na płasko...

Windowiks patrzył teraz na mnie jednym wodnisto-niebieskim okiem i nagle ujrzałem przed sobą... twarz Kolosa, jak ją po raz pierwszy widziałem, wpływając do rodyjskiego portu.

– Niesamowite! – szepnąłem.

Antypater nachylił się i zmarszczył czoło.

– On ma rysy Kolosa! – zakrzyknął. – Jak to możliwe?

– Bzdura. – Kleobulos przewrócił oczyma i pokręcił głową z irytacją. – Nie jest ani trochę podobny.

Nasz gospodarz rad był jednak z wywartego wrażenia i aż w dłonie klasnął z uciechy. Antypater nie mógł ochłonać.

– Należą nam się wyjaśnienia, Posydoniuszu – zażądał.

– Proszę bardzo. Teraz, gdy mój drobny eksperyment jest zakończony, podzielę się z wami tą opowieścią. Kiedy gościłem w Galii u Gatamandyksa, często wypytywał mnie o różne miejsca, które wcześniej zwiedziłem, no i moją rodzinną wyspę. Widzicie, przede mną żaden Grek nie zawitał na ziemi Segurów ani też nikt z nich nie zapuszczał się poza Galię. Wyobraźcie więc sobie moje zaskoczenie, kiedy podczas opisu najśłynniejszego obiektu na Rodos stwierdziłem, że on już o nim słyszał i wiedział nawet, że nazywamy go Kolosem, jak również że jest to wizerunek naszego boga słońca. Co do pewnych rzeczy się mylił, oczywiście. Nie wiedział na przykład, że posąg uległ zniszczeniu, i miał raczej przesadne wyobrażenie o jego wysokości; myślał też, że stoi nad

portem okrakiem, z nogami na różnych nabrzeżach. No, tak wielkiej statuy chyba nikt nie zdołałby postawić... Ale tak to z informacjami bywa, kiedy przebywają wielkie odległości w czasie i przestrzeni, że pewne detale nieuchronnie się deformują czy zamazują. Dla mnie i tak niesamowite było samo to, że w ogóle słyszeli tam o naszym cudzie świata.

– No właśnie, a skąd się o nim dowiedzieli? – zaciekał się mój nauczyciel.

– To już może lepiej wyjaśni sam Gatamandyks.

Druid skinął głową i rzekł:

– Jak opowiadałem Posydoniuszowi, Segurowie wiedzieli o istnieniu Kolosa od wielu pokoleń, a to dlatego, że jego twórcy pozował nie kto inny, jak przodek tu obecnego Windowiksa. Szczeka mi opadła. Zagapiłem się na młodego Gala, który wybuchnął śmiechem i klepnął się po kolanach.

– Tak, tak, to był mój prapraprapradziadek! – potwierdził. – Noszę to samo imię co on.

– Ale jak coś takiego było możliwe?

– Wcale nie było! – wycedził przez zęby Kleobulos. – W czasie, kiedy powstawał Kolos, ani nigdy przedtem, na Rodos nie było ani jednego Gala!

– Właściwie to takie prawdopodobieństwo istniało – sprostował Posydoniusz. – Otóż w Grecji pierwszy raz usłyszano o Galach jakieś dwa wieki temu, kiedy ich wódz Cymbaules najechał Macedonię. Czyli akurat wtedy, gdy Chares przyjmował zlecenie od rajców Rodos...

– Sądziłem, że to było ze dwadzieścia lat później – wtrącił Antypater. – Kiedy to Galowie zapuścili się aż pod Delfy.

– To był drugi najazd galijski – odparł gospodarz. – Wszyscy o im słyszeli, bo przyniósł moc zniszczeń i cierpienia. Wcześniej jednak już próbowali szczęścia, ale Cymbaules zdrowo wziął w skórę od Macedończyków i nawet nie dotarł nad Morze Egejskie.

– Czy on należał do tego samego plemienia co Gatamandyks i Windowiks? – dociekał poeta.

– Nie, ale prawdopodobnie wśród jego wojowników był co najmniej jeden Segur – odpowiedział mu druid. – Po przegranej przez Cymbaulesa bitwie dostał się do niewoli...

– Ale nie umarł niewolnikiem – wszedł mu w słowo Windowiks. – Był jeszcze młody i silny, kiedy powrócił do Galii, w każdym razie na tyle, by się ożenić i spłodzić syna... znaczy, mojego praprapradziadka. Miał wiele do opowiadania o swoim pobycie wśród Greków, które to historie były potem przekazywane z pokolenia na pokolenie, aż w końcu ja je usłyszałem od ojca. Najdziwniejszą z nich była ta o wielkiej wyspie Rodos, gdzie był dla pewnego rzeźbiarza modelem do największego posągu, jaki kiedykolwiek wykonano, a który Grecy zwali właśnie Kolosem. Przez wiele dni mój przodek musiał stać nago w promienistej koronie na głowie i z pochodnią w ręku, podczas gdy artysta rzeźbił miniaturę owej statuy. Pradziad nigdy nie zapomniał dnia, kiedy posąg poświęcono, i ujrzał własną podobiznę górującą nad całym miastem. Wtedy właśnie zrozumiał, że nie jest mu pisane być niewolnikiem, więc skoczył w morze, przepłynął na stały ląd i przedarł się z powrotem do Galii.

– Prędzej to mistrz Chares uzmysłowił sobie, że twój przodek nie może zostać na wyspie – powiedział cicho Posydoniusz. – Co by ludzie pomyśleli, gdyby wyszło na jaw, że na modela posągu wszech czasów wybrał sobie barbarzyńskiego niewolnika zamiast jakiegoś słynnego wolno urodzonego atlety dobrej rodyjskiej krwi? Podejrzewam, że sam darował twemu antenatowi wolność, garść srebra i wsadził go na statek, zapowiadając, aby nigdy tu nie wracał.

– Jeśli nawet przyjmujemy, że w tej fantastycznej historii jest ziarno prawdy, to przecież nie możemy wiedzieć, jak ów mityczny model

wyglądał – zaprotestował Antypater.

– No, można założyć, że jego rysy odziedziczył tu obecny potomek w linii prostej odparł uczony. – Bywa, że rodowe cechy fizjonomiczne oraz ich kombinacje pojawiają się w takiej samej postaci w każdym kolejnym pokoleniu. Windowiks twierdzi, że jest potomkiem człowieka, na którego rysach Chares wzorował twarz Kolosa, a dwa wieki później wy sami dostrzegacie jego podobieństwo do posągu. Przecież to nie może być przypadek!

– Dostrzegli dopiero po twojej podpowiedzi, mistrzu - zaproponował Kleobulos. – Swój eksperyment oparłeś na błędnej metodologii.

– Oczywiście, że to była z mojej strony tylko próba, nie zaś solidnie udowodniona hipoteza. – Posydoniusz złożył dłonie czubkami palców. – Być może dowiemy się więcej jutro, kiedy dotrze tu moja cenna przesyłka.

– No właśnie, po jakież to skarb Gatamandyks i Windowiks wyprawiali się aż do Lindos? – zaciekawił się Antypater.

– Skoro już dostrzeżliście podobieństwo młodzieńca do Kolosa, chyba mogę wam to wyjawić... – Gospodarz pokiwał głową. – Mój przyjaciel druid przyjechał ze mną na Rodos dla wzbogacenia wiedzy o świecie, ale Windowiksem kierowały ściślej określone pobudki. Chciał na własne oczy zobaczyć szczątki Kolosa. Przekaz o roli jego przodka w tworzeniu posągu krążył w jego rodzie przez dwieście lat, kiedy więc los postawił na jego drodze gościa z Rodos, uznał to za znak, że odwiedzić wyspę jest jego przeznaczeniem. I akurat wtedy mój błyskotliwy uczeń Kleobulos, który studiował także dzieje naszego cudu świata, dostał informację, że w Lindos znajduje się naturalnej wielkości gipsowa rzeźba bardzo przypominająca Kolosa. Od razu pomyślał, że to przecież może być ów projekt sporządzony przez Charesa. Nikt nigdy takiego modelu nie odkrył. Oczywiście zaraz go tam wysłałem, żeby ocenił stan i autentyczność figury, która miała być

w posiadaniu pewnego rolnika. Uznałem, że Windowiks i druid też powinni być przy tych pierwszych oględzinach, pojechali więc we trójkę. Wieśniak trzymał ją w szopie wraz z kilkoma narzędziami, rzekomo także należącymi ongiś do mistrza, i zdaje się, że nie miał pojęcia, ile to może być warte dla uczzonego, ale myślę, że złożyłem mu przez Kleobulosa uczciwą ofertę.

– I co, rzeźba okazała się autentycznym? – spytał Antypater z ożywieniem.

– Wszystko na to wskazuje. – Kleobulos odchrząknął, jakby gardło go bolało. – Nie było na niej znaku Charesa, ale przecież nie stawiałby go na zwykłym gipsowym odlewie, prawda? Za to narzędzia, któreśmy znaleźli w tej samej szopie, rzeczywiście nosiły godło jego warsztatu, a był tam i papirus w skórzanym futerale. Dokument jest wyblakły i skruszały, ale wyraźnie widać diagramy i wzory matematyczne służące do powiększania skali posągu.

– Ależ to cudowne! – wykrzyknął mój nauczyciel. – W jakim stanie zastaliście figurę?

– Jeśli nie liczyć paru szczerb, no i przebarwień od pleśni, powiedziałbym, że w idealnym jak na ten wiek i nietrwałość materiału – odrzekł Kleobulos. – Stała w kącie, owinięta w przeżarte przez mole szmaty. Właściciel twierdzi, że była tam, odkąd pamięta, a przeżył w tym gospodarstwie kilkadziesiąt lat.

– No, a czy jest podobna do Windowiksa?

Kleobulos popatrzył na obu Galów i zacisnął usta. Gatamandyks miał nieprzeniknioną minę, młody zaś wyglądał na ubawionego sytuacją.

– Co do tego mamy odmienne zdania.

– To bez znaczenia – rzekł Posydoniusz. – Jeżeli nie zatrzyma go sztorm lub jakiś wypadek, statek z Lindos jutro zawinie do portu, figurę przywiozą

nam do domu. Wtedy postawimy Windowiksa obok niej i każdy będzie mógł sam to ocenić.

– Ależ to będzie gratka! – Antypater zatarł ręce na tę myśl. – Aż się prosi o wiersz okolicznościowy. Może coś w tym stylu:

Jeszcze do wczoraj w niepamięci ginęła, Dziś z mroku dziejów na świat wychynęła Prawda o dziele arcyministra Charesa...

Kleobulos tylko pokręcił ponuro głową.

Po kolacji Posydoniusz jak zwykle zniknął w bibliotece. Lubił tam przesiadywać do późna, pochłonięty lekturą albo pisaniem. Antypater od razu się położył, dwaj Galowie też udali się do swych pokoi. Kleobulosowi, który mieszkał niedaleko z rodzicami, nie spieszyło się do domu i zaproponował, abyśmy posiedzieli przy winie nad jedną z popularnych na Rodos gier planszowych. Sam na sam – to znaczy bez towarzystwa Windowiksa, który chyba szczególnie go drażnił – okazał się przyjemnym kompanem i zręcznym graczem; kiedy w końcu udało mi się wygrać rundę, byłem pewien, że celowo dawał mi fory. Ostatecznie rozbił mnie jednak w puch, a po grze i ostatnim kubku rozcieńczonego trunku pożegnał się i wyszedł. Odwiedziłem jeszcze latrynę w odległym końcu willi – urządzenia sanitarne Posydoniusz miał równie dobre jak rzymskie – i zmierzałem już do sypialni, kiedy natknąłem się na innego nocnego marksa o masywnej posturze, z bujną grzywą na głowie. Poznałem go od razu, a choć korytarz oświetlała tylko błada księżycowa poświata, spostrzegłem też, że nie ma już na sobie swojego dziwnego stroju. Był kompletnie nagi. Może tak się właśnie sypia w Galii, pomyślałem. Sądząc, że zmierza do latryny, usunąłem mu się z drogi, Windowiks jednak ani drgnął.

– Czyżbyś także nie mógł zasnąć, mój młody rzymski przyjacielu? – spytał.

– Właśnie idę się położyć.

– Sam?

– Dom naszego gospodarza jest dość duży, żebyśmy wszyscy mieli osobne sypialnie odrzekłem.

– Nie chciałbyś spędzić tej nocy w mojej?

– Nie, dzięki. Moja jest bardzo wygodna.

Gal wydał z siebie zniecierpliwione westchnienie.

– Przy kolacji powiedziałaś, że jeśli przyjadę do Rzymu, będę mógł się z tobą przespać.

– No, niezupełnie tak się...

– Po co czekać? Możemy to zrobić już teraz.

W końcu dotarło do mnie, o czym on mówi. Popatrzyłem na niego – wyższy ode mnie o głowę, w barach ze dwa razy szerszy – i zaśmiałem się nerwowo.

– O co chodzi? – spytał, jakby zdziwiony. – Czy to te wąsy? Ależ was, Greków, drażnią! Niepojęte... W Galii porządny wąs to oznaka męskości, a jeśli ktoś pozwoli ci go dotknąć, jest to uważane za wyjątkowe wyróżnienie. Proszę bardzo, sam sprawdź.

Ujął mnie za rękę i uniósł ją do twarzy. Przez mgnienie oka pod opuszkami palców poczułem jego zarost. Zaskakująco jedwabisty w dotyku... Szarpnąłem się i uwolniłem z uchwytu, mamrocząc coś o powrocie do izby. Zagradzał mi drogę i nie odsunął się, gdy chciałem przejść. Musiałem się precyzyjnie przesuwać. Pożegnał mnie wzgardliwym prychnięciem. Nie oglądając się za siebie, pospieszyłem dalej korytarzem i skręciłem za róg... gdzie omal nie wpadłem na Posydoniusza, którego sylwetka czerniała na tle prostokąta słabego światła w drzwiach biblioteki.

– Obawiam się, że go uraziłeś, Gordianusie – szepnął.

– Ja jego? Nie rozumiem, w jaki sposób. Jeśli już, to raczej ja...

– Galowie są inni niż Grecy, Gordianusie, a już na pewno różnią się od Rzymian. W tych sprawach mają odmienne od naszych zwyczaje. Zapraszając cię, uczynił ci zaszczyt.

– To miło z jego strony, ale ja...

– A twoją odmowę przyjął jak obrazę. Nie przywykł do takiej reakcji.

– Nie jesteśmy w Galii.

– Wejdźmy do biblioteki, tam będzie można normalnie porozmawiać. – Gestem zaprosił mnie, bym szedł za nim, a gdy zamknęły się za nami drzwi, zaproponował puchar wina.

Nie odmówiłem.

– Dziwna rzecz... – powiedział, sadowiąc się na krześle. – Według mnie w ich ojczyźnie kobiety są piękniejsze niż w którymkolwiek kraju barbarzyńskim, a mimo to mężczyźni zdają się ledwo je zauważać, za to szaleją jeden za drugim. Istnieje tam nawet forma męskiego związku małżeńskiego, co oczywiście nie przeszkadza im zdradzać się nawzajem na prawo i lewo. W Grecji, owszem, mamy uświęconą przez wieki tradycję intymnych stosunków między towarzyszami broni albo między chłopcem i starszym mężczyzną, którego wybrał na mentora... Ale u Galów nie ma żadnych reguł ani zahamowań. Często śpią ze sobą całymi grupami, pół nocy tarzają się na futrach i skórach, a im jest ich więcej, tym weselej. Najprzystojniejsi młodzieńcy paradują po wioskach i bezwstydnie oddają się każdemu, kto wyrazi zainteresowanie. To ludzie bez żadnych zasad, mówię ci.

Zmarszczyłem brwi. Coraz bardziej czułem się tak, jakby spotkała mnie zniewaga.

– A kiedy ktoś wzgardzi taką ofertą, biorą to bardzo do serca – ciągnął uczony. Windowiks to bardzo dumny młody człowiek i nie przyjmie spokojnie odtrącenia.

– Skąd ty to wszystko wiesz o Galach? – mruknąłem.

– Podróżnik musi być otwarty na nowe doświadczenia. – Posydoniusz popatrzył na mnie znacząco. – Inaczej jaki byłby pożytek z podróży? Ale takie zwyczaje nie były dla mnie zupełnym zaskoczeniem. O układach męsko-męskich w Galii pisał już Arystoteles, choć zachodzę w głowę, skąd on mógł je znać... żył w końcu na długo przed najazdem Cymbaulesa.

– Czy chcesz powiedzieć, że powinienem może go przeprosić, czy co? – spytałem pół ironicznie, pół serio.

– Obydwaj spędzicie zimę pod moim dachem – odrzekł z uśmiechem. – Pamiętaj, że Windowiks jest bardzo daleko od domu, no i nie jest dużo starszy od ciebie.

– Przyznaję, że niewiele wiem o świecie poza Rzymem. Ta podróż z Antypatrem otwiera mi oczy na wiele spraw. Jeśli chodzi o... dotykanie wąsa Windowiksa... Ojciec wpoił mi zasadę, że w przeciwieństwie do was, Greków, u Rzymian stosunki cielesne między mężczyznami są dopuszczalne jedynie w wypadku pana i niewolnika, i to tylko wtedy, gdy pan gra rolę, by tak rzec, zdobywcy, no i że o takich rzeczach nie rozmawia się w towarzystwie. On sam nie aprobeuje tego rodzaju upodobań.

– Dlaczegoż to?

– Twierdzi, że nie jest właściwe zmuszać sługę, nieważne jakiej płci, do obcowania intymnego wbrew jego woli.

– A jeśli nie byłoby to wbrew jego woli?

– Też go o to spytałem. Odpowiedział, że między panem i niewolnikiem zawsze występuje pewien pierwiastek przymusu.

– Widzę, że z twojego ojca niezły filozof, Gordianusie.

– Zgadza się.

– Ale i ty najwyraźniej poświęciłeś trochę uwagi takim aspektom ludzkiej natury. Jestem pewien, że jakoś się z Windowiksem dogadacie.

Powiedz mi, czy twoje odrzucenie jego propozycji było reakcją na jej pierwotną czy drugorzędną substancję?

Zrozumiałem, że pyta jako filozof, lecz nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Widząc w mych oczach brak zrozumienia, Posydoniusz westchnął i na moment zacisnął usta.

– Ujmę to inaczej. Czy nie uważasz tego akurat mężczyzny za atrakcyjnego, czy nie pociągają cię mężczyźni w ogóle?

– No... On jest strasznie duży.

– Duży? Ach, rozumiem. Przeraza cię zatem perspektywa...

– No, tak.

– O to chyba nie musisz się martwić. Zdaje się, że Windowiks woli, aby to partner... jak to ujął twój tato... grał rolę zdobywcy.

– Jesteś tego pewien? – spytałem, wciąż mając przed oczyma ogromną sylwetkę Gala górującą nade mną w ciemności.

– Czyż nie po to wybrałeś się w świat, żeby zbierać nowe doświadczenia? Przed nami długa, ponura zima. W miłym towarzystwie czas płynąłby przyjemniej...

Moją uwagę przykuł dostrzeżony kątem oka nikły odbłask światła. Na bocznym stoliku leżał ceremonialny nóż druida, a przy nim rozwinięty papirus z jakimiś rysunkami. Uczony poszedł za moim spojrzeniem.

– Ach, jak Gatamandyks kocha ten sztylet! – rzekł. – To oznaka jego godności, ale i narzędzie sprawiedliwości. U Galów druidzi są nie tylko wróżbitami, lecz i strażnikami moralności. Osądzają przestępców i osobiście wymierzają im kary, włącznie z egzekucjami. Mój gość nie mógł sobie darować, że zapomniał go zabrać na wyprawę do Lindos. Dlatego właśnie był tak zdenerwowany, gdy po powrocie zobaczył go w moich rękach. Mimo to udało mi się go przekonać, aby wypożyczył mi go na kilka

dni, chciałem bowiem gruntownie przestudiować zdobienia na rękojęści. Galijska ikonografia jest zdumiewająco złożona, wręcz fascynująca...

Z trudem stłumiłem ziewnięcie.

– No, widzę, że pora ci do łóżka.

– Nie, nie, mów dalej – zaprotestowałem. – To ciekawe...

– Marsz spać, powiedziałem.

Zanim się zorientowałem, byłem już na mrocznym korytarzu, a drzwi biblioteki zamknęły się za mną bezgłośnie. Uznałem, że na mnie rzeczywiście pora, i podreptałem do sypialni.

Rankiem okazało się, że statek z Lindos jeszcze nie przyplłynął. Posydoniusz wyraził przypuszczenie, że opóźnił go sztorm u wybrzeża – typowa pogoda o tej porze roku, która trzyma żeglarzy w porcie i zniechęca nawet do takich krótkich rejsów – ale nie mógł ukryć niepokoju. Zapewne już sobie wyobrażał, że bezcenna gipsowa rzeźba spoczęła na morskim dnie, na zawsze utracona, albo też zerwana z mocowań rozbiła się na proszek na miotanym przez fale pokładzie. Nadszedł zmierzch, a statku wciąż nie było widać.

Kiedy zasiedliśmy wszyscy do kolacji w tym samym gronie co poprzedniego wieczoru, zobaczyłem zaskoczony, że Windowiks zgolił wąsy. Wygląda teraz niemal jak cywilizowany człowiek, pomyślałem. Zmiana tym silniej uwydatniła jego podobieństwo do Kolosa. Starłem się na niego nie gapić w obawie, żeby źle nie zrozumiał mojego zainteresowania, ale i on zdawał się unikać kontaktu wzrokowego.

Jedliśmy jeszcze, kiedy wpadł Zenas z wiadomością, że statek właśnie wszedł do portu, a przesyłkę dowieziono w dobrym stanie.

– Czy mam od razu zorganizować wyładunek i transport do domu, panie? – spytał Posydoniusza.

– Nie! – Pan domu pokręcił przecząco głową, choć oczy mu rozbłysły. – Przewóz tak cennego obiektu nocą przez miasto byłby zbyt ryzykowny. Odłożymy to na rano. Tymczasem, Zenasie, pójdiesz natychmiast do portu i spędzisz noc na statku. Pilnuj skrzyni jak oka w głowie! Załodze nie mogą zaufać; po przeżyciu sztormu pewnie upiją się do nieprzytomności. Wytrwasz bez snu do świtu?

– Oczywiście, panie, możesz na mnie polegać. Będę jej strzegł jak Cerber.

– Żeby ci tylko dodatkowe głowy nie wyrosły! – Posydoniusz parsknął śmiechem. Wystarczy, jak dopilnujesz, by skrzynia pozostała solidnie zamocowana i żeby nic na nią nie spadło czy nie uderzyło. O brzasku najmiesz kilku tragarzy, niech ją tu przyniosą, tylko żeby się tam który nie potknął na wyboju!

– Statua nie poniesie najmniejszego uszczerbku, dopóki będzie pod moją pieczę, panie. Wezmę tylko ciepły płaszcz. – Zenas obrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

Uśmiechnięty gospodarz klasnął na służbę, by podała więcej wina.

– Panowie, jutro ujrzymy twarz Kolosa, jak ją widział i utrwalił sam twórca – zapowiedział ze swadą.

Los jednak zrządził inaczej. Nazajutrz wszyscy wstaliśmy o świtaniu, a krótko potem dołączył do nas Kleobulos, który noc spędził w rodzinnym domu. Minęła godzina, potem druga, a niewolnik nie wracał ze skrzynią. W końcu zniecierpliwiony Posydoniusz wysłał gońca do portu, żeby sprawdził, co się dzieje. Po jakimś czasie malec przybiegł zdyszany i ze strachem zameldował, że nigdzie nie mógł znaleźć Zenasa.

– Nie było go na statku? – Gospodarz zmarszczył brwi.

– Nie, panie. Kapitan mówi, że Zenas przyszedł nocą, kiedy marynarze układali się do snu. Po raz ostatni go widziano, jak siedział na skrzyni

i rozglądał się czujnie wokoło. Kiedy obudzili się rano, nie było już po nim ani śladu.

– A skrzynia?

– Wciąż jest na pokładzie, bezpiecznie przywiązana.

– To do Zenasa niepodobne. – Posydoniusz się zasepił. – Muszę natychmiast iść do portu i sprawdzić, co się stało.

– Pójdziemy wszyscy z tobą – zadeklarował Antypater.

Wyruszyliśmy niezwłocznie.

Mały niewolnik miał rację – Zenasa nigdzie nie było widać. Ślad jednak po nim jakiś został: niedaleko skrzyni z posągami leżał na deskach pokładu jego rylec, a kawałek dalej wciśnięta w zwoje liny woskowa tabliczka do pisania.

– On by tak ich tu nie zostawił, to nie w jego stylu! – Posydoniusz był coraz bardziej zaniepokojony. – I dlaczego leżą tak rozrzucone? To mi się nie podoba. No, ale przynajmniej skrzynia wydaje się nietknięta – dodał, obchodząc pakunek dookoła.

– No, nie bardzo – zauważyłem. – Popatrzcie tu, pod wiekiem, na styku dwóch desek. Po słojach widać, że był tam sęk, ale wygląda na to, że ktoś go wypchnął i poszerzył dziurę jakimś ostrym narzędziem. Nawet widać zadrapania na drewnie, a na pokładzie walają się drobne wiórki i trociny.

– Rzeczywiście. Masz bystry wzrok, Gordianusie. – Uczony zbliżył się do skrzyni i wspiąwszy na palce, usiłował zajrzeć przez otwór do środka. – I co widzisz? – spytał Antypater.

– Ciemno tam... – Posydoniusz cofnął się i zwrócił do kapitana. – Czyście tu nic w nocy nie słyszeli?

Kapitan był prawdziwym wilkiem morskim, ogorzałym od wiatru i słońca, z gęstą, zmierzwioną brodą. Jechało od niego skwaśniałym winem.

– Większość moich ludzi zeszła na ląd – odpowiedział. – Po tym sztormie każdy chciał poczuć twardą ziemię pod stopami. Kto został na statku, położył się spać pod pokładem, bo tam cieplej. Ja sam spałem jak zabity.

– Raczej jak zalany – poprawił go Posydoniusz.

– I co z tego? – postawił się żeglarz. – Skrzyni pilnował twój człowiek. On był trzeźwy i chętny do służby.

– No, dobrze. Możesz komuś kazać otworzyć ją dla nas?

– Sam to zrobię.

Kapitan poszedł po narzędzia i wkrótce wrócił z łomem i drewnianym pudłem, którego użył jako stopnia.

– Tylko ostrożnie! – krzyknął uczony z przestachem.

Zgrzyt gwoździ wyciąganych z desek drażnił moje uszy. Wydawało mi się, że wiek minął, zanim wreszcie pokrywa puściła i kapitan podał ją dwóm marynarzom, którzy tymczasem pojawili się na pokładzie, i zszedł z pudła. Posydoniusz żywo przysunął się do skrzyni i zajmąwszy jego miejsce, zerknął do wnętrza. Przez moment panowała absolutna cisza, aż uczony jęknął cicho i bezwładnie opuścił ramiona.

– Co się stało? – wykrzyknął Antypater.

– Sam zobacz.

Mój nauczyciel nie dał się dwa razy prosić.

– Na Heraklesa, ależ tragedia! – zawołał, zajrzawszy do pakunku.

Pomogłem mu zejść ze stopnia i odsunąłem się, dając pierwszeństwo Kleobulosowi i dwóm Galom, żaden jednak nie kwapił się do oględzin. Zwłaszcza Rodyjczyk wydał mi się niespokojny. Odczekałem chwilę i sam rzuciłem okiem na zawartość skrzyni.

Ten, kto przygotował rzeźbę do transportu, znał się na rzeczy. Skrzynka miała właściwe proporcje, a posąg owinięto w kilka warstw miękkiej

tkaniny dla zamortyzowania wstrząsów. Skrywała ona szczegóły, ale ogólny kształt był wyraźnie widoczny. Jedno od razu rzucało się w oczy: brakowało głowy – a ściślej mówiąc, została zniszczona już po drodze, gdyż odłamki gipsu leżały w fałdach materii i na dnie pojemnika.

Zszedłem na pokład. Pozostali – niechętnie, jak mi się wydawało – kolejno podchodzili i zaglądali, począwszy od Kleobulosa, któremu twarz aż zszarzała, gdy ustępował miejsca druidowi. Gatamandyks tylko burknął coś pod nosem na widok zniszczonej rzeźby i nie okazał żadnych emocji, natomiast Windowiksowi łzy stanęły w oczach, a policzki poczerwieniły.

– I co mam o tym sądzić? – wyszeptał Posydoniusz. – Po Zenasie ani śladu, a najważniejsza dla naszych badań część figury jest zniszczona, i to celowo, śmiem twierdzić. Ktoś poszerzył dziurę po sęku tak, by przeszło przez nią jakieś narzędzie... zapewne stalowy pręt... i doszczętnie rozbił gipsową głowę. To musiało być działanie z premedytacją. Sprawca najwyraźniej wiedział, że jedna z desek ma sęk na odpowiedniej dla jego celów wysokości, a więc prawdopodobnie był przy zbijaniu tej skrzyni. Ba! Chcąc ułatwić sobie planowaną akcję, mógł nawet dopilnować umieszczenia tej deski tak, aby sęk wypadł w pożądanym miejscu.

Mówiąc to, uczony nie spuszczał oczu z Kleobulosa, który pobladał jeszcze bardziej pod tym spojrzeniem.

– Mistrzu... podejrzenie chyba musi paść na Zenasa – wydukał teraz. – Dlaczego go tu nie ma? Czemu opuścił stanowisko?

– Jeżeli on odegrał w tym jakąś rolę, to dlatego, że ktoś go do tego namówił. Nie wierzę jednak, by Zenas mógł zawieść moje zaufanie, zwłaszcza w tak poważnej sprawie. To, że go tu nie ma i że zostawił przybory do pisania, nasuwa mi podejrzenie, iż ktoś mógł mu coś zrobić.

– To gdzież by się podział? – Kleobulos przełknął głośno ślinę.

Posydoniusz odwrócił się bez słowa i wyjrzał za burzę.

– Mistrzu, gdyby wyrzucono go do wody, już by go wyniosło gdzieś przy nabrzeżu. Chyba że przywiązano go do tego pręta, którym rozbito rzeźbę – odparł uczony, wpatrując się w fale, jak gdyby mógł siłą woli zmusić je do wydania sekretu.

– Ależ to okropne! – rzekł Antypater. – Czy nie ma innego wytłumaczenia tych okoliczności, bez oskarżania kogokolwiek o morderstwo i sabotaż? Może Zenas jeszcze wróci. Czy nigdy się nie zdarzyło, że niewolnik gdzieś ci się zawieruszył, a potem skruszony stawiał się nazajutrz, woniejący winem i lupanarem?

– Nie Zenas. Zresztą z jakich pobudek miałby niszczyć posąg? Dlaczego komukolwiek mogłoby na tym zależeć?

Na to nikt nie miał odpowiedzi. Kleobulos, wciąż blady, ale już z krnąbrnym błyskiem w oku wbił wzrok w swego nauczyciela, a potem raptownie odwrócił się, pożegnał i zszedł ze statku. Załatwiwszy z kapitanem kwestię wyładunku przesyłki i dostarczenia jej do domu, Posydoniusz oznajmił, że chce być teraz sam, i również zniknął nam wkrótce z oczu. Dwaj Galowie poszli w swoją stronę – Gatamandyks ścisnął ramię młodego towarzysza, jakby chciał go pocieszyć – to znaczy do najbliższej obskurnej tawerny portowej, i zostaliśmy z Antypatrem sami. Nauczyciel chciał od razu wracać do willi, ruszyliśmy więc w drogę pogrążeni we własnych myślach. Uszedłszy może sto kroków, obejrzałem się przez ramię na szczątki Kolosa na końcu długiego mola. Wielkie odłamy brązu połyskiwały mdło pod szarym niebem. W dali nad horyzontem gromadziły się ciemne chmurzyska.

W domu Posydoniusza atmosfera panowała równie ponura. Galów i Kleobulosa nie było. Gospodarz wrócił w końcu, ale od razu zamknął się w swoim gabinecie i wychynął z niego dopiero, gdy tragarze przynieśli

z portu skrzynię. Pod jego nadzorem służba zajęła się rozpakowaniem i wkrótce uszkodzona figura stanęła w pokoju przy ogrodzie.

Nawet bez głowy prezentowała się wspaniale. Patrząc na nią, widziałem w wyobraźni Kolosa górującego dumnie nad portem. Gdyby model był Grekiem, powiedziałbym, że artysta wykonał ją w powiększonej skali – na pewno jednak jej proporcje były odpowiednie dla wysokiego Gala; muskulaturą zaś do żywego przypominała Windowiksa – albo jego przodka, po którym odziedziczył rysy.

– Może uda się zrekonstruować głowę – powiedział z nadzieją Antypater.

Kiedy jednak zebraliśmy odłamki, dało się wśród nich rozpoznać tylko szpikulce promieni ze słonecznej Heliosowej korony. Posydoniusz bez słowa odwrócił się na pięcie i zniknął w bibliotece, ale po chwili wynurzył się z drzwi i zapytał:

– Czy któryś z was wchodził tu dzisiaj?

Pokręciliśmy przecząco głowami.

– Dziwne... Przysięgłbym, że gdy rano wychodziliśmy z domu, nóż Gatamandyksa leżał na stoliku, gdzie go zostawiłem, teraz jednak nigdzie go nie widzę.

– Może druid zabrał go ze sobą? – podsunął Antypater.

– Chyba powiedziałby mi o tym.

Przeszyła mnie nagła obawa.

– Jak myślicie, dlaczego Galowie jeszcze nie wrócili? – spytałem, spoglądając na zasnute czarnymi kłębiastymi chmurami niebo. – Zdaje się, że nadchodzi burza.

– Pewnie zalali się w trupa w tej portowej speluncie – odrzekł Antypater.

– Przyjdą, jak trochę otrzeźwieją, nie ma się co nimi przejmować.

– A dokąd mógł pójść Kleobulos?

– Na pewno do domu, do tatusia. – W głosie Posydoniusza zabrzmiała nuta goryczy. Stał jeszcze chwilę, wpatrzony w statwę, po czym zniknął w bibliotece.

– Co za dzień! – mruknął poeta. – Chyba utnę sobie jeszcze drzemkę, a ty, Gordianusie?

– Ja sobie jeszcze trochę popatrzę.

Przykucnąłem, by spojrzeć na posąg z dołu, jakbym był żeglarzem na statku wpływającym do rodyjskiego portu, a on Kolosem w pełnej chwale. Usiłowałem sobie wyobrazić głowę nietkniętą, opatrzoną przez rzeźbiarza w fizjonomię wypisz wymaluj jak Windowiksa – i przeszedł mnie ów niesamowity, delikatny dreszczyk, jaki czuje się czasem na widok wspaniałego dzieła sztuki, które na naszych oczach przestaje być martwym przedmiotem i zdaje się nabierać życia. Czy miałem przed sobą przodka naszego Gala, z boskiego natchnienia uwiecznionego mistrzowską ręką Charesa?

Jako dumny rodyjski uczonec Kleobulos odrzucał tezę, jakoby artysta wybrał na modela galijskiego barbarzyńcę. Czy jednak posunąłby się do aktu przemocy wobec Zenasa i celowo zniszczył historyczną statwę? Posydoniusz najwyraźniej uważał, że tak, ale nie mając dowodów, nie bardzo mógł go ukarać inaczej niż przez odrzucenie.

Przypomniałem sobie o zniknięciu rytualnego noża i nagle uderzyła mnie nieprzyjemna myśl: a jeśli Gatamandyks sam postanowił wymierzyć sprawiedliwość Rodyjczykowi? Może właśnie w tym celu zabrał swoje kapłańskie narzędzia? Uzmysłowiłem sobie jednak zaraz, że to nonsens: nasz gospodarz sam widział rano sztylet w bibliotece, a druid nie wrócił od tamtej pory do domu; gdyby to rzeczywiście on go wziął, musiałby to zrobić jeszcze przed naszym wyjściem – a przecież nie mógł jeszcze wiedzieć, że może być mu potrzebny.

A potem przyszło mi do głowy jeszcze gorsze podejrzenie. Kto wie, czy Gatamandyks nie zabrał noża o świcie z zamiarem użycia go – ale nie przeciwko Kleobulosowi? Pomysł wydawał się niedorzeczny... ale czy na pewno? Mógłbym powiedzieć o tym Posydoniuszowi, ale on siedział zamknięty przed ludźmi i pewnie nie zechciałby ze mną gadać. Pomyślałem o Antypatrze, ale ten to na pewno już chrapał, no i tylko by mnie spowolnił – w tej bowiem chwili zdałem sobie sprawę z tego, że muszę działać, i to bez zwłoki. Być może i tak było już za późno...

Nie tracąc czasu nawet na szukanie płaszcza, poszedłem prosto do westybulu i wypadłem na ulicę. Z początku maszerowałem w szybkim tempie, lecz po kilkunastu krokach puściłem się biegiem i nie zwalniałem aż do samego portu, smagany podmuchami zimnego wiatru od morza.

Karczmarz, kiedy już poczuł w garści parę monet, bez problemu przypomniał sobie dwóch Galów, którzy pili u niego od rana. -Dopiero co wyszli. Młody gigant był tak zaprawiony, że ten starszy prawie go niósł.

– Widziałeś, w którą stronę poszli?

– Ja dużo widzę, młody człowieku, ale ścian jeszcze wzrokiem przenikać nie umiem.

– Nieważne – mruknąłem. – I tak chyba wiem.

Budka przy sznurowej barierze u wejścia do portu była pusta. W taki dzień, gdy lada moment mogły się otworzyć upusty niebieskie, a wiatr niósł bryzgi czarnych fal rozbijających się o nabrzeża, żaden turysta nie pofatygowałby się oglądać szczątków Kolosa. Przeskoczyłem sznur i pobiegłem na koniec mola.

Po drodze ukazał mi się widok, którego nie spodziewałem się zobaczyć: ciało Zenasa. Wzburzona woda w basenie portowym musiała poluzować więzy i uwolnić trupa od obciążenia, a potem wynieść go na brzeg. Przystanąłem na chwilę, szybkim spojrzeniem omiatając jego martwe,

wybałuszone oczy i zaciśniętą na szyi linkę, po czym pognałem dalej, z trudem już łapiąc oddech.

Dlaczego przyjąłem, że Gatamandyks to akurat miejsce wybierze na wypełnienie zamiaru? Po pierwsze, było blisko, a poza tym tu właśnie leżała przyczyna jego żalu – sam Kolos Rodyjski. Oczywiście było to tylko przeczucie, ale okazało się trafne. Daleko wśród odłamków posągu, na wolnym placyku ukrytym przed patrzącymi od strony miasta i basenu, natknąłem się na obu Galów. Wokół nas niczym magiczny krąg kamiennych druidzkich dolmenów sterczały fragmenty metalowego ciała Kolosa: tu palec wymierzony w niebo, tam część ramienia, staw łokciowy, ówdzie długi fragment uda. Pośrodku, przewieszony przez jeden ze złamanych promieni z korony Heliosa jak przez ołtarz ofiarny, leżał półprzytomny od wina Windowiks, a nad nim stał Gatamandyks z nożem wzniesionym wysoko nad głowę, mamrocząc w swym dziwnym języku jakieś modły czy zaklęcia.

Nagle niebo rozdarła błyskawica, na moment obrzucając tę scenę nierealnym, jaskrawym światłem. Tuż potem ziemia zatrzęsała się od uderzenia pioruna, aż krzyknąłem z przestachu. Druid usłyszał mnie i zamarł. Rzuciłem się ku niemu, a on opuścił rękę ze sztyletem.

Dopałem go jednym skokiem, niemal w locie. Nadstawione ostrze trafiło w luźny bok mojej tuniki; usłyszałem odgłos darcia tkaniny, musiało też drasnąć mnie powierzchownie, gdyż poczułem nagły piekący ból. Siła zderzenia przewróciła starego kapłana i obydwaj potoczyliśmy się po nierównym gruncie. Napiąłem mięśnie, spodziewając się walki na śmierć i życie – ale wtem usłyszałem głośny brzęk i suche trzaśnięcie łamanej kości.

Gatamandyks zwiotczał i znieruchomiał. Z niejakim trudem oswobodziłem się od ciężaru jego ramion, pozbierałem na nogi i stanąłem

nad nim, ciężko dysząc. Leżał na wznak i patrzył na mnie szklanymi, niewidzącymi oczyma. Przy upadku uderzył głową o masywny palec Kolosa i skręcił sobie kark. Na wykrzywionej w przedśmiertnym grymasie twarzy jego dziwaczne wąsy wyglądały jeszcze bardziej groteskowo niż zazwyczaj.

Przed oczami latały mi jaskrawe plamki. Szeroko otwartymi ustami z wysiłkiem chwytałem powietrze. Zdałem sobie sprawę, że nie oddychałem normalnie od chwili, gdy wybiegłem z willi Posydoniusza. W oszołomieniu, wśród blasku błyskawic, gigantyczne fragmenty posągu jawiły mi się tym mniej realne, nie z tego świata, jakbym wniknął do własnego snu.

– Gordianusie... uratowałeś mi życie. – Windowiks podniósł się na łokciu i chwiejnie usiadł na brązowym promieniu Heliosa. Długo nie mógł przyjść do siebie, za to gdy wreszcie przyszedł, to od razu na ustach wykwitł mu lubieżny uśmiezek. – No, no... Prawdziwy z ciebie heros, mój rzymski przyjacielu. Za taki wyczyn należy ci się nagroda. Taka, jaką może ci dać tylko inny prawdziwy mężczyzna, taki z wąsem.

Stanął na nogi, przez chwilę balansował niepewnie, po czym zrobił trzy kroki w moją stronę, wpatrując się we mnie spod przymkniętych po swojemu powiek.

– Ale, Windowiksie, ty już przecież nie masz wąsów – odparłem.

– Co takiego?

Zdumiony podniósł dłoń do gładko wygolonej górnej wargi, a potem oczy uciekły mu do tyłu, kolana się pod nim ugięły i galijski olbrzym zwałił się jak długi twarzą do ziemi.

Tego wieczoru spotkaliśmy się wszyscy w bibliotece Posydoniusza: ja z Antypatrem, Kleobulos, Windowiks – wciąż lekko zamroczony trunkiem

i obolały od upadku; miał rozcięty łuk brwiowy i spuchniętą wargę – no i oczywiście sam gospodarz. Wyjaśniłem, co zaszło, najlepiej jak umiałem.

– Gatamandyks jeszcze bardziej niż Kleobulos nie potrafił ścierpieć, że to Gal mógł pozować Charesowi do Kolosa. Jak mówi przekaz, przodek Windowiksa trafił tu jako niewolnik, a to, że miejscowemu rzeźbiarzowi podobało się wybrać go na wzorzec posągu greckiego boga, nie było dla druida powodem do dumy, ale raczej hańbą. Czymże bowiem był w jego oczach Kolos, jeśli nie pomnikiem nieudanej próby podboju Grecji przez Galów? Bez wątpienia od dawna irytował go ród Windowiksa i jego fantastyczna legenda, uparcie powtarzana przez kolejne pokolenia. To nie on chciał przyjechać na Rodos, ale właśnie nasz młody przyjaciel. Gdyby jednak Windowiks wrócił do domu nie tylko syt wrażeń z podróży, ale jeszcze z niezbitym dowodem prawdziwości rodzinnej sagi, przechwałkom nie byłoby końca i legenda zyskałaby nieśmiertelność. Gatamandyks jako druid, sędzia i kat w jednej osobie postanowił działać i tylko dlatego zgodził się towarzyszyć ci w wyprawie do Grecji tu zwróciłem się bezpośrednio do Windowiksa. – Nie po to, by zwiedzać świat helleński, ale by przeszkodzić ci w dojściu do prawdy. W tym celu najpierw zniszczył jedyny dowód rzeczowy, czyli gipsową figurę Kolosa, nie wahając się zgładzić pilnującego jej niewolnika, a potem chciał wyeliminować i ciebie. Celowo cię upił, żebyś nie stawiał oporu podczas rytualnej ofiary. Do ojczyzny wróciłby już sam i raz na zawsze położyłby kres legendzie o galijskim niewolniku, który był żywym pierwowzorem Kolosa z Rodos.

– Twoja wersja wydarzeń jest spójna i pełna – orzekł Posydoniusz. – Jak mogłem być tak ślepy? O mały włos nie oskarżyłem Kleobulosa!-A my nadal nie znamy odpowiedzi na pytanie, które stało się przyczyną tego ciągu zdarzeń – zauważył Antypater. – Czy przodek Windowiksa był, czy nie był modelem Charesa?

– Zapominasz, że ja widziałem statwę, zanim została uszkodzona – wtrącił Gal. – Nie mam najmniejszych wątpliwości: to mój prapraprapra... no, praprzodek pozował twórcy Kolosa.

– A to ciekawe, bo i ja ją zdążyłem obejrzeć – rzucił Kleobulos z ironią w głosie. – I też jestem absolutnie pewien, że nie była do ciebie ani trochę podobna. Po prostu zobaczyłeś to, co chciałeś zobaczyć.

– Nie zapominajmy o Gatamandyksie – powiedział Antypater. – On także musiał dostrzec podobieństwo do Windowiksa, inaczej nie posunąłby się do zbrodni, żeby zniszczyć dowód rzeczowy.

– To rzeczywiście logiczne, Zotikosie – przytaknął gospodarz. – Niestety, prawda dalej jest nieuchwytna. Nie mamy niezbitych faktów, tylko domysły, subiektywne wrażenia wizualne i legendę sprzed wieków, która w tej sytuacji pozostanie jedynie legendą.

Windowiks potrzebował tylko jednego dnia, by wyzdrowieć z solidnego kaca, ja za to zapadłem na febrę od rany odniesionej w starciu z druidem i chorowałem niemal tydzień. Miałem jednak dobrą opiekę i stopniowo wróciłem do formy. Kilka dni później, gdy wreszcie pozwoliła na to jesienna pogoda, rozsiadłem się w ogrodzie na słoneczku. Nieopodal mój nauczyciel roztrząsał z panem domu jakąś kwestię filozoficzną, czemu przysłuchiwałem się jednym uchem, drugim łowiąc poszum wiatorku wśród listowia. Przysypiałem już, kiedy nadszedł Windowiks. Trzeba przyznać, że prezentował się świetnie, a świeże blizny na twarzy tylko dodały jej wyrazu. Zaczął znów zapuszczać wąsy, widać było jednak, że wiele czasu musi upłynąć, zanim odzyskają swą pierwotną postać. Pogłaskał się po meszku ocieniającym górną wargę, obrzucając mnie długim, tęsknym spojrzeniem, i pomaszerował dalej.

– Biedaczysko... – mruknął współczująco Antypater. – Zdradzony przez człowieka, któremu bezgranicznie ufał. Musi się teraz czuć bardzo samotny,

jedyny Gal wśród greckich wyspiarzy. Zdaje się, że wpadłeś mu w oko, Gordianusie.

– Na pewno nie można mu odmówić wytrwałości – odrzekłem.

– A tu jeszcze cała zima przed nami... – Posydoniusz puścił do mnie oko. – Prędzej czy później będziesz musiał mu ulec.

– A dlaczego uważasz, że jeszcze tego nie zrobiłem?

Antypater uniósł wysoko brwi i zamrugał kilkakrotnie.

– Czyżbyś...?

W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko i wzruszyłem ramionami. Przyjemnie było się poczuć wśród tych wyrafinowanych greckich światowców jak równy wśród równych.

VII

LEMUR NAD EUFRATEM (Mury Babilonu i wiszące ogrody Semiramidy)

W Babilonie zobaczymy nie jeden, lecz dwa cudy świata – obiecał Antypater. – A przynajmniej to, co po nich pozostało.

Noc spędziliśmy w zakurzonej małej zajezdni nad brzegiem Eufratu. Stary od rana był nieprzystępny i mrukliwy – trudy podróży dawały mu się we znaki o wiele bardziej niż mnie – lecz w miarę jak wiodący na południe nadrzeczny trakt przybliżał nas do Babilonu, powoli się ożywił i odzyskiwał humor.

Według karczmarza od miasta dzieliło nas już tylko kilka godzin drogi, nawet biorąc pod uwagę flegmatyczność naszych osiołków. Opinię tę zdawała się potwierdzać niewyraźna smuga, która stopniowo rosła na widnokręgu. Teren w widłach Tygrysu i Eufratu jest płaski jak stół i prostej linii horyzontu nie zakłóca nawet najmniejszy pagórek. Zdawałoby się, że wzrok może tu sięgać w nieskończoność, lecz ustawiczne falowanie rozgrzanego jak w piecu powietrza zamazuje nawet najbliższe elementy krajobrazu i nadaje im zagadkowy charakter. Mająca w oddali wieża okazała się samotną palmą; lśniące w słońcu rzekome jeziora rozpląwały się i znikły; raz nawet wziąłem stertę żwiru, zapewne pozostawioną przez budowniczych drogi, za stos zwalonych bezładnie trupów.

Przez dobrą godzinę zachodziłem w głowę, któż to zbliża się do nas z naprzeciwka. Rozedrgane powietrze to powiększało grupkę podróżnych, to zmniejszało, czasem zupełnie ją kryło i znów ukazywało. Najpierw wydawało mi się, że to oddział zbrojnych – widziałem nawet odbłask słońca na ich broni – potem uznałem, że nadjeżdża tylko pojedynczy jeździec, być może w hełmie czy półpancerzu. Raz zniknął mi całkiem z oczu i aż zimny dreszcz przebiegł mi po plecach – mielibyśmy do czynienia z zastępem widm?

Kiedy w końcu zrównaliśmy się z nimi, stwierdziłem z niejaką ulgą, że tajemnicza grupa to tylko kilku strażników eskortujących dwa ciągnięte przez osły wozy pełne cegieł. Były to jednak wyjątkowe cegły! Duże, różnokształtne, w większości o ściankach mierzących około stopy kwadratowej. Zewnętrzne pokrywała jaskrawa glazura – żółta, błękitna, czasem wielobarwna. Nie były to nowe wyroby: poszarpane krawędzie, do których tu i ówdzie przywarły kawałki starej zaprawy, świadczyły o pochodzeniu z jakiejś rozebranej budowli. Mimo warstewki kurzu kolory były jednak żywe i soczyste.

– Może to być? – wymamrotał Antypater, nagle dziwnie ożywiony. – Toż to cegły z legendarnych murów Babilonu!

Poeta zgramolił się niezdarnie z osiołka i poczłapał do najbliższego wozu. Przejechał sękatymi palcami po lśniącej emalii, wywołując nerwową reakcję woźnicy, który zaprotestował głośno, a potem kiwnął na strażnika, ten zaś natychmiast podbiegł z dobytym mieczem. Widząc jednak cielecy zachwyty na twarzy Antypatra, furman się zaśmiał i powstrzymał żołnierza gestem, po czym zagadał do starego w języku, którego nie rozpoznałem. Antypater łypnął nań okiem, też najwyraźniej nie rozumiejąc ani słowa.

– Mówić grecki? – zapytał.

Pierwszy raz byłem w kraju, gdzie większość populacji posługuje się językami innymi niż greka czy łacina. Mój mistrz liznął trochę mowy Partów, ale wolał zwracać się do tubylców łamaną greką, jak gdyby uważał ją za bardziej dla nich zrozumiałą.

– Tak, znam grecki. Trochę – odparł furman, stykając kciuk z palcem wskazującym.

– Pochodzisz z Babilonu, tak? – W kontaktach z tubylcami Antypater mówił również bardzo głośno, jakby wszyscy byli przygłusi.

– Z Babilonu, tak.

– Jak daleko? – Tu stary urozmaicił pytanie skomplikowaną gestykulacją.

– Babilon stąd? Dwie godziny. Może trzy – poprawił się woźnica, fachowym okiem oceniając nasze sfatygowane wierzchowce.

Antypater zapatrzył się tęsknie na rysujący się przed nami kontur miasta. Od rana brudnożółta smuga poszerzyła się zdecydowanie, jednak nawet przy najlepszych chęciach trudno było dopatrzeć się tam strzelistych wież.

– Obawiam się, Gordianusie, że ze słynnych murów Babilonu nic nie zostało powiedział z ciężkim westchnieniem. – Jeśli były tak wielkie, jak powiadają, i cokolwiek z nich się zachowało, dostrzeglibyśmy je już dawno.

– Cegły ze starych murów, tak – wtrącił woźnica, który zrozumiał kilka słów z wypowiedzi Antypatra. – Mój sąsiad znaleźć zakopane za domem. Bardzo rzadkie, bardzo cenne! On sprzedać bogaty kupiec z Ktezyfonu. On teraz bogaty człowiek.

– Piękne, czyż nie? – Stary przejechał dłonią po glazurze i podniósł jedną z cegieł, by przyjrzeć się spodowi. – Dobry Zeusie! Na tej wryto imię Nabuchodonozora. Widocznie pochodzi z czasów jego panowania. – Wydawało się, że zaraz usłyszymy kolejny wiersz, lecz teraz zaprzętały go

bardziej przyziemne myśli. – Te cegły byłyby w Rzymie warte fortunę. Mój przyjaciel Kwintus Lutacjusz Katulus ma ich kilka i można je podziwiać w jego ogrodzie, uchodzą za rzadkie okazy. Zapewne kosztowały go więcej niż wszystkie rzeźby w jego domu razem wzięte. Ech, gdyby tak... ale cóż, jedźmy dalej.

Antypater rzucił woźnicy monetę za fatygę, siadł na osiołka i podjęliśmy zmuśną wędrówkę w kierunku mającego w oddali miasta.

Odchrząknąłem i zapytałem:

– Dlaczego te cegły są takie cenne? I dlaczego Babilończycy wzniesli mury z cegieł? Porządne fortyfikacje powinny być z kamienia.

Antypater zmierzył mnie spojrzeniem, pod którym poczułem się jak kilkulatek.

– Rozejrzyj się, Gordianusie. Widzisz tu jakieś skały? W promieniu dziesiątek mil nie znajdziesz żadnego kamieniołomu. W tej części świata nie występuje kamień, z którego można by wznosić choćby domy, a cóż dopiero mury długie na mile i tak szerokie, że ponoć mogły po nich jeździć rydwany. Poza kilkoma świątyniami ozdobionymi wapieniem i bitumem, które zresztą sprowadzono za ciężkie pieniądze, wszystko tu jest zbudowane z cegieł. Robi się je z gliny zmieszanej z drobno posiekaną słomą, ubijanej w formach i wypalanej w ogniu. Są niemal tak twarde jak kamień. W starożytnym języku chaldejskim to samo słowo oznacza zarówno cegłę, jak i skałę. Nie da się w nich rzeźbić, rzecz jasna, lecz można je ozdobić barwną glazurą.

– Więc mury Babilonu wzniosł... – Urwałem, nie umiejąc powtórzyć imienia władcy.

– Król Nabuchodonozor. – Antypater wymówił to bardzo wyraźnie, cedząc słowa jak podczas rozmowy z woźnicą. – Według legendy Babilon założyła asyryjska królowa Semiramida, żyjąca jeszcze w czasach Homera,

jednak lata chwały przeżywał pod panowaniem króla Nabuchodonozora z dynastii chaldejskiej, który panował pięć wieków temu. Przebudował miasto w myśl założeń systemu hippodamejskiego, z długimi arteriami przecinającymi się pod kątem prostym. Niewiele ma to wspólnego z rozgardiaszem urbanistycznym, do jakiego przywykłeś w Rzymie, Gordianusie. Za jego czasów wzniesiono również liczne świątynie, z których największe poświęcono Mardukowi i Isztar. Wówczas zbudowano też wielki obiekt kultu zwany Etemenanki... co znaczy: fundament nieba i ziemi... w formie strzelistego, siedmiopoziomowego ziguratu; podobno wysokością dorównuje on egipskim piramidom i, jak chcą niektórzy, powinien zostać wpisany na listę cudów świata. Dla swej medyjskiej królowej zaś, stęsknionej za górkami lasami i łąkami obsypanymi kwieciami, Nabuchodonozor założył wiszące ogrody, istny raj zawieszony wysoko nad ziemią niczym gniazdo rzadkiego ptaka. Wtedy też otoczono miasto słynnym murem, wysokim na siedemdziesiąt pięć stóp i na trzydzieści szerokim – dość, by w pędzie mogły się na nim minąć dwa rydwany. Zwieńczony był blankami i basztami wyrastającymi na sto stóp. Cały pokryto błękitno-żółtymi wzorami i malowidłami, przez co Babilon w czasach świetności wyglądał z daleka niczym złoty naszyjnik z lapis-lazuli. Poeta wbił w horyzont sceptyczne spojrzenie. Zarys miasta powoli się klarował, bardziej jednak przypominał grudę błota niż jakikolwiek klejnot. Teraz dostrzegłem też dużą budowlę, górującą nad pozostałymi i lśniąco kolorowo. Byłby to ów zigurat?

– Co się stało z imperium Nabuchodonozora? – spytałem. – Gdzie się podziały jego wielkie mury?

– Imperia powstają i upadają z hukiem. Kiedyś czeka to także Rzym... – Nawet tu, tak daleko od granic republiki, Antypater odruchowo ściszył głos, wypowiadając te słowa. Chaldejczycy wyparli Asyryjczyków, po czym

sami ulegli potędze perskiej. Wiek po śmierci Nabuchodonozora wybuchło tu powstanie przeciwko Kserksesowi, temu samemu, który w swej pysze pokusił się o podbój Hellady. W Babilonie poszło mu lepiej: złupił całe miasto wraz ze świątynnymi skarbcami. Podobno wtedy też zburzył te wspaniałe mury, zamieniając je w sterty szklawionych cegieł, na które teraz polują kolekcjonerzy. Sto lat później, gdy pod miasto podeszły armie Aleksandra, Babilończycy nie tylko nie stawiali oporu, ale nawet wyszli mu na powitanie, może zatem rzeczywiście nie mieli już wtedy dobrych fortyfikacji. Macedończyk chciał ponoć przywrócić Babilonowi dawny splendor i uczynić go stolicą świata, lecz plany te zniweczyła jego przedwczesna śmierć. Jego następca wybudował nieopodal nad Tygrysem nowe miasto i nazwał je swoim imieniem; odtąd to Seleucja pełniła funkcję centrum administracyjnego i handlowego, a Babilon nigdy już nie wrócił do dawnej świetności. Przybywali tu chętnie tylko uczeni i filozofowie, skuszeni taniością kwater do wynajęcia, no i astrologowie, dla których ziggurat jest podobno najlepszym punktem do obserwacji ciał niebieskich.

– To może uda nam się spotkać w Babilonie prawdziwego astrologa? – spytałem.

– Z pewnością. Podstawy tej nauki stworzyli już Chaldejczycy. W Rzymie wciąż uchodzi tylko za ciekawostkę, za to w Grecji zdobyła wielką popularność, odkąd babiloński kapłan Berossus otworzył szkołę astrologii na wyspie Kos, jeszcze za czasów Aleksandra Wielkiego.

Jechaliśmy dalej w milczeniu. Smuga na widnokręgu zaczęła wreszcie przypominać kontury miasta. Domyśliłem się, że jej najwyższy punkt to właśnie ów barwny ziggurat. Dostrzegłem również coś na kształt rudobrazowych murów, jednak daleko im było do wspaniałych fortyfikacji, o których tyle się nasłuchiwałem.

– A co z wiszącymi ogrodami? – spytałem. – Czy przetrwały do dziś?

– Wkrótce sami się o tym przekonamy – odparł Antypater.

W końcu stanęliśmy pod murami Babilonu. Widziałem, jak bardzo mój nauczyciel jest rozczarowany.

– No cóż, spodziewałem się tego – westchnął, gdy przekroczywszy wyschniętą fosę, przejeżdżaliśmy pod bramą.

Gdybyśmy byli teraz w jakimkolwiek innym mieście, uznałbym mur za imponujący wysoki może na trzydzieści stóp ciągnął się wzdłuż Eufratu dalej, niż sięgał mój wzrok – ale tu, w Babilonie, sprawił mi zawód. Cały był z najzwyczajszej cegły. Żaden tam cud świata...

Minęliśmy gwarny rynek, przesycony egzotycznymi zapachami i pełen ciekawych postaci. Czuło się urok prowincjonalnego miasteczka, ale nic z tego dreszczyku emocji, jaki budzi świadomość, że oto jest się w jednym z wielkich miast świata, jak Rzym czy Efez.

I wtedy zobaczyłem bramę Isztar.

Nie wiedziałem jeszcze, że tak się nazywa. Na jej widok szczęka mi opadła, a serce zabiło żywiej. Ostry blask słońca rozświetlał barwne płytki mozaik z ogromnymi wizerunkami niesamowitych stworzeń – rogatych turów, ryczących lwów i przerażających smoków. Inne wzory, bardziej abstrakcyjne, nawiązywały do kwiatów i klejnotów. Przeważał kolor niebieski – a było go tyle odcieni, iloma od brzasku do zmierzchu mieni się morze, od bladego lazuru po głębokie indygo. Wiele było też żółci i złota, a obramowania lśniły szmaragdową zielenią. Budowlę wieńczyły wymyślnego kształtu blanki. Brama była jednak tylko samotnym elementem jakby wyrwanym z większej całości i przypadkowo rzuconym na piasek – resztki dawnego muru* obronnego sterczały niczym podcięte skrzydła na kilkadziesiąt stóp po obu stronach i nagle się urywały.

Gdyśmy tak stali w osłupieniu, otoczyła nas grupka tubylców i na wyścigi zaczęli nas zagadywać. W końcu Antypater wybrał jednego

z mężczyzn, który najlepiej radził sobie z greką.

– Co to jest? – zapytał mistrz.

– To, cudzoziemcze, wielki mur Babilonu! – oświadczył ze swadą ów człowiek z postrzępioną brodą i brakami w uzębieniu.

– Przecież to jakieś marne resztki! – zaoponował Antypater.

– To wszystko, co pozostało – odparł mężczyzna, wzruszając ramionami.

– Gdy Kserkses zniszczył mury Nabuchodonozora, pozostawił tylko tę bramę, aby potomni wiedzieli, jak świetne pokonał mocarstwo. To brama Isztar, nazwana na cześć bogini – dodał, wystawiając dłoń.

Antypater automatycznym ruchem położył na niej monetę.

– Pomyśl tylko, Gordianusie – szepnął. – Sam Aleksander przejeżdżał przez tę bramę w triumfalnym pochodzie, gdy zajmował miasto.

– Nic dziwnego, że chciał tu mieć stolicę – powiedziałem, zadzierając głowę, gdy przejeżdżaliśmy pod sklepieniem przejściem. – Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem. Jest wspaniała!

– Wyobraź więc sobie wiele równie wspaniałych bram połączonych nie mniej imponującym murem, ciągnącym się milami. A teraz to jedyny ślad po dawnej świetności. Pokręcił głową ze smutkiem.

Brodacz szedł cały czas za nami.

– Wszystko wam pokażę! – zaoferował. – Chcecie zobaczyć wiszące ogrody, co?

Antypater się rozpromienił. Czyżby legendarne ogrody istniały do dziś, tyle wieków po śmierci Nabuchodonozora i jego królowej?

– Niedaleko, niedaleko – zarzekał się mężczyzna, krocząc przed nami.

Spytałem go o imię.

– Dariusz – odrzekł, szczerząc w uśmiechu kilka trzymających się jeszcze zębów. – Jak wielki król Persów.

Przejechaliśmy przez brudny plac, gdzie straganiarze sprzedawali tanie pamiątki: miniaturowe tury, lwy i smoki, typową tandetę dla turystów – tych zaś było tu wielu, nie my jedni przybyliśmy tu bowiem z daleka tropem cudów świata. Przedostawszy się przez labirynt krętych, ciasnych i zakurzonych uliczek – to na pewno nie był system hippodamejski z czasów Nabuchodonozora – znaleźliśmy się u stóp rozległych ruin. Ongiś, zanim ząb czasu i ludzka zajadłość obróciły ją w perzynę, budowla ta sięgała ponoć do chmur. Jeszcze teraz przypominała górę, choć niezbyt wysoką. Na naleganie Dariusza zeszliśmy z wierzchołków i podążyliśmy za nim. Raptem jak spod ziemi wyrósł inny tuziemiec i zażądał opłaty za przejście, zgodził się też popilnować naszych osiołków. Antypater zapłacił haracz i Dariusz poprowadził nas upstrzonymi gruzem schodami w górę. Na półpiętrach ktoś poustawiał rzędy roślin w doniczkach; tu i ówdzie rachityczne drzewka i suche krzaki wyrastały wprost z rumowiska. Widok był po prostu żałosny. W minorowych nastrojach dotarliśmy na otwartą płaszczyznę u szczytu, która dawno temu musiała być pięknym tarasem – o minionych czasach chwały świadczyły resztki zwalonych kolumn i popękane płyty posadzki. Smętne wrażenie łagodziły dające przyjemny cień palmy daktylowe i subtelny aromat pomarańczy i cytryn. Tuż u wylotu schodów rosło stare, powykręcane drzewo oliwne; jego drżące na wietrze liście mieniły się srebrem i zielenią.

– Daleko temu do górskiego lasu, jaki rósł tu ponoć za Nabuchodonozora – mruknął Antypater, powoli łapiąc oddech po wspinaczce.

Sam się trochę zadyszałem w tym upale.

– Jak nawadnacie wszystkie te drzewa? – zwróciłem się do królewskiego imiennika.

– Ach, młody przyjacielu, mądre pytanie! – ucieszył się przewodnik. – Zaraz poznasz sekret wiszących ogrodów. Chodź, zobacz!

Dariusz prowadził nas ku ceglanemu przejściu wiodącemu do spadzistego szybu, z którego powoli wynurzał się zasapany mężczyzna, dźwigający na ciężkim nosidle wiadra wody. Mijając nas, zdobył się na zmęczony uśmiech.

– Dobrze, że do rzeki niedaleko, skoro wodę trzeba nosić ręcznie – rzuciłem.

Antypater uniósł brwi.

– W dawnych czasach, Gordianusie, w tym szybie musiał pracować mechanizm doprowadzający bieżącą wodę na tarasy. – Wskazał na rozsiane przy przejściu zardzewiałe kawałki metalu. – Historyk Onesikritos, który był tu za czasów Aleksandra Wielkiego, wspomina o ogromnej śrubie, która z każdym obrotem podnosiła na górę zawartość kilku beczek. Zdaje się, że dziś nic już z tej przemyślnej konstrukcji nie zostało poza samym szymbem prowadzącym, jak się domyślam, do cysterny zasilanej wodą z rzeki. Wygląda na to, że Babilończycy sami wzięli się do pracy, by utrzymać choćby ułamek dawnej wspaniałości ogrodów, być może z dumy obywatelskiej, ale pewnie też na użytek zwiedzających, od których zawsze kapnie im trochę grosza.

Skinąłem głową, ale byłem rozczarowany. Przed wiekami wiszące ogrody musiały porażać urodą, lecz ta epoka przeminęła bezpowrotnie. Za nic nie można było ich porównać do innych cudów świata, które zdążyliśmy już zobaczyć. Odszedłem o kilka kroków od szybu i stanąłem w miejscu, skąd miałem dobry widok na wielki ziggurat.

Mury Babilonu obróciły się w nicość, wiszące ogrody umierały, lecz on trwał niewzruszenie niczym skała wyrastająca pośród piaskowej barwy miasta. Każde z siedmiu pięter miało kiedyś inny kolor fasady. Wszelkie

zdobienia zdarł dawno temu Kserkses, a po nim kolejni łupieżcy; ceglane ściany z wolna murszały, niemniej z pierwotnego oblicowania zostało dostatecznie dużo, bym mógł się zorientować, jak budowla wyglądała przed wiekami.

Dolny, największy segment miał kolor wyschniętej cegły, lecz już następny uderzał plamami jaskrawej bieli (jak się później dowiedziałem, był niegdyś wyłożony wapieniem i bitumem). Trzecią kondygnację pokryto błękitnymi opalizującymi płytkami, czwarta była zielonożółta i tak dalej. Za czasów Nabuchodonozora wrażenie musiało być niesamowite. Tu i tam rzucały się w oczy czarne plamki; dopiero po chwili się zorientowałem, że są ruchome byli to ludzie! Wtedy dopiero uzmysłowiłem sobie ogrom budowli.

Chylące się już ku zachodowi słońce malowało zapyłone miasto i ziggurat na pomarańczowo. Stałem wpatrzony w masywną sylwetkę Etemenanki i z trudem tylko mogłem sobie wyobrazić, że to dzieło ludzkich rąk.

Antypater najwyraźniej podzielał moje odczucia. Stanął obok mnie i wyrecytował:

Jacyż cyklopi dla Semiramis tę górę usypali?

Czy to giganci, synowie Gai, siedem pięter zbudowali, By siedmiu Plejad dosięgło swym szczytem ich dzieło zuchwałe?

Na kształt góry Athos niewzruszenie tu króluje wiecznotrwale. Żaden go żywioł skruszyć nie zdoła, moc ludzka nie obali. Mimo znużenia podróżą i mętliku w głowie zwróciłem uwagę na pomyłkę poety.

– Mówiłeś, że to Nabuchodonozor zbudował ziggurat, nie Semiramida.

– Licentia poetica, Gordianusie! Imię królowej brzmi bardziej rytmicznie i dźwięcznie. Konia z rzędem temu, kto umiałby wcisnąć w ramy wiersza słowo tak z gruba ciosane jak Nabuchodonozor!

Kiedy zapadł zmrok, Dariusz pomógł nam znaleźć nocleg w niewielkim zajeździe jak zapewniał, położonym tuż nad rzeką. Rzeczywiście, jedząc we wspólnej sali posiłek złożony z podpłomyków i daktyli, czuliśmy jej zapach, lecz z naszego pokoju nie było jej widać – jak zresztą niczego innego poza burą ścianą muru biegnącego wzdłuż nabrzeża, o którą z trzaskiem uderzyły okiennice, gdy spróbowałem je otworzyć.

– Jutro oglądać Etemenanki – upierał się nasz przewodnik, który wprosił się na wieczerzę, a potem odprowadził nas pod drzwi naszej izby. – O której po was przyjść?

– Jutro odpoczywamy – uciał Antypater i runął na wąskie łóżko. – Gordianusie, nie będzie ci chyba niewygodnie na tej macie na podłodze, mam nadzieję?

– Prawdę mówiąc, chyba się jeszcze przespaceruję – odparłem. i zigurat na pomarańczowo. Stałem wpatrzony w masywną sylwetkę Etemenanki i z trudem tylko mogłem sobie wyobrazić, że to dzieło ludzkich rąk.

Antypater najwyraźniej podzielał moje odczucia. Stanął obok mnie i wyrecytował:

Jacyż cyklopi dla Semiramis tę górę usypali?

Czy to giganci, synowie Gai, siedem pięter zbudowali, By siedmiu Plejad dosięgło swym szczytem ich dzieło zuchwałe?

Na kształt góry Athos niewzruszenie tu króluje wiecznotrwałe. Żaden go żywioł skruszyć nie zdoła, moc ludzka nie obali. Mimo znużenia podróżą i mętliku w głowie zwróciłem uwagę na pomyłkę poety.

– Mówiłeś, że to Nabuchodonozor zbudował zigurat, nie Semiramida.

– Licentia poetica, Gordianusie! Imię królowej brzmi bardziej rytmicznie i dźwięcznie. Konia z rzędem temu, kto umiałby wcisnąć w ramy wiersza słowo tak z gruba ciosane jak Nabuchodonozor!

Kiedy zapadł zmrok, Dariusz pomógł nam znaleźć nocleg w niewielkim zajeździe jak zapewniał, położonym tuż nad rzeką. Rzeczywiście, jedząc we wspólnej sali posiłek złożony z podpłomyków i daktyli, czuliśmy jej zapach, lecz z naszego pokoju nie było jej widać – jak zresztą niczego innego poza burą ścianą muru biegnącego wzdłuż nabrzeża, o którą z trzaskiem uderzyły okiennice, gdy spróbowałem je otworzyć.

– Jutro oglądać Etemenanki – upierał się nasz przewodnik, który wprosił się na wieczerzę, a potem odprowadził nas pod drzwi naszej izby. – O której po was przyjść?

– Jutro odpoczywamy – uciał Antypater i runął na wąskie łóżko. – Gordianusie, nie będzie ci chyba niewygodnie na tej macie na podłodze, mam nadzieję?

– Prawdę mówiąc, chyba się jeszcze przespaceruję – odparłem. W odpowiedzi usłyszałem już tylko chrapanie. Dariusz natomiast energicznie pokręcił głową.

– Po zmroku niebezpiecznie! – wykrzyknął nerwowo. – Lepiej zostać! Zmrużyłem podejrzliwie oczy.

– Przecież zapewniałeś Antypatra, że to porządna dzielnica, bez zbójów i rabusiów.

– Mówić prawdę. Żadnych zbójów.

– Więc czemu mam zostać?

– Po zmroku wychodzi ona! – odparł Part z grobowym wyrazem twarzy.

– To znaczy kto? Mówże no jaśniej!

– I tak już powiedzieć za dużo. Nie wychodzić przed świtem! Wtedy się spotkamy rzucił i spiesznie odszedł.

Wyciągnąłem się zrezygnowany na twardym pościeliu, pewien, że Antypatrowe chrapanie nie da mi prędko zasnąć.

Kiedy otworzyłem powieki, słońce wlewało się już do pokoju.

Gdy wygrzebaliśmy się z łóżek na śniadanie, było już prawie południe. Oprócz nas we wspólnej sali siedział tylko jeden mężczyzna. Wyglądał tak paradnie, że z trudem powstrzymałem śmiech. Do tej pory astrologów widywałem tylko na scenie w komediach i ten tutaj też był jak z teatru wzięty: na głowie spiczasty żółty kapelusz do żywego przypominający zigurat, granatowa szata haftowana w żółte słońca i gwiazdne konstelacje, a na nogach wyszywane kamieniami półszlachetnymi trzewiki z noskami zawiniętymi w spirale. Długą, czarną brodę splótł w ciasne, pofalowane pasemka i posypał żółtym proszkiem, co sprawiało wrażenie, jakby ze szczęki wystrzelały mu słoneczne promienie.

Antypater zaprosił go do naszego stołu. Cudaczny gość przedstawił się jako Muszezib, astrolog przybyły do Babilonu z dalekiej Ekbatany. Od razu było widać, że z niejednego pieca chleb jadł, a greką władał z pewnością lepiej ode mnie.

– A więc przybyłeś obejrzyć zigurat? – spytał mój nauczyciel. – Raczej to, co z niego zostało – odparł tamten. – Jest tu też zacna akademicka astrologiczna, w której chciałbym dostać posadę nauczyciela. A co was tu sprowadza?

– Chcemy tylko zwiedzić miasto – rzekł stary. – Lecz nie dziś. Wciąż wszystko mnie boli po wczorajszej podróży.

– Przecież nie możemy przesiedzieć całego dnia w karczmie – zaprotestowałem. Może w okolicy jest coś ciekawego?

– Słyszałem, że przy tej ulicy stoi mała świątynia Isztar – powiedział Muszezib. – Przed wzrokiem przechodniów skrywa ją wysoki mur. Zrujnowana i zbezczeszczona po najeździe Kserksesa, dotąd nie doczekała się odbudowy i przywrócenia statusu sanktuarium. Ale pewnie nie ma tam nic do zobaczenia...

– Nie wolno tam wchodzić – wtrącił karczmarz, który od dłuższego czasu przysłuchiwał się naszej rozmowie i teraz postanowił wtrącić swoje trzy grosze. On także wyglądał jak postać komediowa: wyrwidąb o nalanej twarzy, lepkiem uśmiezku i byстрыm spojrzeniu. Z łatwością mógłby przerwać każdą burdę i wyrzucić awanturujących się na ulicę, jeśli zaszłaby taka potrzeba.

– Kto tego zabrania? – zapytał astrolog.

– Nikt. – Mocarz wzruszył ramionami. – Opuszczona świątynia to własność niczyja i wszystkich zarazem. Dobro wspólne, jak to mówią. Ale nikt się tam jednak nie zapuszcza ze względu na nią.

– To znaczy na kogo? – zastrzygłem uszami.

Karczmarzowi zabrakło greckich słów, wyłuszczył więc sprawę astrologowi w języku Partów.

– Gospodarz mówi, że świątynka jest... nawiedzona! – Twarz wróźbity zrobiła się kredowobiała.

– Nawiedzona? – powtórzyłem.

– Zapomniałem, jak to jest po grecku, ale łacińskie określenie to lemur, prawda?

– Tak – wyszeptałem. – Widmo zmarłego, pozostające na tym świecie. Niegdyś istota z krwi i kości, teraz ani martwa, ani żywa. Nie mogąc przekroczyć Styksu i dostać się do krainy umarłych, lemury kołaczą się po ziemi, zazwyczaj nocą, choć zdarza się je zobaczyć i za dnia. -On mówi, że taki właśnie lemur zamieszkał w świątyni – ciągnął Muszezib. – Kobieta o potwornym obliczu, odziana w zbutwiałe gałgany. Ludzie boją się tam chodzić.

– Jest niebezpieczna? – spytałem.

Muszezib wymienił parę słów z karczmarzem, po czym jeszcze bledszy odrzekł:

– Więcej: jest śmiertelnie niebezpieczna. Kilka dni temu zaginął pewien człowiek, na drugi dzień rano znaleziono go na stopniach świątyni z przetrąconym karkiem. Teraz rygluje się bramę, choć nigdy wcześniej tego nie robiono.

A więc to przed tym ostrzegał mnie Dariusz. Bał się nawet wymówić imienia ducha.

– Ale za dnia... – zaczął Antypater.

– Nigdy, przenigdy! – wykrzyknęła karczmarzowa, która nagle zjawiała się przy nas. Posturą prawie dorównywała mężowi, lecz minę miała wiecznie kwaśną. Kolejna groteskowa postać, pomyślałem: żona sekutnica. Mówiła po grecku lepiej od męża, a silny egipski akcent wyjaśniał obecność Aleksandryjskich przysmaków w monotonnej babilońskiej kuchni. Trzymajcie się z dala od świątyni! – lamentowała. – Nie idźcie tam! Jak pójdziecie, wszelki ślad po was zaginie!

Mąż wyglądał na zawstydzonego tym niewczesnym wybuchem swej połowicy. Zaśmiał się nerwowo, uniósł dłonie w bezradnym geście i odciągnął żonę na bok. Tłumaczył jej coś szeptem, żywo gestykulując. Próby uspokojenia kobiety spełzły jednak na niczym; wzruszyła gwałtownie ramionami i odmaszerowała.

– Ciężko jest żyć z lemurem za miedzą – rzekł Antypater pod nosem. – Obroty spadają. Myślisz, że to tłumaczy pustki w tym zajeździe? Dziwię się, że gospodarz w ogóle podjął ten temat. Tak czy inaczej, zjadłem już śniadanie, a teraz wracam do łóżka i nie opuszczę go przez resztę dnia. Uszy do góry, Gordianusie! Ruszaj sam w miasto, nie oglądaj się na mnie.

Zadrzałem na myśl o zapuszczeniu się w egzotyczną metropolię na własną rękę, jednak – co za ulga! – gdy tylko wynurzyłem się z tawerny, zaczepił mnie Dariusz. -Gdzie twój dziadek? – zapytał.

– To nie mój dziadek! – Zaśmiałem się. – Po prostu podróżujemy razem. Nie ma dziś siły na zwiedzanie.

– Więc ja pokazać ci miasto, tak? Tylko ja i ty.

– Ale nie mam przy sobie zbyt wiele pieniędzy, Dariuszu – zmartwiłem się.

– Co to jest pieniądz? Przychodzi, odchodzi. Ale jak pokażę ci zigurat, zapamiętasz na całe życie.

– Właściwie to zaciekała mnie ta świątynia Isztar, tu niedaleko.

– Nie, nie, nie! Tam nie iść! – Dariusz aż poszarzał na twarzy.

– Ale możemy chociaż przejść tamtędy, prawda? To przecież po drodze?

– Nie miałem zamiaru łatwo zrezygnować.

Po sąsiedzku z naszym zajazdem stała zabita dechami ruina, najprawdopodobniej niegdyś konkurencyjny lokal. Wyglądała, jakby też była nawiedzona. Tuż za nią wyrastał ceglany mur z drewnianą furtką. Nie był zbyt wysoki; wspiąwszy się na palcach, mogłem zobaczyć, co się za nim kryje. Dostrzegłem kikuty krokwi zapadniętego dachu świątynki. Furta okazała się zamknięta. Przejechałem palcami po murze; w wielu miejscach zaprawa skruszała i wypadła. Na pewno znalazłbym dobre oparcie dla stóp... Cofnąłem się i zacząłem szukać wzrokiem dogodnego miejsca do wspinaczki.

Przewodnik domyślił się, co mi chodzi po głowie, i ścisnął mnie gwałtownie za ramię.

– Nie, nie, nie! Młody Rzymianin zwariować?

– Daj spokój, Dariuszu. Słońce świeci, w taki piękny dzień żaden lemur nie śmie wychylić nosa ze swego plugawego barłogu. W mig tam przeskoczę i się rozejrzę. Możesz tu na mnie poczekać.

Mój przewodnik jednak zaczął tak donośnie biadolić w swoim narzeczu, że dałem spokój i ruszyliśmy dalej. Zwiedziliśmy tak zwaną dzielnicę

królewską. Nabuchodonozor i jego medyjska królowa pobudowali tu sobie olśniewające pałace, które tak niegdyś zachwyciły macedońskiego najeźdźcę, a dziś sponiewierane, odarte z wszelkich zdobień zostały podzielone na prywatne mieszkania i czynszowe kamienice. -Powiadają, że w tamtej sali umarł Aleksander.

Dariusz wskazał na otwarte okno, z którego dobiegały odgłosy małżeńskiej sprzeczki i płacz dziecka. Z balkonu smętnie zwisało pranie. Wszędzie walały się śmieci, a w powietrzu unosił się zapach duszonych ryb, tanich przypraw i brudnych pieluch.

Wokół zyguratu prawdopodobnie rozpościerał się niegdyś otwarty plac, ale dawno temu zniknął pod labiryntem glinianych ruder, między którymi straciliśmy z oczu monumentalną budowlę. Tym większe wrażenie wywarła więc na mnie, gdy znienacka wyrosła przed nami za kolejnym rogiem. Poprzedniego wieczoru, gdy podziwiałem ją z dala o zachodzie słońca, wydawała się bardziej tajemnicza; teraz, przy bliższym poznaniu, prezentowała się nie lepiej od wiszących ogrodów. Zwiedzający – a było ich tego dnia niemało – potykali się na nierównej powierzchni tarasów. Całe odcinki tarasowych ramp wyginały się pod dziwnym kątem, jakby miały zaraz runąć.

Dariusz nalegał, byśmy się wspięli na samą górę, musieliśmy więc obchodzić dookoła każdy taras, wspinać się stromymi schodami na następny i tak kilka razy. Mój towarzysz zatrzymywał się co jakiś czas i dotykał cegieł w ścianie; sądziłem, że to z sentymentu dla mizernych resztek oryginalnych reliefów i glazury, zauważyłem jednak, że szarpie i ciągnie za wystające elementy, jakby chciał je wyrwać. Widząc moją minę, zaśmiał się i wyjaśnił:

– Szukam pamiątek, Rzymianinie. Wszyscy to robią. Wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, już dawno zabrano, czasem jednak można

znaleźć obluzowany fragment. Czemu więc go nie zabrać? To normalne. Dlaczego tak patrzysz?

Wyobraziłem sobie rzymskie świątynie wystawione na tak bezbożne traktowanie. Antypater twierdził, że tutejszych bogów utożsamia się z greckimi i naszymi, noszą tylko inne imiona: Marduk to Jowisz, Isztar to Wenus i tak dalej. Przywłaszczając sobie kawałki budowli poświęconej Jowiszowi byłoby karygodnym świętokradztwem, nawet jeśli to już tylko rozsypująca się ruina. Zmilczałem jednak – byłem tylko gościem w tym obcym, niezrozumiałym kraju. W miarę jak zbliżaliśmy się do szczytu, robiło się coraz ciasniej, ponieważ każdy kolejny taras był mniejszy od poprzedniego. Wszędzie tłoczyli się ludzie w cudacznych strojach, rozmawiający chyba we wszystkich językach świata. Rozpoznałem grupę podróżnych z Indii w charakterystycznych szatach, inna zaś, składająca się z osobników o szafranowej cerze i oczach w kształcie migdałów, musiała tu przybyć aż z Seriki, krainy jedwabiu. Roilo się tu też od astrologów, część ubrana była podobnie jak Muszezib, inni jeszcze dziwniej. Można było odnieść wrażenie, że toczy się między nimi rywalizacja na najwyższy kapelusz, najwymyślniej zdobioną szatę i najdziwniej utrefioną brodę.

Przeciskałem się przez szósty, przedostatni już taras, gdy nagle ktoś zawołał mnie po imieniu; był to nasz nowy znajomy, Muszezib.

– Znów się spotykamy! – rzekł na powitanie.

– Zdaje się, że wszyscy cudzoziemcy w Babilonie zmówili się tu na dzisiaj – odparłem i zatoczyłem się, popchnięty przez kilku mężczyzn w egipskich nakryciach głowy. – Czy to kolejka?

By dostać się na szczyt zyguratu, trzeba było swoje odczekać. Dopiero gdy jedna grupa zakończyła zwiedzanie, wpuszczano kolejną. Ogonek ciągnął się daleko i znikał za rogiem.

– Wejdziemy na górę? – Muszezib uśmiechnął się tajemniczo.

– Nie wiem, czy chce mi się godzinami czekać w tym tłumie. Poza tym to chyba nie na moją kieszeń – stwierdziłem, widząc, że strażnicy pobierają od każdego opłatę za wstęp.

– O to się nie martw. – Medyczyk niedbałym ruchem dłoni odprawił Dariusza i ujął mnie za ramię.

Minęliśmy całą kolejkę i nie zatrzymaliśmy się nawet przed wartownikami, którzy z szacunkiem schylili głowy i zrobili nam przejście.

– Jak sobie zasłużyłeś na taki przywilej? – spytałem.

– Nałożywszy ten strój. Astrologowie nie tłoczą się w kolejkach jak zwykli turyści, żeby wdrapać się na szczyt Etemenanki.

Na siódmym poziomie bez ustanku hulał suchy i ciepły wiatr, a słońce w zenicie prażyło bezlitośnie; próżno było szukać najmniejszej plamy cienia. Zdawało się, że można stąd objąć wzrokiem całą krainę; pode mną rozciągał się Babilon, a z północy na południe wił się serpentynami Eufrat. Daleko na wschodzie dostrzegłem meandry Tygrysu i połyskliwe plamy miast na jego brzegu. Dalej jeszcze majaczyły na widnokręgu ośnieżone górskie szczyty.

Muszezib wpatrywał się w dal niewidzącym wzrokiem.

– Powiadają – zaczął rozmarzonym głosem – że gdy Aleksander zajął Babilon i ujrzał Etemenanki w opłakanym stanie, wezwał przed swe oblicze astrologów i nie szczędząc złota, powierzył im przywrócenie go do dawnej chwały. Macie czas, dopóki nie wrócę po podboju Indii, zapowiedział i odjechał. Gdy wrócił kilka lat później i zobaczył, że nic nie zostało zrobione, kazał się stawić tym, którym powierzył zadanie, i zapytał: Dlaczego widzę Etemenanki nadal w ruinie? Astrologowie na to: A ty dlaczegoś jeszcze nie podbił Indii? Gniew Aleksandra był straszny: rozkazał zrównać z igurą z ziemią, by na jego miejscu wznieść nowy. Wkrótce jednak zachorował i umarł, a budowla pozostała nienaruszona

niczym góra erodująca na wietrze. – Przerwał na chwilę, a potem wskazał pusty środek tarasu.

– Za Nabuchodonozora stała tu mała świątynia. Nie było w niej żadnych rzeźb ani ozdób, jedynie wielkie łoże ze złota z jedwabnymi poduszkami i narzutami, na jakim może spoczywać tylko król bogów. Każdej nocy wybrana przez kapłanów młoda dziewczina z dobrego domu wchodziła tam i czekała, aż Marduk zejdzie do niej z niebios i spędzi z nią noc. Następnego ranka kapłani ją badali; jeśli znajdowali błonę dziewiczą przerwana, znaczyło to, że bóg ją zaakceptował.

– A jeśli była nietknięta? – spytałem.

– Wówczas uznawano, że Marduk nią wzgardził, ku wiecznej hańbie jej i całej rodziny. – Muszezib uśmiechnął się. – Unosisz brwi w zdziwieniu, Gordianusie, ale czyż twój Jowisz nie szuka przyjemności u śmiertelniczek?

– Owszem, ale we wszystkich znanych mi opowieściach zawsze sam wybiera kobiety i zadaje sobie choć trochę trudu, żeby się do nich pozalecać przed zbliżeniem. Nie czeka na dostawę od kapłanów i nie konsumuje wszystkiego, co mu podsuwają. Świątynie Jowisza służą modlitwie, nie rozpuście.

– Wy, ludzie zachodu, zawsze mieliście inne podejście do tych spraw. – Muszezib pokręcił głową. – Niestety, greckie obyczaje zatriumfowały i w Babilonie dzięki Aleksandrowi i jego następcom. Nie kultywuje się już starych zwyczajów. Młode dziewczice nie wspinają się już na zigurat, by obcować z Mardukiem, a starsze kobiety nie chadzają do świątyni Isztar, by oddać się pierwszemu mężczyźnie, który zechce im za to zapłacić. – Roześmiał się, widząc moją reakcję. – Musisz nauczyć się panować nad wyrazem twarzy, młody człowieku. Jak łatwo was, Rzymian, zaszokować! Jeszcze łatwiej niż Greków.

– O jakich starych zwyczajach mówisz?

– W czasach Nabuchodonozora każda kobieta musiała przynajmniej raz w życiu przywdziać specjalną szatę, głowę ozdobić wiankiem i udać się nocą do świątyni Isztar. Tam siadała na ceremonialnym krześle w świętej izbie i czekała dopóty, dopóki jakiś obcy nie rzuci jej srebrnika na łono. Musiała wtedy wprowadzić go do świątyni i kochać się z nim. Nie mogła odtrącić nikogo, byle tylko miał wymaganą monetę. Robiły to wszystkie: bogate i biedne, urodziwe i szpetne, na chwałę Isztar.

– I ku zadowoleniu mężczyzn ze srebrnikami – mruknąłem. – Młode i piękne dziewczyny bez wątpienia nie musiały długo czekać na swoją kolej, co jednak, jeśli trafiła się kobieta tak brzydka, że nikt jej nie chciał?

– Zdarzały się takie przypadki – przytaknął astrolog. – Znane są opowieści o kobietach czekających w świętej strefie miesiącami, a nawet latami. Była to hańba dla nich i dla ich bliskich, zdarzało się więc, że rodzina opłacała jakiegoś człowieka, by dał nieszczęsnej dopełnić obowiązku wobec bogini, a w ostateczności robił to któryś z krewnych. – Masz rację, Muszezibie. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem. – My, Rzymianie, zupełnie inaczej podchodzimy do tych spraw.

– Nie oceniaj obcych tradycji tak pochopnie, młody przyjacielu. Gdy Aleksander Wielki zajął miasto, swawolne... według was... obyczaje Babilończyków były dla nich wybawieniem. Zdobywcy zrównaliby miasto z ziemią, gdyby tutejsze kobiety się im nie oddały tak ochoczo. Wierz mi, to nie tylko załagodziło sytuację, ale skłoniło Macedończyków do uznania Babilonu za najwspanialsze miasto na świecie.

Westchnąłem. Ze wszystkich odwiedzonych u boku Antypatra miejsc ta kraina i jej mieszkańcy byli mi najbardziej obcy. Tam, na szczycie „fundamentu nieba i ziemi”, dotarło do mnie, jak wielki i różnorodny jest świat.

Muszezib dostrzegł w tłumie znajomych astrologów i zostawił mnie samego. Zamarudziłem na górze jeszcze chwilę, po czym wróciłem na niższy poziom, gdzie czekał na mnie Dariusz.

Gdy schodziliśmy na dół, streściłem mu rozmowę z Medycykiem i wypytałem o starożytny zwyczaj prostytuowania się kobiet w świątyniach Isztar.

– Astrolog to on może i jest, ale nie o wszystkim ma pojęcie – odparł.

– To znaczy?

– Powiedział ci, że prędzej czy później każda kobieta znajdowała amatora i mogła dopełnić rytuału. A to guzik prawda.

– Na pewno nikogo wiecznie nie przetrzymywano w świątyni – zauważyłem.

– Niektóre nieszczęsnice nie miały bliskich. Siedziały tam dzień za dniem, rok za rokiem bez szans na uwolnienie, aż stawały się bezzębnymi staruchami, z którymi za żadne skarby nikt by nie poszedł do łóżka.

– Co się z nimi dalej działo?

– A jak myślisz? – Dariusz wzruszył ramionami. – Siedziały w świątyni do śmierci, przeklęte przez Isztar za sprawiony jej zawód.

– Co za potworna historia! – zakrzyknąłem. Nagle wszystko, co usłyszałem i zobaczyłem tego dnia, połączyło się w spójną całość. Naszło mnie pewne przeczucie. – Ta opuszczona świątynia przy gospodzie i nawiedzający ją lemur... Czy myślisz, że...?

– Teraz rozumiesz! – Dariusz ponuro pokiwał głową. – Wyobraź sobie, jak musi czuć się duch uwięziony w miejscu, gdzie za życia doznał tyle wstydu i cierpienia. Masz jeszcze wątpliwości, że to ona zamordowała tego pechowca znalezionego tu przed kilkoma dniami?Czekaj... Jeśli dobrze rozumiem, to...

– Nie, dosyć już! Mówienie o tym może tylko przynieść nieszczęście. Pomówmy o czymś innym. I wykluczone, byśmy w drodze powrotnej znowu minęli to przekłete miejsce!

Moja ciekawość była teraz pobudzona jak nigdy, co nie umknęło uwagi Dariusza.

– Nie próbuj tam iść, Rzymianinie! – prawie wykrzyczał mi w twarz. – Jeśli wiedźma zobaczy takiego pełnego wigoru młodzieniaszka, któremu dopiero kiełkuje zarost, wpadnie w szal i niechybnie cię zgładzi!

Przewodnik tak się rozemocjonował, że wolałem szybko zmienić temat. Przez resztę dnia przemierzaliśmy ulice Babilonu. Coraz bardziej przygnębiał mnie widok świetnych niegdyś budynków, teraz podupadłych, walących się lub też całkowicie startych z powierzchni ziemi. Wśród tubylców również widziałem niemało ludzkich wraków, okaleczonych, chromych lub schorowanych. Najwyraźniej nieszczęśnicy ci ściągali tu skuszeni ofertą organizacji dobroczynnych utrzymywanych przez kolegia astrologów i filozofów – najważniejsze obok turystyki źródło dochodów miasta.

Po zmierzchu skierowaliśmy się w stronę zajazdu. Dariusz prowadził inną drogą niż rano – za wszelką cenę starał się ominąć feralny przybytek Isztar. Chciałem podziękować mu za całodzienne oprowadzanie, zaproponowałem więc wspólną wieczerzę. Ku memu zaskoczeniu odmówił i pospiesznie się oddalił, obiecując zjawić się rankiem, kiedy Antypater będzie wypoczęty i gotów na zwiedzanie. Biedak bał się widocznie nawet przebywać blisko nawiedzonego miejsca po zachodzie słońca.

Gdy tylko zniknął za rogiem, odwróciłem się na pięcie od drzwi i minąwszy opuszczony dom, znalazłem się przy ceglany murze chroniącym tajemnicze miejsce. Była to jedna z tych bezbarwnych, białych

chwil, kiedy zewsząd wylewają się długie cienie i połykają ostatnie plamy niknącego światła.

W półmroku trudno było mi zbadać ścianę. Nie udało mi się wspiąć za pierwszym razem i dopiero przy drugiej próbie znalazłem dogodne podpory dla stóp. Oparłem łokcie na szczycie muru i tak przewieszony lustrowałem zakazane miejsce. Świątynia praktycznie leżała w gruzach. Niewiele pozostało z zawalonego dachu i ścian. Rzeźby i ozdobne dachówki najwyraźniej skradziono już dawno temu. Opuszczona karczma z jednej strony i miejski mur z drugiej zamykały dziedziniec wokół ruiny. Była to domena cienia; ledwie dostrzegałem zarysy rachitycznych drzew i stert gruzu. Gdy jednak moje oczy przywykły nieco do gęstniejącego mroku, w całym tym galimatiasie zauważyłem szereg wysokich do pasa przedmiotów przypominających podstawy kolumn. Po dłuższym przyglądaniu się stwierdziłem, że to kamienne siedziska z niskim oparciem. Ich ciężar najwyraźniej zniechęcił potencjalnych rabusiów.

Na jednym z foteli ujrzałem tonącą w cieniu, niewyraźną sylwetkę. Trudno było powiedzieć, czy siedzi tyłem, czy też przodem do mnie, dopóki nie wstała i powoli ruszyła w moją stronę.

Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Świszczące, dudnienie krwi w głowie przesłoniło mi wszystkie dźwięki. Bezszelestny chód lemura dodatkowo wytrącał mnie z równowagi. Otworzyłem usta, lecz przez dłuższą chwilę nie mogłem wykrztusić ani sylaby. Dopiero po chwili usłyszałem swój piskliwy głos.

– Mówić grecki?

W końcu postać wydała z siebie dźwięk – koszmarny rechot, paskudniejszy niż odgłos pękających kości. Krew zmroziła mi się w żyłach. Stwór uniósł szponiaste dłonie i powoli ściągnął zakrywający dotąd jego oblicze gnijący woal.

Czy to coś było kiedyś kobietą? Trudno było na tę szkaradę patrzeć. Z głowy spływały kudły przypominające robaki, ciemne ślepie błyszcząły jak kawałki obsydianu, a połamane kły wystawały z rozdziawionej paszczy na wszystkie strony. Błede, gnijące ciało pokrywały niezliczone brodawki. Lemur wciąż się do mnie zbliżał, roztaczając plugawą woń rozkładu. Grobowy rechot przeszedł nagle w ogłuszający wrzask.

Zsunąłem się z muru, byle szybciej znaleźć się jak najdalej stąd. W pośpiechu straciłem jednak oparcie i upadłem na bruk.

Gdy doszedłem do zmysłów, siedziałem bezpieczny we wspólnej sali naszej karczmy.

– Gordianusie, co ci jest? – pytał zaniepokojony Antypater, pochylając się nade mną. Co się stało? Napadli cię rabusie?

– Nie, przewróciłem się.

– Na środku ulicy? Tam właśnie znalazł cię Muszezib. Dzięki bogom akurat tędy przechodził, inaczej pewnie wciąż byś tam leżał, na łasce i niełasce okolicznych rzezimieszków.

Powiodłem opuchniętymi oczami po izbie. Obok mojego mistrza stał astrolog, a trochę dalej kilkoro zaciekawionych gości. Pośród nich, wyższy o głowę, przypatrywał mi się karczmarz. Marszczył brwi niezadowolony; rozmowa o bandytyzmie z pewnością nie wpłynie dobrze na interes.

– Nikt mnie nie pobił, Antypatrze. Po prostu... upadłem. – Byłem zbyt wstrząśnięty, by przyznać się do potajemnej wspinaczki na świątynny mur.

– Chłopak musi cierpieć na kaduka – rzucił któryś z gapiów. – To częste u Rzymian.

Pozostałym przypadło do gustu to wytłumaczenie. Stracili zainteresowanie i wrócili do swoich spraw.

Antypater zmarszczył czoło.

– Co się naprawdę wydarzyło, Gordianusie?

Muszezib przypatrywał mi się bacznie, również oczekując odpowiedzi. Postanowiłem więc wyjawić im prawdę.

– Byłem ciekawy tej świątyni Isztar, więc wspiałem się na mur...

– Wiedziałem! – wykrzyknął mój mentor i łypnął na mnie groźnie. – I co zobaczyłeś?

– Ruiny. Tylko to pozostało. I...

– Mów – ponaglił mnie Antypater.

Obaj z astrologiem niecierpliwie nachylili się jeszcze bliżej.

– Widziałem lemura – wyszeptalem. – Na świątynnym dziedzińcu. Podszedł do mnie...

– Gordianusie, z pewnością nie spotkałeś lemura. – W głosie Medycyka pobrzmiwała lekka drwina. – Skąd możesz wiedzieć, co ujrzałem? – obruszyłem się.

– To proste... młody chłopak o bujnej wyobraźni, sam w ciemnym i obcym mieście trafia na dziedziniec świątyni, o której nasłuchał się, że jest nawiedzona. To zrozumiałe, że dopowiedziałeś sobie spotkanie z duchem.

– Wiem, co widziałem – odparłem zirytowany. Głowa zaczynała mi pulsować tępy bólem. – Nie wierzysz w istnienie lemurów?

– Nie. To gwiazdy rządzą poczynaniami ludzi... wykluczają one, by umarły pozostał wśród żywych. To naukowo nie do przyjęcia.

– Oho, i tu właśnie chaldejskie gapienie się w gwiazdy wchodzi w konflikt z religią Greków, nie mówiąc już o zdrowym rozsądku – rzekł Antypater, zawsze gotów do sporów filozoficznych, nawet gdy jego podopieczny dopiero co doszedł do siebie po groźnym upadku. – Ciała niebieskie władają żywymi, bogowie zaś umarłymi...

– Jeśli się w nich, rzecz jasna, wierzy – nie ustępował Medycyk.

– Wy, astrologowie, za to modlicie się do gwiazd! – wybuchnął poeta.

– Nie modlimy się do nich, lecz je badamy – spokojnie tłumaczył Muszezib. – W przeciwieństwie do waszych tak zwanych bogów, niebiańskie konstelacje nie zabiegają o modły śmiertelników. Nie obserwują nas ani się nami nie interesują, są bezosobową siłą, wywierającą wpływ na losy Ziemi. Ciała niebieskie kierują porami roku, przyptywami i odpływami, a także kolejami ludzkości i pojedynczych osób. Bogowie, jeśli istnieją, mogą być potężniejsi od śmiertelników, lecz tak samo podlegają kaprysom gwiazd ustawionych w koniunkcji...

– Co za brednie! I to nazywacie nauką?

Muszezib wziął głęboki oddech.

– Nie rozmawiajmy już o sprawach, co do których tak się różnimy w poglądach. Trzeba zająć się twym przyjacielem. Gordianusie, czujesz się już lepiej?

– Czułbym się z pewnością, gdybyście się cały czas nie sprzeciali.

– Dla twojego dobrego samopoczucia nie będziemy już poruszali tego tematu – uśmiechnął się astrolog. Zerknął na karczmarza zajętego usługiwaniem gościom i dodał ciszej: – Cokolwiek ci się przydarzyło, dobrze, że uspokoiłeś pozostałych, nie mówiąc nic o zbójcach. Rozmowy o przestępczości i zjawach są nie w smak naszemu zacnemu gospodarzowi, odstraszą klientów. Powiedział mi niedawno, że szykuje się do kupienia sąsiedniej parceli. Ma nadzieję, że za rok interes się dostatecznie rozkręci, by zapłacić oba budynki.

Antypater powiódł wzrokiem po garstce gości siedzących w izbie.

– Przecież on tu chyba ledwo wiąże koniec z końcem – stwierdził sceptycznie. – Zajazd świeci pustkami, a on chce mieć dwa razy większy?

– Widocznie jest optymistą. – Medycyzk wzruszył ramionami. – Trzeba się chyba takim urodzić, żeby mieszkać w Babilonie.

Tej nocy fatalnie spałem, nękany przez złe sny. Obudziłem się zlany zimnym potem. Zdawało mi się, że słyszę w oddali krzyk – nie wrzask lemura, lecz głos człowieka. Uznałem, że to część mego koszmaru, i przymknąłem powieki. Tym razem zasnąłem mocno i ocknąłem się dopiero o świcie.

Kiedy zeszedliśmy z Antypatrem do wspólnej izby, zastaliśmy w niej tylko Dariusza, który na nasz widok zerwał się na równe nogi.

– Chodźcie zobaczyć, chodźcie zobaczyć! – wykrzyknął podekscytowany.

– Co się dzieje? – spytał Antypater.

– Musicie zobaczyć sami. W świątyni Isztar stało się coś strasznego!

Ruszyliśmy za nim. Na ulicy zrobiło się już spore zbiegowisko. Ludzie po kolei zaglądali przez otwartą na oścież bramę, nikt jednak nie ośmielił się wejść na dziedziniec.

– Na co oni się tak gapią? – zastanawiał się Antypater. Utorował sobie drogę na sam przód tłumu, a ja przeciskałem się tuż za nim. Dariusz został na uboczu. – Na bogów! – wyrwało się poecie, gdy zajrzał na podwórze.

Odsunął się, bym też mógł zobaczyć źródło całego zamieszania. W świetle poranka dziedziniec nie wydawał się już taki straszny, choć wciąż sprawiał ponure wrażenie. Między popękkanymi płytami panoszyły się chwasty, a dalej straszyla pusta skorupa świątynnych ścian w odstręczającym, ceglastym kolorze. Teraz wyraźnie zobaczyłem – puste, rzecz jasna kamienne siedziska. Naraz spostrzegłem trupa leżącego na stopniach przybytku.

Twarz była niewidoczna, a szyja przekrzywiona pod nienaturalnym kątem. Miał na sobie znajomą szatę w żółte gwiazdy i zakręcone trzewiki. Podobny do miniaturowego ziguratu kapelusz upadł na sąsiedni stopień.

– Czy to Muszezib? – spytałem cicho.

– Może to inny astrolog – odparł Antypater i zwrócił się do tłumu: – Czy jest tu Muszezib? Czy ktoś go dziś widział?

Wśród zebranych przebiegł szmer; pokręcili głowami.

Musiałem się dowiedzieć. Pokonałem bramę i szybko przemierzyłem dziedziniec. Ścigały mnie nerwowe okrzyki gawiedzi, a wśród nich przerażony Dariusza:

– Nie, nie, nie! Stój, młody Rzymianinie! Wracaj!

Wszedłem na stopnie. Trup leżał twarzą do ziemi, z rękami przygniecionymi przez tułów. Schyliłem się i ujrzałem profil Muszeziba. Oczy miał szeroko otwarte, a zęby wyszczerzone w strasznym grymasie. Pozycja, w jakiej leżał, wskazywała wyraźnie, że skręcił kark. Odgoniłem muchy, które obsiadły mu wargi i rzęsy.

We wnętrzu spiczastego kapelusza coś błyszczało. Sięgnąłem tam i znalazłem ukrytą glazurowaną płytkę, nie większą od mojej dłoni. Jeśli nie liczyć przywartych resztek zaprawy, była niemal jak nowa, ciemnogrnatowa, prawie wpadająca w czerni. Muszezib musiał odłamać ją na pamiątkę ze ściany Etemenanki. Jak to powiedział Dariusz? „Wszyscy to robią”. Jak widać, nawet uczeni astrologowie nie mogą się powstrzymać. Medyczyk wstydził się pewnie swojego trofeum, skoro schował je pod kapeluszem.

Podniosłem wzrok i ujrzałem nad sobą glinianą płaskorzeźbę przedstawiającą boginię Isztar, która poprzedniej nocy uszła mojej uwagi. A więc tak sobie Babilończycy wyobrażają boginię miłości, miejscowy odpowiednik Wenus? Postać była naga, miała zmysłowe szerokie biodra i ogromne piersi, wzbudziła jednak we mnie raczej lęk niż pociąg. Uroku nie dodawała jej też dziwna stożkowa czapka, wielkie skrzydła i stopy o szponach jak u drapieżnego ptaka. Stała wczepiona pazurami w grzbiety

dwóch lwów, a po obu bokach widniały potężne sowy o niepokojącym wejrzeniu.

Naraz usłyszałem za plecami kobiety głos wypowiadający coś rozkazującym tonem w nieznanym mi języku. Odwróciłem się; na dziedziniec wkroczyła grupa osób w plisowanych płóciennych szatach i dziwacznych czapkach – zapewne byli to kapłani. Przewodziła im niemłoda już, lecz wciąż nieziemsko piękna kobieta; to ona musiała do mnie przemówić. Stałem jak wryty – była uderzająco podobna do wizerunku Isztar. Miała to samo nakrycie głowy, złotą pelerynę skrojoną tak, by przypominała złożone skrzydła, i wysokie buty udające ptasie szpony, co wymuszało osobliwy sposób chodzenia. W pierwszej chwili wydawało mi się, że tak jak bogini jest całkowicie naga, lecz wrażenie rozwiało się, gdy promienie słońca zaiskrzyły na cieniutkiej, prześwitującej sukni odsłaniającej uda; gdyby nie skrzyżowane na piersi ramiona, z pewnością widać byłoby jej biust. W jednej dłoni dzierżyła ozdobny ościę z kości słoniowej, w drugiej zaś krótki bicz.

Kapłanka, nie zatrzymując się, podeszła do schodów. Usuwając się jej z drogi, nieznacznie ukryłem glazurowaną płytkę w fałdach tuniki.

Długo przyglądała się denatowi, po czym zmierzyła mnie baczny spojrzeniem.

– Nie pochodzisz z Babilonu – odezwała się w nienaganej grece.

– Jestem Rzymianinem.

– To tłumaczy głupotę, która cię tu przywiodła. Miejscowi trzymają się z dala. Czy nie wiesz, że to miejsce nawiedza niespokojny duch?

– Właściwie... – zawahałem się. Obcemu wypadało trzymać buzię na kłódkę. Spojrzałem na Muszeziba; muchy znów obsiadły jego usta i oczy, które zawiesiły na mnie martwe spojrzenie. – Zeszłej nocy spotkałem tu zjawę.

– Widziałeś ją?-W Rzymie nazywamy takie istoty lemurami. Tak, zobaczyłem ją na dziedzińcu. Była okropna.

Dostrzegłem cień uznania w oczach kapłanki.

– I co, wtedy wzięłaś nogi za pas, młodzieńcze?

– Niezupełnie. Spadłem z muru na ziemię i uderzyłem się w głowę. Potem już jej nie widziałem.

– Czy coś ci o nim wiadomo? – Wskazała na zwłoki.

– Tak, to Muszezib z Ekbatany. Mieszkał w tym samym zajeździe co my.

– Czego tu szukał?

– Nie mam pojęcia.

– Czy to on wyłamał zamek w bramie? – indagowała dalej.

Skąd miałem wiedzieć? Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową. Kapłanka zwróciła się do kłębiącego się na ulicy tłumu.

– Odtąd nie jest to już święta ziemia. Mimo to słudzy Isztar zajmą się ciałem, dopóki nie znajdą się krewni tego człowieka. – Kiwnęła na kapłanów, którzy z pewnym ociąganiem zabrali ciało, i znów spojrzała na mnie. – Od dzieciństwa słyszałam opowieści o niespokojnym duchu nawiedzającym tę ruinę. Ta historia musi mieć setki lat. Jedni w nią wierzą, inni nie. Sama nigdy nie widziałam zjawy, a miejsce było spokojne, dopóki przed kilkoma dniami nie zginął tu pewien człowiek. Znalezione go w tym samym miejscu, również miał złamany kark. Dwa trupy w kilka dni! Co mogło tak rozjuszyć tego... jak go nazywacie... lemura? Muszę zwrócić się o radę do bogini. Trzeba znaleźć sposób, by go udobruchać, zanim dojdzie do kolejnej tragedii! – Spojrzała na wiszącą nad nami podobiznę Isztar i znów na mnie. – Dam ci radę, młodzieńcze. Korzystaj z pobytu w Babilonie, ale od tego przeklętego miejsca trzymaj się z daleka.

Odwróciła się i ruszyła za kapłanami niosącymi Muszeziba. Poszedłem i ja, wpatrując się w błyszczący w porannym słońcu skrzydlaty płaszcz.

Delikatna tkanina podkreślała zarys jej kształtnych pośladków. Gdy tylko wróciliśmy na ulicę, bramę zatrzaśnięto i rzemieślnicy zabrali się do naprawiania zamka. Kapłanka i jej świta zniknęli; szemrzący tłum powoli się rozpraszał. Antypater zapragnął zobaczyć Etemenanki. Dariusz, rad znaleźć się jak najdalej od nawiedzanej świątyni, skwapliwie zaproponował swe usługi; z braku innych zajęć i ja poszedłem z nimi. Poeta długo odpoczywał po wspięciu się na każdy poziom ziguratu, a bez znajomego astrologa skazani byliśmy na czekanie w kolejce na najwyższy taras. Tak nam minęła większość dnia.

Wędrując wzdłuż splekanych ścian, co jakiś czas zerkałem ukradkiem na płytkę Muszeziba. Ciekaw byłem, z jakiej części ziguratu ją oderwał. Mimo że spore połacie murów wciąż pokrywały szkliwione kafle, nigdzie nie widziałem podobnych do ciemnogramatowego okazu, który ścisnąłem w dłoni. Zaczęła mi kiełkować pewna myśl, a wokół niej krążyły kolejne, tak jak gwiazdy obiegają Ziemię. Pogratulowałem sobie trafnego porównania: w końcu dumałem nad losem zmarłego astrologa.

Przez resztę dnia włóczyliśmy się po mieście, ale niewiele z tego pamiętam. Antypater pytał nawet od czasu do czasu, czy dobrze się czuję po wczorajszym upadku. Uspokoilem go i wyjaśniłem, że po prostu zaprzętają mnie rozważania.

– Założę się, że roisz o tej kapłance Isztar! – roześmiał się Dariusz.

– Kto wie, może będę musiał się z nią jeszcze zobaczyć – odparłem w zamyśleniu.

– Proszę, proszę! – Brodacz rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie, po czym zaoferował, że wskaże mi jej rezydencję.

Skorzystałem z propozycji i starałem się dobrze zapamiętać drogę.

Do karczmy wróciliśmy dopiero po zmierzchu. Mimo ostrzeżeń kapłanki chciałem jeszcze zerknąć na świątynię, wolałem jednak nie robić tego nocą,

poza tym w ciemności mógłbym nie znaleźć, czego szukałem. Zbudziłem się skoro świt. Antypater wciąż jeszcze spał, gdy po cichu wyśliznąłem się z izby i przekradłem po schodach na dół. Minąłem otwarte drzwi kuchni; z ulgą zobaczyłem, że karczmarz i jego żona są już na nogach, zajęci warzeniem śniadania.

Bezszelestnie opuściłem zajazd i pobiegłem do świątyni. Brama znów była zamknięta, wspiąłem się jednak na mur w tym samym miejscu co poprzednio. Na szczycie zawahałem się, lecz tylko na chwilę, i zeskoczyłem na dziedziniec, o tej wczesnej porze pełen niesamowitych, długich cieni. Przeszedł mnie dreszcz grozy. Co rusz zdawało mi się, że kątem oka widzę ruch, i rozglądałem się bacznie na wszystkie strony. Szczególnie uważnie lustrowałem ścianę opuszczonej tawerny i pasmo ziemi wzdłuż miejskiego muru; wypatrywałem miejsca, gdzie niedawno kopano. Nie musiałem długo szukać.

Uklęknąłem pośród powyrywanych chwastów i zanurzyłem dłonie w ziemi.

Słońce stało już wysoko na nieboskłonie, kiedy znów przestąpiłem progi karczmy.

– Gordianusie! Gdzieś ty, na Hadesa, się podziewał? – wykrzyknął na powitanie Antypater. Siedział we wspólnej izbie sam z Dariuszem. – Tak się o ciebie martwiłem... – Urwał w pół słowa i szeroko otworzył oczy na widok oddziałku zbrojnych, którzy wkroczyli za mną do sali, a już do reszty zbaraniał, kiedy zza ich pleców wyłoniła się kapłanka Isztar.

Zaalarmowany nagłym zamieszaniem wpadł do izby karczmarz. Ujrzawszy żołnierzy, stanął jak wryty i zbladł.

– Co tu się dzieje? – pisnął.

Paru zbrojnych błyskawicznie chwyciło go za barczyste ramiona; pozostali wyciągnęli z kuchni jego wyrywającą się i klnącą po egipsku

małżonkę. Odetchnąłem z ulgą. Aż do tej chwili nie byłem pewien, czy zarzuty, jakie wobec nich postawiłem, były prawdziwe, lecz wyraz ich twarzy upewnił mnie co do słuszności moich podejrzeń.

Reszta zbrojnych rozeszła się po budynku w poszukiwaniu dowodów rzeczowych. Jeden z nich wynurzył się po chwili z mieszkania właścicieli z małym, lecz bogato zdobionym puzderkiem z drewna i otworzył wieczko, pokazując zawartość kapłance. Zajrzałem mu przez ramię; były tam rozmaite kosmetyki, maści i płyny, ale o niecodziennych barwach i konsystencji. Rozpoznałem w nich narzędzia kogoś, kto zawodowo się charakteryzuje, jak aktor czy mim.

Nawet ja wiedziałem, że najsłynniejsze zespoły aktorskie mimów pochodzą z Aleksandrii – tak jak nasza karczmarka. -Zostaw to, łajdaku! – wrzasnęła teraz, wyrwała się strażnikowi i rzuciła na mężczyznę z puzderkiem, który na jej widok zbladł i odskoczył przestraszony.

Też się cofnąłem odruchowo – z tą miną nawet bez upiornego makijażu przypominała bowiem lemura, którego widziałem tamtej nocy. Jej krzyk naprawdę potrafił zmrozić człowiekowi krew w żyłach.

Egipcjanka pochyliła głowę i niczym szarżujący tur zaatakowała kapłankę Isztar. Ta ani drgnęła; przygotowałem się już na brutalne zderzenie, lecz kobieta spokojnie uniosła ceremonialny oścień i cięła napastniczkę na odlew w twarz. Karczmarka z piskiem bólu padła na podłogę, przewracając z impetem parę stołów i krzesel.

Zbrojni natychmiast otoczyli ją i okiełznali, choć nie bez trudu. Jeden z przeszkukujących karczmę mężczyzn wszedł do izby, zwinnie ominął tę kotłowaną i pokazał coś kapłance na wysuniętej dłoni. Była to pięknie zachowana glazurowana płytką o ciemnognatowym szkliwie.

Antypater rozglądał się zdezorientowany po zdemolowanej izbie, ale po chwili stanął przede mną wsparty pod boki, z tym swoim nauczycielskim

spojrzeniem.

– Gordianusie! Chyba należą mi się wyjaśnienia.

Dużo później tego dnia, już w innej tawernie – nasz zajazd oczywiście zaprzestał działalności – Antypater, Dariusz i ja stuknęliśmy się kuflami babilońskiego piwa i wznieśliśmy toast za nieszczęsnego Muszeziba.

– Wytłumacz mi to raz jeszcze – poprosił nasz przewodnik.

Trudno mu było pojąć, że lemur, którego tak panicznie się bał, naprawdę nie był żadną nadprzyrodzoną zjawą.

Przepłukałem gardło łykiem piwa i zacząłem od nowa moją wersję wydarzeń.

– Karczmarz lub jego żona jakiś czas temu zainteresowali się terenami wokół zniszczonej świątyni. Znaleźli tam zakopane glazurowane cegły z muru Nabuchodonozora, na którego miejscu stoi teraz niższy, biegnący wzdłuż rzeki wał. Zorientowali się, że mają w rękach fortunę, lecz znajdowała się ona w obrębie świątyni, która stanowi wspólne dobro i nie jest na sprzedaż, wszelkie znaleziska stamtąd zaś na pewno należą się kapłanom Isztar. Karczmarz nie zamierzał jednak rezygnować ze skarbu, mimo iż nie miał doń żadnego prawa. Najprostszym na to sposobem było wykupić posesję sąsiadującą ze świątynią, skąd mogliby niezauważenie dostawać się na zakazany teren i spokojnie odkopywać cegłę po cegle. Negocjacje w sprawie kupna przeciągały się jednak, więc z obawy, że ktoś mógłby tymczasem odkryć skarb, dobrana para postanowiła wykorzystać starą legendę o nawiedzających to miejsce duchach. W lemura wcieliła się jego żona, która, jak już wiemy, w młodości należała do trupy mimów. Trzeba przyznać, że i bez przebrania może budzić strach, a odpowiedni makijaż i doświadczenie aktorskie czyniły z niej zjawę naprawdę przerażającą, o czym się przekonałem na własnej skórze. Nie na wszystkich jednak to działało tak samo, ponieważ kilka dni temu zapuścił się tam

pewien śmiałek, prawdopodobnie wiedziony zwykłą ciekawością. Musiał więc zginać.

– Czy to ona zabiła tego nieszczęśnika? – zapytał Antypater.

– Ma na to dość siły, widzieliśmy też, do czego jest zdolna, gdy wpadnie w szal, lecz to jej mąż przyznał się do morderstwa. Wiecie, jak krzepkie ma ramiona, mógłby nimi złamać kark jak wykałaczkę.

– A Muszezib? Co robił w środku nocy na dziedzińcu? – drążył Dariusz.

– Myślę, że gdy poszliśmy spać, naszły go te same podejrzenia, co mnie następnego dnia. Nie wierzył w lemury, zastanawiał się więc, kogo naprawdę tam spotkałem. Domyślił się widać, że ktoś się podszywa pod upiora, nie wiedział jednak po co. Chcąc to sprawdzić, Muszezib zakradł się tam w środku nocy i zaczął myszkować. Zdążył nawet wygrzebać z ziemi i ukryć w kapeluszu to. – Z kuglarskim ukłonem pokazałem im mój kafelek. – Gdybym zobaczył jego dłonie i drobinki ziemi między palcami, zorientowałbym się prędzej, lecz trup leżał na brzuchu z rękami pod spodem, a potem od razu zabrali go kapłani. – I tak miałeś oko tylko na kapłankę Isztar – wtrącił brodac.

– Tak czy siak... – odchrząknąłem -...karczmarz zdybał astrologa na gorącym uczynku i doszło do szarpaniny. Słyszałem krzyki Muszeziba, wziąłem je jednak za senne zwidy. Biedak skończył ze złamanym karkiem. Złoczyńca zostawił jego ciało na schodach świątyni ku przestrodze innym, podobnie jak poprzednią ofiarę. Na ten trop wpadłem dopiero wtedy, gdy się okazało, że płytką astronoma nie pasuje do żadnego fragmentu ziguratu. Znaczyło to, że musiał ją znaleźć gdzie indziej. Zaświtało mi w głowie, że mogło to być na świątynnym dziedzińcu, i resztę już sobie dopowiedziałem. Dziś rano znów się tam udałem i znalazłem zakopane cegły, a także ukryte przejście z opuszczonego budynku obok. Pospieszyłem więc do kapłanki Isztar i podzieliłem się z nią moimi podejrzeniami. Wezwała straż i ruszyła

ze mną do tawerny. Poza drogocennymi płytkami jej ludzie znaleźli tam również przejście z prywatnych pomieszczeń do opuszczonego budynku, skąd karczmarz i jego żona przedostawali się niepostrzeżenie na teren świątyni.

– Co się z nimi teraz stanie? – spytał Antypater.

– Kapłanka mówi, że będą musieli zapłacić życiem za popełnione zbrodnie.

– A te piękne cegły? – Dariuszowi zaświeciły się oczy na myśl o wielkim skarbie.

– Prawo do nich przejęli kapłani. Pewnie już je wykopują.

– Szkoda, że nie przypadły w udziale tobie – westchnął nasz przewodnik. – Bo to, wiecie, głupio mi o tym mówić, ale nie ujrzałem jeszcze ani jednej monety za wszystkie przysługi, jakie tak ochoczo wyświadczyłem moim nowym przyjaciółom.

– Nic się nie bój, Dariuszu, spotka cię hojna nagroda! – odparłem ze śmiechem i poklepałem pękatą sakiewkę przyjemnie obciążającą mi pas.

Po południu wezwano mnie przed oblicze kapłanki, która pochwaliła moją przenikliwość i nalegała, abym przyjął szczerą gratyfikację.

Brodacz spojrzał na obszerny mieszek i uniósł brwi. -Czy to jedyna nagroda, jaką otrzymałeś z jej rąk, młody Rzymianinie?

Antypater też spojrzał na mnie badawczo. Zrobiło mi się gorąco. Czyżbym się zarumienił?

– Prawdę powiedziawszy, nie tylko – przyznałem, ale o tym, co zaszło między piękną kapłanką a mną, mówić nikomu nie zamierzałem.

VIII

POWRÓT MUMII (Wielka Piramida w Egipcie)

Z Babilonu udaliśmy się drogą lądową do Egiptu, pokonując pasma wysokich gór i gorące piaszczyste pustynie. Wyobrażałem sobie ten region jako niezaludnione, dzikie bezdroża, ale ku memu zaskoczeniu wyglądało to zupełnie inaczej. Jak się dowiedziałem od Antypatra, wybrany przez nas szlak został wytyczony setki, jeśli nie tysiące lat temu przez kupców wożących towary między Egiptem a Persją; niektórzy zapuszczali się też znacznie dalej na wschód – do bajecznych Indii, a nawet tajemniczej Seriki. Po drodze napotykaliliśmy idące w obu kierunkach liczne karawany z ładunkiem kości słoniowej, kadzidła, przypraw, cennych kamieni, tkanin i innych dóbr. Podziwiałem też świetną organizację przydrożnych zajazdów. Na każdym postoju wynajmowaliśmy świeże wierzchowce – najczęściej konie lub muły, ale czasem byłem zmuszony dosiadać złośliwych bestii zwanych wielbłędami – a pod koniec dnia podróży zawsze znajdowaliśmy czekającą na wędrowców gościnną oberżę. W końcu dotarliśmy znów nad morze, do prastarego portu Gaza, i tym samym wróciliśmy do świata, gdzie ludzie mówią po grecku, a z rzadka da się też usłyszeć łacinę. Tam też po raz pierwszy doszły mnie alarmujące wieści o tym, co się dzieje w Rzymie.

Kiedy my bawiliśmy w Babilonie, w całej Italii widywano straszne, złowieszcze znaki i omeny. Góry zderzały się niczym walczący tytani, powodując wstrząsy niszczące drogi i budynki. Ziemia się rozstępowała, plując w niebo płomieniami. Domowe zwierzęta dziczały, psy

zachowywały się jak wilki, a zdarzało się, że nawet w owcach budziła się agresja i rzucały się na swych pasterzy. Po tylu złych wróżbach nikt nie był zaskoczony, kiedy w końcu wybuchła otwarta wojna między Rzymem a jego zbuntowanymi italskimi sojusznikami. Teraz już cały Półwysep Apeniński pogrążony był w ogniu i chaosie. Wszędzie mordowano rzymskich urzędników; w odwecie i dla stłumienia rewolty legiony oblegały i łupiły krnąbrne miasta, a całe regiony pustoszyły ogniem i mieczem.

Zaniepokojony i stęskniony za domem napisałem do ojca, prosząc o wiadomość, czy ma się dobrze, i żeby odpowiedział na adres zawodowego odbiorcy poczty w Aleksandrii, tam bowiem zamierzaliśmy się udać po wycieczce w górę Nilu do Wielkiej Piramidy.

Antypater nie wydawał się szczególnie zmartwiony złymi nowinami. Przeciwnie, gdy jakiś kupiec czy podróżny dzielił się z nami najświeższymi plotkami z Italii, miałem wrażenie, że mój nauczyciel z trudem skrywa uśmiech. Był w końcu Grekiem dumnym ze swego dziedzictwa, a podczas wspólnych wędrówek niejednokrotnie wychodziło na jaw, z jaką niechęcią odnosi się do Rzymu i naszej kultury. Ujrawszy na własne oczy tyle wspaniałych osiągnięć cywilizacji Hellenów, trochę lepiej zrozumiałem jego tęsknotę za złotą erą Grecji wolnej od rzymskiego panowania.

Z Gazy podążyliśmy piaszczystym i jałowym wybrzeżem aż do zielonego zagłębienia Egiptu zwanego Deltą, gdzie piaski pustyni ustępują nagle miejsca bujnej roślinności.

Zanim Nil wpadnie do morza, rozgałęzia się na liczne odnogi jak palce rozczapierzonej dłoni. Na mapie ten rozległy, wilgotny obszar kształtem przypomina odwróconą czwartą literę greckiego alfabetu: A, stąd jego popularna nazwa. W nadmorskim miasteczku Peluzjum weszliśmy na łódź, która zabrała nas w górę Nilu aż do miasta Memfis, położonego kilka mil

na południe od wierzchołka Delt. Stamtąd zamierzaliśmy urządzić wypad do słynnych piramid.

W skwarze i duchocie nasza zatłoczona łódka mijała malownicze wioski i wiekowe świątynie. Nozdrza wypełniał nam wszechobecny odór rzeczno-mułny. Widywałem śpiące na piaszczystych łąkach krokodyle, słyszałem pokrzykiwanie ibisów i ryki dziwnych potworów zwanych przez Greków hippospotamos – koźmi rzeczno-mułnymi. Czułem się bardzo oddalony od ojca i wojny w Italii.

Na długo przed założeniem Rzymu, ba! zanim nawet bohaterowie eposów Homera złupili Troję, cywilizacja Egiptu miała już za sobą bogatą historię. Niektóre z mijanych monumentów były niewyobrażalnie stare i tak też wyglądały. Na zwietrzałych płytach z granitu wyryto podobizny sztywno wyprostowanych bóstw o zwierzęcych głowach i dawnych królów (zwanych tu, jak się dowiedziałem, faraonami) w dziwacznych czapkach czy koronach i z insygniami władzy w dłoniach.

Gdy ja chłonałem egipską rzeczywistość zmysłami, Antypater czytał o niej z pochyloną głową. Jeszcze w Halikarnasie kazał sobie skopiować kilka ksiąg Dziejów Herodota z biblioteki Bitony, w tym ustępy poświęcone tej krainie i zamieszkującym ją ludom.

W pewnym momencie zauważyłem stojącego na nadbrzeżnej skarpie małego chłopca. Uśmiechnąłem się i pomachałem mu. Dzieciak odmachnął, zadarł długą koszulinę i ulżył sobie do rzeki. Strumień moczu błyszczał w słońcu, a chłopiec bawił się, celując nim to w tę, to w tamtą stronę. Chichotał przy tym i wyglądał na dumnego z siebie.

– Herodot pisze, że nikt jak dotąd nie widział źródła Nilu – odezwał się w końcu mój towarzysz znad zwoju papirusu. – Kto się zapyści jak najdalej w górę rzeki, dotrze do krainy rozległych mokradeł i nieprzebytych lasów zamieszkałych przez plemię czarowników. Jest to lud niezwykle niski

i czarny jak heban, a mówi językiem niezrozumiałym dla nikogo. Nikt nie zawędrował dalej, a w każdym razie nikt, kto by potem wrócił żywy i o tym opowiedział. Nie wiadomo też, dlaczego Nil, inaczej niż każda inna rzeka, wiosną opada, a wylewa dopiero na letnie przesilenie.

– Do przesilenia mamy jeszcze parę dni – odparłem. – To znaczy, że teraz rzeka ma najniższy poziom. Czy naprawdę podniesie się na tyle wysoko, by zalać obydwie brzegi?

Antypater podniósł wzrok, osłaniając dłonią twarz przed słońcem. -Przy odrobinie szczęścia ujrzemy to niespotykane zjawisko na własne oczy. Wody rozlewają się ponoć na setki mil w głąb lądu, nawadniając ogromny areał uprawny, dzięki czemu jest to najżyźniejszy region świata. Myślę, że lada dzień możemy się spodziewać wylewu. – Poeta znów wsadził nos w księgę i po chwili mówił dalej. – Herodot pisze tu też, że tak jak Nil niepodobny jest do żadnej innej rzeki, tak tutejszy lud ma osobliwe i niespotykane obyczaje. Kobiety chadzają na targowiska i parają się handlem, podczas gdy mężczyźni siedzą w domu i oddają się tkactwu. Nie ma kapłanek, są tylko kapłani, którzy zamiast zapuszczać brody i włosy, jak ich koledzy w innych krajach, golą głowy i całe ciała. Egipcjanie piszą od prawej do lewej, ciasto ugniatają stopami, a glinę dłońmi. Wymyślili też obrzezanie. Teraz uważaj: tutejsze kobiety oddają mocz na stojąco, a mężczyźni w tym celu kucają!

– Nie byłbym tego taki pewien. Gdybyś tylko oderwał się choć na chwilę od lektury, zauważyłbyś małego chłopca...

– Zapewniam cię, Gordianusie, że nie znajdziesz rzetelniejszego historyka od Herodota. Przemierzył Egipt wzdłuż i wszerz, widział wszystko i rozmawiał z wybitnymi znawcami tematu.

– Owszem, ale czy nie napisał swych Dzieł ponad trzy wieki temu? Jego informacje mogły się przez ten czas zestarzeć.

– Mój drogi, nie bez kozery uważa się go za największy autorytet we wszystkim, co dotyczy Egiptu. Jeszcze żaden autor nie dorównał mu wnikliwością i dbałością o szczegóły. Na czym to ja skończyłem? Ach, tak. Dalej czytamy, że Egipcjanie to najpobożniejszy lud pod słońcem. Ich religia liczy tysiące lat. Jako pierwsza na Ziemi rasa śmiertelników wzniesli też pierwsze miejsca kultu. To od nich Grecy dowiedzieli się o istnieniu bogów, choć dziś znamy ich pod innymi imionami. Ich Amon to nasz Zeus, Ozyrys to Dionizos, Hermesa utożsamia się z Anubisem i tak dalej.

– Czy Anubis to nie przypadkiem ten z głową szakala? – Zmarszczyłem brwi. – Hermesa zaś, czy też Merkurego, w greckich i rzymskich świątyniach przedstawia się jako nadobnego młodzieńca. Jak więc te dwa różne wyobrażenia mogą być jednym bóstwem? Widzisz, poruszyłeś problem od dawna zaprzatający najtęższe głowy. Jak mamy rozumieć to, że Egipcjanie czczą zwierzęta i nadają swym bóstwom zwierzęce cechy? Niektórzy uznają, że to tylko symbolika. Anubis nie ma więc naprawdę głowy szakala, tylko przedstawia się go w ten sposób, ponieważ jest, podobnie jak pies podwórzowy dla człowieka, lojalnym strażnikiem innych bóstw.

– Nie sądzę, by najpośledniejszemu nawet bożkowi podobało się porównywanie go do psa, choćby tylko symboliczne.

– Ach, bo ty myślisz jak Rzymianin, Gordianusie. Dla ciebie ważne są fakty i proste rozwiązania. Ja zaś myślę jak Grek: lubuję się w pięknie i paradoksach. Z Egipcjanami jest jeszcze inaczej, trudno nam ich zrozumieć, ich mentalność może nawet wydawać się nam dziwaczna. Być może dlatego, że większą wagę przywiązują do życia przyszłego niż doczesnego. Mają obsesję na punkcie śmierci. Ich wiara wymaga zawiłych rytuałów, aby dusza... czy też ka, jak ją nazywają... mogła bezpiecznie trafić do krainy umarłych. Przede wszystkim śmiertelne ciało musi pozostać

nienaruszone, dlatego też wielkim wysiłkiem i kosztem mumifikuje się zwłoki, by uchronić je przed rozkładem. Bogatsi Egipcjanie przechowują mumie swych bliskich w specjalnych komnatach, odwiedzają ich, zanoszą jedzenie, a nawet z nimi uczują jak z żywymi.

– Chyba nie mówisz poważnie!

– Wy, Rzymianie, pragniecie panowania nad światem, Egipcjan zaś o wiele bardziej interesuje kraina umarłych. Pamiętaj o tym, gdy zobaczysz najpotężniejszy wzniesiony ludzką ręką grobowiec, Wielką Piramidę.

Ach, piramida! Z niecierpliwością czekałem końca tej wyprawy. Widziałem już pozostałe sześć cudów świata i będę mógł sam ocenić, czy – jak słyszałem z wielu ust Wielka Piramida rzeczywiście jest najwspanialszym z nich wszystkich. Czy to możliwe, by przewyższała niebosiężne Mauzoleum, usunęła w cień przepych świątyni Artemidy, ośmieszyła ambicje upadłego Kolosa? Wszędzie chyba, nawet w najciemniejszym zakątku Galii czy Scytii, słyszano o tych architektonicznych dziwach Egiptu. Ja zaś już wkrótce miałem przyjrzeć im się z bliska. Rzeka stawała się coraz szersza, w miarę jak zbiegały się kolejne odnogi, i w końcu zlewała się w jeden wspaniały Nil. Nagle na prawym brzegu dostrzegłem majaczący w oddali zarys Wielkiej Piramidy. Stojący tuż obok mnie Antypater wstrzymał oddech – on także widział ją po raz pierwszy.

– Czy widzę podwójnie? – szepnąłem, wydawało mi się bowiem, że dostrzegam nie jedną, lecz dwie ogromne piramidy.

– Nie sądzę – odparł mój mistrz. – Herodot wspomina, że na zachodnim brzegu stoją aż trzy te ogromne grobowce. Jeden z nich rozmiarami zdecydowanie ustępuje pozostałym, lecz drugi niemalże dorównuje Wielkiej Piramidzie.

– Muszą być olbrzymie! – wykrzyknąłem.

Niektórzy z pasażerów również je podziwiali w osłupieniu, inni ledwie na nie zerknęli. Oswojeni z ich widokiem przewoźnicy w ogóle nie zwrócili na nie uwagi, tymczasem monumentalne budowle z każdą chwilą stawały się coraz bardziej okazałe.

W końcu zostawiliśmy piramidy za nami i pożeglowaliśmy do dawnej stolicy Egiptu Memfis.

Miasta helleńskie, choć obce, miały w sobie coś dla mnie bliskiego. Grecy wierzyli w końcu w te same bóstwa co Rzymianie i wznosili podobne budowle. Babilon był już bardziej egzotyczny, lecz dni jego chwały minęły dawno temu. Memfis jednak... Ach, to był już zupełnie inny świat.

Z początku nie dostrzegałem tam nic znajomego. Trudno mi było ogarnąć nagły zalew osobliwości – tutejszą modę (nie znajdowałem nazw dla tych dziwnych szat), kuchnię (mimo nęcących zapachów nie rozpoznałem ani jednej potrawy), rozbrzmiewającą na ulicach i placach muzykę (dla mych uszu bardziej hałaśliwa niż melodyjna), posągi bóstw o zwierzęcych głowach i kuriozalnych posturach, kolorowe znaki pisma obrazkowego na świątynnych murach (urzekające, lecz absolutnie nieczytelne). Można się za to było porozumieć po grecku – przynajmniej w pewnych kręgach, prosty lud mówił bowiem w dawnym języku, niepodobnym do żadnego innego.

Rozgościliśmy się w zajeździe niedaleko rzeki. Nasz pokój znajdował się na piętrze. Antypater narzekał z początku na strome schody, lecz gdy rozwarłem okiennice, oczarował nas widok na górującą nad miastem Wielką Piramidę. Przez chwilę podziwialiśmy ją w milczeniu.

- Zdumiewająca! – rzucił w końcu poeta.
- Pójdziemy ją od razu zobaczyć?

– Ależ skąd. Jest za gorąco, godzina zbyt późna, a ja potrzebuję wypoczynku.

– Wypoczynku? Przecież cały dzień nic nie robiłeś, tylko wylegiwałeś się na łodzi i czytałeś Herodota!

– Dobrze jest mieć dziewiętnaście lat, Gordianusie. Pewnego dnia jednak zrozumiesz, że starego człowieka potrafi czasem utrudzić samo oddychanie od świtu do zmierzchu. Zostaw uchylone okiennice, ale zaciągnij kotary. Pora na drzemkę.

Nie poszliśmy więc oglądać piramid zaraz po przyjeździe, ani na drugi dzień, ani nawet na trzeci. Antypater uparł się, byśmy najpierw zapoznali się z Memfis. Musiałem przyznać, że zasługuje ono na miano miasta cudów – tylu świątyń, wspaniałych bram, gigantycznych posągów i obelisków nigdzie dotąd nie widziałem, a wszystko to na olbrzymią skalę, daleko większe niż w innych metropoliach. Niesamowita architektura przydawała ulicom atmosfery tajemnicy i przedwieczności. Nietrudno było uwierzyć, że ludzie mieszkali tu od zarania dziejów.

Potomek Aleksandra Wielkiego, Ptolemeusz, przeniósł stolicę z Memfis do Aleksandrii. Mimo to miasto było dobrze utrzymane, gwarne i tętniące życiem. Widziałem ludzi o wszelkich kolorach włosów i skóry; nie miałem wcześniej pojęcia, że człowieczy ród może być tak zróżnicowany. Spodziewałem się, że w Egipcie dotrzemy do granic cywilizowanego świata, lecz to miejsce wyglądało raczej jak jego pępek. Budziło respekt tysiącami lat historii, a jednocześnie oszałamiało tętnem życiowej energii.

W palmowym gaju opodal świątyni Selene, która – jak mi powiedział Antypater – jest również Afrodytą, zjedliśmy posiłek złożony z egzotycznych owoców i ryb tilapia. Przypatrywaliśmy się drzemiącemu w luksusowej zagrodzie świętemu buhajowi Apisa; nie mogłem się nadziwić, że zwierzęciu okazuje się cześć należną bogom. Najwspanialsza

była jednak świątynia Serapisa, boga szczególnie czczonego przez dynastię Ptolemeuszów. Prowadził do niej szeroki bulwar strzeżony po obu stronach przez naturalnej wielkości rzeźby stworzeń o ludzkich głowach i ciałach lwów. Antypater nie omieszkał mnie pouczyć, że to sfinksy.

– Takie jak ten, który stróżował w Tebach i zadał Edypowi tę słynną zagadkę? upewniłem się.

– Możliwe. Stwór ów musiał jednak przybyć do Teb z Egiptu. W Grecji nigdy nie widywano sfinksów, a tu, nad Nilem, na każdym kroku można napotkać ich podobizny. Te posągi wyglądają, jakby czuwały tu od zawsze.

Arteria wystawiona była na silne zachodnie wiatry i wokół rzeźb usypały się spore piaskowe wydmy. Jeden ze sfinksów zakopany był aż po podbródek i piasek zakrywał dolną część jego nakrycia głowy zwanego nemes i spiczastą bródkę. Zatrzymałem się i przyjrzałem jego zagadkowemu obliczu. Przypomniała mi się owa zagadka, nad którą łamał sobie głowę Edyp: Co to za zwierzę, które z rana chodzi na czworakach, w południe na dwóch nogach, a wieczorem na trzech? Za złą odpowiedź czekała bohatera śmierć, on jednak podał prawidłowe rozwiązanie: To człowiek, w dzieciństwie bowiem raczkuje na czworakach, podrósłszy, staje na dwóch nogach, a u schyłku życia podpira się laską niczym trzecią.

Trudno było przejść ulicą, by co rusz nie zaczepiali nas tubylcy oferujący usługi przewodnika. Antypater wybrał w końcu jednego, który wydawał się mniej niegodziwy od pozostałych, i zlecił mu zorganizowanie przejażdżki do piramid. Kemsas, bo tak miał na imię, znośną greką wytłumaczył nam, że warto z tym poczekać do trzydniowego święta z okazji letniego przesilenia, które zatrzyma w mieście wszystkich miejscowych i turystów, a my dzięki temu unikniemy tłoku i obejrzymy piramidy w spokoju. Zalecił też, abyśmy dla ochrony przed pustynnym skwarem zaopatrzyli się w długie, białe szaty i płócienne nakrycia głowy,

podobne do tych noszonych przez sfinksy. W wyznaczonym dniu stosownie przyodziani wyruszyliśmy wreszcie na spotkanie z siódmym cudem świata.

Kemsa czekał już na nas z wielbłędami, co przyjąłem z rezygnacją. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać wielbłąda, który nie zapałałby do mnie niechęcią od pierwszego wejrzenia, i te nie były wyjątkiem od tej przykrej reguły. Mój od razu próbował mnie ugryźć, za co przewodnik dał mu zdrowo po nosie, i teraz zwierzak odwracał co jakiś czas łeb, posyłał mi demoniczne spojrzenie i starał się na mnie splunąć. Na szczęście była to jedyna manifestacja charakteru; poza tym słuchał komend pana, maszerował równo i w stałym tempie zbliżaliśmy się do celu.

Przejechaliśmy kilka mil lewym brzegiem Nilu, po czym odbiliśmy ostro na zachód i wspięliśmy się na piaszczysty płaskowyż. Przewodnik był nam właściwie niepotrzebny, ponieważ Wielka Piramida ani na moment nie znikwała nam z pola widzenia. W świetle poranka zdawała się bladoróżowa i płaska jak zwój papirusu, lecz gdy słońce wypłynęło wyżej na niebo, przeszła w lśniącą biel. Czasem zdawała się unosić nad ziemią, to znów drżała tak, jakby miała zaraz się rozsypać na naszych oczach. Kemsa wytłumaczył, że to tylko złudzenia optyczne spowodowane falowaniem powietrza nad rozpalonym piaskiem.

Królewski grobowiec wciąż rósł i rósł. Zerknąłem na Antypatra; był równie jak ja zdumiony. Słyszało się, że to największy obiekt kiedykolwiek wzniesiony przez człowieka, ale przekonać się o tym na własne oczy to naprawdę co innego. Nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie spodziewałem się, że piramida może być tak ogromna.

Płaskowyż przecinały wstęgi traktów, sporo tam też świątyń, ołtarzy i kapliczek, a mimo to jak okiem sięgnąć nie było żywej duszy – wszyscy zostali w Memfis na festynie. Z jednej strony cieszyłem się, że będziemy mieli piramidy tylko dla siebie, z drugiej jednak czułem się nieswojo

samotrzeć na tej pustej i przestronnej równinie. W piaszczystym bezkresie zatraciłem poczucie odległości.

Raz tylko Wielka Piramida zniknęła nam z oczu, zasłonięta przez rozległą wydmnę, która wydawała się nie na miejscu pośród okolicznych świątyń. Gdy tylko ją minęliśmy, budowla znów wyrosła przed nami, jeszcze większa i potężniejsza. Zajmowała już niemal całe pole widzenia, tak w poziomie, jak i z góry na dół, ponieważ jej wysokość dorównywała szerokości. Z daleka sprawiała wrażenie skalnego monolitu, teraz jednak dostrzegłem, że jest zbudowana z tysięcy dokładnie dopasowanych kamiennych bloków. Zdumiewała przy tym feerią barw: rzekłbyś, każdy kamień jest inny, od jasnego fioletu, przez lśniący błękit po morską zieleń i barwę bladożółtą. Niektóre głazy były nieprzejryste jak marmur, inne zaś przypominały morską falę prześwieconą słońcem, a z oddali wszystkie kolory zlewały się w opalizującą biel. Byłem poniekąd przygotowany na ogrom piramidy, nie spodziewałem się jednak, że może zachwycać także pięknem i precyzją wykonania. Nic nie traciła przy bliższym poznaniu.

Fundamenty budowli ginęły w pryzmach nawianego piasku. Nie zsiadając z wielbłądów, okrążyliśmy ją z wolna. Wschodnia ściana tonęła w ostrym słońcu poranka, południowa jarzyła się pod skośnymi promieniami, zachodnia zaś pozostawała w cieniu. Zadarłem głowę; słońce wyglądało jak płomienna kula, która nadziała się na czubek piramidy.

– Komu zawdzięczamy ten cud? – wykrzyknąłem. – Jaką niezemską techniką ją zbudowano?

Kemsa już otwierał usta, ale Antypater go ubiegł.

– Według Herodota sto tysięcy mężczyzn stanęło na rozkaz faraona Cheopsa do budowy samej tylko drogi, którą przywożono potem kamienie z Arabii. Zajęło to aż dziesięć lat, a piramidę wznoszono przez kolejne dwadzieścia. Najpierw postawiono schodkowe tarasy, a następnie za

pomocą zestawów przemysłowych dźwigni wypełniono je blokami licowymi, które teraz możesz podziwiać. Na koniec całość wypolerowano do połysku.

– I ciało Cheopsa spoczywa tam w środku? – spytałem.

– W Dziejach czytamy, że faraona złożono w podziemnej komorze głęboko pod piramidą, na wysepce otoczonej wodą doprowadzoną z Nilu.

Zmarszczyłem czoło, próbując wyobrazić sobie tak niezwykłą konstrukcję. Kemsza tymczasem odchrząknął głośno i sprostował: - Tak naprawdę to kamiennych bloków nie wciągano żurawiami ani dźwigniami, lecz wtaczano je po wielkich rampach usypanych z ziemi.

– Bzdura! – zachnął się Antypater. – Takie rampy musiałyby być większe od samej piramidy, a przecież nigdzie nie widać po nich śladu! Gdzie więc by się podziały?

Rzeczywiście, na płaskowyżu nigdzie nie było widać żadnego większego kopca. Tu i ówdzie wznosiły się wydmy, lecz nawet największa z nich – ta, która na chwilę przesłoniła nam widok – była tycia w porównaniu z piramidą.

– Po ukończeniu budowy zniwelowano je, a ziemię wsypano do rzeki. Niesiona z prądem utworzyła liczne wysepki w Delcie. Pytałeś też, młody Rzymianinie, czy Cheopsa w niej pochowano. Otóż nie, nie ma go tam. Wieloletnia harówka przy budowie tak się dała Egipcjanom we znaki, że w rozgoryczeniu pochowali władcę gdzie indziej, a piramida jest pusta.

– Skąd to niby wiesz? – powątpiewał Antypater.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Czy nie mówiłem wam, że nie ma lepszego przewodnika jak Kemsza? Ja wiem to, o czym się innym nie śniło. Chodźcie za mną!

Zaprowadził nas pod południową ścianę piramidy i dał ręką znak, na który zatrzymały się wszystkie trzy wielbłądy. Zapatrzony na ten cud świata nie ruszyłem się pewnie z siodła, gdyby mój wierzchowiec nie ugiął nagle

kolan i przechylił się do przodu, wyraźnie dając do zrozumienia, że ma już mnie dość. Odwrócił łeb i widziałem, że szykuje się do potężnego splunięcia, zeskoczyłem więc czym prędzej na ziemię. Antypatrowi udało się przy zsiadaniu zachować więcej godności.

– Wejdziemy do środka? – zaproponował przewodnik.

– To możliwe? – Antypater miał oczy jak spodki.

– Z Kemsą wszystko jest możliwe. Chodźcie!

Powierzchnia budowli musiała być niegdyś gładka jak szkło, lecz czas skruszył i podziurawił kamienie. Przywarłszy do ściany, można było się po niej wdrapać, bez problemu znajdując punkty oparcia dla dłoni i stóp. Wystraszyłem się, że Antypater nie podoła trudowi wspinaczki, jednak staruszek – nie po raz pierwszy zresztą – dał popis zadziwiającej jak na swój wiek zręczności i wytrzymałości. Narzekał na kilka stromych stopni w karczmie, lecz po piramidzie pomknął jak jaszczurka!

Mniej więcej na dwóch trzecich wysokości grobowca Kemsza pokazał nam kamienną płytę, którą można było unieść, obracała się bowiem na niewidocznej osi. Ukryty właz był tak dopasowany, że całkowicie zlewał się z powierzchnią. Sami nigdy byśmy go nie znaleźli.

– Niebawale! Herodot nigdzie nie wspomina o wejściu do piramidy – zdziwił się Antypater.

– Nie? – odparł Kemsza. – To dlatego, że nie miał mnie za przewodnika. Uważajcie na głowy!

Przytrzymał nam drzwi, gdy gramoliliśmy się do środka, potem wyciągnął trzy pochodnie – po jednej dla każdego z nas – i podpalił je krzesiwem, po czym pozwolił płycie zasunąć się na miejsce.

Wąski, stromo opadający korytarz tonął w ciemnościach. Na szczęście ktoś rozwiesił linę, której można się było trzymać.

– To jak, schodzimy? – spytał Kemsza.

W świetle pochodni trudno to było ocenić, ale mój nauczyciel wydał mi się błądliwy. Przełknął głośno ślinę.

– Nie po to dotarłem aż tutaj, żeby przepuścić okazję, która ominęła nawet Herodota – rzekł mężnie. W jednej dłoni ścisnął żagiew, drugą kurczowo trzymał się sznura. – Prowadź!

Przewodnik ruszył przodem, a my za nim.

– Skoro na dole nie ma sarkofagu, to co tam właściwie jest do obejrzenia? – spytałem. Mimo iż mówiłem cicho, mój głos przez dłuższą chwilę odbijał się echem w tunelu.

– Przekonacie się sami – odparł Kemsu.

Poczułem się nieswojo. A jeśli piramida jest jednak grobowcem, lecz nie dla faraona, tylko dla głupców takich jak ja, zwabionych w śmiertelną pułapkę przez bandytów podających się za przewodników? Może na samym dnie jest komnata pełna szkieletów, do których wkrótce dołączy mój? Cóż za ironia, jeśli w wielkiej piramidzie spocznie nie Cheops, lecz Gordianus z Rzymu! Starłem się uspokoić. Nie było się czego bać, to tylko ciemność, nienaturalne echo i klaustrofobiczna przestrzeń wyzwalały złe myśli. Uczępieni liny zagłębialiśmy się coraz niżej w starożytny grobowiec.

Korytarz w końcu się wyrównał i po chwili znaleźliśmy się w sporej komorze, której wysokość oceniłem na jakieś dwadzieścia stóp. Nie było tu nic poza masywnym, kamiennym sarkofagiem pozbawionym wieka. Ani na nim, ani na zupełnie gładkich ścianach nie było żadnych zdobień.

– I tak miał być pochowany wielki faraon? – wyszeptałem.

W tak bajecznym monumencie spodziewałbym się raczej wspanialszej, urządzonej z przepychem komnaty grobowej.

– Tak, to jego sarkofag – odparł przewodnik. – Ale jak już mówiłem, jest pusty. Sam zobacz.

Podeszliśmy do kamiennej skrzyni, zajrzeliśmy do środka i aż wstrzymaliśmy oddech, a ja omal nie krzyknąłem.

Kemsa zdawał się znać wszystkie sekrety piramidy, ale mylił się co do zawartości sarkofagu: w środku zobaczyliśmy ciało. Ubrane było zaskakująco skromnie jak na monarchę, w podobne do moich białe szaty i nemes. Skrzyżowane na piersi ręce i odsłonięta twarz należały do mężczyzny w średnim wieku, ogorzałego od słońca i pokrytego siateczką delikatnych zmarszczek, jednak zadziwiająco dobrze zakonserwowanego jak na tysiącletniego trupa. Szczękę pokrywała mu nawet kilkudniowa szczecina. Antypater opowiadał mi o kunszcie egipskich balsamistów, lecz ten okaz był naprawdę wyjątkowo udany.

Przewodnik spostrzegł nasze oszołomienie, uniósł podejrzliwie brew i podszedł do sarkofagu. Na widok nieboszczyka stanął jak wryty, zbladł jak prześcieradło, wybałuszył oczy i otworzył usta. Wyglądało to tak teatralnie, że pomyślałem, iż Kemsa udaje, dopóki nie upadł zemdlny, upuszczając pochodnię.

Antypater pospieszył mu na ratunek, a ja zerknąłem na ciało w sarkofagu i pojąłem, co tak przeraziło Kemse.

Mumia otworzyła oczy.

Zamrugła kilka razy i ze wzrokiem wbitym w mrok pod sufitem wychrypiała:-Czy ja żyję, czy umarłem? Gdzie jestem? Kapłan Izydy obiecał, że przyjdzie do mnie wybawiciel!

Serce waliło mi w piersi jak młotem. Zakręciło mi się w głowie; przez chwilę sam byłem bliski omdlenia. Jak słusznie jednak zauważył Antypater, jestem Rzymianinem; można mnie wprawić w zakłopotanie, a nawet osłupienie, ale podświadomie pamiętam, że wszystko musi mieć jakieś wytłumaczenie. Mimo początkowego szoku nie uszło mej uwagi, że

ożywiona mumia posługuje się nienaganną greką, z akcentem typowym dla mieszkańców Memfis. Nie była więc Cheopsem.

Ani też mumią, choć przez moment straciłem tę pewność, gdy chwyciła mnie za ramię dłonią zimną jak lód. Odzyskałem ją jednak, widząc wbite we mnie pałające spojrzenie i słysząc już przytomniejsze syknięcie:

– Co to za miejsce? I coś ty za jeden?

Przełknąłem z trudem ślinę.

– Na imię mi Gordianus i przybyłem tu z Rzymu. Jesteśmy wewnątrz Wielkiej Piramidy.

Puścił mnie, ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

– A kim ty jesteś? – spytałem. Nie bałem się już; ten człowiek stanowił teraz widok bardziej pożałowania godny niż straszny. – I co tu robisz? Jak długo leżałeś w tych ciemnościach?

Mężczyzna wziął się w garść i wyprostował w sarkofagu. Miał sztywne ruchy, mętne oczy i twarz bez wyrazu. W nikłym świetle pochodni przez chwilę znów wyglądał jak nieżywy.

– Jeśli chcesz poznać historię Djala, syna Rutina... – odezwał się – pomóż mi wydostać się z tego przeklętego miejsca. Wyprowadź mnie na światło dnia, a wszystko ci opowiem, Gordianusie z Rzymu.

Gdy wynurzyliśmy się z ciemnego tunelu, oślepiło nas południowe słońce. Kemsza, wciąż zażenowany chwilą słabości, zerkał nieufnie na obcego, który jeszcze gorzej niż my zniósł pierwszy kontakt ze światłem. Jak się później dowiedziałem, był uwięziony w piramidzie przez całe dwa dni. Przewodnik zgasił pochodnie i przygotowywał się do schodzenia, ale Antypater mnie powstrzymał.

– Mamy stąd niedaleko do szczytu, Gordianusie. Może się tam wdrapiemy?

– Ale ten człowiek...

– A co nas on może obchodzić? – Poeta ściszył głos. – Owszem, przestraszył nas wszystkich, ale co z tego? Jeśli jakiś wariat ma ochotę wylegiwać się w pustym sarkofagu Cheopsa, to jego sprawa, nie nasza. Jesteśmy na Wielkiej Piramidzie w samo południe, Gordianusie, i mamy szansę stanąć na jej wierzchołku w chwili, gdy nie rzuca cienia. Zwracając się do przewodnika, polecił: – Kemsza, pomóż temu człowiekowi zejść i daj mu wody. Ja i Gordianus wejdziemy na samą górę.

Egipcjaninowi nie było to w smak, ale zrobił, co mu kazano.

– Jesteś pewien, że dasz radę, mistrzu? – spytałem, gdy tamci ruszyli już w dół. – Dziś już masz za sobą spory wysiłek, a upał jest niemiłosierny...

Nie skończyłem nawet mówić, gdy Antypater już podjął wspinaczkę.

Podążyłem za starym, utyskując w duchu na jego przekorny charakter. Na szczyt dotarłem zadyszany i wyczerpany, ale było warto: widok przekraczał moje najśmielsze oczekiwania.

Pozostałości po trzpieniach i klamrach w pobrużdżonym kamieniu nasuwały przypuszczenie, że wierzchołek Wielkiej Piramidy był niegdyś pokryty złotem lub innym metalem szlachetnym. Po cennym kruszcu nie było już oczywiście śladu, lecz rozciągająca się stąd zjawiskowa panorama nie miała sobie równych. Doskonale widać było rozległe Memfis, meandrujący hen po horyzont Nil, a nawet daleką Deltę i poszarpane szczyty gór Arabii. Świątynie i ołtarze na płaskowyżu przypominały miniaturową makietę; pomiędzy nimi jak kopczyk piasku wybrzuszała się wydma, którą wcześniej mijaliśmy. Na południowym wschodzie pyszniła się druga piramida, ogromna, choć nie tak jak ta, na której staliśmy. Na zachodzie zaś jak okiem sięgnąć ciągnęła się piękna i zarazem straszna pustynia libijska, pocięta pasmami wzgórz i wąwozami. Byłem dotąd przekonany, że nic na świecie nie dorówna widokowi z Mauzoleum w Halikarnasie lub babilońskiego ziguratu, jednak stojąc na szczycie

Wielkiej Piramidy, wyobrażałem sobie, że tak właśnie muszą widzieć ziemię bogowie.

Długo trwaliśmy tak przycupnięci z Antypatrem, sycąc zmysły niezapomnianymi wrażeniami. Pustynny wiatr świszczwał mi w uszach i osuszył mnie z potu. W końcu spojrzałem w dół, na siedzących w cieniu wielbłądów Kemsę i człowieka z sarkofagu. Raz po raz pociągali wodę ze skórzanych bukłaków.

– Pić mi się chce – powiedziałem, nagle okropnie spragniony.

Zejsście okazało się znacznie trudniejsze od wspinaczki. Każdy krok groził utratą równowagi, posuwaliśmy się więc bardzo ostrożnie. Bałem się o Antypatra, lecz to mnie pod sam koniec przydarzyło się pośliznąć i sturlać ostatnie kilkadziesiąt stóp. Grzmotnąłem w piach, na szczęście zdrów i cały, ale i srodze zawstydzony.

Kemsa pozwolił mi wziąć ledwie parę łyków wody, tłumacząc, że wypicie za dużo naraz mogłoby się źle skończyć, i zaproponował przekąskę w pobliskiej świątyni. Wskoczyliśmy więc na wielbłądy – Djal usiadł za przewodnikiem – i pojechaliśmy do trzeciego, najmniejszego grobowca. Za nim spostrzegłem jeszcze trzy dużo mniejsze piramidy schodkowe.

– To ile właściwie jest piramid w Egipcie? – spytałem.

– Wiele, całe setki, nie tylko tutaj na płaskowyżu, ale wzdłuż całego Nilu – odparł Kemsa. – Wszystkie są jednak bardzo małe w porównaniu z Wielką Piramidą.

Naprzeciw jednego z tych mniejszych grobowców stała nieduża, lecz urokliwa świątynia Izydy. To na jej ocienionych stopniach, okolonych malowanymi kolumnami w kształcie łodyg papirusu, zjedliśmy posiłek złożony z podpłomyków, dzikiego selera i granatów. Kemsa wyjaśnił, że normalnie zawsze pełno tu ludzi, teraz jednak wszyscy świętują w mieście.

Człowiek z sarkofagu niechętnie skubał jedzenie. Antypater nie zwracał na niego uwagi, ja jednak ciekaw byłem jego historii.

– A więc masz na imię Djal? Mężczyzna skinał głową.

– Jak długo byłeś w piramidzie?

– Nie mam pojęcia. Wszedłem tam siedemnastego dnia miesiąca Pauni...

– To dwa dni temu! – Kemsza posłał mu spojrzenie pełne powątpiewania.

– I cały czas tam siedziałeś? – dopytywałem się.

– Tak.

– Miałeś ze sobą jakieś światło?

– Tylko pochodnię, ale szybko zgasła.

– A wodę i prowiant?

– Nic.

– Co robiłeś?

– Leżałem w sarkofagu, jak mi przykazał kapłan, zresztą z tej właśnie świątyni, i czekałem na przyjście wybawcy. Zastanawiałem się, kto nim będzie: czy może sam Anubis z wiadomością od bogów, czy też ktoś z moich przodków pofatyguje się z krainy umarłych... a może nawet ka mojego biednego ojca! Nikt jednak nie przychodził. Tkwiałem w ciemności i czekałem, na przemian śpiąc i czuwając, aż w końcu przestałem odróżniać sen od jawy. Nie byłem nawet pewien, czy jeszcze żyję, czy umarłem! Nikt się nie zjawiał. Jakim ja byłem głupcem! – Znów zaniósł się szloch, choć zdziwiłbym się, gdyby tak wysuszony organizm zdobył się jeszcze na to, by uronić choć jedną łzę.

– Obiecałeś nam opowiedzieć wszystko od początku – powiedziałem łagodnie, w nadziei, że go to uspokoi.

Nieborak ugryzł kęs placka i popił kilkoma łykami wody.

– No, dobrze. Od czego tu...? – Zamyślił się chwilę, po czym zaczął: – Jestem Djal, syn Rutina. W Memfis mieszkam całe życie, jak pokolenia moich przodków od czasów, zanim jeszcze Ptolemeusze wzięli Egipt we władanie. Różnie się nam powodziło, lecz nawet w największej niedoli syn dopilnował zawsze, by po śmierci jego ojciec otrzymał przyzwoity pochówek, a ciało zabalsamowano według pierwszej kategorii, nigdy drugiej lub trzeciej. Przykro mi, ale nic z tego nie rozumiem.

– Pozwól więc, że ci wytłumaczę – wtrącił Kemsal. – Otóż mamy trzy metody preparowania zwłok: pierwsza jest bardzo kosztowna, druga w przystępniejszej cenie i trzecia najtańsza, właściwie wybierana tylko przez biedaków. Rodzina zmarłego dowiaduje się od balsamistów, ile kosztują wszystkie pogrzebowe rekwizyty i usługi, no i decyduje, na co ją stać.

– Włącznie z mumifikacją?

– Tak. – Kemsal wzruszył ramionami. – Każdy Egipcjanin to wie.

– Ale ja nie. Mów dalej.

– Zajmuje się tym grono wprawnych fachowców. Jeden bada ciało i wskazuje miejsca, gdzie należy je naciąć; drugi kroi je obsydianowym ostrzem. Balsamiści z kolei usuwają wnętrzności. Najważniejsze organy, jak serce i nerki, kąpie się w winie palmowym i wonnościach i chowa do urn. Resztę się wyrzuca. Najtrudniej pozbyć się mózgu: trzeba wsuwać przez nos cieniutkie haki i z mozołem, po kawałku wyciągać szarą masę. Następnie balsamiści zaszywają w opróżnionych jamach ciała mirrę, cynamon, żywicę olibanową i inne sobie tylko znane składniki. Trup leży odpowiednio długo w saetrze, a potem jest myty i owijany w płótno najprzedniejszego gatunku. To pierwszorzędna mumifikacja, o jakiej marzy każdy. Zmarły wygląda, jakby tylko spał: włosy, brwi i nawet rzęsy są świetnie zachowane.

– Coś takiego! – zdumiałem się. – A drugi sposób?

– Ludzie mniej zamożni muszą zadowolić się półśrodkami. Nie wykonuje się żadnych nacięć ani nie usuwa organów; zamiast tego balsamiści wstrzykują przez odbyty i usta wielkie ilości oleju cedrowego i zaczopowują otwory, żeby ciecz nie wypłynęła. Ciało następnie zanurza się w saetrze na przepisany czas, po czym wyjmuje się zatyczki i wypuszcza cały płyn. Widzisz, olej cedrowy rozpuszcza wnętrzności, a saetra wysusza ciało, zostają więc głównie skóra i kości. Mumia w tym stanie przejawia pewne podobieństwo do nieboszczyka i nie ulega dalszemu rozkładowi, nie nadaje się jednak do oglądania, nawet dla krewnych. Może jeszcze jeden owoc?

Pokręciłem głową. Było mi trochę niedobrze.

– A trzecia metoda?

– Lepiej o tym nie wspominać. – Kemsza wzdrygnął się. – Mówiłem, że decydują się na nią tylko najubożsi. Nie chciałbyś znać szczegółów.

– Co więc dzieje się z ciałem zmumifikowanym w najlepszy sposób?

– Wraca do rodziny i ląduje w drewnianym sarkofagu pokrytym inskrypcjami stanowiącymi wskazówki na drodze do krainy umarłych. Gatunek drewna i charakter zdobień również zależą od zamożności rodziny...

– W mojej rodzinie zawsze mieliśmy najlepsze sarkofagi! – wykrzyknął nagle Djal, po czym spuścił głowę i znów posmutniał.

– A więc mumię składa się w trumnie – podsumowałem. – I co dalej?

– Po ceremoniach pogrzebowych sarkofag ląduje w rodzinnej krypcie – ciągnął przewodnik. – Stawia się go pionowo pod ścianą, by krewni mogli patrzeć mummii prosto w twarz. Ci, których nie stać na osobną kryptę, trzymają zmarłych w domu. Niektórzy nawet wolą takie rozwiązanie, ponieważ mogą spotykać się z przodkami codziennie.

Rozważałem to wszystko przez chwilę, po czym zadałem pytanie z innej beczki.

– Jeżeli dusza zmarłego trafia do krainy umarłych, to co komu po mumii?

Djal zaniósł się łkaniem i ukrył twarz w dłoniach. Kemsza popatrzył na mnie jak na półgłówka.

– Kiedy człowiek umiera, jego ka oddziela się od ciała i wśród licznych niebezpieczeństw wędruje do krainy umarłych. Jednak żeby tam przetrwało, trzeba zabezpieczyć doczesną powłokę przed rozkładem i zapewnić jej wszystko, co potrzebne do codziennego funkcjonowania. Ka nie jest nieśmiertelne... jeśli mumia szejnie, umrze i ono. Dlatego więc należy regularnie składać zmarłym ofiary, by zapewnić im byt w zaświatach.

– Com ja uczynił! – załamał się Djal. Wzniósł oczy ku niebu i uderzył się w piersi. Com ja uczynił!-Co on takiego zrobił? – szepnąłem do przewodnika.

– Chyba się domyślam. – Kemsza zerknął z ukosa na nieszczęśnika. – Przehandlowałeś mumię przodka, zgadza się?

Djal wzdrygnął się i zeszywniał.

– Tak! Za garść srebrników oddałem mumię ojca!

– O czym on mówi? – spytałem.

– Ten człowiek to najgorsza kanalia – oznajmił Kemsza z obrzydzeniem. – Oddał mumię ojca w zastaw.

Brwi Antypatra poszybowały w górę.

– Czytałem o tym u Herodota. Ludzie w tarapatkach finansowych czasem oddawali mumię przodków, by zyskać pożyczkę, nie sądziłem jednak, że wciąż się to praktykuje!

– Uciekają się do tego tylko ci, którzy nie mają ani krzty szacunku dla zmarłych – rzekł Kemsal i splunął na ziemię.

– Nie miałem wyboru – odparł cicho Djal. – Przez dwa lata z rzędu Nil spóźniał się z wylewem, straciłem całe zbiory. Resztkę pieniędzy zainwestowałem w karawanę sprowadzającą wonności z Arabii. A potem moja żona i mała córeczka nagle zachorowały i musiałem opłacić medyków, więc...

– Oddałeś mumię w zastaw?

Mężczyzna przytaknął.

– Jest w Memfis pewien człowiek imieniem Mhotep, który zajmuje się lichwą. Nieludzka i pazerna kreatura...

– Nieludzkie jest wyrzec się mumii ojca! – skontrował przewodnik.

– Byłem pewien, że wykaraskam się z długu. – Djal uniósł wyzywająco podbródek. Ale moja karawana zaginęła w burzy piaskowej i zostałem bez grosza. Pieniądze od lichwiarza wydałem na lekarzy. Córeczka wyzdrowiała, ale żona wciąż zмага się z chorobą. Termin spłaty długu przypada na początek wylewu Nilu, to znaczy na dniach. Z czym pójdę do Mhotepa?

– Sprzedaj dom – poradził Kemsal.

– I co, mam żyć z rodziną na ulicy? Przecież one umrą.

– Przede wszystkim masz powinność wobec ojca. Słyszałem o tym całym Mhotepie. Wiesz, co on robi z oddanymi w zastaw mumiemi? Póki jeszcze czeka na zwrot pożyczki, trzyma je w zamkniętym pomieszczeniu, stłoczone i pozbawione ofiar, lecz bezpieczne od zgubnego wpływu żywiołów. Ale kiedy dłużnik zawiedzie, mumia znika. Mówią, że ląduje gdzieś w górskim wąwozie na pastwę owadów, jaszczurek i szakali, a co z niej zostanie, słońce spala na pył rozwiewany przez wiatr...

– Przestań! – krzyknął piskliwie Djal i zatkał uszy dłońmi.

– Powiedz im w takim razie sam, co spotyka niegodziwców, którzy zastawią mumię przodka i jej nie wykupią – Kemsu był bezlitosny. – Nie możesz mówić? Dobra, ja to zrobię. Jeśli taki delikwent nie odzyska mumii, w myśl naszego kodeksu sam traci prawo do mumifikacji po śmierci, nawet trzeciej kategorii. Nie zostanie też pogrzebany. Zgnije na pustyni, a jego kał będzie z nim.

– Co ja zrobiłem! – wołał Djal. – Jakim byłem głupcem!

– Wspominałeś, że ktoś miał przyjść ci z pomocą – powiedziałem. – Dlatego byłeś w piramidzie, prawda?

– Byłem w beznadziejnej sytuacji. Obszedłem więc wszystkie świątynie w Memfis, błagając o pomoc. Tylko u kapłanów Izydy znalazłem zrozumienie, gardzą oni bowiem lichwiarzami i najchętniej przegnaliby ich z miasta. Zgodzili się porozmawiać z Mhotepem i nakłaniali, go do okazania miłosierdzia. Naturalnie z początku nie chciał o tym słyszeć, lecz gdy nie dawali za wygraną, w końcu powiedział: Jeśli ten cały Djal rozwiąże drugą zagadkę sfinksa, zwrócę jego mumię! i wyszczerzył złośliwie zęby, ponieważ jak wiadomo nikomu się to dotąd nie udało.

– Druga zagadka sfinksa? – zainteresowałem się. – Parę dni temu, oglądając szpaler sfinksów przed świątynią Serapisa, przypomnieliśmy sobie słynną zagadkę, z którą musiał zmierzyć się Edyp. Nie wiedziałem jednak, że była jeszcze jedna.

– Ja też nie – przyznał Antypater.

– Nie? – zdziwił się Kemsu. – W Memfis wszyscy ją znają. Matki męczą nią dzieci. Brzmi mniej więcej tak: Patrzy na mnie każdy przechodzień, ale żaden mnie nie widzi. Każdy zna moją zagadkę, mnie zaś nie zna nikt. Patrzę na Nil, lecz do piramid obróciłem się tyłem. Jak w większości zagadek, odpowiedź jest pewnie oczywista, choć brzmi to niedorzecznie. –

Antypater prychnął sceptycznie. – Jak cokolwiek może być zarazem niewidzialne i widoczne dla wszystkich?

– Nie dałeś rady jej rozwiązać? – spytałem.

– Nie tacy jak ja łamali sobie nad nią głowę – odparł Djal. – W zagadce jest mowa o piramidach, więc w końcu przyszedłem tu, do stojącej w ich cieniu świątyni Izydy. Padłem na twarz przed boginią i błagałem, by wyjawiała mi odpowiedź. Usłyszał mnie jeden z kapłanów. Opowiedziałem mu wszystko, a on pomodlił się ze mną. Izyda odpowiedziała na jego modły i wskazała sposób: miałem wejść do Wielkiej Piramidy, położyć się w pustym sarkofagu i czekać na przyjście kogoś, kto zdradzi mi prawidłową odpowiedź. Uznałem, że w tym szaleństwie jest metoda. Pod osłoną nocy kapłan wskazał mi wejście do piramidy i dał pochodnię, która niestety szybko zgasła. Leżałem więc sam w ciemnościach, modląc się bez ustanku i czekając na wybawcę. Ale żaden boski wysłannik się nie pokazał, tylko ty.

Djal uniósł głowę i spojrzał na mnie dziwnie. Zignorowałem to, lecz zorientowałem się, że i Antypater z Kemsą również wpatrują się we mnie badawczo, a na dodatek gapi się na mnie jakiś wysoki mężczyzna, którego w tej chwili zauważyłem u wejścia do świątyni.

Obcy miał na sobie długą, bogato zdobioną szatę. Ciasno opinała tors, ale od pasa w dół opadała luźnymi fałdami. Głowę miał ogoloną, a oczy podkreślone czernidłem.

– Kapłan Izydy! – zawołał Djal i zerwał się na nogi. – Zrobiłem, panie, jak mi poleciłeś, ale nie przyszło żadne z bóstw ani ich sług. Zjawił się tylko ten oto młody Rzymianin, zwie się Gordianus.

Kapłan spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

– A to ciekawe! Izyda posłużyła się śmiertelnikiem, i to do tego Rzymianinem?

– Nikt się mną nie posłużył – odchrząknąłem. – Zotikos i ja jesteśmy w podróży. Przybyliśmy do Egiptu, by zobaczyć jeden z cudów świata, Wielką Piramidę. Tylko przypadkiem zjawiliśmy się tu dzisiaj i znaleźliśmy przewodnika, który zna tajne przejście do środka. Wchodzimy, a tam on śpi sobie w sarkofagu. – Wskazałem na Djala. -Przypadkiem, powiadasz? – Kapłan zacisnął usta. – Kim jesteś, Rzymianinie?

– Człowiekiem, który rozwiązuje zagadki! – zakrzyknął Antypater, podnosząc się na nogi. Patrzył na mnie tak zafascynowany, jakby wyrosły mi rogi.

– To nie jest moje zajęcie – zaprotestowałem, czując się coraz bardziej nieswojo pod tym obstrzałem spojrzeń. – Ot, zdarzyło się parę razy podczas naszych podróży, że wydedukowałem to czy tamto...

– Parę razy? – przerwał mi Antypater. – Robisz to zawsze! Pomyśl trochę. Najpierw w Efezie, gdy tę dziewczynkę uwięziono w jaskini, potem w Halikarnasie, gdy wdowy...

– Nie trzeba wszystkiego opowiadać! – uciałem.

– Nie rozumiesz, Gordianusie? Wyjaśniasz każdą tajemnicę, na którą się natkniesz, zupełnie jak twój ojciec. Wiele razy byłem tego świadkiem. Można powiedzieć, że to szczególny dar, jakim bogowie zbytnio nie szafują. I oto jesteśmy u kresu podróży, u stóp pierwszego i najwspanialszego z cudów świata... i co? Znów przed tobą zagadka, która tylko czeka, byś się z nią rozprawił.

– Mistrzu, nie znam rozwiązania. Przed chwilą ją usłyszałem i nie mam pojęcia, o co w niej chodzi.

– Jesteś pewien? Wysił się trochę!

– Patrzą wszyscy, a nikt nie widzi... – mamrotałem do siebie, przywołując z pamięci treść zagadki. – Znają zagadkę, ale nie mnie...

tyłem, do piramid, przodem do Nilu... Pokręciłem głową. – Nie widzę w tym sensu.

– Ale to ciebie przysłała Izyda – rzekł kapłan. – Chodźcie, pomódlmy się do niej razem!

Weszliśmy za nim do świątyni. Jej ściany pokryte były piktogramami przedstawiającymi życie bogini magii i płodności, siostry i małżonki Ozyrysa oraz matki Horusa. Oczarowały mnie obrazki, choć niewiele mi mówiły; nie byłem wtedy jeszcze obeznany z mitem o wskrzeszeniu przez nią męża zabitego przez Seta.

Głównym akcentem w pomieszczeniu był naturalnie posąg bogini. Na głowie miała koronę z dwoma rogami przytrzymującymi złoty dysk słoneczny. Z naszyjnika zwisał między piersi tak zwany węzeł Izydy, przypominający ankh, lecz z ramionami zakrzywionymi ku dołowi; jak się później dowiedziałem, jest to symbol jej krwawienia miesięcznego, kojarzonego z dorocznymi wylewami Nilu. Jedną dłonią dotykała piersi, w drugiej dzierżyła naczynie na swe święte mleko. Szeroka twarz, piękna i pogodna, emanowała mądrością.

– Bogini powie mi, co czynić – oznajmił kapłan. – Postąpisz wedle jej nakazu, a rozwiązanie zagadki przyjdzie do ciebie samo. Jestem tego pewien. – Odwrócił się do statuy i wzniosł ramiona. – O Izydo, wielka matko, pani żywiołów, pierworodna córo czasu, władczyni wszystkich rzeczy boskich, królowo żywych, umarłych i nieśmiertelnych, ostateczne i najwyższe objawienie wszystkich bogów i bogiń, znana wszędzie pod wieloma imionami, wzywamy cię!

Zadrzałem cały i zrobiło mi się słabo. Na jaką próbę wystawi mnie egipskie bóstwo?

Czułem, że odpowiedź mi się nie spodoba.

– Ech, ty durniu! – mruknąłem do siebie pod nosem. – Jakżeś się mógł wpakować w takie bagno?

Nikt nie usłyszał mojego wyrzutu. Oświetlone ostatnimi błyskami dogasającej pochodni granitowe ściany nie raczyły nań odpowiedzi.

Kiedy słońce chyliło się nad libijskie góry, znów wspiałem się do sekretnych drzwi piramidy. Towarzyszył mi tylko kapłan; Antypater, Djal i Kemsza zostali na dole. Uchylił kamienną płytę i zapalił dla mnie pochodnię. Bez zbędnych słów skinął mi głową na pożegnanie i zamknął wejście, a ja podreptałem powoli ciasnym korytarzem w głąb grobowca. Wkrótce znalazłem się w pustej komorze grobowej.

Dopóki żagiew paliła się mocnym płomieniem, stałem tam po prostu i gapiłem się na sarkofag. Gdy jednak zaczęła dogasać, pomyślałem: „Jeśli mam posłuchać rozkazu Izydy i położyć się w trumnie Cheopsa, to teraz albo nigdy”. Zdawałem sobie sprawę, że bez światła mogę stracić zimną krew i na oślep wybiec z korytarza.

Bogini miała dla mnie takie samo zadanie, jakim obarczyła Djala: leżeć w sarkofagu i czekać na przyjście rozwiązania. Może brakowało jej wyobraźni?

Gdy kapłan ogłosił jej wolę, podniosłem larum – zdanie „Nie dam się wkręcić w takie szaleństwo!” należało do najbardziej oględnych – i szukałem poparcia u Antypatra, on jednak murem stał po stronie kapłana. Rzekłbyś, wprost spijał słowa z jego ust; był chyba naprawdę przekonany, że stanę się narzędziem bogini.

– To kulminacja twojej drogi, Gordianusie – obwieścił z patosem. – Wszystko, co się wydarzyło od wyjazdu z Rzymu, prowadziło do tej właśnie chwili. Musisz to zrobić. To twoje przeznaczenie.

Na takie dictum nie miałem już kontrargumentu. Kapłan ponuro kiwał głową. Djal upadł na kolana i patrzył na mnie błagalnie. Zwróciłem się do

Kemsa. Liczyłem, że przynajmniej on powie, iż Djal zasłużył na swój marny los, ale on objął mnie tak, jak żegna się wojownika przed straceńczą misją, i otarł łzy wzruszenia.

– I pomyśleć, że to ja, skromny Kemska, pomogłem ci odkryć twoje przeznaczenie!

Cała trójka nie miała najmniejszych wątpliwości, jak powinienem postąpić. Po prawdzie, trochę byłem zaintrygowany wyzwaniem i schlebiało mi pokładane we mnie zaufanie, lecz gdy już znalazłem się w piramidzie, to uczucie znikło jak płomień dogasającej pochodni.

– Obłąd! – powtarzałem, układając się w sarkofagu.

Granitowe pudło było zimne w dotyku. Wpatrywałem się w kurczące się płomyki, póki nie zgasła ostatnia drobinka żaru. Odrzuciłem pochodnię i skrzyżowałem ręce na piersi.

– I co teraz? – rzuciłem głośno.

Cisza.

Zamknąłem oczy i znów je otworzyłem; otaczające mnie ciemności były tak nieprzeniknione, że nie robiło to żadnej różnicy. Zamrugąłem i straciłem pewność: mam spuszczone powieki czy nie? Musiałem dotknąć ich dłonią, by się przekonać.

Cisza była równie głęboka. Co jakiś czas pstrykałem palcami lub zgrzytałem zębami tylko po to, by upewnić się, że jeszcze nie ogłuchłem. Brak wszelkich bodźców, z początku alarmujący, podziałał końcu kojąco. Zamknąłem oczy i leżałem nieruchomo. To był długi i wyczerpujący dzień. Drzemałem? Czuję, że raczej wkraczam w nieznan mi wcześniej stan świadomości, zawieszony między snem a przytomnością.

Strumień obrazów i myśli wolno przepływał mi przez jaźń. Jedna refleksja się kończyła, pojawiała się i rosła druga i następna. Gdzie jestem? Jaka jest pora dnia? Wiedziałem, że w piramidzie i że noc, lecz te

określenia straciły wszelki sens. Czułem, że znalazłem się w miejscu i chwili, które są w samym środku czasu i przestrzeni, poza zwykłą dziedziną ludzkiego pojmowania.

W myślach rozbrzmiała mi druga zagadka sfinksa. „Nikt mnie nie widzi, choć wszyscy na mnie patrzą... Każdy zna moją zagadkę, mnie nie zna nikt... Patrzę na Nil, lecz do piramid obróciłem się plecami”.

Jak żywe stanęły mi przed oczyma rzędy sfinksów przed świątynią Serapisa. Unosiłem się niczym ptak i z góry patrzyłem na młodego Rzymianina i jego starego greckiego nauczyciela. Rozprawiali o Edypie i jego rozwiązaniu. Pofrunąłem wzdłuż Nilu na północ, aż dotarłem do płaskowyżu usianego świątyniami i przycupnąłem na szczycie wielkiej piramidy. Oglądałem ołtarze, trakty i sporą wydmnę między nimi.

Wizja zniknęła. Wyprostowałem się w sarkofagu; nie otaczały mnie już kamienne ściany, lecz gładka, połyskliwa błona. Myślę, że tak mogłaby wyglądać skorupka jaja z perspektywy pisklaka, gdyby jej materią było nikłe światło zmierzchu.

Nagle poczułem czyjąś obecność i spostrzegłem sunącą do mnie z wolna postać z głową psa. Pysk miała z jednej strony czarny, z drugiej złoty i trzymała laskę herolda w jednej dłoni, a liść palmowy w drugiej.

– Anubis? – spytałem cicho.

– Dla ciebie jestem raczej Merkurym. – Jego długi pysk ani drgnął, a jednak w jakiś sposób artykułował słowa.

– Przyszedeś! – Nie mogłem w to uwierzyć. – Kapłan mówił, że przyjdiesz, i oto jesteś! Pomożesz mi rozwikłać zagadkę? – Nie potrzebujesz mojej pomocy, Gordianusie. Przecież już znasz odpowiedź.

Miał rację. Znałem ją.

– A więc nie masz dla mnie żadnej wiadomości?

– Nie przychodzę jako posłaniec, lecz jako zwiastun jej przybycia.

– Czyjego przybycia?

Anubis zamilkł i zaczął się rozmywać. Zarys jego sylwetki tańczył mi przed oczami, nawet gdy spuściłem powieki. Gdy je znów podniosłem, przede mną stała Izyda.

Poznałem ją po koronie, którą widziałem na posągu w świątyni, i po symbolu na piersiach. Miała szatę barwy krwi i miodową skórę. Jej oczy błyszczały jak promienie słońca na falach Nilu. Była niewypowiedzianie piękna.

Wiele widziałem wyobrażeń bogów w moim dziewiętnastoletnim życiu, lecz nigdy jeszcze nie stałem oko w oko z boginią. Targały mną sprzeczne emocje: lęk i spokój, oszołomienie i dziwna pewność siebie. Nieziemski powab bogini wzbudzał we mnie równie nieziemską namiętność, niepodobną do żadnego z dotychczasowych przeżyć.

Zimny sarkofag z granitu rozpląnął się, zastąpiony przez bezkres czegoś miękkiego, ciepłego i giętkiego, niczym futro żywego zwierzęcia – gdyby mogło objąć całą Ziemię.

Zdjęła koronę i zawiesiła ją na jednej z błyszczących nad nami gwiazd. Czerwona szata spłynęła z niej z cichym szelestem i upadła do kostek. Bogini legła obok mnie.

W Efezie poznałem cieleśnie mą pierwszą kobietę, na Rodos – pierwszego mężczyznę. W Halikarnasie Bitona wtajemniczyła mnie w miłosne arkana, a w Babilonie kochałem się z kapłanką Isztar.

Ale... bogini???

Żadne słowa nie opiszą tego, co było potem; nie będę nawet próbował tego wyrazić. Herodot miał ulubioną formułkę – używał jej, omijając kwestię, w której zobowiązano go do milczenia: wiem o czymś, ale nie wypada mi o tym mówić.

Rzeknę więc tyle i ani słowa więcej: w miejscu i chwili poza czasem i przestrzenią ja i Izyda staliśmy się jednością. Może to się nigdy nie zdarzyło. Może dzieje się cały czas.

Pomału wracałem na ten świat, aż w końcu znów poczułem pod sobą twardy i zimny granit. Słyszałem bicie własnego serca. Otworzyłem oczy i ujrzałem ciemność – nie tę ze snów czy z podziemnego świata, lecz codzienną, doczesną, niebudzący strachu zwykły brak światła.

Wstałem. Jeśli nawet odpłynąłem gdzieś na chwilę z mego ciała, to teraz już bez wątpienia do niego wróciłem. Nogi bolały mnie od wspinaczki, ramiona i kark ścierpły od leżenia na kamieniu, a kręgosłup cierpiał po ujeżdżaniu wielbłąda plujki.

Ile czasu minęło? Godzina, dzień, miesiąc? Nie miałem pojęcia. Równie dobrze mogło być tak, że umarłem i narodziłem się na nowo.

Po omacku odszukałem wylot tunelu i podciągając się na linie, powoli dotarłem do wyjścia. Uniosłem płytę. Zaskoczyło mnie blade światło, takie samo jak wtedy, gdy wchodziłem do piramidy. Czyżbym był w środku zaledwie kilka minut? Zaraz jednak zorientowałem się po miękkim świetle padającym na góry Libii, że to brzask, nie zmierzch. Daleko w dole widziałem kiwające ospale łbami wielbłądy pogrążone we śnie, a między nimi opatulonych w koce Antypatra i pozostałych. Łysina kapłana Izydy lśniła różem w pierwszych promieniach świtu.

Postanowiłem ich nie budzić. Odwróciłem się i wspiałem na szczyt najszybciej, jak potrafiłem. Ilu ludzi może się pochwalić tym, że podziwiali wschód słońca ze szczytu Wielkiej Piramidy? Tę wyjątkową chwilę, spędzoną w samotności – choć w niejasny sposób czułem obecność Izydy – zapamiętałem na całe życie.

Był też inny powód, dla którego się tu wdrapałem. Chciałem jeszcze raz przyjrzeć się wielkiej wydmie leżącej pomiędzy świątyniami. Wyglądała

tak, jak ją zapamiętałem. Niemal widziałem to, co się w niej schowało, jak gdyby boski wiatr tylko dla mnie zdmuchnął masy piachu. Tyłem do piramid i twarzą do Nilu, jak mówiła zagadka. Widział to każdy, kto przechodził – nie dało się przeoczyć wydmy tak wielkiej, że z bliska przesłaniała piramidę. Mimo to pozostawało niewidoczne, nikt bowiem nie zdawał sobie sprawy, co kryje się w jej wnętrzu. Któż nie słyszał o słynnej łamigłówce dla Edypa? Chyba wszyscy ją znają – a nikt nie wiedział, że ten sfinks istnieje.

Przez ile wieków ten pomnik, bez wątpienia większy od wszystkich sfinksów egipskich, tkwił zagrzebany w piachu? Widać na tyle długo, że o nim zapomniano. Lud Egiptu nie pamiętał już o ogromnym monumencie strzegącym świątyń i piramid na płaskowyżu. Pamięć o nim przetrwała jedynie w formie zagadki, na którą nikt nie znał odpowiedzi.

Teraz, gdy już wiedziałem, co kryje, kształt wydmy wydawał mi się oczywisty, jak każdemu, kto patrzyłby na nią z perspektywy Wielkiej Piramidy. Tam widać zarys bioder, tu przednie łapy i wielką, dumną głowę, bez wątpienia zwieńczoną wielką nemes. Nie mylił się Antypater, mówiąc, że rozwiązanie każdej zagadki staje się oczywiste, gdy już się je pozna.

Z dołu dobiegł mnie stłumiony okrzyk. Moi towarzysze zbudzili się już i krzatali w obozowisku. Djal podniósł głowę i patrzył na mnie. Nawet z tej odległości widziałem jego żalną minę.

Spojrzałem jeszcze raz na panoramę i zszedłem z piramidy, by przekazać towarzyszom radosną nowinę.

Korzystając z tego, że festyn zatrzymuje wszystkich w Memfis i na płaskowyżu nie ma nikogo prócz nas, kapłan niezwłocznie sprowadził brygadę robotników do usunięcia piasku z najwyższego punktu wydmy.

Kopali bez przerwy cały dzień i w końcu drewniane łopaty natrafiły na kamień. Do późnego popołudnia udało im się odkryć czubek głowy posągu.

Sądząc po śladach, ogromne nemes musiało być niegdyś zwieńczone jakimś ornamentem, który dawno temu ktoś odłamał lub skruszył go czas. Kapłan uznał, że musiała to być prężąca się do ataku kobra, jaką często się widuje na sfinksach.

Gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, duchowny nakazał ludziom na powrót zakopać to, co odsłonili. Jeśli trzeba, pracujcie przez całą noc – powiedział im. – Nie skończycie, dopóki po posągu nie zniknie wszelki ślad.

– Przecież powinni odkopać go całego! – oponowałem. – Czemu chcesz zmarnować tyle pracy? Nie chcesz zobaczyć go w całej okazałości? Oczywiście prace zajmą pewnie wiele, wiele dni...

– Co bogowie postanowili ukryć, pozostanie ukryte, dopóki nie naradzę się z innymi kapłanami i nie poznam woli Izydy. Odkopano dość, bym się przekonał, że druga zagadka rzeczywiście została rozwiązana. Każdy świadek musi przysiąc milczenie, włączając w to ciebie... – spojrzał groźnie na naszego przewodnika -...i ciebie również, młody Rzymianinie.

– Przecież wiemy, co sądzi o tym Izyda – odparłem. – To ona mnie oświeciła. Ba! Nawet z nią... – W porę ugryzłem się w język i nie powiedziałem już nic więcej.

Towarzysze wypytywali mnie o przeżycia w piramidzie. Opowiedziałem im, jak umiałem, pomijając intymne chwile z boginią. Było to przeżycie zbyt osobiste i nie do opisanego, a poza tym uznałem, że dla śmiertelnika zaszczyconego randką z bóstwem lepiej będzie nie paplać o tym na prawo i lewo.

Kapłan nie dał się przekonać. Ugościł nas w swoim mieszkaniu przy świątyni, zostawiając kopaczy ich zajęciu. Sfinks miał na razie pozostać w ukryciu.

– Jutro udam się do Memfis – obwieścił kapłan. – Oświadczę Mhotepowi, że zagadka została rozwiązana, i nakażę mu zwrócić mumię.

– Jak chcesz go przekonać?

– O to się nie martw. Nagrodą dla ciebie, Gordianusie, niech będzie rola, jaką odegrałeś w ocaleniu Djala.

– Ja już swoją nagrodę otrzymałem – odparłem, wspominając cudowne przeżycie z Izydą.

– Jak to? – zdziwił się kapłan.

Pozostali nastawili uszy.

– To musi pozostać zagadką, na którą nigdy nie znajdziecie odpowiedzi. -Na piętrze! Dlaczego znowu nam dali izbę na piętrze? – zrzędził Antypater, trzymając się poręczy i schodząc stopień po stopniu.

Po naszej przygodzie w piramidzie długo nie mógł dojść do siebie; bolały go wszystkie członki i ledwo się ruszał, toteż większość czasu spędzał w łóżku. Tego dnia zgodził się wynurzyć z karczmy na świat, otrzymaliśmy bowiem wyjątkowe zaproszenie.

Spacer przez miasto chyba dobrze mu zrobił, choć utyskiwaniom wciąż nie było końca. Obce widoki i wonie pobudziły nas obu. Przechodząc obok świątyni Serapisa, zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na sfinksy.

– Mistrzu, możesz sobie wyobrazić podobną rzeźbę powiększoną do tak niebotycznych rozmiarów? Gdy sfinks z wydmy ujrzy światło dzienne, ludzie nazwą go wielkim i będą się tu zjeżdżać z całego świata. Jeśli zaś jest tak piękny jak ten tutaj, z pewnością zasłuży na miejsce wśród cudów świata. Czemu właściwie jeszcze nie jest na liście?

– Kiedy tworzono listę cudów, nikt nie wiedział o jego istnieniu. Piasek musiał go skrywać już w czasach Herodota, inaczej wspomniałby o nim przecież w swym dziele. Sądzę jednak, Gordianusie, że zostanie odkopany jeszcze za twego życia. Choćby nasz kapłan nie pisał o nim słówkiem

nikomu, wygada się jeden z robotników, wieść się rozniesie i prędzej czy później ciekawość zmoże nawet najbardziej konserwatywnych kapłanów. Może nawet sam król Ptolemeusz nakaze go odsłonić.

– Prędzej jakiś ambitny rzymski namiestnik, gdy już podbijemy Egipt – mruknąłem.

– Co proszę?

– Nic takiego.

Myśl, że pewnego dnia wrócę do Egiptu i będę mógł podziwiać wielkiego sfinksa w całej okazałości, podniosła mnie na duchu. Podjęliśmy spacer do domu Djala.

Jego gniazdko okazało się skromne, lecz pięknie położone na wzgórzu nad Nilem. Otworzyła nam mała dziewczynka, córka gospodarza, i zaprowadziła nas do ogrodu, w którym nasz nowy znajomy siedział zapatrzony na rybackie łodzie na rzece i pola uprawne na-Na piętrze! Dlaczego znowu nam dali izbę na piętrze? – zrzędził Antypater, trzymając się poręczy i schodząc stopień po stopniu.

Po naszej przygodzie w piramidzie długo nie mógł dojść do siebie; bolały go wszystkie członki i ledwo się ruszał, toteż większość czasu spędzał w łóżku. Tego dnia zgodził się wynurzyć z karczmy na świat, otrzymaliśmy bowiem wyjątkowe zaproszenie.

Spacer przez miasto chyba dobrze mu zrobił, choć utyskiwaniom wciąż nie było końca. Obce widoki i wonie pobudziły nas obu. Przechodząc obok świątyni Serapisa, zatrzymaliśmy się, by popatrzeć na sfinksy.

– Mistrzu, możesz sobie wyobrazić podobną rzeźbę powiększoną do tak niebotycznych rozmiarów? Gdy sfinks z wydmy ujrzy światło dzienne, ludzie nazwą go wielkim i będą się tu zjeżdżać z całego świata. Jeśli zaś jest tak piękny jak ten tutaj, z pewnością zasłuży na miejsce wśród cudów świata. Czemu właściwie jeszcze nie jest na liście?

– Kiedy tworzono listę cudów, nikt nie wiedział o jego istnieniu. Piasek musiał go skrywać już w czasach Herodota, inaczej wspomniałby o nim przecież w swym dziele. Sądzę jednak, Gordianusie, że zostanie odkopany jeszcze za twego życia. Choćby nasz kapłan nie pisał o nim słówkiem nikomu, wygada się jeden z robotników, wieść się rozniesie i prędzej czy później ciekawość zmoże nawet najbardziej konserwatywnych kapłanów. Może nawet sam król Ptolemeusz nakaze go odsłonić.

– Prędzej jakiś ambitny rzymski namiestnik, gdy już podbijemy Egipt – mruknąłem.

– Co proszę?

– Nic takiego.

Myśl, że pewnego dnia wrócę do Egiptu i będę mógł podziwiać wielkiego sfinksa w całej okazałości, podniosła mnie na duchu. Podjęliśmy spacer do domu Djalą.

Jego gniazdko okazało się skromne, lecz pięknie położone na wzgórzu nad Nilem. Otworzyła nam mała dziewczynka, córka gospodarza, i zaprowadziła nas do ogrodu, w którym nasz nowy znajomy siedział zapatrzony na rybackie łodzie na rzece i pola uprawne na drugim brzegu. Na nasz widok zerwał się ze stołka i uściskał nas tak przyjaźnie, że poeta aż jęknął i pomacał się po żebrach, czy aby któreś mu nie pękło po takim niedźwiedzim potraktowaniu.

– Cóż to za wspaniały aromat? – zagailem.

– Dziękczynny posiłek, który przygotowała dla nas moja żona.

– Twoja żona? Myślałem, że...

– Owszem, chorowała, ale nastąpiła znaczna poprawa. Wszyscy lepiej się czujemy, odkąd mumia wróciła do domu. Zobaczcie sami!

Zaprowadził nas do jadalni, gdzie u szczytu stołu stał już nieboszczyk w opartej o ścianę trumnie.

– Ojcie, to Gordianus z Rzymu, który cię uratował – przedstawił mnie Djal. Gordianusie, oto mój ojciec.

Nigdy dotąd nie widziałem mumii, a tym bardziej nie wszedłem z żadną w bliższą znajomość. Wiele dziwnych rzeczy spotkało mnie w tym najstarszym kraju świata...

Zbliżyłem się do szacownego przodka i skłoniłem lekko. Wyglądało na to, że czas spędzony w niewoli nie odcisnął na nim' wielkiego piętna. Bandaże miał czyste, a twarz wyjątkowo dobrze zachowaną. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle zamrugał i coś powiedział. W Egipcie wszystko się mogło zdarzyć.

Dziewczynka wbiegła do izby.

– Tatusiu! Tatusiu! Chodź, zobacz!

Wróciliśmy do ogrodu i spostrzegliśmy, że Nil się odmienił. Dotąd statyczny i płaski jak lustro, teraz popluskował wesoło, a całą powierzchnię marszczyły drobne falki. Rybacy na łodziach wymachiwali rękami i wznosili radosne okrzyki. Pola pełne były uwijających się w pośpiechu rolników. W ruch poszły rozmaite urządzenia napędzane kołami wodnymi. Suche dotąd kanały irygacyjne rozblęły słonecznymi odbłaskami na wodzie.

– Wylew! – wyszeptał Djal. – Nadszedł wreszcie wylew, a mój ojciec znów jest w domu!

Padł na kolana i zapłakał z radości.

– Chodźcie! – zawołała dziewczynka i pociągnęła mnie ścieżką ku rzece. drugim brzegu. Na nasz widok zerwał się ze stołka i uściskał nas tak przyjaźnie, że poeta aż jęknął i pomacał się po żebrach, czy aby któreś mu nie pękło po takim niedźwiedzim potraktowaniu.

– Cóż to za wspaniały aromat? – zagailem.

– Dziękczynny posiłek, który przygotowała dla nas moja żona.

– Twoja żona? Myślałem, że...

– Owszem, chorowała, ale nastąpiła znaczna poprawa. Wszyscy lepiej się czujemy, odkąd mumia wróciła do domu. Zobaczcie sami!

Zaprowadził nas do jadalni, gdzie u szczytu stołu stał już nieboszczyk w opartej o ścianę trumnie.

– Ojczy, to Gordianus z Rzymu, który cię uratował – przedstawił mnie Djal. Gordianusie, oto mój ojciec.

Nigdy dotąd nie widziałem mumii, a tym bardziej nie wszedłem z żadną w bliższą znajomość. Wiele dziwnych rzeczy spotkało mnie w tym najstarszym kraju świata...

Zbliżyłem się do szacownego przodka i skłoniłem lekko. Wyglądało na to, że czas spędzony w niewoli nie odcisnął na nim wielkiego piętna. Bandaże miał czyste, a twarz wyjątkowo dobrze zachowaną. Nie zdziwiłbym się, gdyby nagle zamrugał i coś powiedział. W Egipcie wszystko się mogło zdarzyć.

Dziewczynka wbiegła do izby.

– Tatusiu! Tatusiu! Chodź, zobacz!

Wróciliśmy do ogrodu i spostrzegliśmy, że Nil się odmienił. Dotąd statyczny i płaski jak lustro, teraz popluskował wesoło, a całą powierzchnię marszczyły drobne falki. Rybacy na łodziach wymachiwali rękami i wznosili radosne okrzyki. Pola pełne były uwijających się w pośpiechu rolników. W ruch poszły rozmaite urządzenia napędzane kołami wodnymi. Suche dotąd kanały irygacyjne rozblęły słonecznymi odblaskami na wodzie.

– Wylew! – wyszeptał Djal. – Nadszedł wreszcie wylew, a mój ojciec znów jest w domu!

Padł na kolana i zapłakał z radości.

– Chodźcie! – zawołała dziewczynka i pociągnęła mnie ścieżką ku rzece. Antypater starał się za nami nadążyć; słyszałem za plecami jego pomruki. Na błotnistym brzegu zrzuciliśmy sandały i weszliśmy do Nilu. Woda zmieniała barwę z zielonej na brązową i rosła, wpierw sięgając mi do kostek, potem do łydek.

Zewsząd dochodziły nas okrzyki radości i dziękczynne modły do Izydy. Wpatrywałem się urzeczony w lśniąca taflę wody. Przez chwilę wśród fal i blasków mignęła mi twarz bogini. Uśmiechnęła się do mnie i zniknęła.

IX

ZWIERCIADŁO PRAWDĘ CI POWIE (Latarnia Faros)

Dlaczego siedem? – zapytałem.

– Co tam znowu? – mruknął Antypater, przysypiający akurat w południowym skwarze.

Płynęliśmy zatłoczoną łodzią z Memfis do Aleksandrii. Większą część drogi – spływ Nilem i zachodnią odnogą Deltą – mieliśmy już za sobą i teraz posuwaliśmy się otwartym morzem na zachód wzdłuż brzegu, niskiego i płaskiego tutaj jak i ono. Słoneczny żar zdawał się wysysać z krajobrazu wszelkie barwy. Woda i niebo miały delikatny, niemal biały odcień lazuru.

– Czemu na liście jest akurat siedem cudów? Dlaczego nie sześć, osiem czy dziesięć?

Mój mentor, od razu ożywiony, odchrząknął i zaczął wykład:

– Siódemka to święta liczba, najdoskonalsza ze wszystkich, o czym wie każdy wykształcony człowiek. Jak żadna inna powtarza się cyklicznie i znacząco tak w przyrodzie, jak i w historii.

– Niby jak?

– Oj, chłopcze, jestem poetą, nie matematykiem. Czytałem jednak kiedyś traktat Arystobulosa z Paneas o znaczeniu tej liczby. Pamiętam na przykład, że tyle właśnie dni ma żydowski kalendarz i że już Homer oraz Hezjod przypisywali jej szczególną rolę w biegu zdarzeń. No i mamy

siedem planet na niebie. Wymieniłybyś je? Po grecku oczywiście. -Helios, Selene, Hermes, Afrodyta, Ares, Zeus i Kronos.

Antypater łaskawie kiwnął głową, po czym kontynuował:

– Najważniejsza konstelacja, Wielka Niedźwiedzica, ma siedem gwiazd. My, Grecy, czcimy siedmiu mędrców, a twój Rzym rozsiadł się na siedmiu wzgórzach. Ajschylos napisał Siedmiu przeciw Tebom, słynną sztukę o wielkich bohaterach, a w czasach króla Minosa co roku wysyłano siedmiu ateńskich młodzieńców i siedem dziewcząt na pożarcie kreteńskiemu Minotaurowi. Tu zaś, w Egipcie, Deltę świętego dla tubylców Nilu tworzy jego siedem ramion. Mógłbym tak jeszcze długo wymieniać... ale sam chyba widzisz, że lista siedmiu cudów nie jest niczym wymysłem, tylko po prostu odbiciem naturalnego porządku rzeczy.

– Ale czemu wybrano akurat te? – drążyłem.

– Teraz, kiedy już je wszystkie zobaczyliśmy, z pewnością rozumiesz, dlaczego każdy z nich znalazł się na tej liście – odparł nauczyciel z akcentowaną cierpliwością w głosie.

– No dobrze, to w takim razie kto, kiedy i dlaczego ją sporządził? – nie dałem się zbić z pantałyku. – Lista jest z pewnością bardzo stara.

– Gdy ją w dzieciństwie wkuwałem, najstarsi ludzie nie pamiętali, kiedy powstała. – Antypater uśmiechnął się, zupełnie już rozbudzony, nic bowiem (oprócz recytowania własnych wierszy) nie sprawiało mu takiej przyjemności jak nauczanie. – Nie może jednak istnieć dłużej niż najmłodsza budowla w niej wymieniona, czyli Kolos Rodyjski, wzniesiony jakieś dwieście lat temu.

– No dobrze, a co z jej twórcą i przyczyną jej powstania?

– Tego nie wiemy na pewno, ale mam swoją teorię – rzekł wyraźnie zadowolony z siebie.

– Teorię? Dlaczego nigdy o niej nie wspomniałeś?

– Bo przedtem chciałem je wszystkie na świeżo zobaczyć, a i tak wymaga pewnych badań. Między innymi dlatego właśnie jedziemy do Aleksandrii. Tuszę, że zdobędę dostęp do słynnej Biblioteki, bo chciałbym zajrzeć do kilku starożytnych źródeł i porozmawiać z kilkoma uczonymi, żeby się utwierdzić co do zasadności mojej hipotezy o początkach listy. Ale spójrz! – Nagle starzec podniósł rękę. – Tam! Widzisz to?

Przed nami, trochę na lewo, tuż nad linią horyzontu zajaśniał jakiś świetlisty punkt. Gwiazda w samo południe?

– Co to może być? – szepnąłem, patrząc zafascynowany na gwiazdę-niegwiazdę, raz po raz błyskającą snopem światła.

– Przed nami Faros! – oznajmił Antypater.

– Faros...? – Wzięła nazwę od skalistej wyspy, na której stoi, przed samym portem aleksandryjskim. Miasto założył Aleksander Wielki, ale to jego następcy, Ptolemeuszowi, zawdzięcza ono wspaniałe świątynie i posągi. Najwspanialsza zaś... a na pewno najbardziej widoczna... była budowla, jakiej oko ludzkie jeszcze nie widziało... strzelista wieża ze światłem na szczycie, która pomagała statkom bezpiecznie dotrzeć do Ptolemeuszowej stolicy. Nazwano ją latarnią morską. W ciągu dwustu lat od jej wzniesienia podobne pobudowano w wielu miejscach na świecie, gdzie żeglarzom potrzebne jest takie światło przewodnie, żadna jednak nie przewyższa pierwowzoru, który właśnie odsłonił się naszym oczom.

– Ależ to musi być jeszcze daleko, bo nie widać ani śladu miasta!

– Na otwartym morzu blask Faros widać na trzysta stadiów, czyli dobre trzydzieści mil rzymskich – wyjaśniał mój niezmordowany mentor.

– Ale jak to światło powstaje? – zapytałem zaintrygowany. – Ogień przecież nie może płonąć tak jasno.

– Za dnia wytwarza je zestaw ogromnych zwierciadeł z brązu i srebra, ustawianych pod takim kątem, by odbijały promienie słoneczne. Nocą zaś

podtrzymuje się stale ogień w wieży, a lustra zwielokrotniają jego jasność.

– Fantastyczne – szepnąłem, niezdolny oderwać wzroku od tego niezwykłego światła. Raz po raz zamazywało się w drżącym od gorąca powietrzu i oparach unoszących się znad nagrzanej wody, było jednak mocne i stałe, a w miarę jak zbliżaliśmy się do główek portu, coraz jaśniejsze.

W końcu zacząłem rozróżniać miniaturowe elementy nadmorskiego miasta – statki kotwiczące w porcie, okalające je mury i baszty, majestatyczną świątynię w oddali na wzgórzu – i tę najwspanialszą, latarnię Faros u wejścia do portu. Początkowo oczy mnie zwiodły i myślałem, że jest mniejsza, kiedy się jednak zbliżyliśmy i perspektywa zyskała właściwą głębię, ogrom wieży mnie oszołomił. Porównałem ją w myśli do Mauzoleum halikarnaskiego, ale musiała być przynajmniej dwa, trzy razy wyższa.

– Musi być pewnie tak wysoka jak Wielka Piramida – odezwałem się zachwycony.

Usłyszałem za sobą stłumiony chichot, a potem słowa wypowiedziane rozbawionym tonem:

– Niezupełnie, przynajmniej wedle tych, którzy mają wiedzę i instrumenty do pomiarów takich budowli.

Oderwałem wreszcie wzrok od latarni i spojrzałem na uśmiechniętego pasażera, który dołączył do nas przy burcie. Jego białe zęby i naszyjnik ze srebra i lapis-lazuli ostro kontrastowały z hebanową skórą, a wrażenie potęgowała jeszcze kompletnie łyśa czaszka. Nie mogłem określić, w jakim jest wieku, na pewno nie był jednak młody – w brwiach dostrzegłem białe włoski. Jego nieskazitelna greka miała wytworny – czy może, jak na moje rzymskie ucho, afektowany – akcent dobrze wykształconego Aleksandryjczyka.

– Zwą mnie Izydor – przedstawił się. – Wybacz moją reakcję, ale rozmawialiście dość głośno i mimo woli wszystko słyszałem. Naprawdę widzieliście wszystkie siedem cudów świata?

– Tak jest – odparł Antypater.

– Nadzwyczajne! Wspomniałeś, zdaje się, o Bibliotece i swoim pragnieniu zwiedzenia jej – ciągnął mężczyzna.

– Owszem. – Mój mentor spojrział nań badawczo.

– Tak się składa, że tam właśnie pracuję. Mogę ci ułatwić uzyskanie pozwolenia na wejście... chyba że nie jest ci to potrzebne?

– Tak naprawdę każda pomoc będzie mile widziana – zapalił się starzec.

– Pozwól, że się przedstawię, Zotikos z Zeugmy. Niestety, nie jestem znanym uczonym, lecz tylko skromnym nauczycielem. To mój wychowanek... a raczej były uczeń, gdyż Gordianus wyrósł już z wieku szkolnego.

– Rzymianin? – spytał Izydor.

Skinąłem głową. Mój akcent zawsze mnie zdradzi.

– Pracujesz więc w Bibliotece? – Antypater szybko zmienił temat. – Sądziłem, że jej uczonym rzadko dane jest opuszczać Aleksandrię, a i to jedynie w oficjalnych delegacjach zatwierdzonych przez króla Ptolemeusza.

– I nie myliłeś się. Wracam właśnie z podróży w górę Nilu do Teb. W trakcie prac ziemnych przy budowie świątyni odkryto tam w zakopanym dzbanie jakieś zwoje. Wyglądały na bardzo stare, wysłano mnie zatem po nie, żebyśmy mogli oszacować ich wartość, skopiować i włączyć do naszych zbiorów.

Teraz zauważyłem, że przez ramię ma przewieszony skórzany futerał na zwoje, do złudzenia przypominający rzymską capsę.

– Fascynujące – entuzjasmował się mój mistrz. – Czy wiadomo już, jakiego to rodzaju dokumenty?

– Nie ekscytuj się tak, przyjacielu. – Izydor się roześmiał. – Są w bardzo złym stanie. Skrybowie będą mieli z nimi nie lada problem... atrament jest mocno spłowiały i w tekście jest sporo luk. Z moich pobieżnych oględzin wynika, że to codzienna korespondencja pomniejszych urzędników jakiegoś starożytnego faraona, którego dziś już nikt nie pamięta. Obawiam się, że ósmego cudu z nich nie będzie.

– Skoro już mowa o cudach... – Znów spojrzałem na latarnię, która teraz już wydawała mi się wprost niebosięzna. – Jak to możliwe, że ten dziw nad dziwy nie znalazł się na liście?

– Z pewnością my, Aleksandryjczycy, jesteśmy bardzo dumni z Faros. – Izydor bezwiednie wypiął pierś. – Ale od razu ci powiem, że daleko jej do rozmiarów piramid. Inna rzecz, że to budowle o nadzwyczaj solidnej, litej konstrukcji z kamiennych bloków ułożonych warstwami. Przy takiej technologii, jeśli zaprojektujesz wystarczająco szeroką podstawę i masz do dyspozycji bardzo dużo kamienia, możesz budować choćby pod niebo, a konstrukcja zawsze będzie stabilna jak mój wychowanek... a raczej były uczeń, gdyż Gordianus wyrósł już z wieku szkolnego.

– Rzymianin? – spytał Izydor.

Skinąłem głową. Mój akcent zawsze mnie zdradzi.

– Pracujesz więc w Bibliotece? – Antypater szybko zmienił temat. – Sądziłem, że jej uczonym rzadko dane jest opuszczać Aleksandrię, a i to jedynie w oficjalnych delegacjach zatwierdzonych przez króla Ptolemeusza.

– I nie myliłeś się. Wracam właśnie z podróży w górę Nilu do Teb. W trakcie prac ziemnych przy budowie świątyni odkryto tam w zakopanym dzbanie jakieś zwoje. Wyglądały na bardzo stare, wysłano mnie zatem po nie, żebyśmy mogli oszacować ich wartość, skopiować i włączyć do naszych zbiorów.

Teraz zauważyłem, że przez ramię ma przewieszony skórzany futerał na zwoje, do złudzenia przypominający rzymską capsę.

– Fascynujące – entuzjazmował się mój mistrz. – Czy wiadomo już, jakiego to rodzaju dokumenty?

– Nie ekscytuj się tak, przyjacielu. – Izydor się roześmiał. – Są w bardzo złym stanie. Skrybowie będą mieli z nimi nie lada problem... atrament jest mocno spłowiały i w tekście jest sporo luk. Z moich pobieżnych oględzin wynika, że to codzienna korespondencja pomniejszych urzędników jakiegoś starożytnego faraona, którego dziś już nikt nie pamięta. Obawiam się, że ósmego cudu z nich nie będzie.

– Skoro już mowa o cudach... – Znów spojrzałem na latarnię, która teraz już wydawała mi się wprost niebosiężna. – Jak to możliwe, że ten dziw nad dziwy nie znalazł się na liście?

– Z pewnością my, Aleksandryjczycy, jesteśmy bardzo dumni z Faros. – Izydor bezwiednie wypiął pierś. – Ale od razu ci powiem, że daleko jej do rozmiarów piramid. Inna rzecz, że to budowle o nadzwyczaj solidnej, litej konstrukcji z kamiennych bloków ułożonych warstwami. Przy takiej technologii, jeśli zaprojektujesz wystarczająco szeroką podstawę i masz do dyspozycji bardzo dużo kamienia, możesz budować choćby pod niebo, a konstrukcja zawsze będzie stabilna jak skała. Ale jest to z definicji li tylko monument, a nie prawdziwy budynek, taki z korytarzami, oknami i schodami, użyteczny dla ludzi. Nasza latarnia zaś jest właśnie taka. W środku na różnych poziomach są setki pomieszczeń... magazyny na opał, warsztaty naprawcze i konserwacyjne, bo tego wymaga skomplikowany mechanizm optyczny, a wreszcie stołówki dla pracowników, a także zbrojownia i koszary dla załogi, bo Faros ma też własną straż. Latarnia nie powstała tylko po to, by cieszyć oko podróżnych. Ona pracuje, żyje własnym życiem.

Gdy podpłynęliśmy bliżej, rzeczywiście stwierdziłem, że wokół latarni panuje ożywiony ruch; milites i robotnicy uwijali się po całej wysepce, na długiej rampie prowadzącej do wieży i na galeriach kolejnych pięter. Wartownicy nosili egzotyczne zbroje, łączące elementy greckie i egipskie, robotnicy zaś byli odziani w jednakowe zielone czapki i także tuniki, ciemniejsze o parę odcieni.

Mogłem teraz przyjrzeć się uważniej detalom latarni. Budowlę wzniesiono z ogromnych bloków białego kamienia, zdobiona była czerwonym granitem, a wejście obramowywały masywne kolumny różowawego koloru. Samą wieżę posadowiono na ustawionych jedna na drugiej platformach. Najniższa i największa była kwadratowa; cztery jej ściany łagodnie zwężały się ku górze, zwieńczone kunsztownie zdobionymi blankami. W każdym z czterech rogów stał posąg gigantycznego trytona z trójzębem w jednym ręku, dmącego w muszlę trzymaną w drugim. Środkowa platforma, ośmioboczna, była nieco niższa, ostatnia zaś, o kształcie cylindra, najniższa z trzech. Na niej właśnie stała latarnia – jej mechanizm, o którym wspomniał Izydor, mieścił się w otoczonej kolumnadą wieżycze przypominającej okrągłą świątynię. Całość wieńczył pozłacany posąg – z tej odległości nie byłem pewien, które z bóstw przedstawia.

Zauważywszy, że zadzieram głowę i wyteżam wzrok, Antypater przyszedł mi z pomocą:

– To posąg Zeusa Wybawiciela, czczonego przez żeglarzy w wielu nadmorskich świątyniach. W jednym ręku dzierży piorun, symbol jego wszechwładzy na lądach i morzach... wiadomo bowiem, że niczego marynarz nie boi się tak, jak burzy z piorunami. Róg obfitości drugim ręku Gromowładnego symbolizuje jego łaskawość i owoce handlu, albowiem jego błogosławieństwa pragnie każdy, kto przewozi morzem towary.

Przymrużyłem oczy i osłoniłem je dłonią, ale za nic nie mogłem rozróżnić opisywanych przez poetę szczegółów.

– I ty to wszystko dostrzegasz, mistrzu? – zdziwiłem się, bo przecież jego wzrok nie sięgał już tak daleko jak mój.

– Widzę jedynie połysk złota na szczycie latarni, młodzieńcze. – Antypater zaśmiał się z autoironią. – Opis tego posągu zaczerpnąłem ze słynnego epigramatu Posejdipposa... który i ty powinienesz pamiętać, uczyłem cię go przecież. Izydorze, ty z pewnością go znasz.

– A jakże – potwierdził uczony i skwapliwie zadeklamował swoim eleganckim akcentem:

Na świętej Proteusza wyspie zbudował Sostratos Knidyjczyk tę Greków zbawczynię, płomienny znak Faros. Bo egipski brzeg nagi, próżno tam wzgórz wypatrywać – A pod Aleksandrią niejedna czyha rafa zdradliwa. Ale Faros na niebie niczym boska dłoń uniesiona Za dnia słońca promieniem, ogniem w noc oświetlona Drogę wskaże żeglarzom, a gdzie Byczy Róg w fali Skryty, Zeus znak da spod nieba i łódź kruchą ocali.

– Byczy róg? Cóż to takiego? – spytałem.

Zamiast odpowiedzieć, Izydor popatrzył bacznie na morze przed dziobem i chwycił się nadburcia.

– Za chwilę sam zobaczysz, Gordianusie – stwierdził. – Trzymaj się mocno!

Poszliśmy z Antypatrem za jego przykładem, choć nie widziałem takiej potrzeby: statek powoli wpływał do portu, miejsca między główkami falochronu było wystarczająco dużo, a wokoło jak okiem sięgnąć ani żadnej łodzi, ani innego zagrożenia...

Raptem wysoko nad nami rozbrzmiał gromki sygnał rogu. Poderwałem głowę... Jakież było moje zdumienie, gdy zrozumiałem, że dźwięk dobywa się z muszli w ręku najbliższego z trytonów. Statek położył się w ciasnym

zwrocie i całej naszej trójce dostało się bryzgiem piany. Gdy przetarłem oczy, ujrzałem poszarpaną skałę, którą nasz kapitan ominął tym zręcznym manewrem. Rzeczywiście przypominała wynurzający się z kipieli róg byka.

– Co to było? – spytałem zdziwiony.

– Wartownicy na Faros obserwują każdy przybywający i wypływający statek wyjaśnił Izydor. – Nasz kapitan ma wielkie doświadczenie na tej trasie i sam dałby sobie radę, ale na wszelki wypadek warta ostrzega w ten sposób każdego, kto się zbliża do tego niebezpiecznego miejsca.

– No dobrze, ale w jaki sposób posąg może dąć w róg?

– A, to kolejny z dziwów Faros – uśmiechnął się Aleksandryczyk. – W Bibliotece przechowywany jest pewien traktat opisujący budowę i działanie trytonów, ale król Ptolemeusz ściśle ogranicza dostęp do niego. Zasady pneumatyki, jak się nazywa tę dziedzinę wiedzy, objęte są tajemnicą państwową. Mogę ci tylko powiedzieć, że każdy z trytonów wydaje inny dźwięk. Można więc przesyłać różne sygnały, gdy rogi zagrają jednogłośnie albo wygrywają sekwencję dźwięków, albo dźwięki różnej długości. Tutejsi żeglarze wiedzą, które sygnały odnoszą się akurat do nich, jak ten właśnie nadany przed chwilą.

– Fantastyczne – szepnąłem.

– A zauważyłeś, młody człowieku, ruchome zwierciadła rozstawione wzdłuż muru, znaczy między figurami?

Nie zauważyłem. Dopiero gdy o nich powiedział, dostrzegłem przytwierdzone do blanków duże tafle kutego brązu nachylone pod różnymi kątami.

– One też są używane do nadawania sygnałów, ale w odróżnieniu od dźwiękowych te wiadomości mogą być kierowane bezpośrednio do konkretnego statku, a nawet w stronę poszczególnych budynków w mieście,

gdy się odpowiednio wyceluje odbite błyski słońca. Czy macie się gdzie zatrzymać w mieście? – Izydor przeszedł do spraw bardziej praktycznych.

– Na razie nie – odparł Antypater. -Wobec tego zapraszam do mnie. Nie, nie, nalegam!

– Uczony stanowczo uciął protesty mojego mistrza. – Mieszkam w pobliżu Biblioteki. Warunki raczej spartańskie, ale przynajmniej będziecie mieć własny pokój. To z mojej strony propozycja wręcz egoistyczna – dodał. – Ogromnie chciałbym posłuchać opowieści o waszej podróży szlakiem siedmiu cudów, i to ze wszystkimi szczegółami. W zamian zrobię, co będę mógł, abyś otrzymać prawo wstępu do Biblioteki.

– Umowa stoi! – Antypater był w siódmym niebie.

Cóż to za miasto, które umiało się zdobyć na tak wspaniałą budowlę jak Faros? Wpływając do portu, mijaliśmy wysepki, na których rozsiadły się wspaniałe rezydencje pośród pięknych ogrodów. Wszystko to było własnością króla, dodatkiem do jego wielkiego pałacu zajmującego znaczny odcinek wybrzeża. Nigdy jeszcze nie widziałem tak pięknej dzielnicy portowej; wielopiętrowe, wspaniałe zdobione budynki miały szerokie balkony i ogrody na dachach. Na tle nieba rysowały się liczne wieże, frontony świątyń z szeregami posągów i wysmukłe obeliski. W dali, na jedynym większym wzgórzu, majaczyła sylweta jakiegoś wielkiego sanktuarium, nie mniej imponującego niż jakiegokolwiek z tych, które widzieliśmy podczas podróży.

Aleksandria zafascynowała mnie od pierwszego wejrzenia jak żadne inne miasto. Cieszyłem się na następne dni i pragnąłem spenetrować tu każdy zaułek; nie wiedziałem wtedy jeszcze, że spędzimy tu całe miesiące i sposobności po temu będę miał aż nadto. Lokalizację wybrał sam Aleksander Wielki, a prostokątną siatkę szerokich, wysadzanych palmami

ulic ze skrzyżowaniami zdobnymi w fontanny, posągi i obeliski zaprojektował architekt Dejnokrates. Owa świątynia na wzgórzu – zwana Serapejonem, jak się potem dowiedziałem – poświęcona była Serapisowi, bogu łączącemu atrybuty greckiego Zeusa i egipskiego Ozyrysa. I ona, i wszystkie inne w tym mieście wydawały mi się znajome, ale i tchnęły dziką egzotyką. Po wizycie w Memfis nabrałem przekonania, że wszystkie drogi prowadzą nie do Rzymu, lecz właśnie tam, do tego tygła wszystkich możliwych ras i języków – Aleksandria jednak okazała się jeszcze bardziej kosmopolityczna. Jej rynki i stragany obfitowały we wszystko, co tylko człowiek stworzył. Raz na przykład natknąłem się – w jednym sklepie! – na rzymską różdżkę augura, terebintową skrzyneczkę z dawnej Kartaginy, a nawet szatę z jedwabiu, niezwyklej tkaniny sprowadzanej z niewyobrażalnie dalekiej Seriki.

Z punktu widzenia Antypatra jeszcze ważniejsze było, że można tu znaleźć kopię każdej księgi, jaka kiedykolwiek powstała. Wieść niosła, że Biblioteka Ptolemeuszy jest największa w świecie, a to za sprawą ich agresywnej polityki nabywczej. Na każdy statek, jaki zawijał do Aleksandrii, wchodzili celnicy i trzeba im było pokazać wszystkie posiadane zwoje. Porównywali je z głównym spisem i jeśli danego dzieła nie było jeszcze w zbiorach, zabierali do przepisania i dopiero wtedy mogło wrócić do właściciela.

Biblioteka była tylko częścią ogromnej królewskiej instytucji zwanej Muzejonem (po łacinie Muzeum), na cześć dziewięciu Muz i ich darów dla ludzi. W tym rozległym kompleksie można studiować poezję, muzykę, filozofię, historię, astronomię, matematykę, mechanikę, geografę, medycynę i anatomię. W jej długiej historii zapisało się wielu sławnych myślicieli, jak Euklides i Archimedes. Miała w swoich zbiorach niezliczone kamienie szlachetne, bogate zielniki, miniatury rozmaitych budowli, mapy,

oreź różnych nacji i zabalsamowane zwierzęta. Był tam też imponujący zwierzyniec; czasami w bezwietrzne noce dobiegały stamtąd porykiwania scytyjskich turów, wrzaski małp z Nubii, a nawet groźne pomruki tygrysów indyjskich.

Wszystkie te wspaniałości były dla mnie niedostępne – Izydorowi udało się jakimś cudem załatwić przepustkę uczonemu Zotikosowi z Zeugmy, nie był już jednak władny uczynić tego samego dla rzymskiego dziewiętnastolatka, przebywającego w Aleksandrii prywatnie. W dni, kiedy obaj z Antypatrem znikali za bramą królewskiego przybytku wszelkiej wiedzy, musiałem więc sam szukać sobie rozrywek – co w tak ekscytującym mieście nie było trudnym zadaniem. Nieodmiennie co rano zaczynałem jednak od wizyty w dzielnicy portowej, gdzie swoje kantory mają pośrednicy pocztowi, w nadziei że u któregoś zastanę wreszcie odpowiedź ojca na mój list wysłany z Gazy. Dzień po dniu odchodziłem rozczarowany, aż w końcu jeden z nich wyjął zwój z przywieszką: „Dla Gordianusa z Rzymu od ojca”. List był opłacony z góry, więc mogłem go odebrać mimo pustek w sakiewce. Szybko poszedłem do portu, usiadłem na najniższym stopniu nad wodą i ostrożnie rozwinąłem zwój. Przebiegałem wzrokiem treść listu, a czytane słowa przywoływały z pamięci ojcowską twarz i brzmienie jego głosu.

Synu ukochany...

Nic nie sprawiło mi większej radości w ostatnich miesiącach niż Twój list z... do licha, naprawdę jest takie miasto, Gaza? Nigdy o nim nie słyszałem, a tu, proszę – mój syn tam był... i w Babilonie, i w Efezie, i w Olimpi, i w tylu innych miejscach! Twoje relacje z podróży przepelniają mnie radością i zadziwieniem, z solidną domieszką zazdrości.

Za to wieści stąd nie są tak przyjemne. Italia jest rozdarta wojną między Rzymem i jego najstarszymi, najbliższymi sprzymierzeńcami. Podległe

miasta italskie żądają większych udziałów w korzyściach z imperium, a senat nazywa to buntem. W rezultacie mamy rozlew krwi, pożogę i głód.

Ale nie martw się o mnie, dam sobie świetnie radę, póki jestem w Rzymie. Resztę kraju jednak ogarnia chaos, dlatego w mieście brakuje żywności i ludzie czują się niepewnie, a podróżowanie po Italii w tak niespokojny czas w ogóle nie jest łatwe. Krótko mówiąc – jeśli czujesz się bezpieczny w Egipcie i jest Ci tam dobrze, to na razie nie wracaj. Z tą myślą złożyłem w depozycie u Aleksandryjskiego bankiera pewną sumkę z przeznaczeniem dla Ciebie – nie jest tego dużo, ale jeśli nie będziesz rozrzutny, powinno starczyć na parę miesięcy, a wtedy może już będziesz mógł tu wrócić. Do listu dołączyłem wskazówki, jak podjąć pieniądze.

Piszesz, że Antypater ma się dobrze. Doprawdy niezwykły to człek – któż inny w jego wieku porwałby się na taką wyprawę? Tuszę, że udało Ci się zobaczyć Wielką Piramidę i że poczciwy staruszek wdrapał się na sam jej szczyt, a teraz jest z Tobą w Aleksandrii, w dobrym zdrowiu.

Odpisz, kiedy otrzymasz ten list (i pieniądze) – liczę na dobre wiadomości. Poczułem nagle przemożną tęsknotę za domem. Sylweta Faros wydała mi się raptem obca i nierealna, jakbym jej nigdy wcześniej nie widział. Długą chwilę siedziałem bez ruchu, dezorientowany i niepewny, co robić; w końcu jednak zaczęły kiełkować inne emocje – uderzające do głowy poczucie wolności i dreszczyk podniecenia. Jeszcze przed chwilą Aleksandria była dla mnie tylko przystankiem w drodze do domu – teraz na kilka miesięcy miała się stać domem. Zamrugałem kilka razy i Faros przybrała swojski wymiar – chluba największej w świecie metropolii, w której nie byłem już zaledwie turystą, lecz mieszkańcem.

Tego wieczoru, jak już weszło w zwyczaj, jedliśmy kolację we trójkę z panem domu. Jedyna niewolnica Izydora, kucharka i pokojówka zarazem, dolewała nam wina i podawała duszoną rybę, a my gwarzyliśmy

o minionym dniu. Bardzo chciałem przekazać swoje wiadomości pierwszy i gdy przeczytałem na głos list od ojca, wywiązała się dyskusja o napiętej sytuacji w Italii. Izydor z racji swego stanowiska w Bibliotece miał dostęp do wiarygodniejszych informacji niż pogłoski przekazywane z ust do ust na bazarach, ale i on niewiele wiedział.

– Nikt nie jest w stanie przewidzieć skutków tak wyniszczającego konfliktu – stwierdził, lecz widząc moją nieszczęśliwą minę, dodał zaraz, że zawierucha wojenna, która dotknęła prowincji, z pewnością ominie sam Rzym, te zapewnienia jednak tylko wzmogły mój niepokój. Gospodarz taktownie zmienił temat i wyjaśnił, że najlepiej będzie, jeśli zostawię pieniądze przysłane przez ojca pod pieczęć bankiera, i podejmę je tylko w razie potrzeby. – Powinieneś też dla bezpieczeństwa złożyć u niego ważne dokumenty, jak choćby ów list od ojca – poradził.

– I oczywiście musisz papie odpisać – dorzucił Antypater. – Podziękuj mu za troskę o moje zdrowie i nie omieszkaj potwierdzić, że zaiste zdobyłem szczyt Wielkiej Piramidy. – Uśmiechnął się, biorąc łyk wina, po czym zwrócił się do gospodarza: – Izydorze, a tobie jak minął dzień?

– Był dość nużący – westchnął uczony. – Kilka godzin ślęczałem nad fragmentami tego papirusu z Teb, ale okazało się, że to jedynie opis stada wołów należących do masy upadłościowej w procesie o bankructwo. Gdy zapytałem przełożonego, czy mógłbym dostać coś ciekawszego do zrobienia, wywiązała się drobna sprzeczka. Ludzie wyobrażają sobie, że Muzejon i Biblioteka to idylliczna Arkadia, gdzie myśliciele wiodą życie wypełnione wysublimowaną kontemplacją, ale wierzcie mi, że moi czcigodni koledzy potrafią być małostkowi i złośliwi. Jak to sceptyk Tymon określił uczonych ze swoich czasów, czyli sprzed niemal trzech wieków: „Papirusowe gryzpiórki, bez końca skaczące sobie do oczu w tej ptasiej

klatce Muz”. Ech, Zotikosie, przyjacielu, mam nadzieję, że spędziłeś ten dzień sensowniej niż ja.

– Myślę, że tak. – Poeta uśmiechnął się, splatając palce i unosząc dumnie głowę. Jestem już chyba gotów przedstawić moją teorię o pochodzeniu listy siedmiu cudów.

– Doprawdy? – Izydor spojrział nań z zaciekawieniem. – Opowiedz nam więc, proszę.

– Chętnie. Co prawda jest parę luk w mojej kwerendzie, kilka sprzeczności trzeba jeszcze wyjaśnić, ale w ogólnych zarysach wygląda to tak: otóż nikt inny tylko sam Aleksander Wielki nakazał ustalić taką listę, a opracowało ją pierwsze pokolenie uczonych zatrudnionych tu przez pierwszego króla z dynastii Ptolemeuszy.

– Jako Aleksandryjczykowi bardzo mi się to wyjaśnienie podoba – stwierdził Izydor ale jak do tego doszedłeś?

– Pierwszych podejrzeń nabrałem jeszcze przed wyjazdem z Rzymu, ustalając możliwe trasy naszej podróży szlakiem siedmiu cudów. Gdy studiowałem mapy i zaznaczałem położenie każdego z nich, uderzyło mnie, że są tak szeroko rozrzucone po świecie... ale potem dostrzegłem pewną cechę wspólną: wszystkie znajdują się na ziemiach podbitych przez Macedończyka. Jeśli narysujesz linię łączącą te siedem miejsc, otrzymasz w istocie kontury granic tego ogromnego imperium. Grecja, Azja, Persja, Egipt... to był świat Aleksandra, wspólnota różnych nacji, ras, języków... i jego największe osiągnięcie. Zrozumiałem, że pomysł tej listy mógł wyjść właśnie od niego. Być może widział w niej ideę spajającą jego dzieło. Wyobrażam sobie, jak mówi: „Nie opuszczając granic mojego imperium, można zobaczyć najbardziej niezwykle budowle, wzniesione przez różne ludy w różnych epokach, ku czci najróżniejszych bogów, ale połączone w jedno za sprawą mojej woli, w obrębie wspólnoty mojego dominium”.

– Czy sam Aleksander widział wszystkie siedem cudów? – zapytałem rzeczowo.

– Dobre pytanie, Gordianusie. Z pewnością widział Artemizjon, gdy wyzwolił Efez, i Mauzoleum, gdy zajął Halikarnas. W Babilonie musiał oglądać pozostałości wiszących ogrodów i murów, wtedy zapewne nie tak jeszcze zrujnowane. Co prawda odmówił wzięcia udziału w igrzyskach w Olimpii, ale na pewno obejrzał posąg Zeusa w tamtejszej świątyni. No a gdy podbił Egipt, z pewnością nie omieszkał odwiedzić Wielkiej Piramidy. Może więc chodziło mu też o to, by taka lista upamiętniała jego własne podróże i dokonania.

– Ale jednego pomnika z listy nie wymieniłeś, mistrzu – zauważyłem.

– A, oczywiście, Kolosa Rodyjskiego. Tyle że jego budowę ukończono jakieś trzydzieści lat po śmierci Aleksandra, który rzecz jasna go już nie zobaczył. I tu dochodzimy do mojej drugiej hipotezy: otóż Macedończyk sam nie ustalił tej listy, tylko wyznaczył do tego kogoś innego. Mógł to być jego bliski przyjaciel, historyk Arystobulos, albo siostrzeniec Kallistenes, wreszcie... i ku tej wersji się skłaniam... Ptolemeusz, towarzysz jego wypraw. Później jemu właśnie przypadł w udziale Egipt i jemu też najbardziej zależało, by mit Aleksandra i schedy po jego światowym imperium przetrwały. Ptolemeusz miał oczywiście do dyspozycji zasoby Biblioteki i jej uczonych i dlatego sądzę, że to tu właśnie powstał pierwszy projekt listy siedmiu cudów. Pewien też jestem, że nie był to li tylko zwykły spis, lecz cała historia i opis każdego z umieszczonych na niej obiektów. Może to dziełko spoczywa nieodkryte gdzieś w archiwach z przywieszką z nazwiskiem autora... lub autorów, bo wszak mogło być ich kilku. Kiedy powstawało, Kolos był najświeższą sensacją, na ustach wszystkich, dlatego dołączono go do bardziej szacownych budowli na znak, że ludzkość się rozwija i zdolna jest tworzyć wciąż nowe wielkie i zachwycające dzieła. -

Mnie się wydaje, że Faros jest wspanialsza od Kolosa. Dlaczego ptolemejscy uczeni nie włączyli latarni do tej listy? – drążyłem dalej.

– Lista powstała przed ukończeniem budowy Faros – cierpliwie wyjaśniał poeta – i choć uczeni chętnie przypodobaliby się królowi, uznali jednak, że niestosowne byłoby porównywać nieukończoną budowlę z Wielką Piramidą czy Artemizjonem.

– Tylko że latarnia wskazuje drogę statkom już od dwustu lat, a Babilon leży w ruinie. Może by więc Faros wskoczyła na miejsce wiszących ogrodów na liście? – nie ustępowałem.

– Jakaż zuchwała propozycja, Gordianusie. – Izydor się roześmiał.

– Uważasz, że zła? – spytałem lekko urażony.

– Jest bardzo dobra, tylko obawiam się, że moi koledzy w tej ptasiej klatce Muz tak nawykli do obracania się w kręgu tych samych tematów, że teraz próżno szukać śmiałka, który by wysunął taką nowatorską propozycję. Obawiam się, że odrzucą twoją teorię, Zotikosie, chyba że przedstawiłbyś im oryginał pierwotnej listy – gospodarz zwrócił się do Antypatra. – Na razie jednak na niego nie natrafiłeś, co?

– Znalazłem trochę cytatów – odparł poeta, skinąwszy głową – które odnoszą się do tego dokumentu, ale jego samego nie. Mam jednak prawie pewność, że już wkrótce... wkrótce!... będę go trzymał w ręku. Najpewniej leży zapomniany w stosie nieskatalogowanych papirusów, a może ktoś przez nieuwagę zawinął go w inny zwój, nie mający nic wspólnego z tematem siedmiu cudów.

– Tak, księgi w Bibliotece bywają nieuchwytnie. Czeka cię kilkumiesięczny trud, przyjacielu – uprzedził go Izydor.

– Wobec tego muszę prosić Zeusa Wybawiciela o te parę miesięcy życia – skwitował jowialnie mój mistrz.

– I ja będę się o to modlił – zapewnił go Izydor.

– Ja też! – dołączyłem się skwapliwie do kompanii. Przywykłem do towarzystwa starego poety i wydawało mi się nie do pomyślenia, że mogłoby go spotkać jakieś nieszczęście i że mógłbym zostać sam w ogromnej metropolii założonej przez Aleksandra. Tej nocy – być może pod wpływem listu ojca, a może po prostu ryba mi zaszkodziła – miałem okropne koszmary, przerażającą mieszaninę jatki i dzikich wrzasków. Gdzieś tam w tle przewijał się mój ojciec, a w ogarniętym pożogą Rzymie, na szczycie Kapitolu pojawiła się... rozrośnięta do gigantycznych rozmiarów Faros i wskazywała drogę już nie żeglarzom, tylko wrogom Rzymu nadciągającym z całej Italii, aby go zniszczyć. Rzucałem się, przewracałem w pościeli, aż wreszcie udało mi się wyrwać ze szponów nocnych mar. Jak człowiek przebywający głęboko pod wodą raz po raz dostrzega nikłe przebłyski światła dziennego, tak ja takimi mgnieniami, powoli przytomniałem i gdy otworzyłem oczy, przywitało mnie łagodne światło poranka. Skotłowane prześcieradło było mokre od potu.

Za ścianą usłyszałem znajome głosy – nasz gospodarz i Antypater gawędzili cicho, przygotowując się każdy do swoich zajęć. Nie rozróżniałem słów, aż w końcu któryś otworzył drzwi izby i usłyszałem głośniejszy głos Izydora:

– Tylko nie zapomnij przynieść nowego rylca, Antypatrze!

Potem drzwi trzasnęły i znów zrobiło się cicho.

Zamknąłem oczy bliski powtórnego zaśnięcia, gdy raptem poderwałem się i usiadłem wyprostowany. Czy słuch mnie nie mylił? Izydor nazwał mojego mistrza jego prawdziwym imieniem!

Co to może oznaczać?

Włócząc się tego dnia po Aleksandrii, powinienem być w wyśmienitym humorze – oto dzięki ojcowskiej zapobiegliwości przestałem być nędzarzem i wreszcie miałem trochę grosza przy duszy. Przed człowiekiem

z brzęczącą sakiewką Aleksandria otwiera nieskończone możliwości; gdybym chciał, mógłbym na przykład wreszcie odwiedzić grób Aleksandra, odczekawszy swoje w kolejce turystów gotowych wysupłać kilka drachm za ten zaszczyt.

Tymczasem uzmysłowiłem sobie, że krążę w kółko tymi samymi ulicami. Słowa Izydora dźwięczały mi w uszach, nie dając spokoju.

Na pewno jest jakieś zwyczajne wytłumaczenie, mówiłem sobie. Antypater zaufał Izydorowi i wyjawiał mu swoją prawdziwą tożsamość – miał takie prawo i nic mi do tego. Tylko dlaczego przy kolacji uczony zwracał się doń jego przybranym imieniem? No, nie byliśmy sami, przecież usługiwała nam niewolnica, a ona na pewno nie powinna wiedzieć, kim jest mój nauczyciel. Tak, ale mógł mi przecież powiedzieć o swej decyzji! Pewnie, poczciwy staruszek, zapomniał... Ale gdy tylko to pomyślałem, od razu wiedziałem, że to nieprawda. Mój mistrz nic nie stracił z dawnej bystrości i nigdy niczego nie robił przypadkiem. Łączyły go z naszym gospodarzem jakieś więzi, o których nic nie wiedziałem.

Dlaczego?

Wędrując tak, znalazłem się w Rakotis, najstarszej części miasta. Już w czasach Homera była tu osada, a dziś jej wąskie, kręte uliczki kontrastowały z uporządkowaną zabudową metropolii. Nędzne czynszówki, domy rozpusty i obskurne tawerny tej dzielnicy przypominały mi rzymską Suburę. Przemierzając najbiedniejszą część Rakotis, znalazłem się w pewnej chwili pod budynkiem mieszczącym jeden z tańszych burdeli (sądząc po aparycji i znudzonych minach kobiet wystawiających w oknach przechodzone wdzięki). Właśnie wyszedł z niego mężczyzna i rozejrzał się na boki, na mnie jednak nie zwracając uwagi.

Poznałem go na pierwszy rzut oka, ale zaraz opadły mnie wątpliwości. Czyżby to mógł być on?

Krzepki blondyn o starannie przystrzyżonej bródce ubrany na modłę grecką – w ludnej Aleksandrii było takich na pęczki, a jednak... to aroganckie przekrzywienie głowy, zadzierzysty krok i zaciśnięte pięści upewniły mnie, że to nikt inny, tylko morderca z Olimpi! W nagłym przebłysku przypomniałem sobie wszystko: jak stoi za moimi plecami w Olimpiejnie i wykrzykuje antyrzymskie hasła; jak w nocy, w namiocie naszego gospodarza, przypadkowo usłyszałem jego rozmowę z nieznanym spiskowcem, zapewne Mitrydatesowym agentem; i jak następnego dnia podrzucony przezeń wąż śmiertelnie ukąsił cynika Symiusza z Sydonu, a zabójca w ogólnym zamieszaniu zniknął w tłumie i tyle go widziano... aż dotąd. Jak to mówią w Aleksandrii: „Pobędziesz tu trochę, a prędzej czy później spotkasz każdego, kto podróżuje po świecie”. Przyśpieszyłem kroku i trzymając się w bezpiecznej odległości, ruszyłem za nim. Miał pewnie kilka zadań do wykonania, bo raz po raz zniknął na chwilę w jakiejś czynszówce albo willi, a gdy się wynurzał z powrotem, rozglądał się podejrzliwie, nim ruszył znowu. Musiałem przywołać wszystkie umiejętności nabyte pod okiem ojca, żeby mnie nie dostrzegł.

W końcu dotarliśmy do portu, na pirs służący jako przystań dla łodzi przewożących pracowników latarni – poznałem to po ciasno przylegających czapkach i ciemnozielonych tunikach grupy, która akurat wysiadała na ląd. Byli wyraźnie zmęczeni po długiej pracy, w przeciwieństwie do czekających na swoją kolej ich zmienników, wypoczętych i pełnych energii.

W budce wartowniczej u wejścia na nabrzeże było pusto – strażnik stał trochę dalej i odwrócony plecami do nas zagadywał przechodzącą obok ładną dziewczynę – mój Grek więc przemknął niezauważony, a ja szybko za nim. Otworzył wąskie drzwi i wszedł do długiego, niskiego budynku. Po chwili wahania ruszyłem jego śladem. Wnętrze, rozjaśnione jedynie nikłym światłem wpadającym przez kilka wysoko rozmieszczonych okien,

zagracały żeglarskie bambetle – zwoje lin, deski poszycia, płótno żaglowe i tym podobne drobiazgi. W kącie zauważyłem stos roboczych łąchów, zapewne przeznaczonych do załatania. Raptem ciszę rozdarł jego głos – dawno go nie słyszałem, a jednak zapamiętałem – tak blisko, że aż krew mi w żyłach zmroziło. Słyszałem go coraz bliżej. Z sercem walącym w piersi kucnąłem jak mogłem najniżej za stertą lin konopnych. Morderca przeszedł obok zamaszystym krokiem i stanął może kilka stóp ode mnie, bo gdy wyjrzałem znad zwoju, widziałem jego twarz. Dość byłoby mu zerknąć w bok, a mógłby mnie zauważyć.

– Nasze szeregi zżera zepsucie, trzeba je oczyścić! – mówił. – Zdrajców trzeba wyplenić jak kąkol ze zboża.

Mężczyzna, z którym rozmawiał, wysoki, o wąskiej twarzy, miał na sobie długą szatę w charakterystycznym ciemnozielonym kolorze, ale pięknie zdobioną wizerunkami trytonów z konchami. Wysokie nakrycie głowy przypominało latarnię Faros, całości zaś dopełniał świadczący o jego randze ceremonialny kij z zawiniętym końcem.

– Zgadza się, Nikanorze, dla zdrajców nie może być litości. – Nieznajomy skinął głową. – Ale wezwałem cię dziś tutaj, byś mi wyjaśnił, jakie są postępy w kwestii systemu szyfrów, który opracowali nasi przyjaciele w Bibliotece. Ich zadaniem jest przewidzieć wszystkie ewentualności, zwłaszcza militarne, ja zaś muszę się pogłowić nad tym, jak można wykorzystać zwierciadła i rogi do przesyłania sekretnych sygnałów między nami. Nie mogę jednak się do tego zabrać, dopóki nie przedstawisz mi listy bezpiecznych miejsc w mieście, do których będzie je można kierować.

– Czy możesz skierować sygnał świetlny z latarni do jakiegokolwiek miejsca w mieście?

– Tak, jeśli na linii wzroku nie ma żadnych przeszkód. Ale mechanizm jest bardzo złożony i trzeba wszystko zawczasu przeciwżyć, dlatego potrzebuję tej listy jak najszybciej...

– Dostaniesz ją, Anubionie – wszedł mu w słowo Nikanor. – Ale powiedz mi, czy zwierciadła można skierować także na pałac króla?

– Oczywiście, i często zresztą tak się dzieje. W ten sposób właśnie krążą informacje między Ptolemeuszem i jego agentami. Zakodowana wiadomość przesyłana jest za pomocą zwierciadła z jednej części pałacu do latarni, a z Faros z powrotem, tyle że do innego skrzydła pałacu.

– Nadzwyczajne! Nie dziwota, że król jest zawsze o krok przed wrogami. Ale że ty kierujesz latarnią, będzie teraz można ten system wykorzystać także dla sprawy Mitrydatesa.

Mitrydates! Ileż to razy słyszałem to imię podczas naszych wojaży! Wyglądało na to, że macki agentury króla Pontu sięgają nawet tutaj.

– Ciszej! – syknął Anubion. – Większość robotników nie zrozumiałaby ani słowa z tego, co mówimy, ale gdyby któryś znalazł się w zasięgu słuchu, i tak musiałbym go zlikwidować. Uważam się za lojalnego poddanego Ptolemeusza, ale on jest bezsilny wobec Rzymian i jeśli ktoś ich nie powstrzyma, któregoś dnia połkną Egipt tak samo jak resztę świata. W Mitrydatesie nasza jedyna nadzieja. I powiadam, że dopóki zarządzam latarnią, użyję jej mocy do...

– Czy masz wgląd bezpośrednio do prywatnych komnat królewskich? – przerwał mu Nikanor.

– O czym ty mówisz? – Anubion zmarszczył brwi.

– O twoich lustrach. Rzucają światło na wielką odległość, to wiem. Ale czy za ich pomocą można również widzieć z daleka?

– Skąd ci taki pomysł zaświtał? Od naszych przyjaciół w Bibliotece? Tak, wiadomo mi, że niektórzy uczeni, znawcy optyki i właściwości

światła, wierzą w możliwość skonstruowania takiego urządzenia. Na Faros jednak nic podobnego nie ma.

– Ja słyszałem coś innego. Podobno ze szczytu wieży możesz nie tylko widzieć na odległość, ale i czytać w ludzkich myślach.

Człowiek zwany Anubionem wyprostował się sztywno.

– No, teraz to już zaczynasz mówić od rzeczy – wycedził. – Ja tu o nauce, a ty o jakiejś magii. Nonsens!

– Tak, tak, rozumiem. – Nikanor spojrzał na niego chytrze. – Nie możesz rozmawiać o tych sprawach, a przynajmniej nie ze mną. Jeszcze nie. Wkrótce się jednak przekonasz, że jestem godny zaufania i możesz spokojnie powierzyć mi wszystkie tajemnice Faros. We dwóch, ty i ja, wykorzystamy je do wykorzenia zdrajców wśród nas, którzy udają tylko lojalność wobec Mitrydatesa. Zdechną jak psy!

Anubion uniósł brwi i chrząknął tylko w odpowiedzi, po czym spytał:

– Kiedy będziesz się widział z twoim agentem z Biblioteki?

– Dzisiaj, zaraz po naszym spotkaniu.

– Dobrze. Powiedz mu, że muszę jak najszybciej mieć listę miejsc, no i szyfr, jaki proponuje. Zrozumiałeś?

– Jasne. Masz mnie za głupca, ale jestem sprytniejszy, niż ci się wydaje.

– Zresztą... – Anubion zacisnął usta, po czym dokończył: – Powiedz mu raczej, że już pora, abym się z nim spotkał osobiście.

– To mu się nie spodoba. Mówi, że powinien się trzymać na dystans, aby uniknąć podejrzeń. To mu się chwali, ale będzie lepiej, jak sam się przyjrzy latarni z bliska. Może powiedziec, że jego badania historyczne wymagają takiej wizyty, a ja byłem tak miły, że się na to zgodziłem. Przekaż mu to jako przepustkę. – To mówiąc, podał Nikanorowi ceramiczną płytkę z pieczęcią.

– Ma przyjść sam?

– Jeśli zechce, może przyprowadzić tego swojego nowego przyjaciela. Niech się stawią tu na przystani godzinę po zachodzie słońca. A teraz już idź.

Nikanor odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, ale obejrzał się jeszcze przez ramię i szepnął:

– Rzym jest chorobą!

Najwyraźniej było to umówione hasło, gdyż Anubion odpowiedział:

– A Mitrydates lekarstwem!

Dobrana dwójka rozeszła się w przeciwnych kierunkach. Ich ostatnie słowa rozbrzmiewały jeszcze echem w moich myślach. . Poczułem gęsią skórkę na plecach. Już chciałem wysunąć się z ukrycia, kiedy do szopy weszło paru robotników, musiałem więc przykucnąć znów za liną. Gdy tylko odeszli, wykradłem się na zewnątrz i pospieszyłem ku bramie. Strażnika nadal nie było na posterunku, niezatrzymywany więc przez nikogo wyszedłem z portu na ulicę. Rozejrzałem się na wszystkie strony, ale po Nikanorze nie było już śladu.

Przypomniałem sobie, że miał się udać na spotkanie z kimś z Biblioteki, ruszyłem więc w tamtym kierunku z nadzieją, że gdzieś go tam wypatrzę. Niestety, nie zobaczyłem go ani po drodze, ani przed samym wejściem.

Poszedłem dalej przed siebie, a myśli wirowały mi w głowie. Co też Antypater powie na moją nowinę? Uwierzy mi, że po tylu miesiącach rozpoznałem zabójcę z Olimpi, czy raczej wyśmieje? Nie mówiąc już o fantastycznych mrzonkach złoicy na temat Faros i magicznej mocy jej zwierciadeł. Anubion je odrzucił wzgardliwie – ale sam też powiedział, że zna się na mydleniu ludziom oczu i umie dochować tajemnicy. W wolnej przestrzeni między budynkami miło mu się chwali, ale będzie lepiej, jak sam się przyjrzy latarni z bliska. Może powie, że jego badania historyczne wymagają takiej wizyty, a ja byłem tak miły, że się na to

zgodziłem. Przekaż mu to jako przepustkę. – To mówiąc, podał Nikanorowi ceramiczną płytkę z pieczęcią.

– Ma przyjść sam?

– Jeśli zechce, może przyprowadzić tego swojego nowego przyjaciela. Niech się stawia tu na przystani godzinę po zachodzie słońca. A teraz już idź.

Nikanor odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia, ale obejrzał się jeszcze przez ramię i szepnął:

– Rzym jest chorobą!

Najwyraźniej było to umówione hasło, gdyż Anubion odpowiedział:

– A Mitrydates lekarstwem!

Dobrana dwójka rozeszła się w przeciwnych kierunkach. Ich ostatnie słowa rozbrzmiewały jeszcze echem w moich myślach. . Poczulem gęsią skórkę na plecach. Już chciałem wysunąć się z ukrycia, kiedy do szopy weszło paru robotników, musiałem więc przykucnąć znów za liną. Gdy tylko odeszli, wykradłem się na zewnątrz i pospieszyłem ku bramie. Strażnika nadal nie było na posterunku, niezatrzymywany więc przez nikogo wyszedłem z portu na ulicę. Rozejrzałem się na wszystkie strony, ale po Nikanorze nie było już śladu.

Przypomniałem sobie, że miał się udać na spotkanie z kimś z Biblioteki, ruszyłem więc w tamtym kierunku z nadzieją, że gdzieś go tam wypatrzę. Niestety, nie zobaczyłem go ani po drodze, ani przed samym wejściem.

Poszedłem dalej przed siebie, a myśli wirowały mi w głowie. Co też Antypater powie na moją nowinę? Uwierzy mi, że po tylu miesiącach rozpoznałem zabójcę z Olimpii, czy raczej wyśmieje? Nie mówiąc już o fantastycznych mrzonkach złoczyńcy na temat Faros i magicznej mocy jej zwierciadeł. Anubion je odrzucił wzgardliwie – ale sam też powiedział, że zna się na mydleniu ludziom oczu i umie dochować tajemnicy. W wolnej

przestrzeni między budynkami mignęła mi nagle wyniosła sylwetka Faros. Zadrzałem na myśl, że może mnie obserwować swymi potężnymi lustrami jak żywa istota.

Wąłęsając się bez celu, gdzieś w połowie drogi z Biblioteki do domu mijalem tawernę. W tak gorący dzień drzwi i wszystkie okna były rozwarte na oścież. Przypadkiem zerknąłem do środka i w odległym, zacienionym kącie dostrzegłem Izydora. Siedział twarzą do wyjścia, uważnie słuchając słów rozmówcy odwróconego do mnie tyłem. Tak mi było pilno porozmawiać z kimś znajomym o podsłuchanej rozmowie, że odruchowo skręciłem, by wejść do środka – choćby po to, by go zapytać, gdzie mogę znaleźć Antypatra – gdy wtem towarzysz uczonego odwrócił głowę w bok.

Był to Nikanor.

Tego wieczoru przy kolacji nauczyciel przypatrywał mi się uważnie, a potem spytał, czy dobrze się czuję.

– Nic mi nie jest, mistrzu – odrzekłem.

– To przestań się wiercić, jakbyś siedział na szpilkach. I prawie nie ruszyłeś jedzenia poza paroma łyżkami sałatki z granatów. Brak apetytu to u ciebie niespotykana przypadłość...

Wzruszyłem ramionami.

– Nie skosztowałeś też nawet wyśmienitego wina, którym Izydor dzisiaj nas uraczył, sprowadzonego prosto z Chios.

Milczałem. Celowo nie tknąłem trunku, bo chciałem mieć umysł w pełni sprawny.

– Zostaw młodzieńca w spokoju, Zotikosie – wtrącił gospodarz. Użycie fałszywego imienia poety odebrałem jak okropny dysonans. – Im mniej wypije, tym więcej zostanie dla nas.

Roześmieli się i trącili srebrnymi pucharkami. Wstałem od stołu, przeprosiłem towarzystwo i poszedłem do swojej izby.

– Śpij dobrze, Gordianusie – zawołał za mną Antypater. – Jutro rano może będę miał dla ciebie niespodziankę!

Zanim zamknąłem za sobą drzwi, dobiegł mnie jeszcze szept Izydora:

– Myślisz, że zachorował?-Chyba na serce. Musiała mu wpaść w oko jakaś ślicznotka i stracił apetyt na cokolwiek innego. Ech, młodość! Żeby tak człowiekowi wróciły te lata... Przypomniał mi się taki wiersz...

Dziś ani trochę nie miałem ochoty słuchać poezji. Zamknąłem się w sypialni, padłem na łóżko i przykryłem głowę poduszką. Czas płynął, a ja zamiast mózgu miałem chyba pustkę w czaszce. W końcu cisnąłem poduszkę w kąt, wstałem i bezszelestnie uchyliłem drzwi. Starsi panowie wciąż wiedli rozmowę, ale tak cicho, że ledwo rozróżniałem słowa.

– Nikanor robi się niebezpieczny – powiedział mój nauczyciel. – Mówiłem ci, co zrobił w Olimpii z tym biednym cynikiem. Znałem Symiusza od małego, dorastaliśmy razem w Sydonie, ale nie widzieliśmy się pięćdziesiąt lat, a z niego żaden był tam agent Rzymu. Nikanor jednak nabrał przekonania, że filozof mnie rozpoznał i może zdekonspirować, więc wziął sprawę we własne ręce i go zgładził, nie pytając mnie o zdanie. Ani pomyślał, co się może stać, gdyby go złapano i wyszłyby na jaw jego konszachty z Mitrydatesem. To właśnie mogło być dla mnie niebezpieczne! Moja użyteczność skończyłaby się, zanim cokolwiek bym zdążył osiągnąć. Ten typ zawsze był w gorącej wodzie kąpany! Teraz wszędzie widzi szpiegów i prowokatorów. Myślę, że traci rozum.

Poczułem, że włosy jeżą mi się na głowie. Nie było najmniejszej wątpliwości: Antypater jest agentem króla Pontu. Nie miałem jednak czasu tego roztrząsać, gdyż w tej chwili odezwał się Izydor i musiałem wyteńczyć słuch.

– Możesz wątpić w logikę Nikanora, ale nie w jego lojalność. Nikt nie znosił takich poświęceń, nie przemierzał takich odległości i nie ryzykował

więcej niż on. Nawet ty, Antypatrze.

– Nie słuchasz mnie, Izydorze. Nie kwestionuję jego sposobu myślenia, tylko zdrowe zmysły. Gada bez sensu. Co on ci tam dzisiaj powiedział o latarni? Chciałby zaglądać zwierciadłami nie tylko do komnat Ptolemeusza, ale i do jego umysłu?

– Przyznaję, że miewa dziwaczne pomysły...-Chyba na serce. Musiała mu wpaść w oko jakaś ślicznotka i stracił apetyt na cokolwiek innego. Ech, młodość! Żeby tak człowiekowi wróciły te lata... Przypomniał mi się taki wiersz...

Dziś ani trochę nie miałem ochoty słuchać poezji. Zamknąłem się w sypialni, padłem na łóżko i przykryłem głowę poduszką. Czas płynął, a ja zamiast mózgu miałem chyba pustkę w czaszce. W końcu cisnąłem poduszkę w kąt, wstałem i bezszelestnie uchyliłem drzwi. Starsi panowie wciąż wiedli rozmowę, ale tak cicho, że ledwo rozróżniałem słowa.

– Nikanor robi się niebezpieczny – powiedział mój nauczyciel. – Mówiłem ci, co zrobił w Olimpii z tym biednym cynikiem. Znałem Symiusza od małego, dorastaliśmy razem w Sydonie, ale nie widzieliśmy się pięćdziesiąt lat, a z niego żaden był tam agent Rzymu. Nikanor jednak nabrał przekonania, że filozof mnie rozpoznał i może zdekonspirować, więc wziął sprawę we własne ręce i go zgładził, nie pytając mnie o zdanie. Ani pomyślał, co się może stać, gdyby go złapano i wyszłyby na jaw jego konszachty z Mitrydatesem. To właśnie mogło być dla mnie niebezpieczne! Moja użyteczność skończyłaby się, zanim cokolwiek bym zdążył osiągnąć. Ten typ zawsze był w gorącej wodzie kąpany! Teraz wszędzie widzi szpiegów i prowokatorów. Myślę, że traci rozum.

Poczułem, że włosy jeżą mi się na głowie. Nie było najmniejszej wątpliwości: Antypater jest agentem króla Pontu. Nie miałem jednak czasu

tego roztrząsać, gdyż w tej chwili odezwał się Izydor i musiałem wyteńczyć słuch.

– Możesz wątpić w logikę Nikanora, ale nie w jego lojalność. Nikt nie znosił takich poświęceń, nie przemierzał takich odległości i nie ryzykował więcej niż on. Nawet ty, Antypatrze.

– Nie słuchasz mnie, Izydorze. Nie kwestionuję jego sposobu myślenia, tylko zdrowe zmysły. Gada bez sensu. Co on ci tam dzisiaj powiedział o latarni? Chciałby zaglądać zwierciadłami nie tylko do komnat Ptolemeusza, ale i do jego umysłu?

– Przyznaję, że miewa dziwaczne pomysły...

– To szaleniec, Izydorze. Zawsze miał nie po kolei, ale teraz to już zaczyna być dla nas niebezpieczne.

– Niestety, nie mam innego godnego zaufania łącznika do kontaktów z Anubionem. Sam powiedziałeś, i to już pierwszego dnia, że ustalenie systemu sygnalizacji z użyciem Faros to sprawa pierwszorzędного znaczenia. Kiedyś wreszcie dojdzie do wojny między Rzymem a Pontem. Co będzie, jak Rzymianie zajmą wtedy Egipt? Bez możliwości tajnego porozumiewania się nie damy rady działać.

– Rzymianie nigdy nie opanują Aleksandrii.

– Może i nie. Ale nawet jeśli Egipcjowi uda się zachować neutralność, będzie się tu roiło od szpiegów. Rzymianie są jak dzieci, jeśli chodzi o tajne operacje, natomiast Mitrydates jest w nich mistrzem i to może być jego największa przewaga. Łączność poprzez Faros może stanowić o zwycięstwie lub klęsce.

– No, no, nie dajmy się ponieść, stary przyjacielu – mitygował go Antypater. – Zaczyna to brzmieć, jakbym słuchał Nikanora.

– Cóż, przez całe życie byłem tylko skrybą w ptasiej klatce Muz. – Izydor zaśmiał się cicho. – Myśl, że mógłbym coś zrobić, żeby zmienić

świat, idzie do głowy jak to wino, przyznaję.

– Jest naprawdę świetne – zgodził się poeta. – Dokończymy butelkę?

– Nie, i tak już za dużo wypilem. Pora do łóżka, jutro mamy sporo do zrobienia. Nadal chcesz zabrać Gordianusa?

– Jak się dowie, że byłem w latarni bez niego, nie będę miał jak się wytłumaczyć. Nie martw się, będę go trzymał z dala na czas twojej rozmowy z Anubionem. Jest młody i łatwo odwrócić jego uwagę.

– Masz pewność, że niczego nie podejrzewa?

– Absolutną. Jak nieraz miał okazję zademonstrować podczas naszych podróży, potrafi być bardzo sprytny w jednych sprawach, a zarazem rozbijająco naiwny w innych. Jest bystry, ale jeszcze nie przesiąkł cynizmem i zachował chłopięcą wiarę w swojego nauczyciela, co jest nawet wzruszające. Nigdy mnie nie pytał, dlaczego ukrywam prawdziwe imię, i jestem pewien, że nie ma pojęcia o moich poczynaniach w miastach, któreśmy razem odwiedzali: badaniu nastrojów ludności, wyszukiwaniu osób potencjalnie użytecznych dla sprawy, jak i odnotowywaniu tych mogących przedstawiać zagrożenie.

– Nawet w Babilonie?

– Zwłaszcza tam! Partowie traktują podejrzliwie i Rzymian, i Mitrydatesa, ale gdy przyjdzie czas, musimy ich przekonać, by stanęli po naszej stronie. – Antypater ziewnął przeciągle. – No cóż, skoro nie ma już szans na kolejny kielich tego boskiego napoju, to chyba i ja pójdę spać.

Kiedy się rozstawali, usłyszałem jeszcze, jak Izydor szepcze:

– Rzym jest chorobą!

– A Mitrydates lekarstwem! – odpowiedział mu mój nauczyciel.

Po cichutku domknąłem drzwi i wróciłem do łóżka. Po głowie pędziło mi tyle bolesnych myśli, że niemal mi pękała. Antypater oszukiwał mnie od

samego wyjazdu! Jakim byłem głupcem, że tego nie spostrzegłem! A może nie chciałem spostrzec?

W Olimpii, w noc przed zamordowaniem Symiusza, podsłuchiłem rozmowę dwóch mężczyzn w naszym namiocie. Jednym z nich był Nikanor, drugi mówił za cicho, żebym choćby słyszał słowa, a cóż dopiero go rozpoznał. Teraz już wiedziałem, że tym drugim był mój były mistrz i że obaj pracowali dla Mitrydatesa.

Wracałem pamięcią do wszystkich tych dni czy nocy w odwiedzanych przez nas miejscowościach, kiedy to Antypater rzekomo siedział w swojej izbie, podczas gdy ja wypuszczałem się samopas na zwiedzanie... albo wychodził na spotkania z kolegami, by rozprawiać o poezji (dobrze wiedział, że nic nie może mnie równie skutecznie zniechęcić do towarzyszenia mu)... bądź też szedł do jakiejś świątyni, którą już widziałem i nie miałem ochoty oglądać jej po raz drugi. Ile z tych okazji było przykrywką do konspiracyjnej schadzki ze współnikami i knucia przeciwko Rzymowi? Jakie plany spłodzili z Eutropiuszem w Efezie, z Posydoniuszem w Rodos i z kim tam jeszcze podczas naszych pobytów w Atenach, na Delos, Lesbos i gdzie indziej? W Halikarnasie, kiedy ja nurzałem się w rozkoszy z Bitoną, przyjąłem bez mrugnięcia okiem, że w tym samym czasie on pochłonięty był lekturą w jej bibliotece – podczas gdy naprawdę musiał prowadzić – ożywioną korespondencję ze współbraćmi w całym greckim świecie. Tak, byłem krańcowo naiwny i nieświadomy. Jak to on mnie przed chwilą opisał? „Młody i łatwo odwrócić jego uwagę”. Ha!

Z Izydorem przyjaźnili się od dawna – co jasno wynikało z ich rozmowy – ale na mój użytek udawali nieznanomych, którzy przypadkiem się spotkali na jednym statku. Jak często podobne szarady bywały odgrywane przede mną jako jedynym widzom wśród samych aktorów? A tu w Aleksandrii,

kiedy obaj szli sobie do Biblioteki niby to szperać wśród zakurzonych zwojów, zajmowali się opracowywaniem kodu sygnałowego do przesyłania tajnych wiadomości z Faros.

Nagle podejrzenie zmroziło mi krew w żyłach. Jaką rolę w tym wszystkim odgrywał mój rodzony ojciec? Pomagał przecież Antypatrowi sfingować własną śmierć i ułatwić zniknięcie z Rzymu. Czy wiedział o jego misji? Czy sam też był szpiegiem Mitrydatesa, a zatem zdrajcą ojczyzny? Czy celowo trzymał mnie w niewiedzy, oszukując tak samo jak poeta spiskowiec?

Niemal równie niepokojąca była jedyna inna możliwość: że mój papcio też został oszukany przez starego Greka. Jak by to świadczyło o mądrości i przenikliwości człowieka, który z dumą nosił przydomek Poszukiwacza?

Ogarnęła mnie chęć, by zerwać starego z łoża i zażądać wyjawienia prawdy. Wstałem, wyszedłem na korytarz i stanąłem u jego drzwi. Długi czas tkwiłem tam w ciemności bez ruchu, ale nie mogłem się na to zdobyć. Nie byłem jeszcze gotowy do konfrontacji. Nie było wyjścia: wróciłem do sypialni, uznawszy, że mądrzej będzie odczekać na lepszy moment.

Czy sprawy potoczyłyby się inaczej, gdybym uległ pierwszemu impulsowi?

Myślałem, że nie zmrużę już oka, ale Somnus miał wobec mnie inne plany, Morfeusz zaś napełnił mi głowę sennymi koszmarami: sam chaos, zgiełk i zgroza. Mój ojciec i Antypater w wirze ulicznych zamieszek. Nikanor czający się gdzieś na uboczu nagle rzuca się naprzód i miota w powietrze syczącego węża. Nagle wielki kamienny obelisk wystrzelił spod ziemi ku niebu rozjarzony białością wśród ognistego mroku. Na jego szczycie płonęło niesamowicie jasne światło. Oślepiający promień palił mi źrenice i wwiercał się w mózg, odsłaniając moje najgłębiej skrywane obawy i obnażając wszystkie sekrety.

Nazajutrz rano przy śniadaniu starałem się jak najlepiej zagrać przyjemne zaskoczenie, kiedy Antypater obwieścił swoją niespodziankę, ale musiałem wyglądać raczej na oszołomionego. Nigdy nie będzie ze mnie dobry szpieg.

– Gordianusie, naprawdę zaczynam się bać, że jesteś chory – oznajmił poeta. – Czy dobrze mnie słyszałeś? Izydor załatwił nam wizytę na Faros! To prawdziwa gratka, bo nie każdego tam wpuszczają, wiesz? Obejrzymy latarnię z zewnątrz i od środka, wejdziemy też na sam szczyt, jeśli nogi wytrzymają.

– Wspaniale – zdołałem tylko wydukać.

Poeta postawił marsa na czole i pokręcił głową na tak niezrozumiałe zachowanie.

– No, nie siedź tak, jedz śniadanie i szykuj się do wyjścia.

Po posiłku poszliśmy na tę samą przystań dla pracowników. Dziś wartę trzymał bardziej służbisty strażnik; zażądał okazania przepustek, a potem zaprowadził nas na czoło kolejki, abyśmy wsiedli na następną łódź. Nawet w moim minorowym nastroju od razu poczułem się bardziej rześko, gdy wypłynęliśmy na wody portowe. Powietrze było przyjemnie chłodne, poranne słońce rozjaśniało wodę milionem odbłysek. Ciemne na tle nieba sylwetki świątyń i obelisków na wyspach królewskich po wschodniej stronie cieszyły oko opalizującymi aureolami, za to rosnąca przed nami wieża Faros cała skąpana była w miękkim, złocistym blasku. Z daleka wyglądała tak delikatnie, jakby zbudowano ją z masła czy sera, a nie bloków granitu. Wrażenie oczywiście prysło, kiedy podpłynęliśmy bliżej, jak gdyby to samo słońce upiekło ją na twardą, kanciastą skorupę.

– Latarnię stawiano ze specjalnie dobranego materiału – odezwał się Izydor, jak gdyby czytał w moich myślach. – Coś pośredniego między wapieniem a marmurem. Podobno z czasem twardnieje pod działaniem

morskiej wilgoci. Faros stoi już prawie dwieście lat, a eksperci twierdzą, że nie ma żadnych powodów, by nie przetrwała jeszcze tysiąclecia.

Nastrój nastrojem, ale majestat widzianej z bliska latarni wywarł na mnie wielkie wrażenie. Teraz naprawdę czułem się podekscytowany perspektywą jej dokładniejszego zwiedzenia.

Na przystani czekał na nas wartownik. Sprawdziwszy nasze przepustki, wskazał nam ławkę osłoniętą trzciniowym daszkiem. Dookoła rojno było od zielono odzianych robotników i żołnierzy w lśniących półpancerzach; my, cywile w zwyczajnych tunikach, zdecydowanie odstawaliśmy od tego ludzkiego tła. Po krótkim oczekiwaniu przyszedł po nas mężczyzna imponującej postury, w powłóczystej zielonej szacie i wysokiej czapce na głowie. Był to Anubion, człowieka, którego dzień wcześniej widziałem, jak rozmawiał z Nikanorem. Popatrzył na mnie z ukosa, z Izydorem i Antypatrem zaś przywitał się sztywno i oficjalnie bez wątpienia na mój tylko użytek, aby ukryć łączące ich więzi. Czułem się jak w farsie, dostosowując się do tej szarady: oni się nie znają, ja o niczym nie wiem.

Prowadząc nas długą rampą ku głównemu wejściu do latarni, Anubion recytował różne ciekawe fakty dotyczące budowli, jakbyśmy naprawdę byli zwykłymi zwiedzającymi zaszczyconymi możliwością zwiedzenia obiektu z samym zarządcą jako przewodnikiem. Sytuacja nabierała coraz większej nierealności. Sama Faros, wspaniały kamienny gigant, wymykała się normalnej zdolności pojmowania, a aktorska gra całej naszej gromadki ze mną włącznie jeszcze to wrażenie potęgowała. Sunąłem za nimi jak we śnie, zarazem w pełni rejestrując wszystko, co się wokół mnie działo.

Przeszliśmy przez monumentalny portal z czerwonego granitu do wielkiego, wysoko sklepionego westybulu. Uderzyła mnie w nozdrza ostra woń tego miejsca, mieszanina zapachów, jakich dotąd nie spotykałem.

Wkrótce miałem poznać jej źródło, na razie jednak zdumiewała mnie jej intensywność i skład.

Anubion dał nam wybór: czy wolimy wejść na szczyt wewnętrznymi schodami, czy po zewnętrznych rampach. Antypater wybrał rampy z uwagi na ich łagodniejsze nachylenie. Ruszyliśmy więc pod górę, dzieląc drogę z robotnikami i zwierzętami zaprzęgowymi pracowicie ciągnącymi wozy pełne opału.

– Do podtrzymywania ognia używamy różnych paliw – tłumaczył zarządca. – Bogowie nie obdarzyli Egiptu lasami, ale trochę małych drzew mamy, jak akacje czy tamaryszki. Stosujemy też węgiel drzewny i nawóz zwierzęcy, ale najjaśniejszy płomień daje płyn zwany naftą. Aleksander poznał naftę w Babilonii, gdzie ta nadzwyczajna substancja wypływa z pęknięć w ziemi jak woda ze źródła. Słyszałeś kiedyś o tym, Gordianusie?

Przyznałem, że nie.

– Pozwól więc, że ci pokażę.

Zeszliśmy z rampy do jednego z pomieszczeń magazynowych, wypełnionego dużymi naczyniami z gliny. Wyjmując z jednego korek, zachęcił, bym powąchał zawartość. Zaciekawiony zbliżyłem nos do otworu, ale zaraz się cofnąłem jak oparzony.

– To bardzo łatwopalna ciecz – mówił dalej Anubion. – Może się zapalić nawet bez styczności z płomieniem, wystarczy go do niej zbliżyć.

– Toż to niebezpieczna rzecz! – zdziwił się Antypater.

– Wypadki się oczywiście zdarzają. – Zarządca wzruszył ramionami. – Od czasu do czasu któryś z robotników stanie w płomieniach... To dobry przykład dla innych, żeby obchodzić się z nią szczególnie ostrożnie. Wodą się jej gasić nie da, trzymamy więc na podorędziu grube koce do tłumienia ognia.

Wróciliśmy na rampę. Wiedziałem już, skąd ta przedziwna woń przesycająca powietrze w budowli: fetor babilońskiego płynu i wielbłądziego łajna mieszał się z odorem potu i słonym zapachem morza.

Po niekończącej, zdawało się, wędrówce kolejnymi odcinkami spiralnej drogi dotarliśmy wreszcie na blanki, gdzie cztery rogi zajmowały figury trytonów, a pomiędzy nimi widniały rzędy zwierciadeł z polerowanego brązu – jedne i drugie w skali, jakiej sobie nawet nie wyobrażałem, widząc je wcześniej z dołu. Nagle, bez ostrzeżenia, rozległ się przenikliwy głos rogu. Zatkalem uszy, ale hałas był i tak ogłuszający. Dźwięk wydostawał się wprost z muszli przy ustach posągu; jeśli źródłem tego niesamowitego ryku był jakiś mechanizm, to musiał być ukryty wewnątrz figury lub pod nią.

Działanie systemu zwierciadeł łatwiej mi było odgadnąć. Wiedziałem, że Antypater i Izydor szczególnie się nim interesują, przyglądając się dźwigniom i okuciom, za pomocą których można było każde z luster pochylić pod wybranym kątem zarówno w pionie, jak i w poziomie.

Pod nami przesuwały się po rampach miniaturowe z tej wysokości sylwetki ludzi i zwierząt. Pełen białych plamek żagli basen portowy pięknie mienił się w słońcu. Całe miasto wyglądało jak wielka, kunsztownie wykonana zabawka dla rozrywki bogów.

Weszliśmy do ośmiokątnej kondygnacji środkowej. Tu też na wyższy poziom można się było dostać zewnętrznymi schodami przyklejonymi do ścian z dużymi oknami, ale wewnątrz, w centralnym szybie, zainstalowana była pomysłowa winda – platforma wciągana na górę za pomocą układu kołowrotów i bloków – którą ciężkie porcje paliwa można transportować na sam szczyt bez konieczności uciążliwego wnoszenia. Anubion zaproponował, abyśmy wjechali nią, zamiast wspinać się pieszo. Antypater spojrzał w górę, zbladł i pokręcił odmownie głową.

– Nalegam, mój dobry Zotikosie. – Anubion popatrzył na niego z troską.
– Już brakuje ci tchu, a to jeszcze setki stopni do pokonania. W ten sposób nie tylko oszczędzisz sobie wiele wysiłku, ale będziesz mógł opowiadać, że jechałeś windą Faros, a wierz mi, że niewielu ludzi może się tym doświadczeniem pochwalić.

Ciekawość wzięła górę nad strachem i wkrótce całą czwórką weszliśmy do czegoś w rodzaju klatki, która zaraz ruszyła w górę. Jazda była nadszpiewanie gładka, prawie bez kołysania i szarpnięć, jakich się spodziewałem. Mijaliśmy drepczących cierpliwie schodami robotników, a przez okna migała nam to panorama miasta, to błękitna toń morza. Na sam koniec platforma zadygotała tak mocno, że odruchowo chwyciłem się poręczy i wymamrotałem kilka słów modlitwy przekonany, że liny pękły i zaraz runiemy w dół. Wszystko się jednak uspokoiło. Byliśmy na miejscu.

Było to niecodzienne przeżycie, z ulgą jednak stanąłem na twardym podłożu. Odłączywszy się na chwilę od reszty, precyzyjnie się między robotnikami i wyszedłem na otwartą galerię z blankami. Przez jakiś czas byłem tu sam, ogarnięty cudownym poczuciem swobody. Nade mną wznosiła się trzecia, cylindryczna część budowli, niższa od pozostałych, na której szczycie ustawiona była właściwa latarnia. Zadarłszy wysoko głowę, zobaczyłem wystający ponad linię dachu fragment Zeusowego pioruna w ręku wieńczącej konstrukcję wielkiej figury boga.

Dookoła roztaczał się wspaniały, zapierający dech w piersiach widok. Na oceanie dachów wyraźnie rysował się kształt prostokątnej siatki Aleksandryjskich ulic, doskonale widoczny zwłaszcza tam, gdzie szpalery zielonych palm ciągnęły się wzdłuż szerokich alej, a ważniejsze skrzyżowania zdobiły wysokie obeliski. Nawet najwyższy punkt miasta, Serapejon, był teraz nisko pode mną. Spojrzawszy w przeciwnym kierunku, zobaczyłem bezkresną taflę wody upstrzoną plamkami bliskich i dalekich

statków. Zamglony brzeg ciągnął się w obie strony, niknąc hen na horyzoncie. Po zachodniej stronie była tylko pustynia, na wschodzie pyszniła się bujną zielenią Delta.

Na tej wysokości wiał stały, dość silny wiatr. Anubis, który właśnie do mnie dołączył, prowadząc za sobą poetę i uczonego, musiał aż przytrzymać sobie czapkę, aby podmuch nie stracił mu jej z głowy w przepaść.

– I jak wrażenia, młody Rzymianinie? – spytał, stając obok mnie.

– Mieszkasz w nadzwyczajnym miejscu, panie – odrzekłem. – Drugiego takiego miasta nie ma na całym świecie.

Skinął głową, zadowolony z komentarza.

– Pokażę teraz Izydorowi palenisko latarni i okrągły mechanizm zwierciadlany mieszczący się nad nim w górnej części wieżyczki. W tej chwili nie ma tam wiele do oglądania. Za dnia ogień utrzymujemy słaby, a lustra są zwrócone na zewnątrz, aby odbijać światło słoneczne, nie płomień. -Czy ja też będę mógł to zobaczyć?

– Oczywiście, ale trochę później. Na razie jednak zostań tu z Zotikosem i ciesz oko widokami. Obawiam się, że twój stary nauczyciel jeszcze nie odpoczął dostatecznie, by się pokusić o wspinaczkę na ostatnie piętro.

A więc taką wymówkę wymyślili, żeby uczony z Biblioteki mógł swobodnie porozmawiać z zarządcą latarni, z dala od uszu ciekawskiego – ale łatwowiernego – młodego Rzymianina. Anubion i Izydor zniknęli w drzwiach wieży, a ja odwróciłem się do mego byłego nauczyciela.

– Nasz gospodarz imputuje ci, mistrzu, zadyszkę. Uważa, że nie dałbyś rady pokonać jeszcze kilkudziesięciu stopni – powiedziałem, starając się, by nie zabrzmiało to sarkastycznie.

– O, to chwilowa niedyspozycja. Ta rześka bryza powinna szybko mnie odświeżyć.

Nie mogłem dłużej milczeć.

– Mistrzu... – zacząłem.

Miałem już na końcu języka zaprawione gniewem i goryczą pytanie: „Dlaczego mnie oszukałeś?”, ale wtem kątem oka dostrzegłem odzianą w zieleń postać, która na moment wyszła na galerię i zaraz z powrotem zniknęła w budynku. Widziałem tego człowieka tylko przez chwilę, ale nie miałem wątpliwości – był to Nikanor.

Co ten robi na Faros? I dlaczego ma na sobie uniform pracownika?

Zostawiłem Antypatra samego i pospieszyłem za mordercą z Olimpii. W jednej chwili byłem w drzwiach wieży. Nikanor wchodził na górę i znikał już na półpiętrze. Bez wahania ruszyłem za nim.

Z każdym krokiem robiło się coraz cieplej. Na ostatnich stopniach poczułem podmuch gorącego powietrza, jakby ktoś otworzył drzwiczki pieca. Same ściany były mocno nagrzane. U szczytu schodów wyszedłem na kolistą galeryjkę z kamienną balustradą. W dole, w wielkiej granitowej niecce, kipiał jasny, nigdy niegasnący płomień. Cofnąłem się szybko, bo żar był naprawdę nieznośny i utrudniał oddychanie. Jeśli to był ogień w słabej, dziennej wersji, to co się tu musi dziać nocami? Robotnicy doglądający paleniska spływali potem. Wszyscy mieli na sobie tylko przepaski biodrowe; ich tuniki wisały na kołkach wbitych w ściany galerii. Spojrzałem w górę i zobaczyłem zespół zwierciadeł zamocowanych do kopuły sufitu. Nigdy jeszcze – wyjąwszy szczątki Kolosa Rodyjskiego – nie widziałem tak ogromnych elementów z brązu. Powierzchni lustrzanych przy tym ustawieniu nie widziałem, ale już same posrebrzane krawędzie były zbyt jasne, by na nie patrzeć. To było tak, jakbym nagle znalazł się w innym świecie, gdzie istnieje tylko ogień, metal i kamień – w ognistej kuźni Hefajstosa.

Po przeciwnej stronie galerii widniały sylwetki Anubiona i Izydora, lekko rozmyte w falującym od żaru powietrzu. Nikanor właśnie do nich

dołączył; widziałem, że są zaskoczeni jego nagłym pojawieniem się. Jak dotąd żaden z nich nie zauważył mojej obecności, ale mogło się to stać w każdej chwili. Rozejrzałem się za jakimś schronieniem i raptem wpadłem na pomysł: zerwałem z kołka najbliższą tunikę, wycofałem się na schody i naciągnąłem na siebie, wokół głowy zaś przewiązałem zawieszony pod nią pas zielonej tkaniny, jak to widziałem u pracowników. Kiedy wróciłem na galerię, nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi – stałem się jedną z bezimiennych zielonych mrówek krzątających się ustawicznie po latarni.

– Co ty tutaj robisz? – krzyczał Anubion do Nikanora. – Jak się tu w ogóle dostałeś?

Mógłbym mu to wyjaśnić: przy tak niedbale pełnionej warcie na przystani i dostępności składowanych byle jak roboczych ubrań nie trzeba być arcyszpkiem, żeby się podszyć pod pracownika latarni i wraz z innymi wsiąść na łódź.

– Mówiłem ci, że są wśród nas zdrajcy! – odkrzyknął tamten. – Tymczasem widzę, że sam zadajesz się z najgorszymi z nich, traktujesz starego Sydończyka jak gościa honorowego i jeszcze oprowadzasz go z tym jego rzymskim szczeniakiem po wyspie!

– Ani słowa więcej, Nikanorze! Masz natychmiast opuścić Faros. Spotkamy się jak zwykle na przystani i tam wszystko omówimy.

– Za kogo ty się masz, Anubionie, żeby mi rozkazywać? Ty, spóźniony adept sprawy, parszywy pół egipski, pół grecki kundel? Możeś ty sam zdrajca, podwójny agent i sługus Rzymian! Wczoraj wieczorem patrzyłem na latarnię i wyraźnie czułem się obserwowany. Szpiegujesz mnie! Nie mogłem nawet ruszyć nogą ani ręką, jakby ogień mnie hipnotyzował. Jak owad przyszpilony do ściany! Kto wie, jakie straszliwe moce macie tu, na Faros? Czytacie w ludzkich umysłach, sterujecie myślami, paralizujecie członki!

Mimo bijącego z paleniska żaru zarządca wyraźnie zbladł.

– Izydorze, on do reszty oszalał! – zakrzyknął.

Uczony gapił się na Nikanora szeroko otwartymi oczyma. Jego łysa, czarna jak heban głowa ociekała potem.

– Ach, teraz widzę! – Zabójca cofnął się o krok. – Wy wszyscy jesteście zdrajcami. Sprzysięgliście się przeciwko mnie. Zwabiliście mnie tu wbrew mojej woli. Tak, to musiał być podstęp. Chcecie, bym tu zginął.

– Przestań wygadywać bzdury! – przerwał mu Izydor. – Wyjdźmy na powietrze, odsapnijmy od tego piekła... porozmawiajmy jak rozsądni ludzie...

Ale czas słów już się skończył. Nikanor przeszedł do działania. Odepchnął Izydora na bok jak słomiany manekin i ruszył ku zarządcy. Ludzie pokroju Anubiona nie przywykli bronić się przed fizycznym atakiem. Walka rozstrzygnęła się błyskawicznie, a wynik był przerażający.

Kamienna poręcz galerii sięgała mi do pasa – dostatecznie wysoko, by uchronić przed upadkiem w czeluść paleniska. Nie stanowiła jednak żadnej przeszkody dla rozjuszonego szaleńca zdecydowanego strącić swą ofiarę w ogień. Na moich oczach Anubion pchnięty przez Nikanora przeokołkował przez balustradę i z przeraźliwym wrzaskiem runął w gorejącą otchłań. Ubranie na nim zajęło się od samego żaru, zanim jeszcze liznął je pierwszy płomień. Patrzyłem skamieniały, nie mogąc oderwać oczu od dramatycznej sceny, wszystko jednak skończyło się szybko. Zasłoniłem twarz dłońmi, kiedy ciało nieszczęśnika rozbłysło jasną eksplozją ognia, a po chwili nie było po nim ani śladu. Raptowna erupcja płomieni odbiła się za to paniką wśród robotników. Kilku zostało poparzonych, na niektórych nawet zapaliły się przepaski biodrowe; koledzy rzucili się im na pomoc z kocami gaśniczymi. Tak skończył Anubion. Dumny zarządca Faros stał się jednym ze swą latarnią.

Zamrugalem oszołomiony i rozejrzałem się półprzytomnie. Zdążyłem się cofnąć pod ścianę akurat w chwili, gdy Izydor mijał mnie, niemal biegnąc do drzwi wyjściowych. Nikanor deptał mu po piętach. Żaden nawet na mnie nie spojrział. Stałem jeszcze chwilę, niezdolny do ruchu, po czym otrząsnąłem się i poszedłem w ich ślady.

Wynurzyłem się na zewnętrzny podest, chciwie łapiąc chłodny morski wiatr w spragnione płuca. Panorama Aleksandrii, tak wcześniej czarująca, wydała mi się teraz czymś dziwnym i dezorientującym. Poczułem zawrót głowy; odsunąłem się od bariery i oparłem o ścianę wieży, patrząc na kolejną nierealną scenę, jaka rozgrywała się przed moimi oczami. Antypater stał wciąż tam, gdzie go zostawiłem. Teraz dołączył do niego Izydor. Obydwaj przycisnęli się plecami do balustrady, z twarzami ściągniętymi zgrozą.

Przed nimi stał Nikanor. W obu rękach trzymał duże gliniane naczynie, a u jego stóp leżała na kamiennych płytach płonąca pochodnia. Szybkim ruchem chlusnął zawartością na obu mężczyzn, mocząc ich szaty żółtawym przezroczystym płynem. W powietrzu rozniósł się charakterystyczny odór – poznałem, że to owa substancja zwana naftą.

Nikanor odrzucił pusty gar i schylił się po pochodnię.

Serce podeszło mi do gardła. Rzuciłem się ku niemu, on jednak dostrzegł mnie, zamachnął się lewą pięścią i trafił mnie w głowę. Cios zwalił mnie z nóg. Zanim zdążyłem się pozbierać, złoczyńca cisnął pochodnię w stronę struchlałych ofiar.

Antypater stał bliżej mnie. Zerwałem się na równe nogi, jednym skokiem znalazłem się przy nim i odepchnąłem go z całych sił, sam znów tracąc przy tym równowagę. Gdybyśmy upadli choćby o łokieć w bok, może i Izydor byłby uratowany. Jednakże tylko się o niego otarliśmy, a gdy

uderzyliśmy o twardą nawierzchnię podestu, za nami buchnął płomień i usłyszałem mrożący krew w żyłach krzyk. -Izydor! – wrzasnął Antypater.

Przetoczyłem się na plecy i podniosłem głowę w samą porę, by ujrzeć ostatnią scenę makabrycznego spektaklu. Jak demon utkany z płomieni, uczony rzucił się na swego kata. Sam Nikanor wydawał się przerażony tym, co uczynił, i stał jak wryty; zanim zdążył zareagować, Izydor chwycił go w objęcia. Czy był to świadomy akt zemsty? Później doszedłem do wniosku, że Aleksandryczyk działał po prostu instynktownie.

Złączone w ognistą całość dwa ciała zakręciły się w upiornym tańcu, zataczając się to w jedną, to w drugą stronę, póki nie zderzyły się z balustradą. Wymachując rozpaczliwie rękami, Nikanor starał się uwolnić ze śmiertelnego uścisku, Izydor jednak nie zwalniał chwytu. Razem przechylili się przez poręcz, przez okamgnienie balansowali na krawędzi, po czym zwalili się ciężko w dół.

Podbiegłem do balustrady i patrzyłem, jak spadają ku morzu, ciągnąc za sobą ognisty welon niczym Faeton z nieba, gdy już rozbił rydwan boga słońca. Uderzyli o trytona na rogu najniższej kondygnacji, rozłączyli się i już własnymi trajektoriami poszybowali w dół jak dwie gasnące komety. Po chwili zobaczyłem dwie białe fontanny, a zanim dobiegł mnie plusk, zielona tafla zamknęła się nad nieszczęśnikami i tylko drobne kłębuszki piany zdradzały, gdzie zniknęły ich ciała.

Za sobą usłyszałem jęk, a potem głucho stęknęcie. Antypater dźwigał się z posadzki, zdezorientowany i półprzytomny. Ja sam byłem roztrzęsiony, jak się przekonałem po pierwszym kroku. Nogi drżały pod mną jak trzciny na wietrze.

– Spadli? Widziałeś ich? – spytał.

Gdybym go nie podtrzymał pod ramię, chyba by upadł. Omal sam się nie przewróciłem razem z nim. Wzięłem głęboki oddech i wyprostowałem się

powoli.

– Spadli do morza – odrzekłem. – Ale, mistrzu, jak ty... Nic ci się nie stało?

– Parę siniaków pewnie stąd wyniosę. Nic niezłamane. Gdzie Anubion?

– Nikanor wrzucił go w ogień. Nic z niego nie zostało. Poeta popatrzył na mnie przerażony, ale nagle dotarło do niego znaczenie moich słów.

– Skąd... Skąd znasz to imię?

– Wiem o wiele więcej, niż sądzisz. Natknąłem się na niego wczoraj na ulicy i rozpoznałem. Śledziłem go i wiem, co robił wtedy w Olimpii i tu, w Aleksandrii. Był szpiegiem Mitrydatesa, podobnie zresztą jak Anubion i Izydor... i ty.

Antypater poderwał głowę i rozejrzał się nerwowo.

– Mistrzu, dlaczego mnie oszukałeś? – zadałem w końcu to pytanie.

Zagryzł wargę i minęła długa chwila, zanim spojrzał mi w oczy.

– Dla twojego dobra, Gordianusie – odparł. – Gdybyś wiedział, naraziłbyś się nieraz na wielkie niebezpieczeństwo.

– Chcesz mi powiedzieć, że ani przez chwilę nic mi nie groziło, bo nie wiedziałem? To żadna odpowiedź, mistrzu!

– A czy żałujesz, że wybraliśmy się w tę podróż? Wolałbyś nigdy nie opuszczać Rzymu i nie ujrzeć cudów świata?

– To też nie jest odpowiedź na moje pytanie. Oszukałeś mnie. Nadal nie wiem, co knuliście we wszystkich tych miejscach, gdzie się zatrzymywaliśmy, mogę się tylko domyślać. Tu nie chodzi o to, czy mnie naraziłeś na zagrożenie czy nie. Wywiodłeś mnie w pole i uczyniłeś nieświadomym współnikiem w służbie wroga Rzymu!

– Rzym nie jest w stanie wojny z Pontem...

– Na razie nie! – Mówiłem w przestrzeń, nie mogąc się zmusić do patrzenia mu w oczy. – Pamiętaj, co o mnie powiedziałeś przy Wielkiej

Piramidzie? Że wyjaśniam każdą tajemnicę, zupełnie jak mój ojciec. Że to dar od bogów...

– Bo to prawda, Gordianusie.

– A jednak przez cały czas nie widziałem nie tylko rozwiązania, ale i samej zagadki, która sterczała mi przed nosem. Musisz mieć mnie za wielkiego głupca. W ucho wlewasz mi pochwały, w duchu mną gardzisz.

– Nie! To nieprawda.

– Powiedz mi tylko jedno: ile wiedział mój ojciec?-O mojej misji? Nic.

– To znaczy, że i jego oszukałeś?

– Przekonałem go, że chcę zniknąć ze świata, nie wyjawiając mu powodów.

-1 uwierzył ci?

– To nie jest ani tak szalony, ani rzadki pomysł. Osiągnąwszy pewien wiek, wielu mężczyzn hołubi takie marzenie... nie wyłączając twojego ojca, jak mi się wydaje. Nie możesz tego zrozumieć.

– Bo jestem za młody?

– Właśnie. Świat nie jest tak nieskomplikowany, jak myślisz. Czy cię oszukałem? Tak. Co do twojego ojca, miał swoje, również niewypowiedziane powody, żeby cię wyprawić z domu. Wiedział, że w Italii szykuje się wojna, i chciał cię przed nią uchronić. Przyjął więc moją propozycję i nie wypytywał tak szczegółowo, jak mógłby w innych okolicznościach. To go nie czyni głupcem, a tylko świadczy o miłości do ciebie. Jeśli zaś chodzi o moje wybory, to wiedz, że niczego nie żałuję. Przyjaźń jest ważna, Gordianusie, ale są rzeczy od niej ważniejsze. Rzym musi być powstrzymany, a jedyna na to nadzieja w Mitrydatesie. Tak, musiałem cię trzymać w nieświadomości... i co z tego? Tymczasem odbyłeś podróż, o jakiej większość ludzi może tylko marzyć. Poszedłeś za swymi aspiracjami, a ja za moimi.

Kręciłem głową, szukając kontrargumentów. Nagle Antypater odepchnął mnie i sam się cofnął o parę kroków.

– Trzymaj się ode mnie z daleka, Gordianusie – szepnął.

Nie wiedziałem, co sądzić o tej nagłej zmianie, ale wnet usłyszałem tupot nóg na schodach we wnętrzu wieży. W tej samej chwili cztery trytony zadęły w muszle, wydając różne, nieharmonijne dźwięki.

– Ja jakoś wytłumaczę moją obecność na Faros i część z tego, co tu zaszło – mówił dalej poeta. – Tobie może nie pójść tak gładko. Uciekaj! Przedostań się na dół i wracaj na ląd.

– Ale jak mam...

– Wezmą cię za jednego z robotników. Pospiesz się!

Na podest wysypało się kilku żołnierzy, w biegu dobywając mieczy. Na mnie z ledwością rzucili okiem. Ubrany w zieloną tunikę rzeczywiście musiałem wyglądać jak ktoś z obsługi latarni, a do tego niskiej rangi – taki młokos! Całą uwagę skupili na Antypatrze. Nasze spojrzenia spotkały się jeszcze ostatni raz, a potem zniknął mi z oczu za zwartym kręgiem zbrojnych. Jeden z nich zaczął przesłuchanie.

– Co tu się stało? Kto spadł z wieży? Gdzie jest Anubion?

– Ach, straszna rzecz! – zakrzyknął poeta. – Okropny mord, dzieło szaleńca!

Cichaczem przesunąłem się do drzwi i wśliznąłem na klatkę schodową. Ruszyłem w dół, siląc się na obojętną minę. Po drodze minęli mnie kolejni żołnierze spieszący na górę; widziałem też cały oddziałek wjeżdżający windą. Nikomu nie przychodziło do głowy mnie zaczepić. Zupełnie jakbym był niewidzialny. Niezatrzymywany wyszedłem w końcu z budynku i długą rampą dotarłem do przystani. Trytony wciąż trąbiły jak najęte. Tu i ówdzie zbierały się grupki dyskutujących z ożywieniem pracowników, inni jednak robili swoje jak gdyby nigdy nic. Zatłoczony prom właśnie odbijał od pirsu,

kiedy nadszedłem; byłem ostatnim pasażerem, któremu udało się wsiąść – jedną z wielu anonimowych zielonych sylwetek.

Kiedy przewoźnicy sprawnie manewrowali łodzią, kierując się ku portowi, zdałem sobie nagle sprawę, że nie było powodu, abym uciekał z Faros. Nie zrobiłem w końcu nic złego; to Antypater nalegał, abym zniknął. Czym się kierowałem? Czy chciał tylko oszczędzić mi przykrego przesłuchania, czy może raczej obawiał się, że mógłbym go sypnąć – niechcący lub celowo – jako szpiega obcego monarchy? Znowu więc dałem mu się wywieść w pole... Obejrzałem się na Faros. Zdawało mi się, że na najwyższej galerii mignęła mi między żołnierskimi hełmami biała czupryna. Po raz ostatni widziałem wtedy Antypatra.

Po wylądowaniu dyskretnie pozbyłem się roboczej tuniki i pomaszerowałem prosto do domu Izydora. Straż zdążyła tam przede mną i cały oddział obstawiał już ulicę i wejście. Trudno o lepszą demonstrację szybkości i sprawności systemu sygnalizacyjnego Faros, pomyślałem. Zawróciłem i odszedłem tak szybko, jak to było możliwe bez ściągania na siebie uwagi. W myśli przeliczyłem mój skromny dobytek, który został w pokoju – będę musiał sobie odtąd poradzić bez niego.

Tej nocy spałem pod gołym niebem, co w takim ciepłym i suchym klimacie nie było wielkim wyrzeczeniem. Obudziwszy się nazajutrz, próbowałem przemyśleć położenie, w jakim się znalazłem. Jeśli Antypater nie powie o mnie władzom, nikt nie będzie mógł powiązać mnie z wydarzeniami na Faros. Niewolnica Izydora słyszała pewnie moje imię, ale poza tym nie wiedziała o mnie nic. W całej Aleksandrii o moim istnieniu wiedzą tylko pośrednik pocztowy i bankier, u którego ojciec zdeponował dla mnie pieniądze. Uznałem, że nie muszę się obawiać władz.

Po południu wybrałem się do owego domu bankowego. Trochę miałem stracha, że zastanę tam czekających na mnie żołnierzy, ale wszystko poszło

gładko; urzędnik wypłacił mi drobną sumkę, której sobie zażyczyłem.

– A tu mam jeszcze dla szanownego pana wiadomość. Przyniesiono ją dziś rano – powiedział, gdy już formalności były zakończone, i podał mi zwitek papirusu przewiązany sznurkiem.

Podziękowałem i wyszedłem, kierując się do najbliższego ogrodu publicznego. Znalazłem wolny spłacheć trawy w cieniu palmy, do której był przywiązany muł; jego młody właściciel rozmawiał w pobliżu z grupką rówieśników, usiadłem więc po przeciwnej stronie drzewa, oparłem się plecami o pień i otworzyłem list.

Nie było w nim nagłówka, zwyczajowych pozdrowień i podpisu – ani niczego, co mogłoby zaszkodzić mnie albo autorowi, gdyby papirus wpadł w niepowołane ręce.

Mam nadzieję, że w pamięci zostaną ci tylko te dobre przeżycia z naszych podróży. Zapomnij, co złego się zdarzyło. Jeśli to oznacza, że zechcesz zapomnieć i o mnie, to trudno. Nie proszę cię o wybaczenie, bo nie czuję skruchy i nie żałuję dokonanego wyboru. Obiecałem pokazać Ci siedem cudów świata i słowa dotrzymałem. Przyrzekłem Twemu ojcu dowieźć Cię bezpiecznie do miejsca przeznaczenia i dowiozłem. Wyrzucasz mi, że skrywałem coś przed Tobą, ale każdy człowiek ma swoje tajemnice, nawet Ty.

Opuszczam Egipt. Nigdy mnie już nie zobaczysz, w każdym razie nie tutaj. Ty możesz zostać w Aleksandrii, jeśli chcesz. Zamierzałem zostawić Ci parę drachm u bankiera, dodając je do depozytu Twojego ojca, ale zdałem sobie sprawę, że ktoś mógłby zinterpretować zapis takiej transakcji jako zapłatę, a więc i dowód nieokreślonego powiązania między nami, jakie przecież nie istnieje. Tego zaś obaj wolimy chyba uniknąć. Za jakiś czas być może będziesz zmuszony poszukać sobie pracy, ale taki młody spryciarz jak Ty nie powinien mieć z tym problemem.

Jestem już stary. Zostało mi może kilka lat życia, a może kilka dni – ale umrę szczęśliwy. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć wszystkie siedem cudów świata – to nie było z mojej strony oszustwo! – i to marzenie się spełniło, także dzięki Tobie. Nie wyobrażam sobie lepszego towarzysza podróży od Ciebie. Zaczęliśmy jako nauczyciel i uczeń, ale przez te wspólne miesiące nauczyłem się od Ciebie nie mniej niż Ty ode mnie. Jestem z Ciebie dumny i pragnę Ci podziękować.

Nasze drogi się rozchodzą, inaczej być nie może, ale. jeśli taka będzie wola bogów, kiedyś się jeszcze spotkamy. Spal ten list po przeczytaniu albo wyrzuć do morza.

Jak mógłbym zniszczyć coś takiego? Ten list był moją ostatnią i jedyną pamiątką po Antypatrze. W oszołomieniu położyłem go obok siebie na trawie, zamknąłem oczy i odchyliłem głowę, pozwalając słońcu grzać mi twarz. Chwilę potem usłyszałem mlaśnięcie; odwróciłem się w samą porę, by zobaczyć, jak papirus znika w paszczęce muła. Byłem niemal pewien, że w okrągłym oku zwierzaka dostrzegłem taki sam chytry błysk, jaki widywałem u mojego mentora, gdy udowadniał mi, jak mało wiem...

X

EPILOG W ALEKSANDRII: CUD ÓSMY

Śmierć w płomieniach na Faros przez wiele dni była głównym tematem rozmów Aleksandryjczyków. Straszne wydarzenia tłumaczono na najróżniejsze sposoby. Najczęściej powtarzała się następująca historia: jeden z robotników w przyływie szału zaatakował zarządcę latarni i zepchnął go w ogień, po czym rzucił się na gościa, którego Anubion akurat oprowadzał – nieszczęsnego uczonego z Biblioteki, który interesował się historią budowli. Zabójstwa uznano więc za czyn szaleńca, a nie skutek intrygi politycznej. Czasami padało nazwisko niejakiego Zotikosa z Zeugmy, lecz jedynie w roli świadka. Wydawało się, że nikt nie wie o nim nic pewnego – i nie dziwota, jak sądzę, gdyż nikt taki nie istniał.

Gdy skończyłem siedemnaście lat, świat uznał mnie za wystarczająco dorosłego mężczyznę, bym był godzien noszenia togi. Lecz tak naprawdę to dopiero w Aleksandrii definitywnie zostawiłem dzieciństwo za sobą. Nie stało się to z dnia na dzień, ale stopniowo, zaczęło się zaś w chwili, gdy uzmysłowiłem sobie, że Antypater mnie oszukiwał.

Wcześniej, w trakcie tych wszystkich podróży, gdy rzucałem się w wir przygód miłosnych bądź rozwiązywałem zagadkowe sprawy, wciąż jeszcze tkwiłem w chłopięctwie; ufałem otaczającemu mnie światu, a ściślej mówiąc, wierzyłem, że świat, choćby nie wiem jak wielki, jest racjonalny, zrozumiały – jak zresztą i jego mieszkańcy. Ludzie, a zwłaszcza cudzoziemcy, mogą oczywiście być tajemniczy, ale to nic złego; przeciwnie

– jest powodem ekscytacji, gdyż szarady są po to, by je rozwiązywać, a to z kolei sprawia ogromną przyjemność. Każda zagadka da się wyjaśnić, a im bliższa nam osoba, tym mniej ma przed nami sekretów. Tak przynajmniej wtedy myślałem.

„Świat nie jest tak nieskomplikowany, jak ci się wydaje”, powiedział Antypater.

Dla mnie już nigdy taki nie będzie.

Pierwsze dni, a nawet miesiące, gdy byłem sam w Aleksandrii, upływały leniwie, ale bynajmniej się nie nudziłem. Pieniądzy mi nie brakowało – a czegoż więcej trzeba młodemu człowiekowi. No i zgodnie z przewidywaniem mego mentora zacząłem się rozglądać za pracą, idąc w ślady ojca. Nazwał się Poszukiwaczem, choć ja przeważnie czułem się jak fretka albo łasica grzebiąca w śmieciach innych. Dla młodego Rzymianina w tętniącym życiem obcym mieście wszystkie te zagadki, których rozwiązanie mi zlecano, były kusząco egzotyczne, a im bardziej odrażające i dziwne – tym lepiej.

Usiłowałem jakoś się pogodzić z oszustwem Antypatra i szukałem dla niego usprawiedliwienia. Dzięki wspólnym wozom poznałem wspaniałą kulturę grecką, a on kochał ją i rozpaczliwie, za wszelką cenę pragnął uchronić przed upadkiem. Z poety przedzierzgnął się w człowieka czynu i ostatnie lata swego życia poświęcił sprawie ratowania greckojęzycznego świata przed dominacją Rzymu. To zaś mogło się udać tylko za sprawą Mitrydatesa i Antypater nie wahał się położyć na szali wszystkiego – nawet zaufania, jakie w nim pokładałem. Moje odczucia w związku z tą zmianą zmieniały się z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę.

Pewnego wieczoru, gdy już gwiazdy zaczęły wschodzić, siedziałem na stopniach Serapejonu i patrzyłem ponad miastem na migoczącą w dali Faros, gdy raptem naszły mnie wątpliwości. Musiały sobie torować drogę

do mojego umysłu miesiącami, zasiane przez Nikanora. Złoczyńca był pewien, że Antypater zdradził ich sprawę – i tyle właśnie, złożąc na „starego Sydończyka”, powiedział Anubionowi, nim go zabił. Pewnie, Nikanor był szalony – ale szalenie nie zawsze musi się mylić. Czy to możliwe, by Antypater był podwójnym agentem? Tylko udawał, że jest stronnikiem Mitrydatesa, naprawdę zachowując lojalność wobec Rzymu? A jeśli tak, to czy mój ojciec o wszystkim wiedział, a może i aktywnie włączył się do gry? Ba! Kto wie, czy papcio sam całego planu nie wymyślił! Co ja właściwie o nim wiem, o jego poglądach i powiązaniach?

Inna rzecz, że jeśli ojciec pracował za wiedzą lub na zlecenie senatu, a Antypater rzeczywiście był podwójnym agentem, to obaj oszukali mnie podwójnie, dla mojego dobra oczywiście. Ten pokręcony wniosek wzbudził mój niepokój, ale też dziwnie podniósł na duchu.

Stop, chłopie, zaczynasz wpadać w obłąd jak Nikanor, upomniałem się. Ale rak wątpliwości nie przestawał mnie toczyć.

Jak poznać prawdę? Prosiłem bogów, by trzymali nieszczęścia z dala od ojca i bym mógł go znów zobaczyć w Rzymie. Modliłem się też za Antypatra, bardzo bowiem pragnąłem jeszcze choć raz z nim porozmawiać. Ale świat to mało bezpieczne miejsce, modlitwy zaś nie zawsze zostają wysłuchane. Co będzie, jeśli nigdy już nie dowiem się, jak było naprawdę?

Snując takie refleksje na stopniach świątyni, wpatrywałem się w niegasnące światła Faros – jedyny stały punkt w morzu niepewności. Tak bardzo chciałem rozproszyc dręczące mnie wątpliwości – wiedząc przy tym, że to niemożliwe. To była właśnie ta dojrzałość, od której nie ma odwrotu – świadomość, że są zagadki nierozwiązywalne, a na niektóre pytania nie ma odpowiedzi. Mimo to trzeba żyć.

„Dlaczego siedem?” – zapytałem onegdaj Antypatra. Nie przyszło mi do głowy zapytać wówczas: „Po co komu w ogóle taka lista?”.

Teraz już wiem. Jest potrzebna, by oddzielić to, co jest, od tego, co nie istnieje. Można ją zapamiętać i biegle się nią posługiwać w razie potrzeby. Lista wprowadza odrobinę ładu w nieuporządkowany świat.

Z takimi myślami kołatającymi się po głowie zacząłem spędzać wolny czas na stopniach Biblioteki, słuchając wykładów nauczycieli i filozofów, którzy szczerze dzielili się wiedzą z każdym, kto chciał ich słuchać albo odważył się wdać z nimi w dysputę. Przewijali się tam przedstawiciele wszystkich szkół filozoficznych: stoicy i sceptycy mieszały się z cynikami, epikurejczykami i neoplatonikami, zdarzali się nawet zapatrzeni w gwiazdy babilońscy astrologowie tudzież snujący przedziwne historie żydowscy rabini. Nocami zaś zażywałem przyjemności cielesnych – w Aleksandrii nie było o to trudno.

Stało się dla mnie jasne, że prawdziwymi cudami, jakie człowiek spotyka w podróży przez życie, nie są milczące posągi z kamienia, lecz ludzie z krwi i kości. Jedni wiodą nas ścieżką mądrości, inni dają nam rozkosz, niektórzy sprawiają, że śmiejemy się wesoło, jeszcze inni napawają nas przerażeniem czy odrazą albo też budzą nasze współczucie. By tego wszystkiego doświadczyć, nie trzeba być obieżyświatem – wszystkie te cuda spotykamy wokół siebie każdego dnia.

Przekonałem się też jednak, że ten, kto widział słynne Siedem Cudów w komplecie, nie będzie narzekał na brak zainteresowania. Ludzie – i kobiety, i mężczyźni – uwielbiali słuchać moich opowieści. Gdy wieczorami przesiadywałem w tawernach Rakotis, mój kubek zawsze był pełen, a w ciepłe rozgwieżdżone noce rzadko się zdarzało, bym nie miał z kim dzielić łoża.

Takie to życie wiodłem w Aleksandrii: pracowite, stymulujące intelektualnie, a jednocześnie rozwiązłe. Wedle kalendarza rzymskiego zbliżał się marzec, a wraz z nim urodziny Antypatra. Gdziekolwiek się

podziawa – czy jak co roku zapadł na swą „gorączkę urodzinową” i upił się do nieprzytomności? Zbiegało się to prawie z rocznicą jego sfingowanej śmierci. Niedługo potem i ja miałem swoje święto: skończyłem dwadzieścia lat.

Zacząłem odczuwać – nie wiem, czy wypada mi coś takiego mówić – lekkie znużenie życiem. Być może za daleko podróżowałem, zbyt wiele widziałem. To, co kiedyś mnie bawiło, teraz zaczęło mnie nudzić. Jedzenie straciło smak, skutki pijaństwa doskwierały dotkliwiej i nawet rozkosze cielesne zaczęły trącić rutyną. Mądre monologi filozofów i uczonych też brzmiały już jednakowo. Sama Aleksandria – najbardziej kosmopolityczne z miast, światowe centrum kultury, światło przewodnie ludzkości – spowszedniała mi i stała się miejscem jak każde inne.

Fortuna jednak trzymała coś dla mnie w zanadrzu. Szedłem sobie pewnego dnia nabrzeżem, mijając targ niewolników, jeden z gorszych w mieście: towar był tam z reguły wybrakowany bądź lichego gatunku. Niektórych oferowano za cenę tak niską, że nawet ja mógłbym sobie pozwolić na zakup – gdyby podobna myśl strzeliła mi do głowy. Służącego nie wystarczy kupić, trzeba go jeszcze potem utrzymywać; ja zresztą wolałbym mieć kota niż niewolnika – ale wykarmienie zwierzaka też swoje kosztuje.

Akurat wystawiano starego bezzębnego włóczęgę, który zgodził się sprzedać wolność, jeśli ktoś zechce go kupić. Widownia gwizdała i buczała. Nie było chętnych i niepokieszony kandydat odszedł, powłócząc nogami. Na platformę wprowadzono następny obiekt.

– Nieee! Znów ona? – krzyknął ktoś z gawiedzi.

– Ona, ona – potwierdził inny. – Czy ktoś już jej nie kupił parę dni temu?

– Owszem, kupił, zabrał do domu, a następnego dnia... przyprowadził z powrotem padła odpowiedź. – To chodzący kłopot, mówię wam. Strzeż się, nabywco! Ani się obejrzysz, a palec ci odgryzie!

– Coś ty? Wygląda raczej niewinnie. Taka drobna...

– Właśnie na te drobne i chude trzeba najbardziej uważać.

– No, figura jak miód. Prawdziwa ślicznotka... gdyby ją tak wykąpać i uczesać.

– Co z tego, skoro jest zbyt dzika, żeby dać się poskromić!

Licytator zawołał o ciszę. Wyglądał, jakby nagle chwycił go ból zęba.

– Mam na sprzedaż niewolnicę, dokładny wiek nieznany, choć sami widzicie, że jest młoda. Nie będę udawał, że to świeży towar... wielu z was widziało ją wcześniej, a niektórzy już ją nawet posiadali... No, ale oto znów jest do wzięcia. Jej obecny właściciel zdaje sobie sprawę, że dziewczyna jest kłopotliwa w utrzymaniu, i dlatego podał bardzo niską cenę wywoławczą.

Kwota, jaką wymienił, była wręcz śmieszna: równowartość raptem kilku bochenków chleba. Przystanąłem i przyjrzałem się uważnie dziewczynie na platformie. Przedtem miała głowę spuszczoną, ale teraz rozejrzała się, odgarnęła kaskadę czarnych loków z twarzy i spojrzała wyzywająco w tłum, wyprostowana, z prawą stopą wysuniętą naprzód. Nie była to postawa niewolnicy.

Jej ciemne, lśniące oczy napotkały mój wzrok. Serce zabiło mi mocniej. Wzbudziło się we mnie dziwne, nieznane mi dotąd odczucie.

Licytator powtórzył cenę. Zajrzałem do mojej lekkiej sakiewki. Za mało... Tłum zafalował, ale chętnego nabywcy nie było.

– Tak myślałem... – westchnął prowadzący i z rezygnacją w głosie obwieścił: Upoważniono mnie do obniżenia ceny wywoławczej.

Wymienił kwotę o połowę niższą. Akurat tyle miałem w trzosiku! Policzyłem, czy aby na pewno wystarczy, przełknąłem ślinę i raz jeszcze przyjrzałem się dziewczynie. Odwzajemniła spojrzenie. Wyczytałem w nim rozbawienie i... lekceważenie. Ale to była tylko fasada, butna mina na pokaz, pod którą czaiło się coś jeszcze, co chyba tylko ja dostrzegałem: maskowana buńczucznością rozpacz, błaganie, skromność, choć nie miałem też wątpliwości, że to silny charakter.

Raz kozie śmierć. Wolno podniosłem rękę.

– Mamy kupca! – wykrzyknął z ulgą licytator, choć nie krył też zdziwienia. Ludzie unosili brwi i z niedowierzaniem kręcili głowami. Ten i ów zaśmiał się w głos.

Prowadzący, któremu śpieszno było dobić targu, zanim się rozmyślę, wezwał mnie na platformę. Wyciągnął rękę po sakiewkę i gdy przeliczał pieniądze, zapytałem go o imię dziewczyny.

– Imię ma tak dziwne i barbarzyńskie jak ona sama. Chyba hebrajskie. Wołają na nią Bethesda.

Patrząc na nią, wypowiedziałem to obco brzmiące słowo pierwszy raz.

– Bethesda – szepnąłem. – A więc tak się nazywa ósmy cud świata...

Licytator spojrzał na mnie jak na szaleńca. Ona zresztą też.

Tak rozpoczął się następny rozdział
mojego życia.